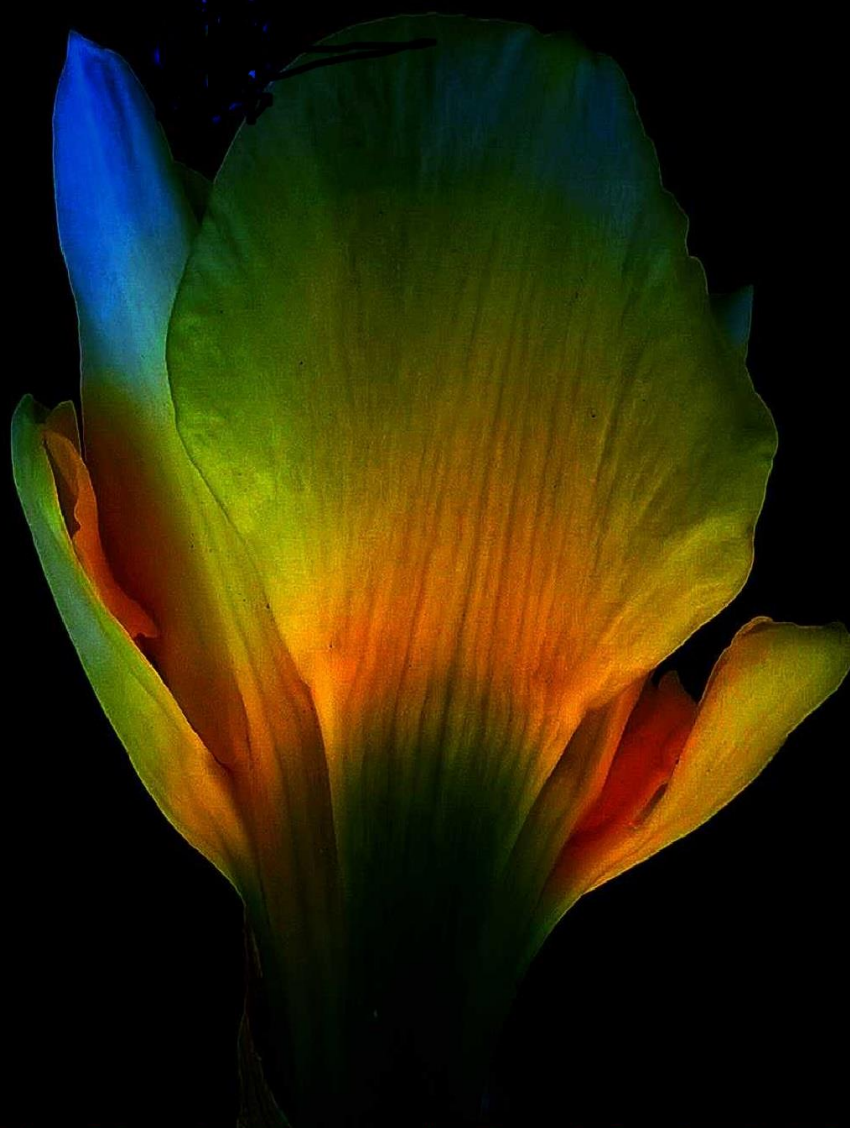


**Bruno Jasiński**



**PALE PARYŻ**

**Bruno Jasiński**

# **P a l ę P a r y ż**

*ze wstępem*

*Juliusza Kadena-Bandrowskiego*



**Fundacja Festina Lente**

## WSTĘP

*Rozpowszechniła się w obecnych czasach dość nagminnie wśród najszerszych kół czytelniczych jakaś obawa, czy pasja, czy podejrzliwość, czy też pochopność złośliwa bardzo, skryta, ludzi myślących niegodna — dzielenie księzek literackich na budujące i burzące, pogodne i zatrute, zdrowe i niezdrowe, czyli jakoby chore, zarazę szerzyć mogące.*

*Pochopność owa, nawiana w nasze serca i umysły z twardych klepisk politycznego życia, jest chorobą, złośliwą naroślą w dziedzinie oceny i miary utworów kształtu literackiego. Świadczy ona, że metody straganu, jarmarku, czy choćby bojów politycznej trybuny przenosimy w dziedzinę odczuwania i kontemplacji. Nie o to bowiem chodzi przecież, jak autor pokierował losem ludzi, czy spraw, to jest — czy wygodził naszym poglądom politycznym, społecznym, lub narodowym. Jeżeli im wygodził, nie racja jeszcze, iż słuszość rzeczywistą ukazał. Jeżeli im zaprzeczył — nie racja, iż my właśnie drogą słuszości kroczymy.*

*Rzecz główna i jedynie istotna: czy nas wzruszył, czy wstrząsnął sercem naszym, czy choć przez chwilę uwierzyliśmy owym ludziom i losom, przez autora na papier książki wypędzonym.*

*Jeżeli tak, jeżeli chwilę zadrżeliśmy w obliczu takich właśnie na papierze drukowanych losów — autor najszanowniejsze zadanie swoje spełnił. Rozszerzył bowiem pojemność uczuć naszych, przedłużył życie nasze o życie innych urojonych a jednak jakże cennych bliźnich — powiększył skarb naszego doświadczenia i naszych przewidywań.*

*Odsuńmy zatem, gdy mowa o literackim kształcie, wszystkie sprawy pożądań, wierzeń, przesądów, czy też cnót naszego gospodarstwa — jawi się bowiem przed nami inne, najwyższe gospodarstwo uczucia. Porównajmy je tylko z naszym własnym najszczerzym przeżyciem, a korzyść i pożytek z lektury zjawia się same w pomnożeniu naszego współczucia dla prędkich tęsknot artysty, które w temacie ludzkim szukają sprawiedliwości człowieka względem człowieka.*

\*

*Nie sądzę, bym musiał przeprowadzać analizę, na ile, w jakim stopniu, w jakiej mierze i wysokości jest utwór Jasińskiego dziełem sztuki.*

*Publiczność sama sądzić będzie o tym. Sądzi ona zazwyczaj książki po swojemu i kto wie, czy jej właśnie sposób sądzenia nie jest najlepszy? Publiczność*

*nie wdaje się na ogół w szczegóły estetyczne, w zachowanie proporcji artystycznego kształtu, nie wdaje się w zawile sprawy kompozycji, lecz mierzy dzieło zawartą w swojej własnej piersi nadzieją, gniewem, czy cierpieniem.*

*Publiczność sądzi książkę wedle własnego przeżycia i doświadczenia. Sami więc osądzicie, czytelnicy, ile życia i prawdy waszej i cierpień dało się autorowi zawrzeć w tej książce. Sami osądzicie, czy taka właśnie dżuma w Paryżu odpowiadałaby waszej idei o wyrównaniu rachunków. Czy taki oto – jak go opisuje Bruno Jasiński – taki właśnie przewrót odpowiada gniewom i protestom, jakie każdy z myślących ludzi odczuwa niejednokrotnie w walce ze swą dolą oraz w walce z takim a nie innym ustrojem świata. Ustrojem, nad którego poprawą pracujemy z pokolenia na pokolenie w najzacniejszej trosce o przyszłość oraz w najwyższej dumie ofiar jednostki na rzece wspólnoty.*

*Nie chodzi na tym miejscu o analizę budowy artystycznej, o pochwałę, czy potępienie społecznych wierzeń autora. Jeżeliby jednak zależało komuś z racji dzieła Brunona Jasińskiego o moje, zgoda w tej materii nieobowiązujące, zdanie – musiałbym przyznać, iż „Palę Paryż“ uważam za książkę w najwyższym stopniu łagodzącą i nieomalże pacyfistyczną.*

*Tak, tak – mimo wręcz przeciwnych i jakże gwałtownych pozorów!*

*Bruno Jasiński przedstawia nam w skrótach tak szybkich, że prawie pobieżnych wszystkie nieszczęścia, katastrofy i kataklizmy, które czekają ludzkość, o ile pozostanie w tym stanie moralności, w jakim się dziś znajduje.*

*Kataklizmy – wedle mniemań autora – przyniosą zwycięstwo pewnej, wyraźnie określonej, ideologii społecznej.*

*Ta druga propozycja – o zwycięstwie ideologii, nie jest chyba niebezpieczna, skoro w myśl wierzeń autora ideologia ta przyniesie ludzkości najwyższą miarę szczęścia.*

*Któż w tym życiu na gorzkim, a jednak tak kochanym padole ziemskim nie pragnie szczęścia? Pominąwszy zatem ową drugą propozycję o szczęściu, w które każdemu wierzyć wolno wedle przekonania własnego – pozostaje przed wnikliwością naszą postawiona owa pierwsza przesłanka, mająca dopiero przygotować i sprowadzić drugą, to jest sprawa kataklizmów i katastrof, które na nas czekają, o ile pozostaniemy nadal na tym stopniu moralności, na jakim dziś stoimy.*

*W niepokoju, w trosce, w namiętnej gwałtowności, jakimi otacza autor tę właśnie przesłankę, dopatruję się szczerych i zacnych walorów moralnych prozy Jasińskiego. Jego wzburzone serce w płomiennym wrzeniu przewiduje rzeczy okropne, o ile nie nastąpi wśród nas, biednych ludzi, żyjących na tej ziemi, jak najszybsza poprawa. Fantazja artysty, przepojona zgrozą obecnych warunków istnienia ludzkiego na świecie, nasuwa nam przed oczy skutki, jakie wynikną z naszego egoizmu, chciwości na wszelkie dobro i zatwardziałości wobec cierpienia naszych bliźnich.*

*Uważam, iż jest to właśnie bardzo godną cnotą Jasińskiego, że przejmuje się tymi sprawami, że o nie dba, że go tak trapią, niepokoją, straszą i przerażają.*

*Albowiem przewidywać, lękać się, niepokoić – to kochać! To zmniejszać zło, nieuchronnie w życiu zbiorowym współistniejące z nami.*

*Cóż innego, w odróżnieniu od zimnych filozofów starożytności, czynili wszelcy reformatorzy, coż innego czynią w wykładzie swych poglądów kaznodzieje, jak nie to właśnie, iż, chcąc nas podnieść, pobudzić, czy poprawić, grozę bytu naszego i niedomogi trwania naszego nam ukazują?!*

\*

*Za książkę pod tytułem „Palę Paryż“ omal nie wyświęcono Brunona Jasińskiego z Francji. Miarodajne czynniki, licząc się z drażliwością nastrojonej przeciw cudzoziemcom opinii, poirytowanej, że oto przybysz i cudzoziemiec dzień w dzień w odcinkach „Humanité“ pali w tak zaciekły sposób „Ville Lumière“, miały być z dziś na jutro wystąpić z wszelkimi rygorami władzy, gdy oto list otwarty, podpisany przez wielu wybitnych pisarzy Francji, całą sprawę zatrzymał. Nazwiska wybitnych twórców francuskich, podpisanych pod listem, odwiodły władzę od jej srogich zamierzeń.*

*Wedle mego mniemania, takie właśnie rozstrzygnięcie drażliwej sprawy przynosi zaszczyt publicznej opinii francuskiej: Gdy twórcy francuscy orzekli, iż dzieło Jasińskiego jest dziełem sztuki i nie należy przeszkadzać artyście w pracy – rygory administracyjne upadły niejako same przez się.*

*Juliusz Kaden-Bandrowski*

*Towarzyszowi Tomaszowi Dąbalowi,  
nieustrudzonemu bojownikowi  
sprawy robotniczo-chłopskiej,  
podaję tę książkę,  
jako dłoń do uścisku  
ponad głową Europy*

## CZEŚĆ PIERWSZA

### I

Zacząło się to od drobnego, nic na pozór nieznaczącego wypadku natury zdecydowanie prywatnej.

Pewnego pięknego listopadowego wieczora, na rogu ulicy Vivienne i bulwaru Montmartre, Jeannette oświadczyła Pierre'owi, że potrzeba jej nieodzownie wieczorowych pantofelek.

Szli wolno, pod ramię, wmieszani w ten przypadkowy, niezgrany tłum statystów, jaki na ekran bulwarów paryskich wyrzuca co wieczora zepsuty aparat projekcyjny Europy.

Pierre był zasepiony i milczący.

Miał zresztą po temu swoje aż nadto wystarczające powody.

Dziś z rana majster, gutaperkowym krokiem przemierzający salę, zatrzymał się nagle przed jego obrabiarką i, patrząc gdzieś powyżej jego ramienia, polecił mu spakować narzędzia.

Od dwóch tygodni trwał już ten milczący połów. Pierre słyszał od kolegów: we Francji, z racji kiepskiej koniunktury, ludzie przestali kupować samochody. Fabrykom groziło zamknięcie. Wszędzie zredukowano do połowy personel. Celem uniknięcia zaburzeń usuwano po kilku ludzi o różnych porach dnia, z różnych oddziałów.

Przychodząc z rana na robotę i stając nad warsztatem, nikt nie mógł być pewien, czy kolej dziś nie na niego.

Czterysta niespokojnych par oczu, jak psy węszące po ziemi, biegło chyłkiem, trop w trop, śladem ocieślałych stóp majstra, wolno, jakby z namysłem, przechadzającego się między warsztatami, i usiłowało uniknąć spotkania z jego prześlizgującym się po twarzach wzrokiem. Czterystu ludzi, schylonych nad maszynami, jak gdyby pragnęło stać się jeszcze mniejszymi, bardziej szarymi, niedostrzegalnymi, w gorączkowym wyścigu palców namotywało sekundy na rozpalone od pośpiechu obrabiarki, i ochryple od niemego krzyku, płaczące się palce zdawały się mamrotać: „Ja najszybciej! Nie mnie przecież! Nie mnie!”

I dzień w dzień w którymś z końców sali zatrzymywało się nagle na kropce nienawistnie, wahlliwe pismo kroków i w naprężonej ciszy rozlegał się matowy, bez wyrazu głos: „Zbieraj narzędzia!”

Wtedy z kilkuset piersi, niby podmuch wentylatora, dobywało się westchnienie ulgi: „A więc nie ja! Nie mnie!”. I pospieszne, tresowane palce jeszcze prędzej chwyciły, szczepiały, nawijały sekundę na sekundę, ogniwo na ogniwo, żelazny ośmiogodzinny łańcuch.

Pierre słyszał: odprawiają w pierwszym rzędzie podejrzanych politycznie. Nie obawiał się. Od agitatorów trzymał się z dala. Na mityngi nie uczęszczał. Podczas ostatniego strajku był w liczbie tych, którzy mimo zakazu stawili się do pracy. Robotnicy-krzykacze spoglądali na niego spode łba. Przy spotkaniu z majstrem zawsze silił się wydusić na wargi przyjazny uśmiech.

I mimo wszystko, ilekroć majster rozpoczynał po sali swój milczący, złowrogi spacer, palce Pierre'a gmatwały się w wytężonej pogoni, narzędzia leciały mu z rąk, nie śmiał się po nie schylić w obawie zwrócenia na siebie uwagi, i kroplisty pot chłodnym kompresem zwilżał mu rozpalone czoło.

Kiedy zaś tego rana złowieszcze kroki zatrzymały się raptownie przed jego obrabiarką, kiedy wzrokiem w rysunku warg wyczytał wyrok, Pierre poczuł niespodziewanie coś w rodzaju ulgi: otóż i koniec!

Obojętnie, bez pośpiechu spakował w węzełek posegregowane narzędzia. Nie oglądając się na nikogo, począł ściągać powoli robocze ubranie i zawiązał je starannie w papier.

W sekretariacie przy obliczeniu żetonów okazało się, że skradziono mu mikrometr.

Nieomylna transmisja administracji fabrycznej przerzuciła go do biura kontroli.

W biurze łysy, zezowaty kancelista oświadczył Pierre'owi lakonicznie, że fabryka za zgubiony mikrometr potrąca mu czterdzieści franków. Resztę wybrał przedwczoraj jako zaliczkę. Nie należało mu się nic.

Pierre w milczeniu zgarnął ułożone symetrycznie, zatłuszczone świadectwa. Wiedział dobrze: aby nie dawać zredukowanym robotnikom prawa do zasiłku dla bezrobotnych, fabryka w porozumieniu z rządem odmawiała umieszczenia na świadectwie adnotacji „zwolniony z powodu braku pracy”. Przez

chwile chciał mimo wszystko spróbować, poprosić. Spojrzał na błyszczącą, złą łysinę nastroszonego skryby, na dwóch drabów z policji fabrycznej, odwróconych do niego tyłem, niby to zajętych rozmową... Zrozumiał, że na nic się to nie zda.

Cieżkim krokiem wyszedł z kancelarii.

Przy bramie odebrano mu przepustkę i zrewidowano zawartość zawiniątka.

Znalazłszy się na ulicy, Pierre długo stał nieporadnie, rozmyślając, dokąd by tu się udać. Tłusty granatowy policjant o twarzy buldoga, z wyczyszczonym numerkiem na obroży, warknął mu nad uchem, że zatrzymywać się w tym miejscu nie wolno.

Postanowił obejść kilka fabryk. Zewsząd jednak, dokądkolwiek się zgłaszał, odprawiano go z niczym. Wszędzie panował kryzys. Fabryki pracowały po kilka dni w tygodniu. Personel zmniejszono. O przyjmowaniu nowych robotników nie mogło być mowy.

Po całodziennej bieżączce, głodny i zmęczony, zaszedł o siódmej pod magazyn po Jeannette.

Jeannette potrzebowała pantofelków. Jeannette miała najzupełniejszą rację. Pojutrze – święto katarzynek. Magazyn urządza dla personelu bal. Sukienkę, w drodze oszczędności, przerobiła sobie z zeszłorocznej. Brak jej jedynie pantofelków. Nie może przecież pójść na bal w lakierkach! W dodatku to nie taki znów wielki wydatek – widziała sama na wystawie śliczne, brokatowe, raptem za pięćdziesiąt franków.

Pierre miał w kieszeni równo trzy sous i w chmurnym milczeniu słuchał melodyjnego szczebiotania przyjaciółki, na odgłos którego pierś ścisnęła mu się słodkim łaskotem jak na spadzistych zakrętach „diabelskich gór“.



Następny dzień upłynął na poszukiwaniach równie bezpłodnych jak poprzednie. Nie przyjmowano nigdzie. O siódmej zmęczony i osowiały Pierre znajdował się gdzieś na przedmieściu, na przeciwległym krańcu Paryża. Miał o tej porze czekać przy wyjściu na Jeannette. Nie był już w stanie zdążyć w żaden sposób. Zresztą i cóż jej powie? Jeannette potrzebuje pantofelków. Będzie płakać. Pierre nie mógł patrzeć na łzy Jeannette. Ociężale powlókł się w stronę miasta.

Po drodze myślał o Jeannette. W gruncie rzeczy nieładnie postąpił, nie czekając na nią przy wyjściu. Należało jej wytłumaczyć, przedstawić całą sprawę. Nie ma co, wyszedł jak grubianin. Musiała na niego czekać. Potem, nie doczekawszy się, poszła do domu. Ma z pewnością do niego słuszny żal. Uczuł, że musi, pomimo spóźnionej pory, zajść do niej, wyjaśnić jej wszystko i przeprosić.

Zaszedłszy jednak na górę, dowiedział się, że Jeannette dotychczas z miasta nie wróciła. Wiadomość ta zaskoczyła go znienacka, rozsypując jednym uderzeniem nawleczone już w myśli z takim mozołem paciorki zdań.



Gdzie mogła bawić tak późno Jeannette? Prawie nigdy nie wychodziła wieczorami sama. Postanowił poczekać na nią przed bramą. Wkrótce jednak rozboleły go nogi. Przysiadł na słupku, oparty plecami o ścianę. Czekał.

Gdzieś daleko, na jakiejś niewidzialnej wieży, zegar wydzwonił drugą. Wolno, jak chłopcy w szkole – wyuczona napamięć lekcję, powtarzały ją za nim nad pulpitami dachów inne wieże. Potem znowu cisza. Ciężkie powieki, jak muchy pojmane na lep, trzepocą niezgrabnie, na chwilę podfruną, by znowu opaść. Gdzieś, na dalekim wyboistym bruku, zaturkotał pierwszy nieśmiały wóz. Wkrótce wyjadą wozy po śmiecie. Nagi, chropawy bruk – łyse, oskałpowane czaszki żywcem zakopanego tłumu; spotkają je długim krzykiem-łomotem, podawanym z ust do ust przez niekończącą się nigdzie długość wyobraźalnej ulicy. Trotuarami przebiegną czarni ludzie z długimi włóczniami, zanurzając ich ostrza w drgające jak płomyk serca latarni.

Suchy jazgot obolałego żelaza. Senne, budzące się miasto podnosi z trudem ociężałe powieki żaluzji.

Dzień.

Jeannette nie wróciła.

## II

Nazajutrz było święto katarzynek. Pierre nie poszedł szukać roboty. Wczesnym rankiem udał się na plac Vendôme i, oparty o sąsiadującą z magazynem bramę, czekał na zjawienie się Jeannette. Nurtował go głuchy niepokój. W ciężkiej, bezsennej głowie, jak pływające wyspy tytoniowego dymu w dusznym, nadymionym pokoju, unosiły się niejasne pomysły najnieprawdopodobniejszych wypadków. Przylepiony do żelaznej kraty, przestał tak cały dzień. Od dwóch już dni nie miał nic w ustach, lecz cikliwy posmak śliny, pozostający w sferze wrażeń smakowych, nie przeniknąwszy do świadomości, nie stał się jeszcze głodem.

Nad wieczorem lunął deszcz i, pod chluszczącymi strumieniami wody, twarde kontury przedmiotów zafalowały łagodnie, wydłużając się w głąb, jak zanurzone w wartkim, przezroczystym nurcie.

Zapadał zmrok. Zapalone latarnie, jak tłuste, bezbarwne plamy na atramentowej powierzchni nocy, niezdolne ani wsiąknąć w nią, ani ją rozświetlić, zaludniły koryto ulicy wodorostami cieni, fantastyczną fauną niezgruntowanych głębin.

Urwiste brzegi, pełne fosforyzujących, magicznych grot witryn jubilerskich, gdzie na skałach z zamszu, wyłuskane z muszel, drzemią wielkie jak grochy dziewicze perły – prostopadłymi ścianami wydłużały się w górę w daremnym poszukiwaniu powierzchni.

Szerokim wąwozem łożyska, z szumem elastycznych łusek opon płynęły stłoczone stada dziwacznych żelaznych ryb o ognistych, wybałuszonych ślepiach, ocierając się o siebie pożądliwie bokami w obłokach błękitnawej ikry benzyny.

Wzdłuż stromych brzegów, poruszając się z wysiłkiem, jak nurkowie w przezroczystej galarecie wody, brnęli ołowianostopi ludzie pod ciężkimi skafandrami parasoli. Zdawało się, że lada chwila ktoś pierwszy szarpnie za zwisającą rączkę i lekko poszybuje w górę, opisując nogami esy-floresy nad głowami zastygłego tłumu.

Z daleka, z biegiem rzeki, zbliżał się powoli płaski, cudaczny skafander o trzech parach kobiecych nóg. Nogi omackiem gruntują wyślizgane dno, zataczają się od wewnętrznego śmiechu, od bulgotu fizycznej radości przewycięzania oporu.

Kiedy nogi zbliżały się do wyrwiska bramy, Pierre dojrzał, że niosą pod skafandrem trzy roześmiane głowy i że jedną z trzech była głowa Jeannette.

Spostrzegłszy Pierre'a, Jeannette podbiegła doń w podskokach, obsypując go pstrokatym konfetti swego szczebiotu („diabelskie góry“). Była w wieczorowej sukience, płaszczyku i nowiuteńkich przemoczonych brokatowych pantofelkach.

Czemu nie nocowała w domu? Oczywiście spała u koleżanki. Szyły do późna kostiumy na dzisiejszy bal. Skąd ma nowe pantofelki? Wzięła w magazynie zaliczkę na rachunek przyszłej pensji. Jeżeli Pierre chce, ma jeszcze teraz chwilę czasu, może więc zjeść z nim razem obiad.

Stropiony Pierre bąknął pod nosem, że nie ma na obiad. Obrzuciła go zdziwionym, nie rozumiejącym spojrzeniem.

Nie? W takim razie zje coś naprędce z koleżankami. Musi się śpieszyć, bo brak jej jeszcze kilku drobiazgów.

Wspięła się na palcach, pocałowała go szybko w usta i zniknęła w bramie.

Pierre powlókł się do domu. Nogi ciążyły mu i cierpki posmak w ustach po raz pierwszy przeszwarcował się do świadomości, długo kołacąc do jej drzwi upartą, cierpliwą czkawką. Zrozumiał i uśmiechnął się z własnej niedomyślności. Był to głód.

Na bulwarach roiło się już od grup rozswawolonych midinetek, przedsiębiorczych młodzieńców, kolorowych czepeczków i szarf. W cieniu niewzruszonych lamp, odświętnie ubrani Pierrowie całowali w usta swoje małe Jeannetty, które wdzięcznie podnosiły się na palcach.

Szary Menilmontant był mroczny i posępny, jak co dzień.

Pierre z trudem przyczłapał się do domu. Był zmęczony i zajmowała go teraz jedyna myśl: wyciągnąć się, jak długi, na łóżku.

Od pewnego czasu unikał starannie spotkania oko w oko z mrukliwym, dziobatym konsjerżem. Wydatki ostatnich czasów (jesienna garderoba Jeannette) były powodem, że od trzech miesięcy zalegał już z komornem. Co wieczora starał się przemknąć niepostrzeżenie przez nieoświetloną sień, wprost na schody.

Tym razem jednak manewr ten zawiódł. Z wnętrza sieni, na spotkanie Pierre'a wyrósł nagle, jak widmo, bezkształtny profil konsjerża. Pierre spróbował uchylić kaszkietu i prześlizgnąć się mimo, lecz został przytrzymany za ramię. Z urągliwych, wycharkniętych słów zrozumiał tylko jedno: do pokoju go nie wpuszczają. Ponieważ nie płacił od trzech miesięcy, pokój jego odnajęto. Rzeczy odbierze, kiedy uiszczy zaległy czynsz.

Machinalnie, bez słowa protestu, ku widocznemu zdumieniu umilkłego w pół wyrazu konsjerża, Pierre zawrócił na pięcie i wyszedł na ulicę.

Mżył drobny deszcz. Pierre bezmyślnie podreptał z powrotem, nie wiedząc dobrze dokąd, wzdłuż wilgotnych ciepłem pierwszego snu napęczniałych ścian. W ciasnych wnękach, we framugach domów, czarni skuleni ludzie, mężczyźni i kobiety, układali się na nocleg, okręcając od zimna kończyny strzępami pozbieranych gazet.

Upadając ze zmęczenia, jak rozbitek zdążający ku najbliższym majaczącym światełkom, Pierre skierował się w stronę czerwonych ogników metra i dobrnął do rogu bulwaru.

Biła pierwsza. Z okaflowanej czeluści kolei podziemnej zaspana służba wypędzała na powierzchnię ostatnich, spóźnionych pasażerów i zwabionych ciepłem włóczęgów. Z trzaskiem zasuwano kraty.

Na schodach, prowadzących na chodnik, panował ścisk, pogwar i zaduch. Zarośnięci, obdarci ludzie zajmowali już ze skwapliwym pośpiechem miejsca na stopniach, co bliżej wygrzanej kraty, starannie i z namaszczeniem wybierając sobie leża. Byłe bliżej krat! Od krat wieje dusznym, zgniłym ciepłem oddechu zziąjanego Paryża. Poowijani w łachmany, układali się powoli wzdłuż schodów, z głową na nieprzytulnej poduszce kamiennego stopnia, niezgrabnie okrywając skurczone ciało przewiewną frędzlą własnych dłoni.

Wkrótce całe schody były już zasłane powałem. Dla nieopatrznych, spóźnionych nocowników pozostały jedynie miejsca na najwyższych stopniach, najbardziej wystawione na deszcz i zimno.

Pierre czuł się już zbyt wyczerpanym, by wlec się dalej. Pokornie i nieśmiało, starając się nie nastąpić na nikogo, legł na wolnym miejscu u szczytu, między dwiema omotanymi w gałgany siwymi wiedźmami, witającymi każdego nowego przybysza wrogim warkotem.

Usnąć nie mógł. Drobny, mgławcy deszcz mokrą łapą błędził mu po twarzy, przesycając ubranie śliską, dojmującą wilgocią. Szmaty, przemoczone deszczem i potem, wydzielały stęchłą, kwaśną woń. Kamienna poduszka zacharkanego stopnia uwierała go w głowę. Ostre kanty stopni wrzynały się w żebra, rozczłonkując ciało na szereg odrębnych kawałków, skręcających się w bezsennej gorączce, jak kawałki pokrajanej dżdżownicy. Nędzarze u dołu, szczęśliwi na zarezerwowanych zawczasu miejscach pod kratą, chrapali szeroką gamą zduszonych oddechów. Powoli i Pierre'a zmorzył ciężki, gorączkowy półsen.

We śnie wydało mu się, że leży nie na zwykłych schodach, lecz na schodach ruchomych, z gruchotem posuwających się w górę (takich, jakie widywał w magazynie „Au Printemps“ lub na stacji metra „Plac Pigalle“). Z zięjącego przerębla ziemi, z otwartej paszczy metra, brzmiać głucho i rytmicznie, pięła się w górę nieskończona żelazna harmonijka ruchomych stopni. Jeden za drugim wyjeżdżały z hukiem coraz to nowe i nowe szczeble, zawałone pokotem obszarpanych, bezwładnych ciał. Wierzchołek schodów, na którym leżał Pierre, znajdował się już gdzieś wysoko, w chmurach. W dole miliardem światła wkrzykiwał się w bezduszne milczenie nocy wielooki Paryż. Schody z miarowym szczękiem sunęły wyżej. Pierre’a ogarnęła kosmiczna próżnia przestworów międzyplanetarnych, migot gwiazd, bezgraniczny spokój przestrzeni.

Z mrocznej czeluści rozwartej jezdni w rozdziawioną czeluść nieba płynęły ruchome schody czarną ławą wynędzniałych, śpiących ludzi.

### III

Obudziło go niecierpliwe szarpnięcie. Otwierano metro.

Szara rozespiana gromada, klnąc i przeciągając się, niechętnie opróżniała schody. Z dołu biło gęste, rozleniwiające ciepło rozgrzanych trzewi miasta, trawiących na czczo pierwsze porcje lekkich porannych pociągów. Ludzie, charcząc i ziewając, gramolili się jeden za drugim na powierzchnię chodnika i znikali pojedynczo w przenikliwej porannej mgle.

Otwierano pierwsze bistra. Szczęśliwi posiadacze trzydziestu centymów mogli wypić przy ladzie szklanek gorącej czarnej lury.

Pierre nie miał trzydziestu centymów, dlatego powłókł się bez celu w górę bulwarem Belleville.

Paryż z wolna budził się ze snu. W rudych, spróchniałych framugach okien przygarbionych hotelików, tu i ówdzie, ukazywały się już profile starych, rozczochranych, na wpół gołych kobiet, majestatyczne w swoich wygniłych ramach, jak widmowe portrety prababek tej bezpańskiej dzielnicy, gdzie prostytutka jest godnością dziedziczną, jak gdzie indziej tytuł rodowy lub stanowisko notariusza.

Okno jest obrazem, przybitym na martwym, kamiennym prostokącie szarej ściany dnia. Są okna – martwe natury, dziwne, mozolne kompozycje zapoznanego artysty-przypadku, sklecone z rogu przygodnej kotary, zapomnianego wazonu, jaskrawego cynobru dojrzewających na parapecie pomidorów. Są okna-portrety, okna-wnętrza, okna – naiwne podmiejskie sielanki à la celnik Rousseau, nieodkryte, nieocenione, niczyje.

Kiedy pociąg, wjeżdżający wieczorem do miasta, mija uszeregowane po obu stronach toru domy z oświetlonemi nieregularnie, tu i tam, na różnych wysokościach, kwadratami okien, okno jest wówczas gablotką cudzego, niezrozumiałego, ach, jakże obcego życia, i oko moje, samotnego podróżnego, jak

ćma trzepoce bezradnie u nieprzeniknionej tafli szkła, niezdolne dostać się do wnętrza.

Gdy po całodziennych bezowocnych poszukiwaniach pracy, Pierre powracał jakąś pustą, nieznaną uliczką, był już wieczór i wklęsłe kwadraty okien zaczynały fosforyzować wewnętrznym, utajonym światłem. Ulica pachniała fryturą, ciepłem niewietrzonych mieszkań, świętą, sakramentalną godziną obiadu. Chciwy, oswojony głód, jak wytresowany pies legł u progu świadomości, nie przestępując go nieproszony, zadowolając się tym, że każda myśl, pragnąca tam się wkraść, musiała wprzód na niego nastąpić.

Poprzez tuman zmęczenia, jak krzyk zamknięty w hermetycznym cylindrze i niemogący wyrwać się zeń echem, łopotało w Pierze imię Jeannette.

Zrozumiał, że musi zejść do niej do domu, rozmówić się. Co jej zresztą powie – dokładnie nie zdawał sobie sprawy.

Zanim wyplątał się z wiążącej go gmatwaniny uliczek, zapadła noc. Długo błądził w mroku, pozbawiony jakiegokolwiek punktu orientacyjnego, z trudnością rozróżniając napisy ulic. Nagle doznał wrażenia, jakby z nieznannej ścieżki polnej wyszedł na bity, bezpieczny gościniec.

Ileż to razy zdarza się, że, błądząc po obcych zakątkach, natrafiamy nagle na szlak znajomy, którego nie może sobie przypomnieć myśl, a puszczone samopas nogi instynktownie prowadzą nas naprzód, jak senne konie, wiozące zaspanego woźnicę raz przemierzoną koleją. Kto wie, być może natrafiliśmy przypadkiem na swoje własne, pozostawione tu kiedyś kroki, po których stopy stąpają wygodnie i pewnie jak psy, zdążające węchem po własnych śladach? I miasto, przemierzone przez nas co dzień, oderwane paciorki obrazów, które utrwała nasz wzrok na negatywie pamięci, zrastają się w nas w jednolite pojęcie miasta dopiero nawleczone na tę niewidzialną nić rozsianych po nim naszych kroków, tę nieuchwytną mapę naszego własnego Paryża, jakże inną od Paryżów innych ludzi, przebiegających tymi samymi co i my ulicami.

Kiedy szlak stóp Pierre'a wyprowadził go po długiej wędrówce pod dom Jeannette, minęła już dwunasta. Mimo to Pierre wszedł na górę i zapukał. Otworzyła mu rozeszpana matka. Jeannette nie było. Nie wracała do domu od wczoraj.

Pierre długo schodził w ciemnościach, zanim wydostał się z powrotem na ulicę. Znalazłszy się na chodniku, nie czekał już przed bramą, jak pierwszej nocy, lecz ociężale powlókł się w mrok.

Na rogu ludnej alei obryzgało go błotem przejeżdżające otwarte taxi. Opasły galant, rozparty na siedzeniu, całował wtuloną w niego smukłą dziewczynę, błądząc wolną ręką po jej szczupłych kolanach, z których odgarnął sukienkę.

Pierre nie mógł dojrzeć twarzy dziewczyny, widział tylko granatowy kapelusik i szczupłe, prawie dziecinne kolana i nagłym wewnętrznym skurczem poznał po nich Jeannette. Zaczął biec, roztrzając opryskliwych przechodniów.

Auto po chwili zniknęło mu z oczu za zakrętem.

Przebiegłszy jeszcze kilkadziesiąt kroków, zatrzymał się znekany. Niejasne, gorączkowe myśli, jak spłoszone gołębie, odleciały go nagle, zostawiając zupełną próżnię i łopot skrzydeł w skroniach.

Był w jakiejś wąskiej uliczce. Pachniało w niej kiszoną kapustą i marchwią. Z wysiłkiem dowlókl się do rogu.

Na opustoszałych polach przestronnych jezdni, wyrosłe z ziemi przez noc, piętrzyły się olbrzymie zielone walce, czerwone stożki, białe sześciany, obciosane piramidy, nocne realne królestwo form geometrycznych. Był w Halach.

Szarzy, spłowiali ludzie w łachmanach wznosili z idealnie kulistych głów kapusty, z rozłożystych bukietów kalafiorów wielopiętrowe gmachy i wieże. Obok wystrzelał ku niebu patetyczny sześcian ściętych kwiatów. Tutaj gromadzono przez noc wszystko, co nazajutrz spotrzebuje Paryż do jedzenia i miłości.

Ostry zapach świeżych, wydartych ziemi jarzyn osadził Pierre'a na miejscu. Cierpki, cierpliwy głód, warujący daremnie u drzwi świadomości począł psim zwyczajem lekko skrobać w nie łapą.

Pierre podszedł bliżej. Człowiek, uginający się pod gigantyczną naręczą kalafiorów, potrącił go boleśnie i z przekleństwem. Pierre usunął się nieśmiało na trotuar. Ktoś ujął go za ramię. Obejrzał się. Barczysty, wąsaty dryblas wskazywał mu ręką na dwukołowy wóz, naładowany marchwią...

Pierre zrozumiał propozycję i skwapliwie zabrał się do zwalania na jezdnię bezkształtnych bloków. Pomagało mu w tym jeszcze kilku wynędzniałych ludzi. Pierre'owi wydało się, że w jednym z nich poznaje sąsiada z wczorajszego noclegu pod metrem.

Nieprawidłowy czerwony ostrosłup rósł, zrównał się z pierwszym piętrem, sięgnął wyżej.

Kiedy wozy opróżnione odjechały, wszystkich tragarzy poprowadzono w głąb Hal. Obejrzawszy się za siebie, Pierre spostrzegł, że postępuje za nim tłum podobnych mu, wyszarzałych ludzi. Wszyscy mieli dokoła szyi okręcone brudne wełniane szmaty, twarze – wyżęte z krwi, zarośnięte i ziemiste.

Ustawiono ich w długą kolejkę, częstując każdego z kotła miską gorącej cebulowej zupy. Pierre dostał również swoją miskę i ponadto trzy franki w gotówce. Gdy wychłęptał gorącą ciecz, parząc sobie niemiłosiernie przy tej operacji usta, odebrano mu z ręki miskę i odepchnięto go na bok, torując dostęp innym. Powracając uliczkami tego nowego dziwnego miasta, skazanego za kilka godzin na zagładę, Pierre uszczknął z jednego z bloków kilka wielkich marchwi, zalatujących jeszcze tłustością ziemi, i łapczywie zjadł je w zaułku.

Świtało. Pierre'a ogarniały zmęczenie i senność, zwabione ciepłem pochłoniętej aromatycznej zupy. Zaczął się oglądać za miejscem na nocleg.

I tu, w zapadłościach bram, we wnękach stężałych się domów, spali zwinięci, poskręcani jak skórki ludzie. Pierre wyszukał sobie wolny, osłonięty od wiatru narożnik i ułożył się za nim, poowijawszy sobie uprzednio kostniejące kończyny, za przykładem innych, strzępem podniesionej ze śmietniska gazety.

Zasnął, zanim zdążył przytulić się wygodnie do wilgotnego, sparszywiałego muru.

Obudził go niski granatowy człowieczek w kusej pelerynce, przekładający mu cierpliwie od kilku minut, że leżeć w tym miejscu nie wolno i że musi natychmiast wynosić się dalej. Pierre nie wiedział dobrze, gdzie ma właśnie iść „dalej“, powlókł się jednak posłusznie przed siebie.

Fantastyczne, wzniesione z takim mozołem miasto nocy zniknęło jak fata morgana. Tam, gdzie przed chwilą piętrzyły się magiczne sześciany i przysadziste stożki z główek rzepy, po wyslizganych szynach sunęły teraz ruchome domki tramwajów z imitującą dym laską pałąka. Był już dzień...

Pracy nie było nigdzie. Wałęsając się bocznymi ulicami, Pierre wstępował z uporem do napotykanym po drodze garażów, proponując swe usługi przy myciu samochodów. Wszędzie witały go wrogie twarze i nabiegłe krwią oczy szorujących karoserie wyrobników, oczy, najeżone, jak psy, wietrzące rywala do kości, która pożywić może najwyżej jednego. Pomocy nie potrzebowano nigdzie.

Z nadejściem wieczora, nowym palącym skurczem, boleśniejszym od głodu, zadygotało w nim imię Jeannette. Instynktownie powlókł się w kierunku jej mieszkania.

Jeannette ciągle nie było w domu.

Ulice mnożyły się, długie i giętke, rozciągały w nieskończoność jak przywiązany do nogi gumowy powróż, pierzchały z pod nóg jak jaszczurki w odbłyaskach uciekających świateł, mrugały z mroku porozumiewawczo oczyma tysiąca godzinowych hotelików.

Zbliżając się do jednego z nich, Pierre ujrzał nagle wychodzącą stamtąd parę. Barczysty mężczyzna i drobna, smukła dziewczyna. Twarzy dziewczyny nie mógł dostrzec w ciemności, z sylwetki jednak poznał Jeannette. Rzucił się w ich stronę, roztrącając zagrządzających mu drogę przechodniów. Zanim zdążył się z nimi zrównać, para wsiadła do taksówki i odjechała.

W bezsilnym zapamiętaniu stał przez chwilę bezradny pod drzwiami pustego hoteliku. Napływająca fala przechodniów popchnęła go dalej.

Nie uszedł nawet stu kroków, gdy zobaczył wychodzącą z innego hoteliku parę. Dziewczyna z sylwetki ludzako podobna była do Jeannette. Chcąc ich dopaść, musiał przedostać się na drugą stronę jezdni. Drogę zatarasował mu nieprzerwany potok samochodów. Gdy przedarł się wreszcie na przeciwległy chodnik, pary już nie było, wsiąkła w tłum. Bezsilny płacz złości, dotkliwszy, niż płacz z bólu, podstąpił mu do gardła.

Dokoła zapalały się i gasły, migocąc na przemian znacząco światłem białym i czerwonym, napisy hotelików, zapraszające gościnnie przechodniów. W każdym z tych hotelików mogła w tej chwili znajdować się Jeannette. Zamęczona pożądlivością wymagającego dryblasa, śpi skulona, jak dziecko, ze złożonymi modlitewnie między kolanami rękoma. Drab głaszcze jej białe ciało, wątle i bezbronnie. Pierre poczuł dla niej niewysłowioną tkliwość, graniczącą niemal z rozrzewnieniem.

Myśli kłębiły się zawikłane i kręte, jak uliczki, po których teraz błdził. Na progu tanich, parofrankowych hotelików, chude, ubogo ubrane kobiety, chroniące się przed deszczem pod rozkwitającymi błyskawicznie palmami parasoli, zatrzymywały przechodniów krótkim, nęcącym cmoknięciem, którym na całym świecie wabi się psa. W Paryżu tak przywołuje się człowieka.

Wątpa, suchotnicza dziewczyna w nocnych przemoczonych pantoflach obiecywała mu za pięć franków najtajniejsze rozkosze swego skrofulicznego ciała. Dla podkreślenia nieprzyzwoitego gestu, który dłaczegoś wydawał się jej kuszącym, wysunęła z ust język biały i obłożony, jak u ludzi chorych na niestrawność.

Pierre trząsał się z zimna i napięcia wewnętrznego. Skądś, z bliska dolatywała skoczna melodia pianoli. Mała czerwona latarenka wskazywała charakter wesołego lokaliku.

Pierre przypomniał sobie, że ma w kieszeni zarobione w nocy trzy franki i zdecydował się zejść do środka. Mając trzy franki, można zamówić sobie „boca“ i przesiadzić w cieple do rana.

Owionęła go fala mdłego, oszalamiającego ciepła, mocny zapach pudru, tanich perfum i tanich kobiet. Po omacku prawie doszedł do pierwszego stolika pod ścianą i, wyczerpany do ostatka, ciężko osunął się na zgrzytliwy lament sprężyn wyścielanej kanapki.

Kiedy otworzył oślepienie światłem oczy, wydało mu się, że naciśnięta przezeń sprężyna kanapki była jednocześnie centralną sprężyną całego tego mechanizmu, który mimo woli uszkodził.

Sala nie różniła się w zasadzie niczym od baru przeciętnego domu publicznego ze stolikami i pianolą, która grała teraz w tempie tak powolnym, że pomiędzy poszczególnymi tonami podskakujących klawiszy Pierre słyszał próżnię, szum spadającej kropli-molekuły czasu.

Pod ścianami, w cieniu rachitycznych palm w zielonych wiaderkach, wykwitwały rzędami nakrapiane muchomory stolików. Środkiem, w leniwych, rozłożonych na atomy ruchach, jak w filmie spowolnionym, krążyło kilkanaście nagich, przysadzistych kobiet. Tłuste, obrzękłe ich ciała zdawały się z trudem przewycięzać opór powietrza, kołysane na jego elastycznych poduszkach, wśród płaskich, zgęszczonych obłoków tytoniowego dymu, niby ciała renesansowych anielic, w rytmicznym łopocie rozcapierzonych, jak wytarte skrzydła motyle, wypełzłych szarf.

Pierre w jednej chwili zrozumiał wszystko. Sprężynka trzasła, przerzucając go ostatnim odskokiem w inną rzeczywistość.

Tak, to był raj. Pierre zrozumiał to od razu, aczkolwiek, nie będąc religijnym, nie wyobrażał sobie nigdy dokładnie tej instytucji. Odgadł to po błogim odrętwieniu, rozlewającym się po jego żyłach, po dźwiękach jakby znajomej, niegdyś w ubiegłym życiu, raz już słyszanej rajskiej muzyki, po szeleście skrzydeł kołujących powoli anielic. Tylko dłaczego obłoki tak bardzo przypominają dym tytoniowy, a destylator ambrozji – ladę zwykłego bistra.



Nagle wzrok jego padł w kąt i Pierre zamarł w kornej ekstazie.

W rogu, nad drewnianym ołtarzem kontuarka, niemy i nieruchomy, jak posąg, górował bóg-Sabaot. Nie był to bóg chrześcijański z długą białą brodą, przypominał raczej brązowego, beznamiętnego Buddę, którego olbrzymią statuetkę Pierre miał sposobność oglądać niegdyś na wystawie kolonialnej. Był to identycznie taki sam bóg, o kształtach matrony, twarzy nalanej, pomarszczonej i kobiecej, tylko z uszu jego zwisały jeszcze kosztowne wota masywnych kolczyków, zrównoważonych, jak szale nieomyślnej, mistycznej wagi.

Przez wespółprzymknięte drzwi, wraz z chłodnym powiewem powietrza, przesączali się pojedynczo na salę mężczyźni, niezgrabni i onieśmieleni, szukający długo i niezaradnie miejsca za oczekującym ich gościnnie wolnym stolikiem.

Przy kilku stolikach Pierre zauważył inne jeszcze kobiety, znieruchomiłe w szczelnym zatuleniu kosztownych futer, podobne do grzesznic na obrazach starych mistrzów, usiłujących na próżno osłonić swą palącą nagość przejrzystą frędzlą rozpuszczonych włosów.

Od czasu do czasu któryś z przybyłych mężczyzn podnosił się wolno, wpatrzony rozszerzonymi zdumieniem oczyma w jedną z otaczających go anielic, jak gdyby nagle odnalazł w jej twarzy twarz inną, dawno szukaną i znajomą. Wtedy oboje, ująwszy się za ręce i zakreślając nogami powolne półkola, zdążali ku ołtarzowi kontuarka, gdzie, w zamian za mistyczną przepustkę banknotu, nieruchomy Budda, o twarzy nalanej i kobiecej, uroczystym, liturgicznym ruchem wręczał kobiecie symboliczny pierścień numeru i wąską stulę ręcznika. Potem oblubieńcy, w majestatycznych spiralach, unosili się w górę linią krętych, niematerialnych schodów, odprowadzani jedynie przez roztrzepotane motyle spojrzeń dziwnych kobiet, zatulonych w futra.

Pierre wespół omdlewał w błogim poczuciu przenikającego go ciepła. Ogarniał go słodki półsen, w którym zanurzył się jak w letnią wannę po długiej wędrówce.

Wytrącił go zeń głos dobijający się natrętnie i od dawna do furki jego świadomości. Niechętnie otworzył oczy. Znowu ta sama gama. Natężył słuch.

– Nie poznaje mnie pan, panie Pierre?

Ktoś natarczywie, przemocą usiłował wyciągnąć go spod miękkiej pierzyny naciągniętej na głowę senności. Pierre spróbował wywinąć się temu głosowi, przepuścić go mimo, jak człowiek, którego napastliwy budzik wypędza z dziewiczych gąszczów snu, na próżno usiłuje zakopać się na powrót w jego zagrzaną, wyhodowaną przez noc, zwrotnikową roślinność. Głos przeszybował gdzieś nad nim, jak ciężki ptak, niedostrzegający swej zdobyczy, zatoczył szerokie koło i powrócił, nagły i ogłuszający, jak uderzenie:

– Czy nie spotyka się pan już z Jeannette?

Pierre otworzył oczy na oścież.

Monotonne skomlenie pianoli. Ciężkie, pełnopiersne anielice defilują po sali w hipnozie zwolnionego filmu. Jedna z nich, zupełnie naga, z kokardą we włosach, przycupnęła na skraju kanapki, uporczywie wpatrzona w Pierre'a.

– Nie poznaje mnie pan? Byłam przecież przyjaciółką Jeannette. Chodziliśmy razem często do kina. Pamięta pan, kupował nam pan zawsze cukierki?...

Pierre z uporem jarmarcznego gapia, nachylony nad straganem pamięci, szperał w napełniających go trocinach, natrafiając co chwila na rozsiane w nich błyszczące punkciki wspomnień.

Któż to taki ta namolna mucha, zawzięcie usiłująca wrócić go poprzedniej, porzuconej na zawsze rzeczywistości? Byłaby to tylko złuda jego przesiąkniętej jeszcze ziemskimi reminiscencjami wyobraźni? W takim razie wystarczy zagrzebać się głębiej w czarodziejskie poduszki napływającej falami, wszechocyszczającej senności.

Lecz dokuczliwa mucha brzęczała bez przestanku:

– Chciał pan spytać pewno, jak się tu dostałam? Mój Boże, to takie proste. Nigdy nie miałam jakoś szczęścia. Ani razu nie trafił mi się forsiasty przyjaciel. Za dwieście franków miesięcznie wyżyć i ubrać się trochę trudno. Co innego, gdy się ma takiego dobrego przyjaciela, jak ma Jeannette. Powinęła mi się noga. Dostałam książeczkę. Z magazynu wyrzucono mnie oczywiście na drugi dzień. Trzeba było próbować na ulicy, a to nie tak łatwo, jakby się zdawało. Jeszcze latem niczego, ale jak przyjdą deszcze... Nie mam na to zdrowia. Przeziębłam się... Leżałam w szpitalu. Jak wyzdrowiałam, dostałam się tutaj. Tu, w gruncie rzeczy, praca o wiele lżejsza. Zawsze ciepło. Zarabia się mniej, ale za to regularnie. Dziesięć franków od gościa, z tego siedem – dla gospodyni. Jedzenie na miejscu. Można wyżyć. Zarabia się raz więcej, raz mniej, zależy od szczęścia. Przedwczoraj na przykład miałam piętnastu gości – to zawsze czterdzieści pięć franków. Ma się wiedzieć, nie co dzień bywa tyle. Praca trochę męcząca, ale za to co trzeci dzień – wychodne. Już pan odchodzi? Nie zostaje pan jeszcze trochę? Chciałam się spytać, co porabia Jeannette. Czy nie jest już pańską przyjaciółką?

Pierre wstał nagle od stolika i z mazołem naciągał kaszkiet. Uwolniona sprężyna odskoczyła ze zgrzytem, wprawiając w ruch cały mechanizm. Pierre miał wrażenie, że potrącił otaczającą go bańkę mydlaną, która nagle prysła.

Skoczny, karkołomny lament pianoli. Po sali w szybkich obrotach krąży kilkanaście gołych, spoconych dziewczyn, poprzystrajanych tanimi, pretensjonalnymi kokardami. Kilka innych napiera się krzykliwie czerwonym sierzantom, aby postawili im piwo. Dym, zgiełk i zaduch.

Przy kilku stolikach – kosztownie ubrane panie w towarzystwie panów o połyskujących gorsach. Ci nie piją swego piwa, hojnie częstują nim oblegające ich stolik dziewczyny, podziwiając chętnie ich sztukę akrobatyczną. Sztuka polega na tym, że jeden z gości kładzie na stoliku franka, dziewczyna zaś zdejmuje go bez użycia rąk, za pomocą samych tylko organów kobiecych. Panie w futrach uśmiechają się z aprobatą.

Pozostawiwszy na spodku wygrzebane z trudem z kieszeni trzy franki, Pierre przecisnął się do drzwi i, nie odpowiadając na uprzejme pozdrowienie majestatycznej jak Budda matrony przy kasie, wyslizgnął się na ulicę.

Na ulicy padał deszcz, drobny, rześisty, przerywany odległym migotem gwiazd. Nad lodowatym basenem nieba Wielka Niedźwiedzica otrzępywała swą połyskliwą sierść po wieczornej kąpeli i chłodne bryzgi leciały na ziemię.

#### IV

Jeannette ciągle nie było. Stara megiera-matka, spoglądająca zawsze niechętnym okiem na stosunek córki z ubogim Pierre'em, zatrzasnęła mu pewnego wieczora przed nosem drzwi, oświadczając, że Jeannette więcej już w domu nie mieszka.

Miasto huczało po dawnemu w swoich wiecznych przyływach i odpływach. Ulicami przelewały się nieprzebrane tłumy ludzi, grubych, spasionych mężczyzn o szyjach jak salami. Każdy z nich może zeszłej nocy, może przed chwilą, mógł spać z Jeannette. Każdy z nich mógł być właśnie tym, którego szukał i ścigał w swych bezowocnych pogoniach. Pierre z uporem maniaka wpatrywał się w twarze przechodniów, starając się dostrzec na nich jakiś ślad, jakiś najdrobniejszy skurecz pozostawiony przez rozkosz przeżyty z Jeannette. Chciwymi nozdrzami wsysał zapachy ubrań, wietrząc, czy nie pochwyli na którymś zapachu perfum Jeannette, subtelnej woni jej maleńkiego ciała.

Jeannette nie było, nie było jej nigdzie.

A jednak była wszędzie. Pierre widział, rozpoznawał ją dokładnie w sylwetce każdej dziewczyny wychodzącej w towarzystwie amanta z drzwi każdego hoteliku, przejeżdżającej obok taksówką, znikającej nagle w czeluściach pierwszej spostrzeżonej bramy. Po tysiącuroc biegł, z wściekłością roztrzając przechodniów, zawsze oddzielających go od niej nieprzebytą falą – i zawsze przybiegał za późno.

Dnie zmieniały się za dniami w monotonnej grze światła i cienia. Pracy po jałowych tygodniach wędrówek szukać już przestał.

Od długich dni, jak matka – płód, nosił w swoim łonie łapczywy, ssący głód, podchodzący mu mdłościami do gardła i rozplywający się po ciele ołowianym zmęczeniem.

Kontury przedmiotów zaostrzyły się, jak oprowadzone ołówkiem; powietrze stało się rzadkie i przezroczystsze pod szczelnym kloszem ssącej pompy miejskiego nieba. Domy stawały się rozciągle i przenikliwe, wciskały się niespodziewanie jeden w drugi, to znów wydłużały w nieprawdopodobnej, absurdalnej perspektywie. Ludzie nosili twarze zamazane i niejasne. Niektórzy mieli po dwa nosy, inni – po dwie pary oczu. Większość miała na karku po dwie głowy, jedna dziwacznie wtłoczona w drugą.

Pewnego wieczora nagły przyptyw wyrzucił go z bulwarów na Montmartre i cisnął nim o oszklony przedsionek wielkiego music-hallu. Olbrzymi ognisty wiatrak powoli obracał się dokoła swej osi, mając z nieskończonych ulic świata śmiesznych Don Kichotów użycia. Okna otaczających domów płonęły jasnym czerwonej zarzewiem spalającej je nieugaszonej gorączki.

Była godzina rozpoczęcia spektaklu. Dokoła oszklonej jak latarnia morska sieni wściekłą falą uderzał o trotuar skłębiony zator aut, by za chwilę odpłynąć na powrót, pozostawiając na kamiennym wybrzeżu chodnika białą pianę gronostajowych peleryn, frakowych narzutek, gorsów i ramion.

Do bocznych drzwi gwarliwym potokiem, popychając się i depcąc, parł nieprzeliczony czarny tłum. Pierre doznał wrażenia, jak gdyby gdzieś już widział tę ciżbę, był jej zagubioną częścią. Przypomniała mu się taka sama zbałwaniona rzeka ludzi, cisnących się w Halach po miskę cebulowej zupy.

Nowy spiętrzony wał odrzucił go w bok, wgniatając twarzą w mur, który po bliższym wpatrzeniu, okazał się miękką twarzą ludzką, skądś tak nagle, tak bardzo znajomą. Twarz, uwalniając się rękami od niespodzianego uścisku, również mierzyła go badawczo.

– Pierre?

Pierre nateżył myśli, usiłując coś sobie przypomnieć. Teraz zdawało mu się, że pamiętał: Etienne z parterowej pakowni.

Przedarli się przez tłum w boczną uliczkę. Etienne mówił coś szybko i niezrozumiale. Tak, jego odprawiono również. Dostać gdziekolwiek pracę niepodobna. Kryzys. Trzeba z trudnością zarabiać sobie na życie. Próbował wszystkiego. Sprzedawał „koko“. Nie szło. Za wielka konkurencja. Wylansował swoją Germaine. Zawsze za wieczór kilkanaście franków przyniesie. Chociaż czasy bardzo ciężkie. Mało cudzoziemców. I podaż przekracza wszelkie możliwe zapotrzebowanie. Trzeba samemu coś dorabiać na boku.

Teraz jest „naganiaczem“. Robota żmudna, ale jeszcze stosunkowo najintratniejsza. Trzeba znać kilka adresów i przede wszystkim być pyskatym, to grunt. Troszkę jeszcze trzeba być psychologiem. Wiedzieć, czym kogo brać. Też duża konkurencja, ale jeżeli się jest wyszczekany – można wytrzymać.

On specjalizuje się w starszych panach. Zna kilka domów, gdzie trzymają smarkatki. To zawsze ma powodzenie. Tu, niedaleko, przy ulicy Rochechouart. Trzynastolatki. Towar pewny. Trzeba tylko umieć to podać w odpowiednim sosie. Przedstawić: krótka sukieneczka, fartuszek, warkoczyk z kokardą. Na górze pokoiki – szkółka: święty obrazek, łóżeczko z siatką, pulpucik szkolny, tablica, na tablicy – kredą:  $2 \times 2 = 5$ . Pełna iluzja. Żaden starszy pan się nie oprze. Od gościa za wskazanie adresu – dziesięć franków, od gospodyni – pięć. Wyżyć można.

Tutaj ma swój posterunek. Jeżeli Pierre chce, może go w tę robotę wprowadzić. Kilka adresów na ucho. Grunt – wymowa. I orjentacja. Wiedzieć, do kogo podejść. Najlepiej czekać przed restauracją. Może obierze sobie jego dawny punkt, pod „Abbaye“? Murowane miejsce. Byle nie poplątać adresów...

Nowy wir przechodniów porwał raptownie Pierre'a i poniósł na oślep. Etienne gdzieś się zapodział. Pierre nie próbował stawiać oporu, niesiony bez woli. Po kilku godzinach przyptywów i odpływów wyrzuciło go na plac Pigalle.

Jaskrawy kołowrót reklam. Płomienne zgłoski wyrazów, wypisanych w powietrzu czyjąś niewidzialną ręką. Zamiast „Mane, Thekel, Phares“ –

„Pigalle's“, „Royal“, „Abbaye“.

„Abbaye“...

Coś o tym mówił Etienne.

Przed oświetlonem wejściem smukły, wygalonowany boy marznie w swej krótkiej kurtce, by nagle złamać się przez pół w służalczym ukłonie.

Dwóch starszych panów. Samych. Zatrzymują się na rogu. Pałą.

Pierre machinalnie podchodzi bliżej. Panowie, zajęci rozmową, nie zwracają na niego najmniejszej uwagi. Pierre ciągnie starszego brzuchatego pana za rękaw i nachylając się, bełkoce mu do ucha:

– Zabawa... Trzynastolatki.. w fartuszkach... łózczo z siatką... tablica...  $2 \times 2 = 5$ ... pełna iluzja...

Starszy pan gwałtownie wyrywa rękaw. Obaj panowie automatycznie chwytają się za kieszenie, w których mają portfele. Pospiesznie, prawie w biegu, wskakują do przejeżdżającej taksówki, zatraskując trwożnie drzwiczki.

Pierre zostaje na rogu sam. Nie rozumie nic. Ocierając się o ściany, brnie w noc ciemnym, bezludnym bulwarem. Szyba. Lustro. Z lustra na spotkanie jego wynurza się szara, ziemista twarz w kołtunach zarostu i czerwone, rozpalone latarnie oczu.

Pierre przystaje. Zdaje mu się, że zaczyna rozumieć. Po prostu przestraszyli się. Z taką twarzą niepodobna szukać zarobku.

Środkiem bulwaru, całując się co krok, idzie przytulona do siebie para. Mały, zagięty kapelusik. Długie, smukłe nogi. Jeannette!! Para wchodzi do narożnego hoteliku, nie przestając się całować. Znów auto – przeklęte auto! – zatarasowało drogę.

Pierre jednym susem jest na drugiej stronie. Drzwi hoteliku połyskują matowo. Sześć wysokich pięter. Gdzie szukać? W którym pokoju? Niepodobieństwo! Lepiej poczekać tutaj, aż będą wychodzić.

Pierre, wyczerpany, opiera się o ścianę. Mijają minuty, może godziny. Teraz z pewnością rozbierają się.

Pierre w zapamiętaniu samoudręki odtwarza w myśli kolejno wszystkie fazy tak dobrze pamiętnej pieśczoćy, podstawiając na własne miejsce – tego innego, bez twarzy, z podniesionym do góry kołnierzem.

Teraz na pewno leżą już w łózk. Drab błądzi rękami po jej białym, jędrnym cieie. Teraz zwierają się ze sobą...

Naraz wszystko pryska. Z hoteliku naprzeciw wychodzi para. Gruby opasły jegomość i smukła dziewczynka. Jeannette!! Dziewczyna, wspinając się na palce (o, jakże dobrze znał ten ruch!), całuje opasłego jegomościa w usta. Skinęła ręką na taxi.

Pierre z krzykiem, karkołomnymi susami, sady na drugą stronę jezdni. Taxi z Jeannette odjechało. Przed bramą hoteliku został opasły jegomość, sprawdzając przy świetle latarni zawartość pękatego portfela. Na obwisłych policzkach dogasają jeszcze rumieńce doświadczonej przed kilku minutami rozkoszy. Na obleśnych wargach więdnie ostatni pocałunek Jeannette. Zmięte fałdy ubrania chłoną jeszcze ciepło jej dotyku, jedyny, niepodrabialny zapach jej ciała. Nareszcie!

Oderwana od ciała pięść sama spada między wylupiaсте, otorbione oczy. Głuchy łoskot powalonego ciała. Byczy, spasiony kark przecieka, jak ciasto, przez szpary zaciśniętych palców. Upuszczony portfel bezsilnie, jak postrzelony ptak, trzepoce się w rynsztoku.

Na bezradny charkot grubasa noc odpowiada przeciągłym, rozpaczliwym gwizdkiem. Na rozwianą grzywę rudych włosów Pierre'a, jak na płomyk świecy, ze wszystkich stron, z zakamarków nocy, z trzepotem szewiotowych skrzydeł, zlatują się granatowe nietoperze.

Rytmiczny kołys auta, unoszącego gdzieś w nieskończoność perspektywy. Usypiający furkot pelerynek. I na twarzy – jak chłodny żołnierski całun – amerykański sztandar nieba z gwiazdami gwiazd.

## V

Wszystko, co nastąpiło później, wystawało już, jak chaplinowska chatka nad przepaścią, jednym bokiem poza granicę trójwymiarowej rzeczywistości.

Czarne, ociekające mrokiem ściany. Prawidłowy sześcian stęchłego powietrza, które można krajać nożem, jak gigantyczną kostkę magicznego bulionu Maggi. I w głębokiej, zakratowanej studni okna – litr skondensowanego nieba.

Pierre poznał nowy, miniaturowy świat, rządzone własnymi, osobliwymi prawami na marginesie olbrzymiego, skomplikowanego mechanizmu świata. Nieznany świat rzeczy niezasłużonych: wąski, wygodny tapczan pod obwisłym baldachimem sufitu, rano i wieczór – menażka ciepłej zupy, omaszczonej kromką chleba, na które nie trzeba zapracować. Obok, za ścianą, w sąsiednich ciasnych pokoikach – dziwne społeczeństwo ludzi, wyrzuconych, jak nieużytki, przez skrupulatną, niewybaczającą maszynę świata tu, za wysoki mur bulwaru Arago i, z czyjejś niewiadomej woli, związanych, zmontowanych w nowy, dziwaczny mechanizm, rządzone nowymi, dziwaczными prawami Świata Rzeczy Gotowych.

Regularne, jako karuzela, bezsensowne spaceru po symetrycznych kręgach dziedzińca pod niskim, zakopconym kloszem więziennego nieba. Długi, przesuwany czyjąś niewidzialną ręką szereg-różaniec, którego każdy paciorek jest żywym, pulsującym ochłapem ludzkiego istnienia; maszyneria kólek, co nie mogły dopasować się nigdzie tam, po tamtej stronie muru, a wyrzucone razem do tego monstualnego lamusa, przywierają do siebie zdumiewająco, zazębiają się

niespodzianie, tworzą nowy zbiorowy organizm, funkcjonujący według jakiejś innej, niepomysłanej po tamtej stronie wytycznej.

Dnie za dniami zmieniają się nieprzerwanie, inne jakieś, dłuższe, wykreślone jakimś osobliwym pomiarem odrębnego regulaminu.

Gdzieś, w dusznych wazonikach mieszkań, w doniczkach kancelaryj, z wolna, listek po listku, okwita metafizyczny kwiat kalendarza. Długie tysiące przemierzonych w celi kilometrów, wyciągnięte w jedną myślową prostą, gubią się kędyś u błotnistych, zarośniętych trzcina wybrzeży rzeki Orinoko.

I tylko w nocy, gdy na niepisanej tarczy mistycznego regulatora zapala się, rozkazujący sugestywną wymową lampek elektrycznych, napis „Sen“ – sny.

Czarne, zbałwanione fale rzeczywistości z tamtej strony, trzymane na uwięzi niedosiężnym murem dnia i regulaminu, obstępują wysepkę przy bulwarze Arago ze wszystkich stron. Mur trzeszczy i chwieje się. Spiętrzona rzeka ciał, banknotów, uczynków, butelek, wysiłków, lamp, kiosków, nóg wydętą falą przewala się powyżej dachów z hukiem i wrzawą. Z rozdziawionych paszcz hoteli, jak szuflady z otwartych drzwi szaf, wysypują się wiekowe, niewietrzone, przespane na wylot materace; rosną, wystrzelają w górę olbrzymią, stupiętrową wieżą Babel o zgrzytliwych sprężynowych stopniach. A na górze, na olbrzymim, czteroosobowym materacu wszechnarodowego łóżka („Le Lit national“), leży maleńka, bezbronna Jeannette. Po rozdygotanych stopniach w górę pnie się, jak mrówki, nieprzebrany tłum mężczyzn, blondynów, brunetów, rudych, aby na chwilę nakryć ją, zmęczoną, ciężkim, pożądlwym cielskiem, jeden za drugim, wszyscy, miasto, Europa, świat! Wieża trzeszczy w konwulsyjnych podrygach sprężyn, chwieje się, ugina, zapada, zalana bałwanami rozwścieczonego morza, walącego druzgocącym, przyplływem o skalisty mur wyspy śpiących Robinsonów o golonych głowach, wychodzącej na bulwar Arago.

\*

Któregoś dnia, niespodziewanie, jak gdyby naraz pękło któreś z kółek funkcjonującego dotychczas precyzyjnie mechanizmu, samotna cela Pierre'a zappełniła się po brzegi hałaśliwymi ludźmi z pokiereszowanymi głowami, z krwią zakrzepłą na bandażach i na klapach granatowych bluz. Zapachniało mocnym męskim potem, prochem, cierpką fabryczną, niezmywalną sadzą. Padały słowa ciężkie, obtłuczone, jak brukowce: rewolucja, proletariat, kapitalizm.

Z fragmentów zdań, opowiadań, okrzyków zarysowywał się wyraźnie twardy czterodniowy epos, wypisany w blasku elektrycznych lamp krwią na asfalcie.

Spis rozdziałów zawsze, niezmiennie ten sam:

Bezrobocie. Obcięte zarobki. Posępny, demonstracyjny miting. Z mityngu – pochód przez miasto, z „Międzynarodówką“.

Prowokowała ich policja. Osaczyła w bocznych uliczkach. Gumowymi pałkami biła do krwi. Tratowany bruk splunął na jej spotkanie gradem kamieni.

Szarżowało rozjuszone żołdactwo. Salwą wymościło ulicę nowym nieubitym brukiem. W odpowiedzi – kamienne szczęki ulicy wyszczerzyły zęby barykad.

Była masakra. Lepka, bura krew na chodnikach. Naładowane ludźmi ciężarowe auta. I kilkudziesięciotysięczny tłum, jak skreślona z bilansu cyfra – wyniesiony na margines, za szare niedostępne mury więzienne.

Opowiadano sobie cyfry fantastyczne. Więzienia nie były w stanie pomieścić zbyt obfitego połowu. Do więzienia „Santé” zapakowano podobno piętnaście tysięcy ludzi. W więzieniu „Fresnes” miało ich być jeszcze więcej. Gmachy więzienne otoczone wojskiem. W celach, przeznaczonych dla jednej osoby – piętnastu ludzi spało na ziemi pokotem. Spacerów więzienne, w celu uniknięcia zaburzeń, odbywały się odtąd o różnych porach dnia, partiami.

Nieskazitelny mechanizm odrębnego światka, jak przekreślony zegarek, bezsilnie skrzypiał. Posuwały się jeszcze swą utartą drogą skazówki, ale rozluzowane kółka, nie trafiając zazębieniem na zazębienie, przeskakując z trybu na tryb, wlokły już za sobą bezładny chaos śrubek i sprężyn.

Z celi do celi, tysiącem niestrudzonych dzieciółów, dniem i nocą, pukał więzienny telegraf.

Wtrąceni do ogólnych cel więźniowie domagali się przeniesienia ich na reżim przestępców politycznych. Zarząd więzienia żądanie odrzucił. Więźniowie odpowiedzieli głodówką.

Codziennie, wtulony w swój ką, nastroszony, jak jeź, chłepcąc swą porcję zupy i zagryzając ją łapczywie chlebem, Pierre czuł na sobie piętnaście par niewesołych stalowych oczu, rozszerzonych atropiną głodu, i pod ich spojrzeniem smakowity kęs więziennego chleba, napęczniały na drożdżach śliny, nieprzełknięm kłębem utykał mu w gardle, a gęsta zupa stygła w menażce, powlekając się mapą kozucha.

Z daleka, jak przez szklaną ścianę, dolatywały go długie nocne rozmowy. Słowa, obciosane jak bloki, rosły, piętrzyły się jedno na drugim, za chwilę wyrastał już ku niebu strzelisty gmach. Wystarczy wyjść na słońce, zakasać rękawy, a z prawdziwego kamienia wzniosą go bez błędu – taki sam przestronny i krzepki.

Świat, jak źle skonstruowana maszyna, więcej niszczy niż produkuje. Tak dalej niepodobna. Trzeba rozebrać wszystko aż do śrubek, co nieużyteczne – odrzucić, rozebrawszy, zmontować na nowo, na fest! Plany leżą gotowe, monterów świerzbą ręce, tylko stare, zardzewiałe żelastwo nie puszcza. Wrosło, pozrastało się w szwach tkanką rdzy – każdy gwint wypadnie odrywać zębami.

I w czarnym, nadymionym pudełku celi taśmą feerycznego filmu rozwijał się mit o nowym ładzie zrekonstruowanego świata.

Pierre słyszał i dawniej, w fabryce, długie, monotonne opowieści o tym nowym świecie, bez bogatych i nędzarzy, gdzie fabryki będą własnością



robotników, a praca, zamiast niewoli, stanie się hymnem, higieną wyzwolonego ciała. Nie wierzył. Nie ruszyć z miejsca potwornej maszyny! Wrosła na metry w ziemię. Puszczona w ruch, kręci się od niepamiętnych czasów. Chwytać gołymi rękoma za tryby? Nie zatrzyma się, tylko ręce pourywa. Widział krew na usmolonych bandażach, okrwawionymi szmatami przewiązane ręce i myślał: jeszcze jeden daremny wysiłek. Poharatane ciała jednym rzutem pasa transmisyjnego wyrzuciło na margines, za mur.

Czasem, po nocach, z grupy nachylonych ku sobie ludzi tryskało rozpalone do białości słowo nienawiści; jak iskra padało na miękkie trociny snu i sen buchał czerwonym płomieniem: iść! Stanąć z nimi, ramię w ramię! Burzyć! Łamać! Mścić się!

Pierre zrywał się wtedy nagłym podrzutem i przysiadł na tapczanie.

Lecz chłodne, przejrzyste słowa ludzi w granatowych bluzach rosły symetryczne, jak cegły, i w słowach nie było złości, nie było tępej, niszczycielskiej nienawiści, lecz twarda woła budowy: oskard i kielnia.

Nie, ci ludzie nie umieją nienawidzić! Na miejsce jednej maszyny nagromadzili stertę planów innej, zastąpią jedną – drugą, i znowu zawirują koła, tryby zaczepią o tryby, pociągną, powloką, poniosą bezbronne drzazgi ludzkie, i znowu o czarne szprychy kół krwawić będą sobie ręce oszaleli z przerażenia Pierrowie, niezdolni zatrzymać ich, osadzić bodaj na chwilę.

I wyciągnięta ręka Pierre'a kurczyła się, cofała w głąb, uniesiona nad poduszką głowa z wolna wchodziła w ramiona i za chwilę na sienniku, wciśnięty w ubitą słomę, leżał już nie człowiek, lecz żółw w nieprzeniknionej skorupie samotności.

## VI

Pewnego poranka, kiedy rozwieszona na rozgrzanych drutach gałęzi zielone łachmany listowia wydzielały cierpką, przypaloną woń, przed zdumionym Pierre'em nagle otwarła się zaczarowana brama, przez którą prawie przemocą wypchnięto go na zewnątrz.

Długą chwilę stał oszołomiony tym nieprawdopodobnym wydarzeniem, nie wiedząc dobrze, co począć, dokąd się udać, zagubiony na nowo w tym obcym, niezrozumiałym świecie, w którym nie ma wygodnego tapczana, w którym po to, by otrzymać menażkę gorącej zupy, dźwigać trzeba przez długą, bezsenną noc ciężkie bloki wilgotnej marchwi.

W pierwszym instynktownym odruchu chciał już zawrócić przez zamkniętą, gigantyczną bramę, ale brama nie zechciała wchłonąć go na powrót. Jak się okazało, na wstęp do Świata Rzeczy Gotowych również należało sobie zapracować jakimś niewiadomym wysiłkiem w tym świecie rzeczy wrogich i niedostępnych.

Wówczas zdezorientowana myśl, przebiegając kręte, nieprzytulne uliczki tego świata, natknęła się nagle na jeden znajomy, obolały punkt i Pierre postanowił udać się na poszukiwanie Jeannette.

Puścił się w pierwszą po długich miesiącach (może latach?) podróż po linii prostej. Szedł długo przecinającymi się nawzajem pod kątem wszelkich możliwych stopni ścieżkami uliczek, wysypanymi przez nieznaną wielkość olbrzymim żwirem bruku. Wszystko było tu inaczej. Ludzie biegli, potrącając się, nieskoordynowani i przypadkowi, nieskuci, zdawałoby się, żadnym wspólnym regulaminem, jakby obracali się w jakimś chimerycznym świecie absolutnej swobody. Jedynie wznoszący się gdzieniegdzie na skrzyżowaniach bulwarów, jak majestatyczne posągi, granatowi policjanci, skinieniem cudotwórczej pałeczki zatrzymujący raz wraz, to znów puszczający w ruch zastygłe na chwilę potoki pojazdów, dawali znać, że działa tu jakiś inny mechanizm, bardziej złożony i nieuchwytny.

Gdy Pierre znalazł się na placu Vendôme, była godzina dwunasta i przez wpółotwarte stawidła magazynów zaczynały chlustać na ulicę zgiełkliwe fale midinetek. Pierre natężył rozpaczliwie wzrok – czy nie dojrzy w ich tłumie Jeannette. Z wolna rozproszyły się ostatnie grupy.

W chłodnym jak oranżeria magazynie odpowiedziano mu, że Jeannette od dawna już tam nie pracuje.

Stropiony, wyszedł z powrotem na ulicę. Czuł, że zgubił ostatni ślad, że Jeannette zginęła dla niego w czarnym lesie miasta, zginęła na zawsze, że nigdy już nie zdoła jej w nim odszukać.

Napływający tłum zepchnął go na jezdnię, napływające auta odrzuciły go na wątlą kamienistą wysepkę, gdzie z czubka olbrzymiej śpiżowej kolumny mały pretensjonalny człowieczek zerkał na rozbijające się u stóp odpryski, bezradny, jak wróbel na słupie telegraficznym.

Naprzeciw, szerokim traktem jezdni, gotowe lada chwila wykipieć z niskich opłotków trotuarów, waliły nieprzejrzane stada charczących, zasapanych aut.

Za uciekającą przodem, rasową i smukłą jak charcica hispano-suiżą, o wystraszonych ślepiach latarni, ociekającą żeńskim sokiem benzyny, z ujadaniem i skowytami, odgryzając się nawzajem i na próżno usiłując przypaść nozdrzami do jej kobiecego podogonia, sadyły majestatyczne, stateczne jak dogi, rolls-royce'y, przysadziste jak jamniki amilcary, brudne i bezpańskie jak kundły fordów i kuse, kurtyzowane jak foksteriery citroënki; pstra, rozjuszona sfora psów w okresie rui. Nad ulicą unosił się zgiełk, omdlewający zapach samki, wrzask obłądnej pogoni, odurzający czad letniego upalnego popołudnia.

Pierre rozszerzonymi zgrozą oczyma wpatrywał się w to kotłowisko ciał, na próżno szukając jakiejś zagubionej nici, ścieżyny, która wywiodłaby go z tego potopu rozwydrzonej cielesności, zatracony w nim na nowo, raz na zawsze, bez nadziei ratunku, bez oporu.

Ciepłe fale zmyły go jak drzazgę i poniosły bez busoli, na oślep.

Rozpoczęły się znów dni bezcelowej, bezładnej tułaczki po rozkołysanych oceanach ulic, noce pod mistycznymi parasolami gwiazd, samotność, jakiej nie zaznał nigdy Alain Gerbault, śmieszny Sancho Pansa, huśtany miesiącami na bezbrzeżnych prześcieradłach Atlantyku.

W powrozach wnętrzości, jak mewa w poplątanym olinowaniu opuszczonego statku, uwił sobie gniazdo stary, zadomowiony głód, nie opuszczając go ani na chwilę. Pierre nie usiłował go już nawet stamtąd wypłoszyć. Jak miasto, którego wszyscy mieszkańcy pokłócili się z sobą nawzajem, nosił w swym wnętrzu bezużyteczną pneumatyczną próżnię trzew, w którą niczyja ręka nie wrzuci już więcej szeleszczącej koperty pokarmu.

Pewnej nocy, kiedy wałęsał się po pogmatwanych labiryntach przechodnich bram w poszukiwaniu cieplejszej wnęki na nocleg, zbliżając się do czegoś, co w ciemnościach wziął za wygodną skrzynię, Pierre natknął się w mroku na czyjąś czarną, nachyloną postać. Postać odskoczyła w bok, łyskając złowrogimi białkami oczu i drapieżną szramą wyszczerzonych zębów. Z wnęki bił ciężki, mdły odór rozkładających się odpadków. Wówczas Perre dostrzegł, że to, co w pierwszej chwili wziął za skrzynię, było szeregiem olbrzymich kubłów na śmiecie, wypróżnianych nad ranem przez objeżdżające miasto wozy asenizacyjne.

Postać szperająca w kubłach nacierała na Pierre'a groźnie, zasłaniając przed nim swym ciałem ich złowonną zawartość. Wyszczерzone zęby zionęły ochrypłym warkotem:

– Precz! To moje! Idź szukać gdzie indziej!

Wówczas, jak błyskawica, olśniło nagle Pierre'a proste objawienie: w bramach domów, w kubłach na śmiecie, znaleźć można bez wątpienia odpadki jedzenia!

Posłusznie zawrócił i powłókł się na poszukiwanie innej bramy. Jak się jednak przekonał, w społeczeństwie demokratycznym objawienie przestało być przywilejem jednostek, stając się dobytkiem zbiorowym. We wszystkich bramach, znad woniejących, pełnych nieznaných dóbr kubłów na jego spotkanie podnosiły się takie same złowrogi białka oczu i wyszczerzone zęby wcześniejszych odkrywców.

Przepuściwszy w ten sposób długi szereg bram, Pierre natrafił nareszcie na jedną – pustą! Ustawione w niej kubły, przetrząsnięte do spodu, zdradzały już widoczną wizytę szczęśliwszego poprzednika. Mimo to Pierre, niezrażony, rzucił się na nie chciwie, rozgrzebując je raz jeszcze doszczętnie.

Jako trofea długich poszukiwań, wyciągnął niedojedzone pudełko konserw i niedogryzione żeberko cielece. Rozłożywszy to ubogie gospodarstwo na murku, wylizał je łapczywie, nie zaspokajając tym bynajmniej głodu; raczej roztarmosił go z odrętwiałego snu.

Wyczerpany, rezygnując z dalszych poszukiwań, powłókł się na bulwar i przycupnął na pierwszej napotkanej ławce. Postrzępioną, dziurawą płachtą otulił go sen.

Przez dziury w płachcie widział nad sobą gwiazdy, mrugające w górze, zapalające się i gasnące na przemian za pociśnięciem niewidzialnego kontaktu, jak reklamy odległych niebiańskich hotelików, przywołujących w swe bramy – spragnione miłości parki zabłąkanych w przestrzeni dusz.

## VII

Silne szarpnięcie zmusiło go do otworzenia oczu. Zamiast granatowego policjanta Pierre ujrzał nad sobą czerstwą, rumianą twarz z wysoką nadbudówką czoła pod okapem kaszkietu.

Był już dzień. Człowiek pochylony nad nim tarmosił go widocznie od dawna. Młody, wesoły głos otrzeźwił go jak strumień chłodnej, kryształowej wody.

– Pierre! Naturalnie, że Pierre! Poznałem cię od razu!

Głos był znajomy, okrągły i polerowany jak kula, która, potoczywszy się chwilę po bilardowym polu świadomości, natrafiła nagle na przeznaczoną dla siebie, jakby wydrążoną tu już kiedyś przez nią łuzę. Ale kiedy miała sposobność ją tam wydrążyć?

Pierre przymknął oczy, na próżno starając się zajrzeć przez tę łuzę w głąb. Z początku nie dostrzegł nic prócz ciemności. Potem oswojony z nią wzrok wewnętrzny chwycił począł wąską, niezdecydowaną smugę światła. Wydało mu się, że rozróżniać zaczyna, jak przez otwór od klucza, niejasne kontury przedmiotów.

Wąska, wydłużona sylwetka dzwonnicy w czerwonym kołpaku dachu z palonej dachówki. Chuda słomiana kukła w czarnym, dziurawym kaszkiecie, nasuniętym zawadjacko na miejsce, w którym u ludzi znajdować się zwykło lewe ucho; czupiradło z wyzierającym z rękawa wiechciem postrzępionej słomy, wyprężone na zielonym tle skrzypiącej, świeżo malowanej okiennicy. Krzywa, zielona ze starości studnia z przycupniętą na niej okrakiem korbą, omotaną pręgami rudego, zardzewiałego łańcucha; na końcu łańcucha drewniane wiadro, trącające o milę wilgocią, w którym tak wygodnie jest zjeżdżać w czarną, zalatującą pleśnią i zbutwieliną ziemi głąb studni, słyszeć nad sobą coraz wyżej skrzyp rozwijającego się łańcucha, widzieć wgórze małe okrągłe okienko nieba; serce bije mocno, po plecach biega chłodek strachu, a w piersiach – taka radość, że aż ścisła w gardle, póki rozlegający się w dole bulgot wody nagłym zimnym skurczem lęku nie da znać, że czas już szarpnąć z całej siły za łańcuch. Wtedy stuletni staruszek-łańcuch, postępując i skarżąc się, pociągnie powoli, z wysiłkiem w górę, wzdłuż czarnych, porośniętych pleśnią i grzybem ścian, ku niebu, ku płaskiej, rozwałkowanej jak ciasto, jak okiem sięgnąć, przestrzeni, ku wesołym, roześmianym głosom, dzwoniącym tak szeroko na okrągłej i gładkiej, niby płyta gramofonowa, tafli widnokregu.

Teraz już dźwięk nieoczekiwanego głosu, umiejscowiony w przestrzeni i próbujący po omacku umiejscowić się w czasie, na linii ich wzajemnego przecięcia, przyoblekać zaczynał z wolna kontury określonej ludzkiej jednostki, póki, przełożony z powrotem na abstrakcyjny język dźwięków, nie skrzystalizował się wreszcie w kilku sylabach wykrztuszonego pospiesznie imienia.

Pierre doznał nagle niebywałej ulgi. Miał uczucie, jakby przez długie godziny ciągnął z głębi własnego wnętrza, jak z ciemnej, zarośniętej brodą pleśni, głębokiej studni, wiadro, pełne drogocennej cieczy, którą obawiał się rozpluskać; ciągnął z nieludzkim wysiłkiem, czując, że lada chwila wypuści je z rąk bezpowrotnie w czarną czeluść – i teraz oto trzyma je w rękach, wydobyte nawierzch, nierozlane, nietknięte.

Wydobyty z takim mozołem z tej głębiny człowiek najwyraźniej nie zdawał sobie wcale sprawy z ciężkiej operacji, jakiej był przed chwilą obiektem, i uśmiechał się szeroko, obsypując Pierre'a, w przerwach między uśmiechami, odpryskami urywanych zdań, bolesnymi, jak tłuczone szkło.

A to dopiero niezwykle spotkanie! Poznał Pierre'a natychmiast, chociaż to już ładna kopa lat. Jak można nie poznać ziomka i kolegi, z którym spędziło się dzieciństwo? Zmienił się, co prawda, przyzwoicie. Właściwie od dawna słyszał o tym, że znajduje się w Paryżu, ale nie mógł dopytać się o niego w żaden sposób. Dochodziły go różne słuchy... Prawdę mówiąc, wygląda nieszczerólnie. Zapewne bez pracy, co? Słyszał i o tym. Trzeba będzie coś na to poradzić. Przede wszystkim nie może pozostawać tak tu, na ławce. Jeżeli nie ma mieszkania, może tymczasem przenieść się do niego. On ze swojej strony nie może się uskarżać. Udało mu się urządzić wcale nieźle. Pracuje jako posługacz w pewnym instytucie bakteriologicznym. Praca lekka, mieszkanie i wychodne. Pierre zobaczy zresztą sam. Mieszka tu niedaleko. Za chwilę będą na miejscu.

Pierre posłusznie, z trudnością ciągnąc nogi, powlókł się bez słowa niewiadomymi ulicami, prowadzony na sznurku nieoczekiwanego głosu, którego kłębek zgubił niegdyś (tak dawno!) na dnie zielonej wiejskiej studni swego dzieciństwa.

## VIII

Nieobliczalna ruletka przypadku, omijająca uporczywie przez długie godziny feralny numer, na który gracz-fatalista postawił wszystko co posiadał, przegrywając kolejno majątek, przekonania, kobietę – to, czego odegrać już nie sposób, gdy wreszcie, splukany do nitki, wstawał już od stołu gry, wyrzuciła, jak zawsze poniewczasie, tak długo i daremnie wyczekiwana cyfrę.

Pierre znalazł robotę. Wieża ciśnień na stacji filtrów miejskich w Saint-Maur. Od ósmej do szóstej. Co rana duszny, natłoczony wagon kolei

podmiejskiej. Wąski, ośmiokątny pokój z ptasią tapetą przy bulwarze Diderot. Śniadania i obiady. Długie, wysmukłe laski toczzonego chleba, znikające bez śladu w nienasyconym otworze ust, jak rozpalone główne w ustach kuglarzy jarmarcznych. Ciepło i sen.

Wieczorem, powróciwszy z pracy, Pierre leżał godzinami, wyciągnięty na zatłuszczonym materacu, upajając się bierną rozkoszą trawienia, ze wzrokiem, utkwionym bezmyślnie w nieskomplikowanych arabeskach tapet. Wyzwolony z pod kontroli umysłu wzrok oddawał się czystej, bezużytecznej twórczości, zlepiając pracowicie z przypadkowych urywków deseni, z wyciętego z całości dziobu ptaka, liścia gałązki i niematerialnej smugi cienia – kontury ludzkich postaci, fantastyczne, drapieżne profile, nowe królestwo przedmiotów nadrealnych i niepokojących.

W głębi beczynnej świadomości, zastygłej w bezruchu jak żytni łąn w bezwietrzne, upalne południe, zasnutą babim latem dni, przypominała o sobie poczuciem nieusprawiedliwionej próżni głęboka, czarna, jak szyb niezasklepiona rana. Ospale myśli, wałęsające się po powierzchni, jak leniwe podmuchy, przemykały obok tego miejsca instynktownie na palcach, jakby obawiały się nieopatrzonym stąpieniem trafić w próżnię. Puszczonej samopas wzrok, zlepiający z powykrawanych fragmentów coraz to nowe profile, ślepym wewnętrznym instynktem omijał starannie kuszące go zdradziecko kontury, gotowe złożyć się na jeden wyblakły profil kobiecy.

W pierwszą zaraz niedzielę do nowego pokoiku Pierre'a zaszedł po niego rumiany René, pośredni sprawca dobrobytu dni ostatnich, by wyciągnąć go na przechadzkę po mieście.

Na ulicach było ludno, duszno i nudno beczynną, zakurzoną nudą wakacyj. Był to ten okres lata paryskiego po „Grand Prix“, kiedy ze zgrzanego ciała Paryża, wraz z potem i wodą, wyparowują ostatnie ciała błękitnej, czy bodaj zafarbowanej na błękitno krwi, skraplając się w przygotowanych przezornie na ten cel zbiornikach – Dauville, Trouville i Biaritz – i krew Paryża nabiera powoli koloru zdecydowanie czerwonego, czerwienią miejskiego, roboczego parweniusza.

Była właśnie wigilia dnia 14 lipca i nad miastem rozwieszano pospiesznie trójkolorowe flagi i papierowe lampiony. Ulicami przewalały się przystrojone odświętnie tłumy, wydzielające ten specyficzny zapach francuskiego święta: taniego wina, machorki i demokracji.

Po parogodzinnej błąkaninie, Pierre i René znaleźli się przed bramą Instytutu, gdzie René sprawował tej nocy dyżur. Instytut był pusty. Wiało od niego wilgotnym chłodem i tym złożonym zapachem chemikaliów, jakim pachną apteki w małych prowincjonalnych miasteczkach.

René zaofiarował się pokazać Pierre'owi laboratoria.

Po szerokich, cienistych, jak tunel, kamiennych schodach weszli na górę.

W laboratoriach panował ten sam orzeźwiający chłód. Wzdłuż ścian, z głębin szaf, tysiącem szklanych oczu wyrzały na Pierre'a dziwne, nieznane istoty ze szkła i stali, o kształtach zagadkowych i napawających lękiem.

Po chwili w białym laboratoryjnym chałacie powrócił René.

Była to jedna z tych natur, jednocześnie prostych i skomplikowanych, spotykanych najczęściej na najniższym szczeblu drabiny społecznej, w których nieustanny, bezpośredni kontakt z zamkniętym światem przedmiotów rozwinął, niepostrzeżenie dla otoczenia, niedostępny dla innych szósty zmysł – zmysł na zawsze obcej, milczącej materii – właściwy często ludziom obracającym się długo wśród głuchoniemych.

Żyjąc, jak w sferze dnia codziennego, w świecie prawie irrealnym, w przezroczystym świecie szkła, fantastycznych, niepojętych aparatów, René umiał odgadywać niepowtarzalną indywidualność przedmiotów, wyczuwać ją nawet w przedmiotach identycznych, wytwarzanych seriami, wydających się nam jednakowymi, podobnie, jak dzikiemu Murzynowi z Senegalu wydawać się muszą jednakowymi twarze wszystkich Europejczyków.

Piastując je codzień pieczołowicie, odkurzając je i polerując, René z trwogą czuł w rękach ich kruchy żywot, zależny od jednego nieostrożnego ruchu swoich zgrubiałych palców. Ustało się w nim groźne instynktowne poczucie odpowiedzialności za byt tego całego iluzorycznego światka istot bezbronnych i tajemniczych, zdanych na łaskę jego niewyszkolonych rąk.

Ilekczo zdarzało mu się rozbić któryś z powierzonych mu przyrządów, cierpiał nad tym więcej niż nad śmiercią jakiegokolwiek z istot żyjących.

Kiedy jeden z asystentów instytutu, obchodzący się z nim zresztą jak najlepiej i obdarzający go nawet wyraźną sympatią, zatrzał się pewnego dnia bakcylem i zmarł w strasznych męczarniach, René nie doznał z tego powodu najmniejszego żalu, przeciwnie, coś, jakby złośliwe zadośćuczynienie. Asystent miał nieszczęście stłuc poprzedniego dnia przez nieuwagę jedną z retort, czego René nie był mu w stanie darować, uważając w głębi ducha śmierć jego za usprawiedliwiony odwet zabitego przedmiotu.

Nie przeszkadzało to bynajmniej, że René odznaczał się wyjątkowo dobrym sercem i nie skrzywdziłby muchy.

Zbierając szczątki potłuczonych przyrządów i na próżno próbując złożyć je z powrotem, René myślał z goryczą:

– Niech sobie okaleczą człowieka, – człowieka mi nie żal! Człowiek może się bronić. Co innego – rzecz. Kto krzywdzi rzecz, jest łotrem. Rzecz jest bezbronna.

Poczucie wewnętrznej odpowiedzialności za życie setek tych kruchych istot przeważało szalę jego ludzkich sentymentów.

W chwilach wielkich kataklizmów i rewolucji, ludzie typu René zdolni są do największych bohaterstw i poświęceń dla uratowania zagrożonej maszyny, spoglądając równocześnie obojętnie na rozlewana w ich oczach krew ludzką.

Ta świadomość nieustannej odpowiedzialności za życie miniaturowego światka, którego czuł się opiekunem i panem, napawała skądinąd Renégo głęboką dumą i poczuciem własnego znaczenia, wyraźnie bagatelizowanego przez ludzi otaczających. W fikcyjnej hierarchii administratorów tego świata René był osobą najniższą.

Cała popołudniowa wizyta u Pierre'a i przechadzka z nim po mieście były poniekąd uplanowanym z góry manewrem, zmierzającym do tego, by sprowadzić Pierre'a, niby od niechcenia, pod bramę instytutu i olśnić go swoim małym królestwem.

Oprowadzając onieśmielonego Pierre'a wzdłuż oszklonych szaf, jak przed połyskującymi w słońcu szpalerami podwładnych armii, René upajał się rozkoszą swej złudnej potęgi.

Przed wielką szafą, gdzie w ustawionych rzędem statywach, widniały napełnione jakimś płynem, większe i mniejsze probówki, nie mógł się nawet powstrzymać od wygłoszenia małego wykładu o bakteriologii, ilustrowanego przez uwięzione w hermetycznym szkłe kolonie milczących mikrobów.

– Tu, za tą niepozorną, jak widzisz, szybą, trzymamy jedyną w swoim rodzaju menażerię. Wszystkie możliwe zarazy świata. W tej probówce, na lewo, masz szkarlatynę; w tamtej dalej – tężec; w tej – tyfus plamisty; w tej, w głębi – brzusznym; w tej, szóstej z brzegu – cholere. Niczego kolekcjka, co? Widzisz te dwie probówki na prawo z białym, mętnawym płynem? To pupilka naszego asystenta – dżuma. Od roku nad nią pracuje, hoduje ją na jakichś pożywkach własnego wynalazku i mówi, że dochował się niebywałych szczepów. Bakterie jak konie. Tej jesieni wystąpić ma ze swoją hodowlą na zjeździe bakteriologicznym. Chwali się, że wywoła rewolucję w całej bakteriologii. No, jak ci się podoba nasze gospodarstwo? Pycha, co? Wyobraź sobie, gdyby tak puścić to wszystko bractwo z szafki na przechadzkę po mieście, jak myślisz, dużo by zostało z naszego Paryża?

Pierre potakiwał w roztargnieniu.

Wizyta przeciągnęła się do wieczora. Późno już było, gdy Pierre pożegnał wreszcie gościnnego przyjaciela i, odprowadzony przez niego do bramy, wyostał się na ulicę.

Miał tego dnia, o dwunastej, objąć nocną zmianę na wieży ciśnień i musiał przed tą godziną zdążyć do Saint-Maur.

Na ulicach panował już mrok, rozświetlony matowymi księżycami elektrycznych lamp.

Od pamiętnego spotkania z René na ławce bulwaru, Pierre unikał starannie wszelkiej sposobności znalezienia się na mieście nocą. Znajomy i nie posiadający tajemnic przy świetle dziennym sześcian miasta, z zapadnięciem nocy tracił swe znajome kontury, rozpękał się nagle tysiącem szczelin nie istniejących za dnia uliczek, zaludniał się uciekającą w popłochu na oślep armią rozżarzonych lamp, złowieszczymi zjawami płomienistych napisów, skowytem nawoływań potworów o wybałuszonych, ognistych ślepiach.



Zapúściwszy się w ten labirynt, Pierre doznał zawrotu głowy i od razu stracił kierunek. Stare, tak dobrze znane fale podchwyciły go, jak piłkę.

Ostatkiem sił dotarł do małej wysepki i oparł się o kamienny portyk bramy Saint-Denis.

Uliczki dokoła płonęły już kolorowemi bańkami lampionów jutrzejszego święta. Tu i ówdzie próbowano tańczyć. Trotuary i jezdnie mrowiły się od ciżby przytulonych do siebie par.

Pierre poczuł nagle, jak jakiś podziemny nurt, zamurowany gdzieś, głęboko przystającymi do siebie szczelnie cegłami ostatnich dni, pręży się w nim i podważa je od spodu, jak, jedna za drugą, odskakują wywalone cegły, trzaska rozsadzony tynk i ciepły czerwony strumień, zatapiając kolejno z takim jaskółczym trudem posklepiane nadbudówki spraw codziennych, z wolna zalewa mu oczy. Przymknął je od wewnętrznego bólu.

Kiedy je otworzył, dostrzegł już tylko migot niezliczonych hotelików, mrowie nalanych krwią, opasłych karków i tysięcy kobiecych profilów, identycznych jak odbitki jednej i tej samej, tak dobrze pamiętnej twarzy.

Ze wszystkich bram, przytulone do swych apoplektycznych gachów, wychodziły i wchodziły w gorączkowym pośpiechu dziesiątki i setki Żanet, jedna ludzko podobna do drugiej, Jeannette w zaczarowanej ulicy ze zwierciadeł, w żywym lesie o pniach ze spasionych, napęczniałych karków.

Pierre zachybotał cały i zachłysnął się piekącą nienawiścią. Na chwilę, jak daleki odbłysek, zamajaczyła mu między zaciśniętymi palcami wołowa, przeciekająca fałdami sadła, szyja grubasa sprzed hoteliku na Montmartrze i znikła, nie pozostawiając spodziewanego zadośćuczynienia.

Nie! Mało! Cóż znaczy jeden? Tysiąc! Milion! Wszystkich! Miasto! Skąd wziąć tyle tych olbrzymich rąk, tych kilometrowych palców, co objęłyby jednym uściskiem te charczące, pofałdowane gardziele? Wszystkich! Zmiać! Powalić! Upić się ich bezsilnym charkotem! Ręce! Skąd wziąć tych rąk?

Naraz niespodziana jasność oślepiającym płomieniem magnezji rozświetliła mu na chwilę mózg, aż stanął osłupiały, oszołomiony i przycichły. Chwilę stał, jak w olśnieniu, potem zawrócił na miejscu i począł iść z powrotem, ulicami, któremi przyszedł, wprost, przez tłum, jak Chrystus, stąpający po wodzie, olbrzymi i majestatyczny, jakby niósł przed sobą promieniejącą monstrancję swej nienawiści. Czuł, że ludzie ustępują mu z drogi, otwierając przed nim długi szpaler ulic z perspektywą w nieskończoność.

Znalazłszy się na powrót przed zamkniętymi drzwiami instytutu, które opuścił przed chwilą, Pierre spokojnie zadzwonił.

Otworzył mu René, zdziwiony tą nieoczekiwaną powtórnią wizytą. Pierre objaśnił mu spokojnie, że zapomniał laski, którą, o ile sobie przypomina, zostawił w laboratorium.

Weszli na górę po szerokich, chłodnych jak tunel, kamiennych schodach.

W laboratorium laski nie było. Pierre poprosił René, by zechciał sprawdzić w innych pokojach, podczas gdy on rozejrzy się jeszcze raz po kątach.

Kiedy po kilku minutach bezowocnych poszukiwań René powrócił z niczym, zastał Pierre'a, szperającego jeszcze za jedną z szaf laboratorium. Laski nie było.

Pierre przyznał, że, być może nie zabrał jej w ogóle z domu – będzie musiał sprawdzić to nazajutrz – i po raz drugi pożegnał gościnnego przyjaciela, zdziwionego nie na żarty jego wyjątkowym roztargnieniem.

Wagon trzeciej klasy pociągu, zdążającego tego wieczora do Saint-Maur, pełen był podochoconej bliskością święta ludności podmiejskiej, dymu i zgiełku. W rozgwarze rozmów ogólnych zwracał na siebie uwagę szczupły rudy mężczyzna na ławce w kącie, nie biorący udziału w pogawędkach, przysłuchujący się im w roztargnieniu i milcząco.

Na stacji Saint-Maur mężczyzna wysiadł. Rozmowa potoczyła się dalej.

Przybywszy na wieżę ciśnień, Pierre spostrzegł, że spóźnił się o całe pięć minut i pobiegł na górę złuzować robotnika dziennego.

Nadszedł dyżurny inżynier, kończący swój obchód nocny. Za chwilę ostatnie kroki na dole ucichły.

Wtedy Pierre zanurzył rękę w kieszeni i wyjął dwie niewielkie próbówki. Uważnie zbliżył je do oczu. Probówki zawierały mętny, białawy płyn. Pierre wstrząsnął nimi lekko pod światło.

Potem, z próbówkami w jednej ręce, zbliżył się do wielkiej pompy odśrodkowej, wprawianej w ruch motorem Diesela.

Gdzieś na dole trzasnęła brama. Pierre zatrzymał się i przez chwilę nasłuchiwał. Panowała zupełna cisza. Wówczas Pierre wielkim kluczem francuskim zaczął otwierać kran olbrzymiego leja pompy, służącego za rezerwuar wody puszczającej ją w ruch. Otworzył kran, jął odkorkowywać palcami pierwszą próbówkę. Szczelny korek nie wychodził. W rozdrażnieniu Pierre chwycił go silnie zębami.

Odkorkowawszy obie próbówki, ostrożnie wlał ich zawartość w chlupocącą ciężko krtani leja.

Woda w dole bulgotała w takt rytmicznych uderzeń tłoka Diesla, opadającego i wznoszącego się miarowo, jak gigantyczna kłapa sercowa, wypychająca coraz to nowe porcje przezroczystej, bezbarwnej krwi w wygłodniałe arterie dalekiego, śpiącego Paryża.

## CZEŚĆ DRUGA

Nazajutrz był dzień 14 lipca.

Dzielni sklepikarze paryscy, którzy zburzyli Bastylię, by wzniesć na jej miejscu brzydką wydrążoną kolumnę „z widokiem na miasto“, dwanaście bistros, trzy domy publiczne dla obywateli normalnych i jeden dla pederastów, obchodzili swój benefis, jak co roku, tradycyjnym republikańskim tańcem.

Udekorowany od stóp do głów szarfami trójkolorowych wstążek, Paryż wyglądał jak podstarzała aktorka, przebrana za naiwną wieśniaczkę z odpustu, w ludowej szmirze.

Uiluminowane dziesiątkami tysięcy lampionów i żarówek place zapełniały się powoli spacerującym tłumem.

Z nastaniem zmierzchu, za przekręceniem niewidzialnego włącznika, jaskrawe rampy ulic zapłonęły galowym światłem.

Na skleconych z desek estradach senni, groteskowi muzykanci, w słusznym przeświadczeniu, że święto jest dniem powszechnego wypoczynku, wydmuchiwali z poskręcanych dziwacznie trąb co pół godziny kilka taktów modnego tańca, odpoczywając po nich długo i skrupulatnie.

Wzbierający tłum, stłoczony w niemieszczących go wąwozach ulic, falował niecierpliwie, jak ryby w okresie tarcia.

Gdzieniedzie tańczono. Taniec dwojga sprasowanych w ścisku ciał, z braku miejsca, sprowadzał się zresztą do szeregu rytualnych gestów, dokończanych naprędce i już w samotności w którymś z najbliższych hotelików, jedynych instytucji prawdziwie demokratycznych, nieświętujących tego święta powszechnej równości.

Nad wszystkim unosił się zapach potu, wina i pudru, jak nieuchwytna, przezroczyista mgła, którą paruje w lecie rozkołysana rzeka tłumy.

Rozgrzane do czerwoności domy wypacały bez przerwy dziesiątki coraz to nowych mieszkańców. Temperatura rosła z chwili na chwilę. W rozpalonych rondlach placów, tu i ówdzie, tłum zaczynał już bulgotać jak wrzątek dokoła improwizowanych straganów z lemoniadą i mrożoną miętą. Wyrywano sobie nawzajem z rąk chłodne szklanki z zielonkawym i białym płynem.

Raz po raz, odgarniając tłum wiosłem chrapliwej syreny, przepływały ulicami naładowane po brzegi arki przedsiębiorstw turystycznych, unoszące na falach tego potopu demokracji wybrane pary czystych i nieczystych – przeważnie z jednego i tego samego gatunku Anglosasów – obserwujące z ciekawością przez lorgnony i lornetki dobrze odżywionych, obłaskawionych i dobrodusznych zdobywców Bastylii i, w milczącym, choć głębokim przeświadczeniu, że cała sławetna Rewolucja Francuska nie była w gruncie rzeczy niczym innym, jak jeszcze jedną pomyslową imprezą odwiecznego Cooka, pretekstem do dorocznych wystawnych obchodów, obliczonych na cudzoziemców i wkalkulowanych z procentem w koszty autokarowego biletu.

Tańczących na ogół było znacznie mniej niż przypatrujących się i któryś z zawiedzionych gentlemanów słusznie wyrzucił zakłopotanemu przewodnikowi, że paryżanie obchodzą swoje święto bez temperamentu.

Z temperamentem i werwą obchodziły 14 lipca dzielnice cudzoziemskie: Montparnasse i Dzielnica Łacińska.

Na ciasnym kwadracie pomiędzy „Rotondą“ i „Domem“ osiem rozstawionych jazz-bandów ostrymi tasakami synkop ćwiartowało żywe mięso nocy na posiekane ochłapy taktów. Różnojęzyczny tłum Amerykanów, Angielek, Rosjan, Szwedek, Japończyków i Żydówek demonstrował spazmatycznym tańcem swą nieopisaną radość z powodu zburzenia starej, pocziwej Bastylii.

O kilka ulic dalej, na ciemnym bulwarze Arago, nadprogramową porcją jedzenia świętowało je w ciszy, otoczone kordonem wojska, więzienie „Santé“. Zresztą „Santé“ nie było Bastylią i entuzjaści czternastych lipców mogli tańczyć spokojnie, wiedząc dobrze, że mury przy bulwarze Arago są wysokie i pewne, oddziały wojska – dobrze uzbrojone i posłuszne, i że w demokratycznym, cywilizowanym społeczeństwie ekscesy, dobre w epoce starego reżimu, powtórzyć się żadną miarą nie mogą.

Na frontonie więzienia girlandą splezłych liter kokietował przechodniów poczerniały napis: „Wolność – Równość – Braterstwo“, jak wypłowiła żałobna wstęga na zapuszczonej mogile Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Papierowe lampiony kołysały się łagodnie, jak nenufary, na zwierciadlanej powierzchni nocy.

Spoceni, czerwoni kelnerzy z trudnością zaopatrywali w chłodną, przezroczystą lemoniadę cudem rozmnożone na te gody stoliki, które z trotuarów rozbiegły się na jezdnię, zajmując niepodzielnie całą ulicę.

Zzajany Murzyn nad jazz-bandem ruchami niefortunnego zonglera rozbijał na głowach słuchaczy niewidzialne talerze zgiełku, trząsł się w kataleptycznych drgawkach nad pustą miską czyneli. Szesnastu innych Murzynów wkrzykiwało do utraty tchu w mosiężne głośniki trąb, donośnych, jak trąby jerychońskie, magiczne zaklęcia dalekich kontynentów, stwierdzając z przerażeniem, że mury nie tylko nie zaczynają się walić, lecz zdają się jeszcze wyrastać w górę zębatą linią zapalających się okien.

Z tysiącznych kranów, jak z podciętych arterii Paryża, spływała z szumem chłodna, krystaliczna woda i wyczerpany Paryż bladł z osłabienia i upału.

Pierwszą karetkę pogotowia spostrzeżono o dziesiątej wieczór na placu Hôtel de Ville. Tłum, roztrącany i tłamszony przez napływające bez przerwy wozy turystyczne, początkowo myśląc, że to jeszcze jeden autokar, powitał ją wrogim pomrukiem. Wkrótce spostrzeżono omyłkę i rozstąpiono się pospiesznie. Muzyka rozpoczynała właśnie trzeciego charlestona. Tańce trwały dalej.

W niespełna dwadzieścia minut nadjechała druga karetka, by zniknąć z kolei w czarnej szczelinie sąsiedniej uliczki. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

Za drugą nadjechała trzecia, piąta i szósta, napełniając rozbawiony plac echem złowrogiemu sygnału.

Pierwsze lekkie zamieszanie dało się zauważyć około godziny jedenastej. Pośrodku czwartego charlestona jedna z tańczących par upadła na wyślizgany asfalt i nie chciała już się podnieść. Otoczono ją ze śmiechem. Para wiła się w konwulsyjnych skurczach. Przeniesiono ją do pobliskiej apteki. Po pięciu minutach zajechała karetka pogotowia i zabrała niefortunnych danserów. Ktoś gdzieś po raz pierwszy upuścił brzęczące jak pieniądz słowo „epidemia“, które potoczyło się w tłum. Nikt mu zresztą nie uwierzył. Tańce rozpoczęły się na nowo.

Następną parę, która runęła w czasie tańca wśród dziwnych objawów zatrucia, podniesiono na placu Bastylli. Trzecią – na Montparnassie przed werandą „Rotondy“.

Do północy zanotowano kilkadziesiąt wypadków. Coraz częściej przebąkiwano o dziwnej epidemii. Tańce zresztą nie ustawały.

Na tarasie kawiarni „Dôme“ Murzyn, grający w jazz-bandzie, wpół urwanego taktu runął w podrygach na bęben, śmiesznie wierzgając w powietrzu nogami. Rozbawiona publiczność nagrodziła ten nowy trick spontanicznym brawem. Murzyn jednak nie wstawał. Odwrócono go twarzą do góry. Był martwy.

W czarnych tunelach ulic, jak samotny krzyk o pomoc, zawodziły złowieszcze trąbki karetek. Gdzieniedzie tańce przerywano i zaniepokojona publiczność pospiesznie rozchodziła się do domów. Tańczono jeszcze na Montparnassie, w Dzielnicy Łacińskiej i w kilku innych dzielnicach, zamieszkałych przez cudzoziemców.

Trąbki wyły bez ustanku płaczliwe i wylękle.

\*

Nazajutrz rano Paryż obudził się w przerażeniu nad mokrą płachtą porannego dziennika. Na pierwszej stronie, wielkimi czarnymi czcionkami, widniał przejmujący mrozem napis: „DŻUMA W PARYŻU!“

Wiadomości były zatrważające. W nocy z 14 na 15 lipca zanotowano osiem tysięcy wypadków dżumy, wszystkie prawie bez wyjątku śmiertelne.

Dzień wstał blady z wycieńczenia, suchy i upalny. Od rana na ulice wyległy rozgorączkowane tłumy, wyrywające sobie z rąk świeże strzępy nadzwyczajnych dodatków. Głuche, przejmujące trąbki sanitarnych aut rozbrzmiewały bez przerwy, równocześnie po wszystkich zakątkach miasta. Zasłabnięcia na ulicach zaczęły zdarzać się dziesiątkami.

Z zapadnięciem wieczora na Górnym Montmartrze i Montparnassie próbowano mimo wszystko tańczyć. Tańczących było jednak niewielu.

Właściciele kawiarni, nie chcąc pogodzić się ze stratą tradycyjnego świątecznego zysku, zdołali pokompletować naprędce nowe orkiestry i na skoczne dźwięki charlestona ze zmierzających ulic runęły, zalewając opustoszałe tarasy, podniecone tłumy przechodniów. Muzykanci, szalejący przed

„Rotondą“, wydmuchiwali z saksofonów ostatnie ochłapy płuc, na próżno starając się zagłuszyć ponury jazz-band sanitarnych karettek.

Ciasny prostokąt pomiędzy „Rotondą“, „Dôme’em“ i „La Coupole“ zaludnił się w mgnieniu oka mrowiem tańczących par.

Popłoch wybuchnął niespodzianie i stosunkowo dość późno. Zaczęło się jak wszędzie. W trakcie tańca jedna z dziewcząt runęła nagle na ziemię, pociągając za sobą dansera. W pierwszej chwili nikt tego nie zauważył. Pary, unieruchomione w ścisku, nie przestały falować do taktu muzyki. O leżącą parę potknęła się inna. Po upływie minuty w środku kwadratu kłębił się już kopiec obalonych ciał. Powstało zamieszanie. Muzyka urwała. Tłum chlusnął na chodniki. Poprzewracani tancerze zrywali się na nogi, uciekając w ślad za innymi. Środek kwadratu opustoszał.

Na asfalcie pozostała jedynie wążka dziewczyna, wijąca się w niepojętych zygzakach bólu. Krótka plisowana spódniczka podwinęła się do góry, odsłaniając drobne, prawie dziecinne kolana w naszyjnikach zbyt kownych podwiązek i nieśmiałą biel chłopięcych ud, wychylających się, niby prężne, rozjątrzone węże, z gęstwiny kremowych koronek. Ostre lakierowane pyszczki pantofelków drgały ustawicznie.

Tancerze w popłochu cisnęli się do ścian.

Wtedy to, przedzierając się przez tłum i torując sobie drogę uderzeniami pięści, z masy wyłonił się chudy, ryży człowiek w robotniczym ubraniu, zmierzający na drugą stronę jezdni. Rudy człowiek po drodze zaglądał badawczo w twarze tłoczących się gapiów. Przechodząc obok leżącej dziewczyny, zatrzymał się, nachylił i przypatrzył uważnie. Nowy skurcz bólu podrzucił dziewczynę twarzą do góry. Rudy człowiek wydał dziwny krzyk, przypominający pianie koguta, i przysiadł raptownie na ziemi. Pochwyciwszy dziewczynę za szczupłe ramiona, daremnie usiłował unieść ją do góry. Dziewczyna wila się w gwałtownych paroksyzmach. Rudy człowiek pochwylił ją na ręce i wstał, od nowego jednak podrzutu jej ciała zachwiał się i runął wraz z nią na ziemię. Pochylony nad nią na czworakach, wydając jakieś nieartykułowane dźwięki, począł obsypywać drgające ciało dziewczyny gorączkowymi pocałunkami.

Niezwykle widowisko przywabiło gapiów, którzy z tarasów kawiarni wylegli na brzegi trotuarów, otaczając niezwykłą parę zwartym kołem. Rozpacz rudego mężczyzny była tak widoczna, tak bezgraniczna, że zjednała mu od razu sympatię obserwujących tę scenę wydekoltowanych dam.

Mężczyzna, na próżno starając się unieruchomić w swych ramionach drgające ciało dziewczyny, w przerwach między pocałunkami ochrypłym głosem powtarzał jedno i to samo słowo. Widzowie nachyliłi się bliżej. Ktoś pierwszy dosłyszał i pospieszył podzielić się z sąsiadami:

- Woła na nią po imieniu. Zdaje się: Jeannette.
- Pewno przyjaciółka.
- Taka młodziutka!
- I taka elegancka! A on – prosty robociarz...

– Może brat?

– Też pomyśl! Widział pan kiedy, żeby brat tak całował?

Zresztą dosnuć do końca wszystkich przypuszczeń widzom widocznie nie było sądzone. Dziewczyna nagle wzbija się całym ciałem w górę, z nieludzką siłą uderzyła głową o asfalt i przycichła. Tłum wzdrygnął się. Zaległa cisza. Nawet podniecone damy umilkły, nie dokończywszy wymiany swych interesujących uwag. Filigranowe nóżki, osnute niedostrzegalną pajęczyną pończoch, zastygły sztywno, zadarłszy w górę zdumione pyszczki pantofelków.

Rudy mężczyzna też przycichł, nachylony nad dziewczyną w niemej rozpacz. Gdy po paru minutach podniósł głowę, twarz miał wykrzywioną wewnętrznym płaczem. Tłum oczekiwał szlochu, jęków, uderzeń głową o asfalt. Z tylnych rzędów, zwabiony zbiegowiskiem, precyzyjnie się niepostrzeżenie policjant.

Rudy mężczyzna szklanym spojrzeniem ogarnął tłum. Zazdrosnym ruchem troskliwej ręki zsunął podwinętą sukienkę dziewczyny, zakrywając odsłonięte nogi i koronki dessous. Złem, psim wzrokiem przebiegł po twarzach otaczających go mężczyzn, zatrzymał się na twarzy policjanta, na wyczyszczonym numerku kołnierza.

– To ja ją zabiłem! – powiedział obojętnym, nienaoliwionym głosem, nie spuszczać oczu z policjanta.

Tłum zafalował w podnieceniu. Policjant nastroszył się.

Rudy mężczyzna przypadł znów twarzą do twarzy nieruchomej dziewczyny i długo pozostawał w tej pozycji. Wyczuwając niejasno uroczystość chwili, policjant postanowił przeczekać. Wreszcie, znajdując, że ta niema scena przeciąga się zbyt długo, ręką delikatnie dotknął ramienia mężczyzny.

Gdy rudy człowiek odwrócił ku niemu twarz, wszystkim nagle zrobiło się nieswojo. Pozlepiane, rozwichrzone włosy kosmykami spęły mu na oczy. Na czole, jak postronki, ściągające gotową pęknąć czaszkę, wystąpiły mu dwie czarne żyły. Twarz nalana krwią była paśowo-sina.

Tłum cofnął się w popłochu. Nawet nieustraszony policjant wołał przezornie odstąpić parę kroków.

Rudy człowiek podniósł pięść i pogroził nią w kierunku cofających się gapiów.

– Wszyscy powyzydychacie, dranie! – krzyczał ochryłym, piskliwym głosem, potrząsając w powietrzu pięścią. – Nie było na was kary! Ja jestem wasza kara! To ja wytrułem was, jak szczury! Ja ukradłem od Pasteura próbki z dżumą! Ja zatrąłem stację filtrów! Uciekajcie! Ratujcie się! Nie schowacie się nigdzie!

Tłum w popłochu i przerażeniu odstępował piędź za piędzią.

– Nie uciekniecie nigdzie! Koniec! – ryczał rudy człowiek, wymachując kulakiem w stronę bulwaru Arago. – Nie powyzydychacie od zarazy – przyjdą tamci, za murów! Tysiące! Dziesiątki tysięcy! Za mnie! Za moją krzywdę! Za wszystkich! Kamień na kamieniu po was nie zostanie! Dranie! Bydlaki! Ścierwa!

Z twarzą nabiegłą krwią, rudy człowiek parł wprost na rzęsiście oświetloną werandę.

Goście, w panice przewracając krzesła, cisnęli się do wnętrza. Zabrzęczało szkło. Kobiety z piskiem chowały się pod stoliki. Ktoś zapiął przeciągle:

– Na pomoc! Rabują! – i nagle umilkł.

– Policja! Gdzie policja? Czyż naprawdę nie ma policji? – zanosił się w histerycznym ataku wrzaskliwy głos kobiety.

Wtedy, wśród powszechnego zamieszania, zza stolika w rogu podniósł się słuszny jegomość, sądząc po szerokości barów – sportsman, i zamierzywszy się, jak rakieta, ciężką butelką szampana, cisnął nią w zbliżającego się rudego człowieka. Prysło szkło. Krew, zmieszana z winem, roziskrzoną, musującą strugą chlusnęła na taras.

– Raz go, a dobrze!

– Jeszcze go raz!

– My tu mamy zdychać? A on co?

– Może naprawdę zatruł? Przecież pisały gazety, że od Pasteura ukradli probówki z dzumą!

– Na pewno zatruł! Bandyta! Po mordzie widać!

– Zatłuc zbója!

– Bij chama! – zahuczało kilkadziesiąt rozbestwionych głosów.

– Panowie, przecież to wariat! – krzyknął ktoś, lecz krzyk, jak kamień, utonął w morzu tumultu.

– A dzuma skąd?

– A probówki?

– Wiadomo, że zatruł!

– Zabić psa!

Pod ciosem trzeciej, celnie wymierzonej flaszki rudy człowiek zachwiał się i chlustając krwią, runął na chodnik. Nakryła go fala rozjuszonych ludzi, las podniesionych lasek, szcęk tłuczonych syfonów i przejmujący pisk kobiety.

Kiedy fala odpłynęła, na trotuarze pozostała nieruchomo spłaszczona czerwona gomółka.

Majestatyczny policjant, który gdzieś się zawieruszył i nagle odnalazł, z grymasem obrzydzenia odwrócił się w inną stronę. W ciągu pięciu minut kawiarnia opustoszała.

O godzinie pierwszej w nocy na murach miasta ukazało się obwieszczenie prefektury, nakazujące przerwanie uroczystości i zabraniające zbiegowisk. Ukazało się zresztą, jak zazwyczaj, ponieważ, gdyż ulice opustoszały już doszczętnie same. Ostatnich upartych tancerzy, wijących się w konwulsyjnych drgawkach, karetki pogotowia odwiozły do szpitali powszechnych.

Nocne wydania gazet, których nie czytał już nikt, prócz samych kolporterów, notowały za dzień 15 lipca sześćdziesiąt tysięcy wypadków.

Na ulicach panowała pustka i cisza. Auta kursowały prawie wyłącznie z chorągiewkami czerwonego krzyża.



16 lipca na murach Paryża ukazało się drugie orędzie prefektury. Prefektura donosiła, że, celem umiejscowienia wyjątkowo złośliwej epidemii i zapobieżenia rozszerzeniu się jej na całą Francję, Paryż otoczony został w nocy kordonem wojsk. Wszelkie próby wydostania się poza obręb miasta są bezcelowe i karane będą śmiercią. Prefekt wzywał mieszkańców do spokoju i rozwagi oraz do nieopuszczania mieszkań.

Dzień przyszedł blady, chwiejny i skwarny. Sklepów nie otwierano. Na jezdniach, jak zastygłe w rozsypce, widniały nieruchome krzesła kawiarni.

Tanie papierowe lampiony kołysały się nad bezludnymi ulicami, jak bańki nad stężałą topielą. Połowa gazet nie wyszła.

Radiostacja donosiła, że do południa zanotowano sto sześćdziesiąt tysięcy śmiertelnych wypadków. Wszystkie ambulanse miejskie oraz samochody urzędowe, obrócone na karetki pogotowia, nie mogły nadażyć na miejsca wypadków. Szereg instytucji publicznych zamieniano pośpiesznie na szpitale. Przewidywano przymusową rekwizycję prywatnych aut po garażach dla usług Czerwonego Krzyża.

O godzinie szóstej wieczorem stacja Eiffla podała wiadomości polityczne.

Spędzający swe wakacje nad morzem prezydent republiki przybył do Lyonu, dokąd zawezwano niezwłocznie przez radio większość przebywających na wywczasach deputowanych i senatorów oraz bawiących na prowincji członków rządu. Na godzinę dwunastą w nocy w Lyonie zapowiedziane zostało nadzwyczajne posiedzenie izby deputowanych, pod osobistym przewodnictwem prezydenta republiki, celem omówienia pożalowania godnych wypadków dni ostatnich.

Paryż wymierał cicho i dostojnie pod zgiełkliwy marsz żałobny samochodowych trąbek i jazz-bandowy klekot dzwonów. Radio na Eifflu notowało pół miliona śmiertelnych wypadków.

Na piąty dzień, wbrew zakazowi prefektury, paryżanie, stłoczeni w niecierpliwym oczekiwaniu w mieszkaniach, skąd nie nadażano uprzętać nieboszczyków, wylegli w rozterce na ulice. Ktoś rzucił hasło, że najlepszym serum przeciwko dżumie jest alkohol. Zapulsowały bistros. Strzeliły korki. Zagrzechotały jazz-bandy. Zamigotały na nowo szyldy hotelików. Opętany Paryż ogłuszał się winem.

Łożyskami ulic, wstęgą wyslizganego, strumieniącego się asfaltu, płynęły stada aut, jak martwe, bezwładne ptaki, unoszone na powierzchni czarnego, połyskliwego nurtu.

\*

Na Sacré-Coeur biły dzwony.

Z Notre-Dame, z Madeleine, z małych rozrzuconych kościołów odpowiadały im płaczliwym podźwiewaniem dzwony Paryża.

Psychoza religijna ogarniała powoli, lecz systematycznie, coraz szersze kręgi ludności.

Głuche, jęklive dzwony nad miastem ołowianemi pięściami tłukły we wklęsłą śpiżową pierś, i z wnętrza kościołów odpowiadał im łomot kurczowo zaciśniętych rąk i gorzki pobożny mamrot. Nabożeństwo z wystawieniem sakramentu trwało bez przerwy, odprawiane przez woskowych księży, słaniających się ze zmęczenia.

W cerkwi na ulicy Daru metropolita w złotych ryzach gęstym, dostałym basem czytał ewangelię i dzwony dzwoniły wszystkie, jak w dzień wielkanocy.

W synagodze przy ulicy Victoire nad pasiastym tłumem w tałesach płonęły świece i ludzie, jak języki niewidzialnych dzwonów, kołysali się w wahadłowych ruchach, a powietrze, jak dzwon, odpowiadało lamentem.

Rozproszkowani w olbrzymiej kadzi miasta ludzie, w obliczu wszystko niwelującego strychnulca śmierci, czepiali się kurczowo, w ślepym pędzie odśrodkowym, każdego elementu własnej odrębności, zbijali się, jak opiłki żelazne dokoła biegunów magnesu, dokoła świątyń własnego obrządku. Wieże kościołów, cerkwi i meczetu odprowadzały w niebo, jak piorunochrony, rosnący z każdą chwilą, magnetyczny prąd odrębności, zbijający rozproszone stado ludzkie w samoistne kompleksy rasowe i religijne.

Pierwszy wybuch nastąpił w środowisku, wyodrębnionym najbardziej już samym pigmentem swej skóry i pozbawionym własnego piorunochronu-świątyni.

## II

Okno jest obrazem, przybitym na martwym, kamiennym prostokącie szarej ściany dnia.

Domy na placu Panteonu mają po trzydzieści sześć okien: sześć rzędów po sześć. W domu pod numerem 17, szóste okno w trzecim rzędzie świeci zawsze za dnia bielą niezamalowanego płótna, matową plamą zatrzaśniętej okiennicy, niepokojące jak zasnute bielmem oko ślepcy, wlepione uporczywie w uroczysty profil Panteonu.

Ulicami przejeżdżały już wieczorne patrole trupiarek, zabierające z domów i jezdni zwłoki zmarłych w ciągu dnia i sygnałem przejmującego dzwonka zawiadamiające o tym żywych, gdy P'an Tsiang-kuei, w piżamie i pantoflach, pchnął ręką bezwładne skrzydło okiennicy i ukazał się w kwadracie futryny, z namydloną do połowy twarzą.

Skończywszy golić się przed lustrem, P'an Tsiang-kuei wytarł starannie twarz, ręce i całe ciało jakimś przezroczystym rozczyntem, długo i skrupulatnie płukał usta, skropił z pulweryzatora przygotowaną bieliznę i ubranie. Dokonawszy tych przedwstępnych czynności, P'an Tsiang-kuei szybko ubrał się, wciągnął na ręce szare rękawiczki, omotał szyję szczelnie szalem (sposób, by jak

najmniejsza powierzchnia skóry stykała się bezpośrednio z powierzchnią zadżumionego powietrza) i szybko zbiegł po schodach na dół.

W niewielkiej chińskiej restauracyjce było o tej porze tłoczno i gwarно. Ze znalezienia wolnego stolika trzeba było z góry zrezygnować. Po krótkim wahaniu P'an Tsiang-kuei przysiadł się do stolika w rogu, zajętego przez samotnego starszego pana, nie Chińczyka, w złotych okularach i ze szpakowatą miotełką zaniedbanej bródki.

W milczeniu, nie patrząc na przypadkowego sąsiada, P'an Tsiang-kuei pochylił się nad dymiącym talerzem ulubionej zupy z jaskółczych gniazd.

Podnosił właśnie do ust ostatnią łyżkę, gdy naraz uczuł czyjeś ostre palce, wpijające mu się w łokieć. Przegięty przez stolik szpakowaty pan z bródką, wpatrując się w niego z ponad okularów i rumieniąc się, powiedział stanowczym, nieco drżącym głosem:

– Daruje pan, że go niepokoję. Mam z panem do pomówienia...

\*

Gdyby wielokilometrowy film przeciętnego życia ludzkiego można było puścić raz wstecz, oko nasze, podobne wszystko przenikającej sondzie, zanurzone w niezgruntowany potok ludzkiego wnętrza, gdzieś, głęboko, natrafiłoby na punkt, na twardy, węgielny kamień, jakiś fakt, jakieś zdarzenie, obraz, nieokreślone, przelotne odczucie, wypłowiałe i zatarte, a przepojone tak dziwnym barwnikiem, że przepływający nad nim wieloletni nurt czasu na zawsze przyswoi już sobie jego nieuchwytny kolor.

W życiu P'an Tsiang-kueja, u spodu wszystkich wrażeń, doznań i rusztowań myślowych, leżał obraz.

Było to dawno, tak dawno, że niekiedy zapuszczająca się w te dziedziny pamięć, błądząc w nich po omacku, gubiła się w zwojach puszystej, wszystko niwelującej mgły, z której, jak kontury kosztownych i kruchych zabawek z pokładów waty, wyłaniały się niepowiązane fragmenty jakiegoś innego świata przedmiotów.

Mały P'an, w pstrych przewiewnych łachmanach, pochłonięty był wówczas stawianiem tamy na rynsztoku jednej z wąskich i brudnych uliczek Nankinu, kiedy ujrzał przebiegającego ulicą ojca. Chudy, bosonogi rikszarz, zaprzężony w dwa cienkie dyszelki, biegł truchtem, ciągnąc z trudnością po wyboistym bruku wózek z biało ubranym panem, o białej jak ubranie twarzy. Bose pięty rikszarza raz wraz migały w powietrzu, a po chudej, stężalej od wysiłku twarzy wąskimi strumykami nienaturalnego deszczu spływał pot.

P'an Tsiang-kueja uderzyła wówczas po raz pierwszy szeroka, niesamowicie biała, jakby obrzękła, twarz białego pana; dziwnie wypukłe oczy o rozszczepionych powiekach i wyraz spokoju, godności i samozadowolenia, zastygły w jej zaokrąglonych rysach.

Od czasu tego minęło wiele długich, znojnych dni i krótkich, łagodnych nocy, obraz zatarł się i wyblakł, zawieruszył się gdzieś w tyle, w zwojach puszystej, jak wata, mgły. Został cierpki, lotny posmak otulający już na zawsze świat i rzeczy swoim niematerialnym pokrowcem.

Biała, szeroka twarz o nalanych policzkach, o rozcapierzonych powiekach na nienaturalnej wypukłości oczu, zatraciła swą konkretną cielesność, stała się symbolem, rezerwuarem wydzielającego się ze wszystkich porów, piekącego kwasu nienawiści.

Kiedy w trzy lata później, w mdlący od spiekoty dzień czerwcowy, miłosierni sąsiedzi przynieśli z miasta i ciężko położyli na podłogę nieruchomego szklanookiego riksarza, powalonego gdzieś na skrzyżowaniu ulic przez nagły krwotok – maleńki P'an nie płakał, nie czepiał się nóg spieszących do przerwanych zajęć sąsiadów. Uważnie, z zaciekawieniem obejrzał czarne, otwarte usta ojca – niepojętą, tajemniczą grootę z czerwonymi, zwisającymi stalaktytami, chude, kościste nogi, zakończone parą ogromnych stóp, rozdeptanych, jak stare, znoszone pantofle – i poważnie, z namysłem, pogroził komuś w stronę okna dziecinną piastką, jak poprzedniego dnia tragarz Pao-Czang swemu krzywdzicielowi, sklepikarzowi Ling-Ho.

Potem przysiadł na podłodze i znalezionym gdzieś na ulicy, połamanym wachlarzem zaczął odpędzać zwabione zapachem krwi muchy, garnące się chmarą do otwartych ust nieboszczyka. Szkliste oczy trupa, połyskujące mętnie, utkwione były tępo w suficie, i w oczach nie było przerażenia, nie było bólu, tylko bezgraniczne, ciche zdziwienie.

I wtem – może ciało zaczęło schnąć od nieznośnego gorąca, a może po prostu wewnątrz pękł jakiś gruczoł – z prawego oka zmarłego wytoczyła się wielka łza i wolno popęzła w dół po żółtej, pomarszczonej twarzy.

Mały P'an nigdy nie widział płaczących nieboszczyków, nie przyszło mu do głowy zagłębiać się w analizę tego niezwykłego zjawiska; po prostu, w panicznym strachu, zerwał się na równe nogi i pędem wypadł z komórki. Długo biegł wzdłuż wąskich, krętych zaułków, pośród trajkocących kolasek, dokąd oczy poniosą.

Wieczorem, na wybrzeżu, między workami z ryżem, znaleźli go marynarze, długo cucili kopniakami i, napoiwszy go gryzącą wódką z kao-leengu, pozostawili na nocleg w spichlerzu.

P'an Tsiang-kuei miał wówczas siedm lat.

O głodzie przywykł żyć od dawna – matki nie znał – teraz jednak trzeba było dawać sobie radę już wyłącznie własnym przemysłem. W lecie – noclegi na wybrzeżu, pod gwiazdami. W dżdżyste miesiące – po cudzych zakamarkach, na strychach, w spichrzach. A schwytali – bili długo i ze smakiem. Nie krzyczał, częściej kąsał. Pewnemu mandarynowi, który capnął go za warkocz, tak wpił się zębami w rękę, że mandaryn wrzasnął wniebogłoso, na krzyk zbiegli się sąsiedzi i, gdyby się nie zjawił w tej chwili na ulicy przypadkowy pogrzeb, zatłukliby go z pewnością na śmierć.

Jadł, co popadnie, trafiało się zaś niewiele. Kradł kości psom. Psy do reszty podarły na nim łańchmany, niekiedy zawadziły i o ciało. Ujrzawszy go z daleka, złowrogo szczyrzyły zęby. Stosował przeważnie kuchnię jarską. Zbierał na wybrzeżu rozsypane przy ładowaniu ziarna ryżu. Gotować nie miał gdzie. Jadł na surowo, długo i smakowicie żując każde ziarno.

Mimo to starannie unikał pokusy ludnych targów, gdzie tłusci straganiarze za kilka „tunzer“ częstowali gościnnie przechodniów smaczną zupą z herbaty, lub pachnącym winem ryżowym, gdzie na straganach górami piętrzyły się owoce, ciastka na kunzutowym maśle, kawałki trzciny cukrowej i tym podobne przysmaki. Przechodząc – nie wytrzyma, w nosie załaskoce go korzenny, przesłodzony zapach, ani chybi świnię trzcinę cukrową, co najgrubszą, a potem – zmykaj zdrów! – nie umkniesz nigdzie, wśród zsuniętych szczelnie straganów, jak ukarany żołnierz, przez szpaler, na próżno zasłaniając grzbiet przed uderzeniami rozwścieczonych przekupni. Po takich eskapadach tydzień łamało go w plecach i twarda pościel z lessu wydawała mu się szczególnie niewygodną.

Za dnia, ilekroć nie bawił się z innymi bezdomnymi brzdącami, najbardziej lubił spacerować po ulicach dzielnic handlowych, przypatrywać się zawilym rysunkom liter, kunsztownie wykaligrafowanym na zwisających szarfach szyldów. Litery kołysały się, wymyślne i cudaczne, jak filigranowe domki z zapalek, zdawało się, lada chwila gotowe runąć, trzymały się mocno, niewzruszenie, zbudowane przez niewiadomego czarodzieja-architekta. Lubiał godzinami w niezrozumiałych hieroglifach doszukiwać się znajomych konturów. O, ta litera frywolnie zadarła w górę nóżkę, jak baletnica na jarmarku, a ta druga, jakby drażniąc się z kimś, pokazuje mu „nosa“. Kapryśne kompozycje kreseczek i haczyków, dla innych jasne i znajome, dla niego – niedorzeczne i dzikie, zagadkowością swoją paliły dziecinny mózg.

Niekiedy zapuszczał się na peryferie, gdzie, w ażurowym domku ze słupków, czterdziestu chłopaków z oczyma utkwionemi w tajemniczych deseniach, kołysząc się nieskładnie, wykrzykiwało na wypródki jednosylabowe, nosowe dźwięki, podpowiadane z katedry przez pomarszczoną cytrynę w okularach i długim chałacie. Przyczajony za werandą P’an chciwie łowił gwar rozstrzelonych głosów. Cytryna w okularach wtajemniczała dzieci bogatych kupców w ukryte znaczenie nierozwikłanych znaków.

Z czasem zaczął częściej zaglądać w inne miejsce. Nieopodal targu, na ulicy, pod dziurawym, wypłowiałym parasolem, stary siwy kaligraf cienkim pędzelkiem malował na długich zwojach jedwabiu tasiemce wzorzystych liter. Mały P’an, przyklepiony do ściany, zachwyconymi oczyma biegł za zmyślnymi poruszeniami zwinnego pędzelka. Pałeczki rosły, rozgałęziały się, łączyły w misterne figury, litera podpełzała pod literę i podnosiła ją na barach, jak akrobata, za chwilę wystrzelała już w górę równa, chybotliwa piramida i kaligraf, ważąc w dwóch palcach czarodziejski pędzelek, uśmiechał się z dumą.

Był to jedyny człowiek, który nie odpędzał małego P’ana i, widząc pilność chłopca, oczy zakochane i ciekawe, uśmiechał się przyjaźnie.

W dni, kiedy klientów było mało a wykaligrafowane na jedwabiu wzory mądrych maksym powiewały bez celu na wietrze, na próżno usiłując zatrzymać śpieszących się dokądś przechodniów, dawał chłopcu podniesiony z ziemi, zepsuty zwitek i pędzelek i uczył go stawiać pierwsze znaki. Pod dotknięciem drżącej nabożnie, niewyszkolonej dziecięcej ręki wyrastały gryzmoły, z trudnością utrzymywały równowagę, aby za chwilę rozsypać się rumowiskiem składowych kresiek.

Zresztą wkrótce chłopiec zgłębił mądrość pisania. Zmontowane niewidzialnymi zawiasami pałeczki trzymały się krzepko: spróbuj zdmuchnąć! Oto z sześciu słupków – prawdziwa pagoda, z dachem i wszystko, jak się patrzy, a trzyma się na jednej cieniutkiej nóżce, zachowuje idealną równowagę. Zamiast tajemniczej, skomplikowanej gmatwaniny kreseczek – słowa. Oto – drzewo, oto – ziemia, a oto – człowiek, biegnie, nie zatrzyma się, tak zamasyście nogę zadarł w rozpędzie.

Z czasem wyjaśniło się, że i słowa, i przedmioty – wszystko to tylko pozór. Sedno rzeczy tkwi nie w nich, lecz w kreskach. Co prawda, nie w tych wypełzających spod pędzelka, lecz w innych, tajemniczych i niezgłębionych.

Stary kaligraf w długie, wolne godziny oświecał duszę czytaniem świętej księgi przemian „Y-King“. Na skorupie żółwia widnieją wyrte sześćdziesiąt cztery kreski – „kua“; w nich zawarta została cała zagadka bytu. Odcyfrować jej do końca nie był w stanie ani najmędrzy Fu-hi, ani światły Kon-Fu-tse, ani tysiąc czterystu pięćdziesięciu komentatorów, głowiących się nad nią od wieków. Jakże tu marzyć o przeniknięciu jej biednemu kaligrafowi, co posiadał na pamięć wszystkie kombinacje linii, włącznie z tymi, które wchodzą w skład świętego wzoru „kua“!

Mały P’an nie zrozumiał z tego wszystkiego literalnie nic, albo raczej zrozumiał to po swojemu. Biegał za miasto łapać żółwie i długo szukał na ich skorupie świętego wzoru. Nie znalazłszy go, rozbił skorupę kamieniem, chcąc zobaczyć, czy nie schowano go czasem wewnątrz. Nie znalazł nic. Najmędrzy Fu-hi okazał się zwykłym oszustem.

Powróciwszy do miasta, P’an nie podzielił się z nauczycielem swoim odkryciem, nie chcąc go martwić. W milczeniu bił się z myślami. Nie sposób pozwolić, aby nauczyciel dłużej trwał w błędzie! Długo rozważał sposoby działania i wreszcie znalazł. Kiedy zmęczony upałem nauczyciel chrapał w najlepsze na swym krześle, P’an ostrożnie wyciągnął źródło wszystkich błędów, świętą księgę „Y-King“, i pomknął z nią na wybrzeże. Wypatrzywszy odpowiednią chwilę, niepostrzeżenie cisnął ją w rzekę.

Kaligraf, po przebudzeniu, nie znajdując książki, zaniósł się głośnym lamentem. Otoczyli go gapie. Znaleźli się sąsiedzi, którzy widzieli małego P’ana, pędzącego do miasta z książką pod pachą.

P’ana schwytano. Bito gruntownie i długo. Żądano, by się przyznał, komu sprzedał książkę. Nie wydobywszy zeń nic, na wpół żywego wyrzucono go na ulicę.

Ze zdumieniem rozcierał siniaki. Dobrze, bili go – do tego przywykł. Ale jakże się to mogło stać, że dobry wujcio-kaligraf był przy tym, widział i nie wstawił się? A więc i on nie lepszy? A więc nie warto było martwić się jego błędami, nie warto było kraść książki. Nie warto przyjaźnić się z ludźmi. Spróbuj tylko odebrać im najlichszą kość – pokasają cię, jak psy.

Jak tu jednak w wielkim, ludnym mieście obejść się bez człowieka? W mieście co rzecz – to zagadka. Któż objaśni? Trzeba było pójść na kompromis.

Przewędrował do wschodnich dzielnic. Ulice były tu szersze. Po bokach piętrzyły się kamienne domy, symetryczne, jak pudełka. Po szynach mknęły szklane wagony i w powietrzu rozbrzmiewał nie milknący ani na chwilę huk. Dziwniejsze od domów, dziwniejsze od wagonów były niesamowite kolaski, pędzące ulicami, bez szyn, bez koni, bez rikszarzy, za poruszeniem niedotykanego ziemi, niepojętego, sterczącego w powietrzu koła.

Pewnego razu, przechodząc obok jakiegoś magazynu, P'an spostrzegł: stoi wóz, naładowany po sam wierzch kolorowymi pudłami, a z przodu, zamiast dyszla, zwisa duża korba. Jak tu nie pokręcić? Obejrzał się – dokoła ani żywej duszy. Nie wytrzymał, podbiegł do korby i zakręcił, co sił w rękach. Wóz zawarczał donośnie, jak gdyby z wewnątrz odezwała się cała sfera psów.

Z magazynu wyszedł człowiek w zasmarowanym skórzanym fartuchu. P'an przezornie odskoczył na przeciwległy chodnik.

– To ty, pędraku? Przejechać byś się chciał? Siadaj, pojedziemy.

Skośne oczy człowieka w fartuchu uśmiechają się przyjaźnie.

P'an najeżył się: „Znamy się na tym! Nęci, żeby podejść bliżej, a potem wlepi takiego szturchańca, że rok popamiętasz!“ Lecz mimo wszystko nie uciekł. Z bezpiecznej odległości przyglądał się właścicielowi warczącego wehikułu.

– Czego się boisz, smyku? Siadaj, nie zjem cię. Przejedziemy się.

Nie na żarty widać chciało się przejechać małemu P'anowi. Postanowił zaryzykować. Uderzy – pał go sześć. Siniec – wielka mi parada. A nuż naprawdę przewiezie? Ostrożnie zbliżył się do wozu.

– Właż tutaj. Nie bój się. Naści wolne miejsce.

Siadł. Poczciwiec dotknął koła. Wóz ruszył.

Po drodze człowiek w fartuchu rozgadał się. Nazywa się Czaolin. Pochodzi z Kuci-Czeu. Miał tam takiego, jak P'an, synka, ale umarł mu podczas głodnego roku, za jego pobytu w Europie. I żona umarła. Teraz osiadł w Nankinie, jako szofer pewnego wielkiego domu towarowego.

Był rozmowny i prosty. Dał P'anowi banana i wozził go do wieczora, dostarczając po mieście sklepom kolorowych pudełek. Wypytał o rodziców. Użalił się. Przy pożegnaniu wetknął mu do ręki pomarańczę i dorzucił:

– Przychodź jutro pod magazyn. Pojeździmy.

W ten sposób zaprzyjaźnili się. Co rana, na jednym i tym samym rogu, czekał P'an na ciężki wehikuł z kolorowymi skrzynkami, zwinnie wdrapywał się na siedzenie, brał przygotowaną dla niego garść bananów, niekiedy nawet

kawałek trzciny cukrowej i, żując je smakowicie, przypatrywał się z góry przechodniom.

Smakowitsze od bananów, nawet od trzciny cukrowej, były opowiadania rozmownego wujcia o dalekich, zamorskich krajach, które zwiedził za młodu. Podobno (tak przynajmniej zapewniał wszędobylski wujcio) ziemia wcale nie jest płaska i nie kończy się morzem, lecz okrągła, jak kulka. Wyjedzie człowiek z Nankinu, przejedzie cały świat i znów wróci na to samo miejsce, skąd wyjechał. Wszystko to wydawało się P'anowi dziwne i nieprawdopodobne. Ale wujcio zaklinał się, że to prawda i nie wierzyć mu było nie sposób – wszystko widział na własne oczy. Mówił, że biali ludzie dowiedli już tego oddawna.

Raz nawet wyciągnął z kieszeni ładny oprawiony notes, a na końcu wklejony był obrazek, nie obrazek, lecz mapa całego świata. Dwie okrągłe półkule, jak skorupa żółwia, a na półkulach, jak na skorupie – gmatwanina niezliczonych linii: ziemia, morze, Nankin, Chiny, świat.

Tak, było to niewątpliwie to samo tajemnicze „kua“ – sześćdziesiąt cztery święte linie, których on, głupiutki P'an, daremnie szukał na skorupie zdradzieckiego żółwia. Biali ludzie rozwiązali zagadkę najmędrszego Fu-hi!

Gdyby nie był go skrzywdził dziadzio-kaligraf, P'an pobiegłby do niego natychmiast podzielić się z nim swem oślepiającym odkryciem. Lecz, przypomniawszy sobie sińce i rozbity nos we krwi, najeżył się. Krzywd nie zapominał.

Za to zagadkowi biali ludzie, których nienawidzili wszyscy, nawet łagodny dziadzio-kaligraf, urosli w jego oczach do rozmiarów czarodziejskich, wszechwiedzących istot. Czaolin opowiadał o nich wiele niezwykłych rzeczy.

Gdzieś, o wiele, wiele „li“, stoją olbrzymie, potworne miasta, gdzie biali ludzie mieszkają w wielopiętrowych skrzyniach, i w skrzyniach tych, zamiast schodów, w górę i w dół pędzą ruchome pudełeczka, podrzucając w jednej chwili mieszkańców na najwyższe piętra. Pod ziemią, długimi rurami, mkną jak błyskawice wagony, przewożąc w ciągu minuty przechodniów o dziesiątki „li“. Aby biały człowiek nie potrzebował trudzić się sam, dniem i nocą w wielkich fabrykach pracują na niego ogromne maszyny, wyrzucając mu od razu gotowe rzeczy. Chcesz ubranie – bierz i wkładaj. Chcesz kolaskę – siadaj i jedź. Ani rikszy, ani koni. Wszystko maszyna. Dziwne, ciężkie słowo – aż bucha od niego rozpalonym żelazem. Nawet po to, aby zabijać wrogów – nie pojedynczo, lecz hurtem – biali ludzie wymyślili podobno też specjalne maszyny.

Kiedyś P'an zdumiony zapytał:

– A dlaczego biali ludzie, kiedy im tak dobrze u siebie, przyjeżdżają tu, do nas, jeździć na naszych niewygodnych wózkach?

Czaolin roześmiał się:

– Biali ludzie lubią pieniądze. Na pieniądze trzeba zapracować. Biali ludzie nie lubią pracować. Lubią, żeby na nich pracowano. Tam, u nich, pracują na nich maszyny i ich właścini, biali robotnicy. Ale białym ludziom ciągle za mało pieniędzy. Dlatego przyjechali do Chin i zaprzęgli wszystkich Chińczyków, aby



ci pracowali na nich. Białym ludziom pomagają w tym cesarz i mandaryni. Dlatego to właśnie lud chiński żyje w takiej nędzy, że musi pracować i na mandarynów, i na cesarza, i przede wszystkim na białych ludzi, którzy potrzebują dużo – dużo pieniędzy, i nic mu nie pozostaje dla siebie samego.

A więc z białymi ludźmi trzeba walczyć? Więc to – najeźdźcy, jak mawiał dziadzio-kaligraf. Ale jak tu z nimi walczyć, kiedy oni poznali istotę rzeczy, rozwiązyali nawet tajemnicze „kua“, nad którym daremnie łamali sobie głowę i najmędrszy Fu-hi, i świątły Kon-Fu-tse, i tysiąc czterystu pięćdziesięciu komentatorów, i nawet sam dziadzio-kaligraf? Kiedy oni mają maszyny do robienia wszystkiego i maszyny do zabijania? Jakże tu z takimi walczyć?

I Czao-Lin mówił: Na razie nie można. Trzeba się od nich uczyć. Naród chiński jest najliczniejszy ze wszystkich narodów. Gdyby umiał to wszystko, co umieją biali ludzie, byłby najpotężniejszym narodem na świecie i nie musiałby pracować na białych ludzi.

Od takich rozmów małemu P’anowi kręciło się w głowie i młotem dudniło w skroniach. Po nocach śniły mu się olbrzymie, żelazne miasta, gigantyczne, potworne maszyny z rozdziawionymi, stalowymi paszczami; z paszcz ich wylatywały potokiem gotowe ubrania, kapelusze, parasole, kolaski, domy, ulice, miasta... I budząc się w nocy, P’an marzył: wyrośnie, przedostanie się tam – pieszo oczywiście nie da rady, no, powiedzmy, okrętem – podpatrzy, wytropi i wykradnie tajemnicę białych ludzi, powróci z nią do Chin, pobuduje wszędzie olbrzymie maszyny, a przy maszynach (Czao-Lin mówił, że nawet przy maszynach niezbędni są robotnicy) – postawi białych ludzi, tych, co to nie lubią pracować, i zmusi ich do pracowania dzień i noc, żeby odpoczywali sobie zahukani, zamęczeni, wygłodniali Chińczycy.

Niekiedy wyjeżdżali z Czao-Linem za miasto rozwozić skrzynki po podmiejskich osadach, i wówczas Czao-Lin, śmiejąc się, dawał P’anowi do rąk kierownicę i uczył go powozić wehikułem. Jak się okazało, to żadna sztuka. Pod dotknięciem drżącej dziecinnej ręki i nóg wóz toczył się posłusznie, skręcał, przyśpieszał i zwalniał biegu, jak gdyby nie zauważał, że kieruje nim nie Czao-Lin, lecz mały chłopczyk P’an. Nazywał się niezrozumiale: Au To Mo-bil.

Później P’an przekonał się, że to nie imię, lecz nazwisko. Imiona miewał inne. Jeżdżąc po mieście, Czao-Lin uczył P’ana po zewnętrznych oznakach rozpoznawać imię każdego pojazdu. Imiona bywały dziwne, zapamiętywał je z trudnością: Bra-Zje, Pa-Nar, Dai-Mler, Na-Pier, Re-No.

Raz, po drodze, wyminęli czarny, lakierowany wóz, zgrabny i zbyt kowny, jak czarodziejski palankin z firankami w oknach i miękkimi, szaro-aksamitnymi poduszkami. Nazywał się jeszcze dziwniej: Mer Ce-des. Czao-Lin odprowadził go rozmiłowanym wzrokiem:

– Na takiej maszynie cały świat objedzie!

P’an zaciekawiał się:

– A do Europy na takiej dojedzie?

– I do Europy dojedzie.

P'an obejrzał się z zachwytem. Ale pojazdu już nie było. Zniknął.

Żył w tym okresie P'an przeważnie bananami wujcia Cza-Lina, niekiedy jednak zdarzało mu się samemu zarobić kilka „tunzer“. Włócząc się po ulicach, nietrudno podwinąć się pod rękę jakiemuś panu – i interes ubity. Pobiec z listem gdzieś na koniec miasta i na jednej nodze wrócić z odpowiedzią. Odznaczał się rzadko mocnymi i żartkiewi nogami (najwidoczniej odziedziczył je po ojcu, który słynął jako pierwszy wyścigowiec). Przebiegnie klusem dwie lub trzy dzielnice i – jazda zpowrotem! Zarobek – w kieszeni.

Podobnie i owego dnia. Jakiś tłusty cukiernik posłał go z listem do wspólnika. Za odpowiedź – dwa tunzer i na dodatek ciastko. Puścił się cwałem.

Było daleko. Za miastem ładna, czyściutka aleja; zieleń, a wśród zieleni, jak filigranowe klocki – białe sześciany willi. Czegoś podobnego nie widział nigdy. Szedł pomału, zapominając o pośpiechu. Wtem – stanął jak wryty. Przed zamkniętą furtką, czarny, połyskujący, jak cudny palankin, stoi pochrapując cicho on, czarodziejski Mer Ce-des. Nie mogło być wątpliwości, poznał go od pierwszego wejrzenia. Stoi, samotny, cichutko prychając w piasek. Nawet szofer dokąś się oddalił. Wystarczy wskoczyć na siedzenie, nacisnąć posłuszny pedał i – szukaj wiatru w polu! Na prawo, na lewo – rozgałęzione linie dróg, jak tajemnicze „kua“ na świętej żółwiej skorupie. W dali, za górami, za lasami – gigantyczne żelazne miasto Eu Ro-pa.

Ze wzruszenia aż upuścił list. Obejrzał się dokoła, – nikogo. W uszach natrętnie dźwięczał mu głos Cza-Lina.

– Na takiej maszynie cały świat objędzie!

Wahał się. A w głowie, jak w ulu – pszczeli rój.

Nie, nie wytrzymał. Wygięty jak kot, jednym susem skoczył na siedzenie. Gorączkowo włączył motor. Szarpnął kierownicą. Auto potoczyło się miękko. Zwiększył szybkość. Po bokach przemknęły w szalonym tańcu wille, drzewa, rozwinięty ze świstem wachlarz sztachet. Na przełaj, w nieskończoność – długa miedza drogi. Ludzie opasali kulę ziemską drogą jak pęknięty garnek drutem. Żegnaj, Nankinie, szturchańce, guzy, niedogryzione kości, zły kaligrafie, Yan Tse-kiangu, unoszący w swoich falach świętą księgę: „Y-king“, wujciu Cza-Linie – żegnajcie!

Nagle zdrętwiał. Na ramieniu wyraźnie uczuł czyjąś ciężką rękę. Obejrzał się i osłupiał. Z wnętrza karetki poprzez odsuniętą szybę przełaził biały pachnący pan z rozwścieczoną twarzą, usiłując przedostać się na przednie siedzenie. Stalowa ręka, jak kleszcze, schwyciła P'ana za kołnierz. Samochód pędził, jak strzała, miękko podskakując na wybojach. Przeskoczywszy wreszcie na przednie siedzenie, biały pan wyrwał P'anowi z rąk kierownicę i zaczął zatrzymywać samochód.

P'an, w pierwszej chwili, najzwyczajniej w świecie przeraził się i z nagłego przestrachu wypuścił kierownicę. Po trochu jednak zaczął przychodzić do siebie. Biały pan najwidoczniej przez cały czas siedział wewnątrz, za firankami, może czekając na szofera. Że też P'anowi nie przyszło od razu do głowy zajrzeć

wprzód przez okienko do środka! Teraz – wszystko przepadło. Zabije go, jak nic. Jedyne ratunek – wyslizgnąć się z rąk tego gościa i dać nura w zarośla.

Samochód stanął. P'an szarpnął się z całej siły i spróbował czmychnąć, lecz biały mocno przytrzymał go za kołnierz, wykrzykując coś w niezrozumiałym języku, prawdopodobnie kłął. P'an zrozumiał tylko słowo „złodziej“, które biały od czasu do czasu powtarzał po chińsku. Trzymając P'ana lewą ręką i za kark, biały prawą zawrócił samochód. Pojechali z powrotem. P'an spróbował ukąsić przytrzymującą go rękę, lecz w odpowiedzi otrzymał solidne uderzenie pięścią w podbródek. Zadzwońło mu w uszach.

Jechali w milczeniu. Przed fatalną furtką biały zatrzymał samochód i zaczął kogoś głośno wołać. Z willi wybiegli ludzie i otoczyli maszynę. Biały wciąż wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe słowa. Wyrwijącego się rozpaczliwie P'ana schwycono i poniesiono w głąb, nie skąpiąc mu po drodze szturchańców. Po chwili oszołomiony P'an znalazł się w ciemnej komórce pod schodami. Drzwi zamknęły się za nim na klucz.

Z goryczą rozcierał obolały podbródek. Szarpnął drzwi – mocne, nie da rady. Nie ma co nawet próbować. Przepadł!

Po godzinie przyszli, wywlekli go z komórki i ponieśli na górę. W wielkiej, wspaniałej sali, gdzie podłoga błyszczała, jak wieko z laki, siedział biały pan z samochodu, jeszcze kilku białych i brzuchaty Chińczyk, mandaryn albo kupiec, w bogato wyszywanym jedwabnym chałacie.

Chińczyk od razu przystąpił do badania po chińsku:

– Po coś kradł samochód? Kto cię podstawił? Wymień współników, nie zrobimy ci nic. Nie wymienisz – tak ci zerżniemy skórę, że wszystko wyłożysz na stół.

Milczał. I jak tu opowiedzieć takiemu brzuchatemu o żółwiej skorupie, o żelaznym mieście, o najskrytszej tajemnicy białych ludzi?

Zawołano służących. Przyszli dwaj Chińczycy z grubymi bambusowymi trzcunami, rozciągnęli P'ana na stole, zabębniłi trzcunami po gołych piętach. Zawył.

– Wydaj współników!

Brzuchaty jak żaba skakał dokoła i skrzeczał:

– Nie wydasz, – lepiej ci jeszcze skórę złoją!

Bili długo, z przerwami na odpoczynek. Nie krzyczał, zaciął zęby do krwi. Nawet Chińczycy zmachali się. Nie wydobyto z niego nic. Brzuchaty, rozkładając ręce, zaszwargotał po cudzoziemsku z białym. Chińczycy zgarnęli P'ana pod pachę i ponieśli z powrotem do komórki. Po drodze pieszczotliwie pogłaskali go po twarzy. Spytał: czy bardzo bolało? I dodali, jakby na swoje usprawiedliwienie:

– Biały pan każe bić, nie ma rady.

Wieczorem ukradkiem wsunęli mu do komórki miskę ryżu i spory kęs pieroga:

– Masz, nie płacz. Pokrzep się.

Zjadł, łakomie oblizując palce. Przycupnął w kącie, zamyślił się. Znowu bili go. I jutro na pewno będą. Biali, nic dziwnego – wrogowie. A ten brzuchaty? Z ubrania widać, że to bogacz. I on – z tamtymi. Służy przed nimi na dwóch łapkach. A więc to też wróg. Prawdę mówił Czaolin. Nie tylko biali. I swoi. Cesarz, mandaryni, bogacze – wszyscy zmówili się razem. Uciskają. Nie pozwalają żyć. Wszyscy na nich się skarżą... Tamci, biali, wymyślili podobno maszyny do zabijania. Kiedy wyrosnie, wróci na takiej maszynie; tych w wyszywanych chałatach trzeba będzie wytepić przede wszystkim.

Usnął z zaciśniętymi piąstkami.

Nazajutrz rano wyciągnięto go z komórki i poniesiono raz jeszcze na górę. Próbował stawiać opór. Nie pomogło. W sali sterczał już brzuchaty. Tym razem nie groził. Falszywie szczerząc zęby, zaczął wypytywać:

– Gdzie ojciec?

– Nie ma ojca, umarł.

– A matka?

– Też nie ma.

– A krewnych masz?

– Nie mam.

– U kogo mieszkasz?

– U nikogo.

Powtórzył po cudzoziemsku białemu. Długo naradzali się, kiwając głowami. P'an podejrzliwie zerkał w stronę służących, czy nie niosą czasem wczorajszej trzciny. Nie przynieśli.

Natrankotawszy się do syta z białym, brzuchaty zwrócił się do P'ana po chińsku:

– Właściwie, należałoby cię, jako złodzieja, oddać policji, żeby, jak złodziejowi, założyli ci na szyję „kang“. Ale biały pan to miłosierny pan. Biały pan lituje się nad sierotami. Wiele bezdomnych chińskich sierot poumieszczał już w dobroczynnych zakładach. Dlatego postanowił ci darować i nie tylko więcej cię nie karać, ale, na domiar swojej dobroci, umieścić cię w sierocym przytułku chrześcijańskich misjonarzy, żebyś pod ich kierownictwem zapoznał się z prawdziwą wiarą i nauczył się czcić wielkiego boga chrześcijan, który uczy, że kradzież to wielki grzech. Idź i pocałuj w rękę swego dobrodzieja.

Skończywszy tę uroczystą tyradę, brzuchaty pociągnął P'ana za kołnierz do ręki dobrodzieja, lecz chłopak tak niedwuznacznie wyszczerzył zęby, że biały pan, przypominając sobie zapewne wczorajsze ukąszenie, pospiesznie cofnął rękę.

Następnie P'ana poprowadzono znów przez salę i wpakowano do tegoż feralnego samochodu; razem z nim wsiedli do wnętrza brzuchaty Chińczyk i jakiś nieznajomy pan i samochód potoczył się w niewiadomym kierunku.

W białym kamiennym domu, dokąd wniesiono z samochodu opierającego się P'ana, kręciło się wielu białych ludzi w długich cudacznych sukniach. W przestronnej sali, na ścianie, P'an zauważył dziwne, płaskie drzewo dużych

rozmiarów, o trzech szeroko rozcapierzonych końcach, i na drzewie, przybity za ręce, ze zwieszoną na bok głową, wisiał goły skurczony człowieczek. Najwidoczniej w ten sposób biali karzą złodziei! Za chwilę gotowi tak samo i jego: po coś kradł samochód? Brzuchaty mówił wyraźnie: biały bóg zabrania kraść!

Wielkie okna sali wychodziły na ogród i w ogrodzie P'an zobaczył tych samych białych ludzi w długich, powłóczystrych sukniach.

Brzuchaty Chińczyk i nieznamy jegomość rozmawiali o czymś koło okna z długim panem w sukni. Od białych ścian, od dziwnego człowieczka, przybitego do drzewa, powiał nagle na P'ana śliski, lodowaty strach. Panowie, zajęci rozmową, odwrócili się do niego plecami. W odległości sześciu kroków czerniały zbawcze drzwi. Doliczywszy do trzech, P'an smyrnął w nie jednym susem. W tej samej chwili drzwi otwały się na oścież i P'an wpadł w objęcia wchodzącego długopolego dryblas. Dryblas pochwycił go na ręce i poniósł, mimo rozpaczliwego oporu, w głąb białych, chłodnych korytarzy.

I P'an uświadomił sobie nagle jasno, że wszystko przepadło, że zamykają go w białej, cienistej piwnicy, że nie zobaczy już więcej nigdy trajkocących kolasek, długich szklanych wagonów, pstrych kolorowych skrzynek wujcia Czaolina, czarodziejskich palankinów na bezszelestnych pucółowatych obręczach, i w bezsilnej rozpacz zaniósł się po raz pierwszy głośnym, dziecinnym płaczem, a płacz jego przedrzeźniały długo wąskie, bielone korytarze.

Miał wówczas P'an Tsiang-kuei dziesięć lat.

Do wieczora wyjaśniło się – nie taki znów diabeł straszny... W każdym razie nie był tu sam. W długiej sali, z łózkami w dwa szeregi, zastał jeszcze kilkudziesięciu chłopaków. Od biedy jest z kim pogadać.

Kapali. Myli. Oblóczyli go w długą koszulę do pięt. Wieczorem, przed spaniem, długopole dryblas ustawił wszystkich na kolana koło łóżek i wszyscy chórem zaszwargotali jakieś podejrzane zaklęcia. Ze ściany, ten sam skurczony, goły człowieczek, przybity do rosochatego drzewa, straszyl bolesnym grymasem wykrzywionych ust.

P'an wypytał o wszystko szczegółowo właściciela sąsiedniego łóżka. Czy bardzo biją? Odpowiedział: nie bardzo. Co robią? Uczą cudzoziemskiego języka i wielu innych rzeczy. Poskarżył się na jedzenie: leguminę dają tylko raz w tygodniu, w niedzielę. W ogóle – nudno.

Wszedł „ojciec“ w długiej sutannie. Sąsiad momentalnie dał nura w poduszkę, udał, że śpi i to udał tak zmyślnie, że, nim tamten skończył swój obchód, chrapał już naprawdę. Trzeba było z resztą pytań zaczekać do rana.

Pierwszy raz w życiu P'an wyciągnął się na czystym, prawdziwym łóżku. Wydało mu się niewygodne. Poduszka jakoś nie pasowała do głowy. Odłożył ją na bok. Za to kołdra bardzo przypadła mu do gustu – ciepło. Miękka, wysłana oddechami cisza pokoju usposabiała do rozmyślań.

Cóż, w gruncie rzeczy nic straszego. Jeżeli mikrus nie kłamie, zdaje się, że to po prostu szkoła. Uczą cudzoziemskiego języka i innych jeszcze rzeczy.

Pouczyć się nie zawadzi. Tylko skąd też białym ludziom strzeliło do głowy uczyć chińskie dzieci? Prawdopodobnie jakiś szwindel. Nie ma obawy, dobrze z pewnością pilnują swojej tajemnicy. Zresztą trzeba będzie wy badać.

Najważniejsze – nauczyć się cudzoziemskiego języka. Wtedy można będzie podслуchać, co mówią między sobą biali ludzie. A nuż się wygadają. Trzeba mieć się na baczności. Nie prześlepić niczego. Wywiedzieć, co się tylko da.

Usnął, zwinięty w kłębek jak jeż – jeniec w nieprzyjacielskim obozie.

Potem – dni i tygodnie. Wiele dziwnych rzeczy i cudacznych opowiadań. Okazało się, na przykład, że człowiek, przybity do drzewa, to wcale nie złodziej ani nawet w ogóle nie człowiek, lecz prawdziwy, najprawdziwszy bóg.

Pulchniutki ojciec Franciszek mawiał, że ten bóg naumyślnie przemienił się w człowieka, żeby cierpieć za wszystkich, nawet za niego, za małego P’ana.

Podobno jego też bili niezgorzej. Nie chciało się wierzyć. Z jakiej racji biały człowiek, choćby to był nawet sam bóg, miałby tam cierpieć za Chińczyków? Ojciec Franciszek opowiadał o nim wiele śmiesznych historii. Na przykład, kiedy go bito i wymierzono mu policzek, tamten nie oddawał, lecz podstawiał drugi.

Masz, bij, ile wlezie! Zupełnie, jak błazen w cyrku na jarmarku. Ojciec Franciszek mówił, że pokora to wielka cnota. Ale co ma do tego pokora, jak biją? Nie bronić się – zabiją na śmierć. Tamtego podobno też zabili. Po prostu – dziwak.

Zresztą nie taki znów zwyczajny dziwak, jakby się zdawało, ale chytry. Furt ze swoją pokorą. Nie sprzeciwiaj się złu. Co cesarskiego – cesarzowi, a co bożego – bogu. Bogu, cóż, bogu niewiele trzeba. Co innego cesarz. Cesarz, to wróg, któż o tym nie wie. Pomaga mandarynom i białym okradać lud, żeby zdychały z głodu dzieci wujcia Czao-Lina. Jakże to bóg, sprawiedliwy i prawy, może kazać Chińczykom nie sprzeciwiać się cesarzowi? Od razu widać, że to biały.

O, na przykład, ojciec Franciszek mówił nie dalej jak w zeszłym tygodniu: „Łatwiej wielbładowi przejść przez ucho igielne, niżli bogaczowi – do królestwa niebieskiego.“ A sam co niedzieli przyjmuje od białych bogaczy prezenty przeróżne, wina i owoce, i całymi godzinami grzecznie z nimi gawędzi, kiedy zaś wychodzą, odprowadza ich aż do samochodu, nie przejmując się wcale tym, że oni nie wejdą do królestwa niebieskiego. Najwidoczniej to wcale nie takie ważne, czy kto wejdzie do tego królestwa niebieskiego, czy nie, skoro bogacze nie bardzo się tam kwapią, a i sam ojciec Franciszek nie widzi w tym nic złego. Widać nieszczęśliwe musi tam być to królestwo niebieskie, skoro posyłają do niego samych biedaków. Nie, nie spodobał się P’anowi ten potulny bóg. Najwidoczniej przekupili go bogacze i cesarze, żeby namawiał lud do posłuszeństwa. I bić mógł się z pewnością dawać dla przykładu, ile dusza zapragnie. Przecież, skoro to naprawdę bóg, to go nie bolało. I umierać na pewno mógł, ile razy mu się podoba. Nie, nie można wierzyć takiemu bogu. Taki bóg – to oszust.

Ale udawał, że wierzy. Zapamiętał żegnał się i odwalał na pamięć sążniste modlitwy. Wszyscy go chwalili. Nawet posepny, suchy, jak szczapa,

ojciec Serafin, niekiedy bywało, wsunie mu do ręki pomarańczę lub obwarzanek. Rzadko gorliwy chłopczyk z tego P'ana!

Uczył się pilnie. Godzinami z zamkniętymi oczyma wkuwał na pamięć dziwne cudzoziemskie słówka. Tabliczkę mnożenia opanował w dwa tygodnie. Im dalej, tym przykładniej.

Pod koniec roku przyjeżdżał sam ojciec Gabrjel, najstarszy z lazarystów. Przed jego wizytą dwa dni myto i zamiatano cały przytułek. Przyjechał tłusty, spasiony, ledwo wdrapał się na schody. Dwaj braciszczkowie oprowadzali go pod ręce po salach. Rozmawiał z P'anem. Przepytał o to i owo. Zaciekawiał się. Zaczął wypytywać dokładniej. Katechizm na wrywyki. Pochwalił. Na pożegnanie dał do pocałowania rękę i łaskawie pogładził po głowie.

P'an, przyczajony za drzwiami, słyszał, jak grubas mówił do ojca Franciszka:

– Bardzo, bardzo zdolny chłopczyk. I rozwinięty nad wiek. Szkoda takiego do szkoły zawodowej. Koniecznie do gimnazjum. Sam pomówię z ojcem Dominikiem.

W ten sposób przewędrował do gimnazjum, do Szanghaju.

W gimnazjum – nie tylko Chińczycy, lecz i biali chłopcy także. Okazało się, że białych uczył tego samego. Zaczął uczyć się jeszcze przykładniej. Biali, co prawda, trzymali się na uboczu, osobną grupą. Na Chińczyków patrzyli z pogardą. Przedrzeźniali: „Żółty! Gdzieś warkocz podział?“. Lecz zadań ściągając nie brzydzyli się. Pod ławką przyjaźnie częstowali rogalikiem. Za to na pauzie – nie podchodź! Ten sam, co odpisywał zadanie i rogalik wtykał, wyniośle odpali: „Odwał się, znajduchu!“

Razu pewnego P'an podsłuchał: na wielkiej pauzie zmówili się, żeby poprzerabiać w dzienniku stopnie. Piegowaty, z pieprzykiem na policzku, ukradł klucz od kancelarii. Popoprawiał wszystkie stopnie. Poznali. Przyszli na śledztwo: kto?

Wstał piegowaty:

– To nie my, to Chińczycy. Naumyślnie poprzerabiali nam stopnie, żeby nas wsypać. Sam widziałem tego żółtego, jak kradł klucz od kancelarii.

Wskazuje na małego, Bogu ducha winnego Hu.

Ojciec Pafnucy schwycił małego Hu za kołnierz i kantówką trzepnął go po palcach:

– Precz!

P'an nie wytrzymał. Podskoczył ku piegowatemu i kułakiem w mordę – bęc! Rozdzielono ich z trudnością. Piegowatemu krew puściła się z nosa, a pod okiem siniak, jak śliwka. Z rozbitą mordą poczłapał do domu.

P'ana wywleczono za uszy i zamknięto w pustej klasie.

Po obiedzie samochodem zajechał ojciec piegowatego. Dorodny, pachnący, z czerwonym guziczkiem w butonierce. W kancelarii u ojca Dominika krzyczał, tupał nogami:

– Natychmiast wyrzucić!

P'an słyszał przez ścianę: ojciec Dominik przepraszał. Wyszło na jaw, że stopnie rzeczywiście przerobił piegowaty. Papa spuścił z tonu:

– Ukarac w moich oczach! Pięćdziesiąt różg, nie opuszczę ani jednej!

Posłano po stróży. P'ana zawleczono do kancelarii. Rozciągnięto go na ławce. Zaczęto odliczać uderzenia. Biały, z guziczkiem w butonierce, wystukiwał takt nóżką w wytwornym buciku, parszając w rozdrażnieniu. Przy czterdziestym uderzeniu trzcina złamała się na dwoje. Pan z guziczkiem nie nalegał. Trzasnąwszy drzwiami, odjechał do domu. Wychłostanego P'ana ojciec Pafnucy postawił na kolana twarzą do ściany. Przestał tak do wieczora.

Nazajutrz oświadczone mu: darowali tylko za pilność w naukach. Gdyby coś podobnego powtórzyło się jeszcze raz – wyrzucą precz!

Nie powtórzyło się. Zagryzł wargi. Na wyzwiska i zaczepki białych nie odpowiadał. Obok piegowatego przechodził, nie patrząc. Tylko zadań więcej ściągać nie pozwalał. I rogalików nie brał. Zresztą więcej nie próbowali. Omijali z daleka.

Tak minął rok.

Pewnego dnia, najniespodzianie, ojciec Pafnucy oznajmił z katedry: „Naród chiński obalił cesarza. Państwo chińskie będzie odtąd republiką“.

Na ulicach jak gdyby nic się nie zmieniło. Po dawnemu pędziły tramwaje, wyły samochody, migając piętami sadzili ociekający potem rikszarze, ciągnący dwukołowe wózki z białymi korpulentnymi panami. W gimnazjum po dawnemu wlokły się lekcje, ojcowie lazaryści stawiali w dzienniku stopnie i na pauzach pili mocną, pachnącą herbatę z butersznytami. Jak to zrozumieć? Naród chiński obalił cesarza i wszystko pozostało po staremu; i biali ludzie nie tylko nie uciekli z Chin, ale, na odwrót, z każdym miesiącem zdawało się ich być więcej, a o obaleniu cesarza mówili spokojnie, z aprobatą, jakby o wygodnym dla nich interesie. Najwidoczniej cesarz nie miał tu nic do rzeczy. Ale któż w takim razie? Czaolin mówił jeszcze: mandaryni. P'an nie wiedział dobrze, czy pozostali po dawnemu mandaryni, a spytać się nie miał kogo, ale zdaje się, że zostali. W każdym razie zostali bogacze i kupcy w bogato wyszywanych chałatach. Musiała zajść jakaś pomyłka. Najwidoczniej mało było zdetronizować cesarza, trzeba było obalić i tych, w wyszywanych sukniach, a ich właśnie obalić zapomniano. Jakże to się mogło stać?

Tego P'an nie rozumiał i zrozumieć nie mógł, i nie było nikogo, kto by mógł to wytłumaczyć, a bez tego całe życie stawało się niepojętym i bezsensownym.

Zresztą wątpliwości małego P'ana nie odbijały się na jego nauce. Po dawnemu pilnie przygotowywał się ze wszystkich przedmiotów, jak gdyby w trudnych zadaniach matematycznych szukał rozwiązania męczącej go zagadki. Trzeba nauczyć się wszystkiego, poznać wszystko, co wiedzą biali ludzie, i wówczas wszystko stanie się proste, zrozumiałe i jasne.

Tak mijały miesiące.



Tak mijały lata. Są lata długie, mozolne, męczące, które mijają i w pamięci nie pozostaje z nich nic, przerwa – nie dlatego, aby pozbawione były one własnych, swoistych wydarzeń, w jakie obfituje każdy dzień chłopięctwa; po prostu, jak gdyby w upakowanym worku pamięci powstała dziura, przez którą wysypała się cała ich obfita zawartość. Obejrzy się człek za siebie, zacznie wspominać, niektóre lata odtworzy niemal dzień za dniem, do najdrobniejszych szczegółów, a nagle potknie się – luka. Rok, dwa, trzy – grzebie, szuka, nie zostało nic. Ogólniki: chodziłem wówczas do szkoły, pracowałem wówczas na fabryce. Na takiej a takiej. I kropka. Z mętnej mgły niebytu wypłył jakiś epizod, drobny i niepotrzebny: zgubiona portmonetka, zasłyszane gdzieś słowo, obraz – drzewo, ławka, dom – i rozplynie się, jak para. Ileż takich luk i skąd się one biorą, kto odgadnie? Czy nie dziwniejsze stokroć, skąd się biorą w zapomnianej, przetrząsniętej szufladzie pamięci wszystkie te najdrobniejsze świecełka dziwnych, na wpół startych odczuć, twierdzących natarczywie, że mały, piegowaty urwis, zapamiętałe grywający w guziki i wyczyniający wszelkie szkaradzieństwa i ty, dorosły, stateczny, rozumny pan – to jedno, dwa ogniwa jednego i tego samego łańcucha, spojenego wątpliwym klejem uwiecznionego w metryce nazwiska.

W gimnazjum ojców lazarystów, na trzecim piętrze, w trzech długich salach, mieściła się okazała biblioteka. Od podłogi do sufitu drapały się po ścianach mocne dębowe półki, wyprężone grzbietami tomów w solidnych skórzanych oprawach. Wystarczy tam trafić, a zabłądzi się, jak w lesie, w daremnych poszukiwaniach przesieczy. Ścieżki i potajemne drogi znał w nim jeden jedyny człowiek, bibliotekarz, ojciec Ignacy. Uczniów w to ustronie puszczano dopiero poczynając od szóstej klasy, a i to zagląających tam łatwo było policzyć na palcach. Większość odstraszała już sama nieprzejrzana gęstwina nagromadzonych tu książek.

Gdy P'an dostał się tam po raz pierwszy (skończył wówczas szesnaście lat), opadły mu ręce. Ile książek – i wszystkie trzeba przeczytać! Czy starczy na to wszystko czasu? Wkrótce jednak nabrał otuchy. Z początku wydaje się wiele, nie sposób się uporać, a potem stopniowo ubywa. Przecież uporali się z tym inni. Czemuż miałby on nie dać rady? Przede wszystkim – nie tracić czasu. Można z powodzeniem mniej spać. Sześć godzin na dobę starczy. Już dwie godziny zarobione na czysto. Postanowił zacząć od brzegu i systematycznie przejechać wszystkie półki. Wkrótce zresztą zaczął przebierać. O Jezusiku wszystkie bajdy można po prostu przepuścić. Tak powoli półki rzedły.

Pośród traktatów, pośród rozpraw świętobliwych ojców, wpadła mu w ręce książka, która zainteresowała go bardziej, niż inne. Bogobojny „ojciec“ demaskował w niej jakąś współczesną herezję, imieniem: socjalizm.

Przeczytał uważnie, przeczytawszy, zaczął od początku.

Są ludzie, sekta, którzy zechcieli wszystko mierzyć pracą. Zasada jak u świętego Pawła: „Kto nie pracuje, niechaj nie je.“ Odebrać bogactwa wszystkim

bogaczom i uczynić je własnością powszechną. Zniósłszy własność prywatną, wydzielać każdemu wedle jego pracy.

Zamyślił się na długo. Potem pilnie jął szukać bardziej ścisłych wiadomości. Przetrzęsnał całą bibliotekę. Nie znalazł nic. Przypadkowo, w uwagach do jakiegoś pękatego tomu, natknął się raz jeszcze na wzmiankę o tajemniczej sekcji. Autor cytował urywki z jakiegoś dzieła najwidoczniej pióra prowodyra i założyciela szkodliwej herezji. Nazywał się: Marks.

Postanowił za wszelką cenę postarać się o cytowaną książkę. Przewertował własnoręcznie cały katalog. Cytowanego autora nie było. Długo nie decydował się zapytać ojca bibliotekarza. Wreszcie zdobył się na odwagę. Spytał. Ojciec Ignacy zamachał rękoma:

– Grzech pytać o takie książki! Wszystko to szatańska pokusa. Módl się więcej i o postach nie zapominaj!

Tyle się dowiedział.

Postanowił przepytac się w księgarni. Postanowić jednak było o wiele łatwiej, niż wykonać. Pieniądzy nie miał. Wystarać się nie miał skąd. Sprzedać nie było czego – nic własnego nie posiadał. Co począć? Długo myślał i nie mógł niczego wymyślić. Potem wstał i poszedł w ką, ku zakurzonym półkom, dokąd nie zaglądał nigdy nawet sam ojciec Ignacy. Na półkach piętrzyły się w nieładzie grube foliały w starych, nadgryzionych pleśnią oprawkach. Wziął pierwszą książkę z brzegu w języku starochińskim i zważył ją w rękę. Uśmiechnął się. Kradzież? Dowcipni Rzymianie w nieprzyjacielskim kraju nazywali to „zdobywaniem furazu“. Ciekawe byłoby znać historię tej książki, w jaki sposób tutaj trafiła. Można by się założyć, że też niezupełnie po chrześcijańsku. Z uśmiechem wsunął książkę za pazuchę i prześlizgnął się po schodach na dół.

W na wpół ciemnej komórcy antykwariusza w odległej chińskiej dzielnicy pachniało pleśnią i zbutwieliną wieków; kurz na brzuchatych porcelanowych wazach, jak na kurz przystało, spoczywał warstwami, aby po ilości warstw, jak po słoju drzewa, rozpoznawać było można genealogię stuleci. Okularny, krótkowzroczny antykwariusz długo badał książkę, wodząc po niej nosem, jak gdyby po zapachu stronić ocenić chciał jej starożytność. Dał trzy „taele“ i księgę poniósł do nory.

P’an z pieniędzmi w rękę pobiegł z powrotem do europejskich księgarń. W żadnej jednak z nich książki nie było. Zwątpiały, powlókł się na poszukiwania w głąb dzielnic chińskich. W jednej z księgarń chińskich, gdzie trzymano wydawnictwa europejskie, sprzedawca oświadczył:

– Na składzie nie mamy. Możemy sprowadzić z Europy. Tylko za termin nie odpowiadamy, bo to tam teraz czasy wojenne.

Nie, wypisywać i czekać miesiącami, czy przyjdzie – nie chciał.

Usłużny księgarz poradził mu:

– Nie chce pan czekać? Jest tu jedno kółko studenckie. Sprowadziło przeze mnie kilka egzemplarzy. Niech pan spróbuje zająć i poprosić – może jeden odstąpią.

Na skrawku papieru zapisał adres.

P'an popędził z nową otuchą. Było niedaleko. Sadząc po dwa stopnie naraz, wbiegł na drugie piętro. Otworzył mu chuderlawy młody człowiek w okularach. P'an objaśnił mu powód wizyty, powołał się na księgarza. Poproszono go do środka.

W niewielkim, niepokaznie umeblowanym pokoju matowo płonęła lampa. Gospodarz był rozmowny i grzeczny. Pytał o to i owo: gdzie się uczy, w której klasie, jakie w szkole panują stosunki, czy nie prześladują Chińczyków, czy wielu białych? Rozgadali się.

Podszedł do półki, wyciągnął książkę.

– Na Marksa macie jeszcze czas. Trudne. Nie dacie sobie rady.

Przeczytajcie najprzód tę książkę. Łatwiejsza. Zapoznacie się z przedmiotem. Z czasem zdążycie rozgryźć i Marksa.

Pieniędzy wziąć nie chciał:

– Nie sprzedajemy. Przeczytajcie sobie. Jak przeczytacie – przychodźcie, dam wam drugą.

I uśmiechnął się:

– Tego przecież u waszych ojców misjonarzy nie wykładają.

P'an podziękował. Mocno, z nieśmiałą wdzięcznością uścisnął mu rękę. Bardzo spodobał mu się chuderlawy. Przecież dotychczas z nikim nie gawędził tak prosto z mostu, o wszystkim. Jak strzała pomknął z powrotem – byle tylko nie zauważyli nieobecności!

Książkę połknął jednym tchem. Ciężkie, nieznanym terminy ekonomiczne przeszkadzały, jak ości, ugrzęzłe w gardle. Przeczytał po raz drugi. Wydała mu się o wiele łatwiejsza i zrozumialsza.

Jeśli wierzyć książce, ucisk i nędza panoszą się nie tylko w Chinach. W Europie te same dziesiątki tysięcy białych ludzi uciskają i okradają dziesiątki i setki milionów własnych, białych robotników i chłopów. Sedno – nie w barwie skóry i nie w pionowych przekrojach granic państwowych, lecz w poziomych rozwarstwieniach klas, spojonych, pomimo różnic języków i obyczajów, wspólnością interesów i celów. Pracujący i wyzyskiwani całego świata, to jedna wielka rodzina. I białe, i żółte cierpią i walczą o jedno. Podobnie i burżuazja. Nie darmo Chińczycy-bogacze zawsze idą ręką w rękę z białymi najeźdźcami.

Wszystko to było niespodziane i uderzające, nowością swą przyprawiało o zawrót głowy. Od rozsadzających czaszkę myśli płonęły rozognione policzki; rozszerzone oczy, jak gdyby uzbrojone w nowe okulary, spoglądały na świat inaczej, przesywały na wylot, jak świdry.

Przeczytawszy książkę od deski do deski, pobiegł do chuderlawego poprosić o inną. Pomówili o przeczytanym. Chuderlawy objaśnił niezrozumiałe słowa. Trudniejsze miejsca wytłumaczył na przykładach. Niepostrzeżenie zeszli na tematy aktualne. O wojnie. Imperializm itd. Dlaczego dla Chin byłoby lepiej, gdyby wygrały Niemcy? Zresztą, tak, czy inaczej, kolonialne apetyty imperialistów na pewien czas bez wątpienia osłabną. Grozi zato inne

niebezpieczeństwo: najazd Japończyków. Wypierają zewsząd białych. Szykują się do nałożenia łapy na Chiny. Niczem nie lepsi od tamtych, bodajże nawet gorsi. Na fabrykach wyzyskują robotników w niewiarygodny sposób i płacą grosze, o wiele mniej od Anglików.

Dał nową książkę i poprosił P'ana, żeby zachodził częściej.

Książki zmieniały jedna drugą, im dalej, tym zrozumialsze. Czytał ukradkiem, po nocach – noce były białe, jasne. Rano, nad niedoczytaną książką zastawał go świt. Za dnia, na lekcjach, ze zmęczenia kleiły mu się oczy. Zaczął się nawet zaniedbywać w naukach. Ojcowie lazaryści, zdziwieni, spytali go o zdrowie. Znacząco kiwali głowami.

Gdy skończył książkę, kręcił się, jak na szpilkach, pragnąc czym prędzej czmychnąć do chuderlawego. U chuderlawego poznał innych. Studenci. Praca samokształceniowa. Długie, żarliwe dyskusje po nocach. Kursy, referaty, zbiórki. Zazdrościł im. Chciało mu się jak najprędzej samemu zanurzyć w ten nieznan, pociągający świat.

Po kilku miesiącach oswoili się z nim, rozgryźli go, zaczęli obdarzać widocznym zaufaniem. Któregoś dnia chuderlawy zaproponował:

– Chcecie przygotować referat o roli misjonarzy chrześcijańskich, jako narzędzia amerykańsko-europejskiego kapitalizmu, w procesie uciemnienia ludów kolonialnych? Temat zdaje się bliski wam i dobrze znajomy. Przeczytacie na najbliższym posiedzeniu naszego kółka.

P'an zachłysnął się radością. Referat namachał wyczerpujący, sążnisty. Niestety, przeczytać go nie miał sposobności. Ojciec Pafnucy zauważył tajemnicze wycieczki. Wyśledził. Za dnia, pod siennikiem, namachał postrzępiony „Manifest Komunistyczny“, upstrzony notatami, oraz referat o misjonarzach. Twarz nalała mu się pąsowym sokiem. Dysząc ciężko, pobiegł truchtem do ojca Dominika.

P'ana wywołano z lekcji. W kancelarii ojciec Dominik, purpurowo-siny, miał w rękach nieszczęsny referat. W pasji nawet słów zapomniał, tylko nieartykułowany syk:

– Precz, parszywa owco!

P'an spokojnie:

– Proszę zwrócić mi książkę! Niech ksiądz nie waży się drzeć!

– Ja ci pokażę, znajduchu! Ściągnąć mu portki!

Dwaj stróże chwycili P'ana pod pachy. Trzeci momentalnie zdarł spodnie. Powalili go na ławę. Jednemu podrapał mordę. Przywołali do pomocy woźnego. Bili naprzemian dwiema trzcunami. Ojciec Dominik pokrzykiwał:

– Ja cię, żółty diable, nauczę wdzięczności!

Skatowanego cisnęli go na podłogę.

– Ściągaj koszulę! Wszystko! Trzewiki! Wszystko nasze! Z naszej łaski!

Kalesony! Wszystko ściągaj!

Ściągnęli. Pozostawili go na podłodze nago. Stróż Wincenty wyszperał, nie wiedzieć skąd, podarty chiński chałat – łachmany.

– Na, włóż!

Włożył. A wewnątrz wszystko w nim bulgotało. Podchwycili go pod rękę.

– Precz!

Szarpnął się. Chciał uderzyć. Wykręcone ręce zatrzeszczały w stawach. W bezsilnym zapamiętaniu tak plunął w gębę ojcu Dominikowi, że świątobliwy ojciec zapiszczał, zatupał nogami; ocierając twarz, powalał całą sutannę.

Zwlekli na dół po schodach, przez ogród, rozwarli na oścież furtkę, z rozmachem cisnęli go na ulicę. Upadł pośrodku jezdni. Furtka zatrzasnęła się z łoskotem.

Podszedł policjant:

– A ty co tu robisz?

Podniósł się i, wstydliwie otulając przeświecające przez łachmany ciało, bocznymi ulicami powłókł się do chuderlawego.

Chuderlawy skrajem ręcznika obmył mu krwawiące pręgi. Wygrzebał z szuflady parę bielizny, z kąta jakieś stare, wytarte ubranie. Pomógł mu się ubrać. Zatrzymał na noc u siebie.

Po paru dniach P'ana zainstalowano: na angielskiej przędzalni, jako niewykwalifikowanego robotnika. Od ósmej do ósmej. Płaca – dwa „mejsy“ dziennie. Za to nawet samym ryżem wyżyć niepodobna. Wyszukano mu nocleg. Dalej już – radź sobie sam.

Na robotę szedł rażno, z zapalem. Tam zetknie się nareszcie twarzą w twarz z prawdziwą rzeszą robotniczą, z uszlachetniającą pracą mięśni. Pójdzie przebijać kilofem wysiłku w szczelnej, bezimiennej masie ludzkiej podziemne tunele organizacji.

O ósmej wyszedł z fabryki ogłuszony i posępny. W gardle podskakiwał mu niedorzeczny, napęczniały krzyk. Nie, tego nie był sobie nawet w stanie wyobrazić. Czymże wobec tego są książki, oswojona nędza, głód, abstrakcyjne tabele statystyk? Tu po raz pierwszy, rozszerzonymi przerażeniem oczyma zmierzył całą otchłań ludzkiej niedoli, pohańbienia, cały bezmiar prostej człowieczej męki.

W fabryce panowało nieznośne gorąco, i ludzie pracowali do połowy nędzy, ociekający potem. Pomiędzy maszynami, po sali, spacerowali biali majstrowie z batami w rękę, i bat co chwila wznosił się ze świstem, jak wąż, nad zgarbionymi plecami nieopatrnego robotnika i spadał z żalonym jękiem. Na zgiętych grzbietach występowały czerwone krechy, jak znaki odrobionych godzin, a pot w tych miejscach zabarwiał się na czerwono. Połowę z górą robotników stanowiły kobiety i dzieci, nieraz poniżej lat dziesięciu, a po ich stężałych od wysiłku twarzach strumieniał się pot, wielki, jak łyzy, jak niepojęte, straszne krople, którymi ociekają czasem bezradne, zdziwione oczy katowanych zwierząt.

Olbrzymie maszyny, podobne do potwornych dwugłowych smoków, łykały szare kłęby pakuł, brudne jak dym, aby za chwilę wypluć je ciągliwą śliną długich włókien, nawijanych w okamgnieniu na wirujące baki szpułek. Następnie

żelazne palce po raz setny chwytaly, rozplatywały te włókna, rozciągały je w nieskończoność cienkimi nićmi i nici, napięte do jęku, rwały się z trzaskiem w powietrzu, chwytane i sprzęgane w locie błyskawicznym supłem przez żywe palce robotnic. Wówczas z oślinionej paszczy maszyny do spluwaczek olbrzymich koszów leciały bryzgami szpulki, i naładowane szpulkami kosze zabierali gdzieś, w mgłę, nadrywający się pod nadmiernym ciężarem kruchonodzy chłopcy.

Pod wieczór, kiedy ruchy opadłych z sił, stępiątych ze zmęczenia ludzi stawały się powolniejsze i urywane, jak odporne obroty nienaoliwionych kół, krechy apokaliptycznego czerwonego ołówka kolejno znaczyły uszeregowane grzbiety, jak gdyby rozwścieczony mistyczny cenzor zabrał się do wykreślenia, jednego za drugim, z księgi wszechstworzenia bezradnych wierszy istot ludzkich.

W powietrzu zawisł tuman puchu, i w puchu tym, jak w obłokach gryzącego dymu, obnażone postacie ludzkie drgały w ujadaniach kaszlu, jak wijące się w pośmiertnych skurczach ciała potępieńców na obrazkach z katechizmu.

Tak, średniowieczni malarze tak właśnie wyobrażali sobie piekło, tylko że w ich piekle nie było, zdaje się, dzieci, albo, być może, wyrafinowany bóg chrześcijański, któremu obrzydło już torturowanie dorosłych, stworzył od tego czasu nowe, specjalne piekło dla dzieci, a księży zataili ten dogmat przed wierzącymi.

Wracał do swej jamy, jakby napalił się opium, z chaosem w głowie i ołowiem zmęczenia u podszew.

W noc śniły mu się pręgowane grzbiety, wykrzywione męką usta, oczy rozszerzone przerażeniem i nieludzką tęsknotą, wśród kłębow dławiącego dymu. Potem poprzez dym przebijać się jęły czerwone języki ognia, wszystko buchnęło oślepiającym płomieniem, i wśród języków płomieni biały dziobaty majster z suszarni, z dwoma harapami w rękach, tańczył taniec węzów. Wreszcie wszystko to rozpuściło się w potokach bezładnej bzdury, które na rozpalony jak czerwona głównia mózg wyrzucać zaczęły miarowe pompy snu.

Po miesiącu wżył się, przywykł. Od razów, kaszlu i wycia, od gryzącego tumanu puchu nie kręciło mu się więcej w głowie. Oczy, zza kraty rzęs, patrzyły spokojnie i surowo. Zabrał się gorliwie do pracy: organizować kółko. Było to niesłychanie trudne. Za dnia niepodobna zamienić z nikim słowa. Każdy krok – wymierzony i przewidziany. Wieczorem, po pracy, padający ze zmęczenia robotnicy słuchali, nie rozumiejąc.

Próbował zagadywać w dni świąteczne. Starsi robotnicy bojaźliwie spojrzeli na niego spode łba. W fabryce obawiali się nawet westchnąć głośniejszej. Za lada słowo, co dopiero za jawny opór – wypędzano precz. Jakże w takich warunkach myśleć o sprzeciwie? Unikali go i obserwowali z obawą: ani chybi ściągnie jaką biedę.

Mimo wszystko, pod koniec drugiego miesiąca, udało mu się sklecić niewielkie kółko młodzieży. Praca szła opornie. Wśród młodzieży – większość

analfabetów. Urządził wieczorne kursa elementarne. Przychodziło niewielu. Po dwunastu godzinach wyczerpującej pracy oczy kleiły się do snu. Trudne litery nie przenikały do głów zac zadzonych dymem zmęczenia. Jak tu takich uczyć? W niemocy opadały mu ręce.

Wśród młodzieży znalazł niespodzianie dzielnego pomocnika. Szesnastoletnia szpularka, Czen. Niepospolicie inteligentna dziewczyna. Uczyła się pilnie. Wyprzedziła wszystkich. Żarliwie agitowała wśród koleżanek. Wciągnęła do kółka kilkanaście robotnic.

Bardzo spodobała się P'anowi. Wypytywała szczegółowo o wszystko. Chciwie zapamiętywała. Pytania stawiała rzeczowe, niedziecinne – przemyślane i ścisłe. Skośne, rozumne oczy spoglądały łagodnie i otwarcie.

Kiedyś, wracając z fabryki, opowiedziała P'anowi swą niedługą historię. Pochodzi ze wsi. W domu było ich trzynaścioro, a ziemi za ledwie dwa „mu“. Ciężko. Gdy miała trzynaście lat, ojciec sprzedał ją staruchowi. Uciekła. Pieszko przywędrowała do miasta. Pracowała w japońskiej fabryce; płacili mało, nie można było wyżyć. Teraz pracuje tu, jako szpularka. Ciężko, ale zawsze lepiej.

P'an dotychczas dziewcząt nie spotykał. U ojców lazarystów nie miał po temu sposobności. Lecz nieświadomie zwykł nimi pogardzać: niewolnice, samki, nic więcej. Odbijały się w tym wieki upośledzenia, spadek pokoleń. Słowo „kobieta“ – wyzwiskiem.

W tej uderzała dziecinna, niepokalana łagodność, wnikliwy, niedziewczęcy umysł, chciwa żądza poznania, świadoma, niepojęta w takim miniaturowym ciele wola walki.

Wieczorami rozmawiali długo, zapominając o posiłku i zmęczeniu. Powróciwszy ze zbiórki do swej nory, wyciągnięty na sienniku, P'an wspominał słowa łagodne i proste, oczy rozszerzone ciekawością i w myśli powtarzał: droga moja! Złapał się na tym sam. A to co znowu? Kocha? Ca za śmieszne słowo! I cóż to jest miłość? Stosunek płciowy i dzieci? Nie, to nie to. Co innego. Po prostu – dobry, miły towarzysz. Ale czuł dobrze: nie, też nie to! I, starając się nie myśleć, czym prędzej zasypiał.

Pewnego razu, wieczorem, po skończonej pracy (miał właśnie wolny wieczór), P'an przystanął przed wyjściem dla robotnic. Rozproszyły się ostatnie. Najwidoczniej przeoczył. Czen prawdopodobnie zajęta. Uczyła teraz kilka robotnic. Powlókł się do domu: popracuje sam. Czasu po nocach nie tracił.

Tymczasem w fabryce, wychodzącej Czen, w wąskim korytarzu, zagroził drogę dziobaty, barczysty majster. Czepiał się i napastował ją już od dawna. Teraz nie zdążyła krzyknąć, zatkał jej usta szeroką kosmatą łapą. Zaciągnął szamoczącą się dziewczynę do swej komórki. W bezsilnej rozpaczycy ugryzła go w nos. Ciosem pięści między oczy ogłuszył ją, jak konia. Powalił na podłogę i zgwałcił bezprzytomną.

Wyszedł ocierając chustką ukąszony nos.

W kilka dni potem P'an spotkał się z Czen na zebraniu kółka. Zdziwiła go zaszła w niej zmiana. Maleńka i tak, zdawała się teraz jeszcze mniejsza, jak

gdyby wyciągnął ktoś z wewnątrz podtrzymującą ją podpórkę. Oczy szerokie i zdziwione, jak oczy skrzywdzonego dziecka, dawniej otwarte i śmiałe, teraz unikały bojaźliwie jego wzroku.

Podszedł do niej po skończonym zebraniu, zapytał, co jej jest, czy nie chora. Uśmiechnęła się żałośnie. Trudno byłoby określić: uśmiecha się, czy zaraz gotowa zapłakać. Bąknęła, że ją boli głowa.

P'an zaniepokoił się. Przemęczona. Zrozumiałe. Skądże takie dziecko może podołać takiej piekielnej robocie?

Od tego dnia spotykali się rzadko. Jedynie na zebraniach kółka. Uczyła się pilnie po dawnemu. Ale widać było, że coś się w niej załamało. Próbował zagadnąć. Wymawiała się nieśmiało. Zmęczona. I śpieszy się. Ma teraz własne małe kółko robotnic. Nie można się spóźniać – wszyscy są przemęczeni. Więcej niczego nie mógł z niej wydobyć.

Aż tu nagle – wielka nieoczekiwana radość. Przyniosły ją gazety. W Rosji – rewolucja robotnicza. Władza w rękach rad. Na czele – komuniści. Oby się tylko utrzymali! Robotnicze państwo socjalistyczne w sąsiedztwie – co za potężny sojusznik! Myśląc o tym, łatwiej było pracować, znosić porażki, upośledzenie, miażdżący, nieludzki ucisk.

Mijały miesiące.

W fabryce robota posuwała się szybko. Były już trzy kółka ze starszych robotników. Do pomocy nie miał nikogo. Wszystko – sam. Nadażał z trudnością. Własne studia na czas jakiś musiał zarzucić.

I mimo wszystko, po nocach, gdy pozostawał sam, tęsknił potajemnie do dawnych rozmów z Czen, do jasnych, dowierzających oczu, do miękkiej egzaltacji jej głosu.

Raz, wieczorem – minęło już niepostrzeżenie kilka miesięcy – wychodząc, spostrzegł na podwórzu zbiegowisko robotników. Podszedł i zapytał, co się stało.

– Szpularka utopiła się... W studni...

Drgnął. Roztrącając ciekawych, przecisnął się bliżej. Serce waliło na alarm. Poznał z daleka. Leży maleńka, ze zsiniałą, obrzękłą twarzyczką; w półotwartych oczach – dziecinny przestach.

Do późna w nocy wałęsał się po ulicach, wstrząśnięty do głębi, na próżno usiłując rozwiązać przejmującą mrozem zagadkę. Co mogło się stać? W jaki sposób mógł tak niczego nie zauważyć, nie zaopiekować się, nie powstrzymać?

Późno nocą powrócił skołatany do swej komórki. W komórcie na stoliku – list. Otworzył drżącymi rękoma.

– *Najdroższy! Nie potępiaj. Dziobaty biały diabeł zhańbił mnie. Zaraził złą chorobą. Jakże tu żyć? Gdybym ci się przyznała, byłbyś go może zabił. A tak – nie minie go kara. Napisałam władzom, że to z jego winy. Tak się boję umierać! Jedyny mój, najdroższy! Kocham...*

P'an zawrzał. Rzucił się ku drzwiom. Na progu zatrzymał się. Dokąd? Zabić dziobatego? Tak czy owak – trzeba czekać do rana. Przycupnął na worku,



nie rozbierając się. Myśli sadyły jedna przez drugą. A wewnątrz – fizyczny, żrący ból.

Stopniowo z chaosu wynurzyły się myśli prawidłowe, ściśle.

I cóż tu dziobaty? Pionek. Kółko olbrzymiego mechanizmu. Zabić jednostkę? Nonsens! Skoro dąb zasłania słońce, cóż pomoże zerwać żołądź? Trzeba zrąbać pień. Podkopać korzenie. Runie – wszystkie żołądźce posypią się na ziemię. Byle wytrwale podrywać dalej! Nie ustawać w pracy. Stać się samemu toporem. Odszlifować nienawiść, jak ostrze, czuwać, by się nie stępiła!

Rozżarzoną igłą bólu powróciła myśl o Czen. Małeństwo! Taka roztropna! O wszystkim chciała wiedzieć, a nie wiedziała o takiej prostej rzeczy, że tylko Chińczycy karzą winowajców samobójstwa. Chińskie prawo białych nie dotyczy. Biali sobie z niego kpią. I komuż przyjdzie do głowy karać mordercę małej Chinki?

Do rana przesiedział w kucki.

Rano stawiał się na robotę sztywny, oschły, powszedni. Wieczorem, na zebraniu kółka, objaśniał dosadnie, rzeczowo odpowiadał na pytania i, czując dziesięć par utkwionych w nim skośnych oczu, twardo stawiał kropkę:

– Śmierć ciemieżcom!

\*

Pod jesień udało się zorganizować w fabryce pierwszy odpór. Robotnicy wysłali do zarządu fabryki delegację. Podwyższyć zarobki. Znieść karę cielesną. Dzieciom i kobietom za równą pracę – równa płaca.

Delegatów obito i wyrzucono z fabryki. Robotnicy odpowiedzieli strajkiem. Zarząd stracił głowę. Wezwano oddział wojska. Wojsko obsadziło fabrykę. Policja przystąpiła do likwidowania podżegaczy. P'an Tsiang-kueja wraz z kilku innymi robotnikami aresztowano i odstawiono na policję. Na policji aresztantom zdarto z nóg buty i bito bambusem po piętach do utraty przytomności. Zemdlonego P'ana wtrącono do osobnej celi.

Zbiegł. Do razów przywykł od dzieciństwa. Nie przerażały go. Jak kot, rzucony o ziemię, nauczył się padać na łapy. Podobnie i teraz: przesadziwszy wysoki mur, otrzepał ubranie i, jakby nigdy nic, pomaszerował do komitetu dzielnicowego.

Potem – twarze, fabryki, miasta... Obrazy gonią obrazy, jak w rozpędzonym filmie. Wszystkiego utrwalić niesposób. Kółka, mityngi, strajki, demonstracje, więzienia. Ciało na piętach odbito mu do kości. Przeleżał dwa miesiące. Dwa wyroki śmierci. Dwie ucieczki.

Wstąpił do partji Sun Yat-sena. Rozejrzył się. Kuomintang roił się od nacjonalistycznie usposobionej burżuazji. Odebrać cudzoziemcom przywileje, zmusić ich do rewizji niekorzystnych traktatów. Poza tym – wszystko po staremu. Cóż łączy z nimi P'ana? Na razie jedno – wspólny wróg, imperialiści. Trzeba

wykorzystać przeciw nim, kogo się da. Do czasu – sojusznicy. Potem – zobaczymy. Przepędziwszy cudzoziemców, można będzie zabrać się i do tych. Najważniejsze – wzmocnić bezpośredni kontakt z masami robotniczymi. Pracował, nie pokładając rąk.

Studia zmuszony był zarzucić. Jedyne luksusy – gazety. Rzadko kiedy dodawały otuchy. Częściej niepokoiły. Na Zachodzie coś się gmatwało. Ententa pokonała Niemcy. Rewolucję robotniczą zdławili swoi, „socjaliści“. Też widocznie coś w rodzaju niemieckiego Kuomintangu. Zwycięzcy w koncesjach odtrąbili zwycięstwo triumfalnym wyciem. Tylko patrzeć, posypią się znów, zatopią powalone bez walki Chiny drapieżnemi chmurami nowych, wiecznie niesytych poszukiwaczy złota.

Zlecieli się. Jeszcze czelniejsi, jeszcze butniejsi, jeszcze bardziej krwiożerczy. Zamęczone Chiny powitały ich cichym, żalonym jękiem. Ale u dołu już bulgotało. Pierwsze nieśmiałe wybuchy – głuche, oddalone grzmoty nadciągającej burzy.

W Chinach stawało się coraz ciasniej. Po piętach, jak charty, uganiali się na prześcigi biali i żółci szpiedzy. Trzeba było przemykać się nocami, myszkować po zakamarkach, jak niegdyś, w dzieciństwie, kiedy szukał zapadłej dziury na nocleg. Pracować było coraz trudniej. Ze zmęczenia i niesypiania kleiły się oczy, ćmiły osmagane pięty.

Pomoc nadeszła nieoczekiwanie. Wystarali się o nią przyjaciele. Kuomintang odkomenderował go wraz z grupą studentów na studia do Europy.

W duszny, upalny wieczór, kiedy obładowany okręt kołysał się ociężale na zgarbionych, ociekających pianą grzbietach fal, jak olbrzymia, nieporęczna szafa – na uginających się od wyteżenia plecach tragarzy, P’an Tsiang-kuei po raz ostatni ogarnął wzrokiem z pokładu uciekające kontury ojczyzny. Gardło ścisnęło mu żal. Chiny odpływały w mrok, jak olbrzymia galera popędzana w dal miarowymi uderzeniami niewidzialnych wiosł. Zdawało się, że w ciszy wieczornej zabrzmiała lada chwila stłumione, przeciągłe wycie skośnookich wiosłarzy, szcęk łańcuchów, świst wzlatującego bata białego poganiacza. Na wschodzie – czarna smuga nocy. P’an w rozterce oparł się o burtę. Dokąd płynie ten nieszczęsny kraj? I długoż płynąć ma tak jeszcze w mroku? I czy wypłynie kiedykolwiek na wolny, słoneczny przestwór, czy też nigdy nie sążone mu jest oglądać wytęsknionego słońca, które nieforemną kulą wyszywają po nocach w udręce wychudłe robotnice na białych sztandarach Kuomintangu?

Do Europy przyjechał nastroszony, czujny, jak niegdyś w dzieciństwie, gdy wpełzał po kość do bud najniebezpieczniejszych psów. Czuł, że wpełza do nory wroga, aby unieść stamtąd strzeżoną przez niego zazdrośnie, najcenniejszą kość – wiedzę. Wróg to daleko gorszy i groźniejszy od rodzimych. W porównaniu z nim swojski opasły chlebobawca wydawał mu się zawsze przylgniętą do jego ciała niezdarną pijawką, którą wystarczy oderwać i odrzucić. Już tam, w Chinach, z dojmującą odrazą czuł całym naskórkiem tysiące innych przylepionych do niego ssawek. Tych niepodobna było zwyczajnie oderwać; nieskończonymi nićmi

drutów telegraficznych biegły od nich długie i gibkie macki, opasujące połowę kuli ziemskiej i gubiące się gdzieś w niezbadanych kamiennych dżunglach obcego kontynentu. Po latach marzeń dziecięcych, zaczarowany morski Mer Cedes zaniósł go nareszcie do tajemniczej kryjówki.

Pogrążając kolejno kliszę swej świadomości w odczynnikach coraz to nowych stolic, P'an Tsiang-kuei doznawał uczucia człowieka, który, chcąc uchronić się przed zarazą, zaszczepił sobie jej surowicę i czuje, jak po arteriach jego pędzą napęczniałe, wściekłe bakterie i wystraszony organizm, jak puszczone w przyspieszonym tempie maszyna, wyrzuca seriami tysiące przygotowanych na poczekaniu antytoksyn.

Zresztą zdobycze kultury europejskiej, olśniewające niegdyś umysł dziecięcy, nie oślepiły już przyzwyczajonych, zwężonych z natury oczu, przypatrujących się wszystkiemu uważnie i surowo, oceniając to, co istotne i rzeczowe i przekreślając nieprzydatne jednym zamachem rozcapierzonego pędzla rzęs.

Po małym chłopcu, który postanowił przeczytać pok olei wszystkie książki w bibliotece ojców lazarystów, pozostało mu w spadku nieugaszone pragnienie: poznać absolutnie wszystko, opanować do podstaw cały złożony aparat obcej kultury.

Uczył się z pasją, łykając książki haustem; przeczytane odrzucał, jak łupinę. Jak lunatyk po gzymsie sześciopiętrowego gmachu, przeszedł, nie poślizgnąwszy się, po cienistych korytarzach wszystkich uniwersytetów Europy.

Wiezorami, unikając gwarnych bulwarów, lubił zapuszczać się w odległe dzielnice robotnicze, oświetlone skąpo rzadkimi ognikami latarń; wsiąkając w mętny, wyświechtany tłum – wpatrywać się w wychudłe, kanciaste twarze, pożółkłe od nędzy, z wysterczającymi kośćmi nad jamami policzków.

W wyniszczonej, szarej twarzy woźnicy majaczył migot szprych i bosych pięt zajeżdżonego rikszarza, biegnącego w tej chwili gdzieś po skwarnych zaułkach Szanghaju. Uginający się pod ciężarem przytłaczającego worka tragarz ociekał żółtym potem chińskiego kulisa. Opuchłe, wyleniałe powieki kobiet, zataczających się pod brzemieniem omotanego w szmaty niemowlęcia, zwężyły ich oczy do skośnych szpar.

P'an Tsiang-kuei ujrzał tu po raz pierwszy to, o czym szeroko i mądrze rozpisywały się przeczytane książki, że oprócz ojczystych Chin, z fasadą na Morze Żółte, są jeszcze inne Chiny, międzynarodowe – wszędzie, gdzie gną się plecy, tężeją z wysiłku szczęki, zwężają się nienawiścią szczeliny oczu i zasiada wypasiony, majestatyczny chlebobawca.

W mijanych miastach, występując jako delegat na mityngach miejscowych organizacji robotniczych, jak lasso nad rozfalowaniem morzem głów, rzucał porywający zew międzynarodowej solidarności.

Z daleka, z odległej, migocącej zarzewiem Moskwy, czerwonymi pryskami leciały nad światem rozżarzone słowa Lenina; jak pełgające żuźle padały na skopane, udeptane stopami zwycięskich armii pokłady świadomości klasowej

uciśnionych mas i ludów. Ziemia pod nogami drżała od wewnętrznych wybuchów, od nagłych obsunięć i wspanięć przebijających się na zewnątrz pokładów. Wiadomości z Chin przychodziły urywane i niejasne, jak spłoszone stada ptaków, nadleciałe ze wschodu, trwożne zwiastunki nadciągającej nawałnicy.

I wreszcie stało się. Rozpalony do białości kocioł pękł pod histeryczny wrzask wstrząśniętych parlamentów i żaloszny lament depesz. Z kotła, wzburzoną lawą, zatapiając po drodze wszystko, chlusuły nieprzebrane żółte kolumny; spiętrzona, nieokiełzana fala wszechświatowego przypływu. Czerwone słońce Kuomintangu z sierpem i młotem i gwiazdą pięcioramienną. Triumfalny pochód na północ. Po drutach telegraficznych, wyprzedzając pociski, leci skrzydlate słowo: zwycięstwo!

Od potężnego wybuchu po całym świecie rozprysnęły się odłamki, wkrótce doleciały i do Europy. Malutcy biali ludzie z walizkami. W oczach – nieprzetrawiony jeszcze strach i zdumienie. Zamiotali się wylekłe po całym kontynencie. Nad bulwarami, uciekające w popłochu ogromne błyszczące litery gazet świetlnych, podcinane chłoszczącym wichrem depesz, ułożyły się w jedno szorstkie, kolczaste słowo: „interwencja“.

P’an Tsiang-kuei na pierwszą wieść o rewolucji drgnął, zatrzasnął niedoczytaną książkę, chciał biec na dworzec. Nie puszczono go. Kazano mu pozostać na posterunku, rzucić studia, wzmacniać kontakt z miejscowymi organizacjami robotniczymi, szykować odpór proletariatu europejskiego przeciw zbrojnej interwencji imperialistów.

Uległ. Rozumiał: punkt ciężkości walki leży nie tam, lecz tutaj. W Londynie, w Paryżu. W nadymionym gabinecie Foreign Office, w salonach Quai d’Orsay. Stąd do sztabów armii nieprzyjacielskich biegną cieniutkie nici: franki, funty, instrukcje, stalowe pływające gmachy – pancerniki. Przetraćć grzbiet wroga jednym uderzeniem w stos pacierzowy, naciągnięty cienkim kablem telegraficznym pomiędzy Londynem a Paryżem, złamać go naporem własnych, białych mas robotniczych, zorganizowanych pod sztandarem obrony Rewolucji Chińskiej w imię świetlanego hasła wszechświatowej solidarności uciśnionych!

Zamiast zacisznych bibliotek i chłodnych laboratoriów, znów duszne, przepełnione sale, mityngi, konferencje, demonstracje, płomienne artykuły na wyrwanym z notesu świstku papieru, czadne kołyszące wagony, mieszkania, noclegi, troskliwy nadzór policyjny. Wysiedlono go z Londynu. W Paryżu, na schodach, w tramwaju, w kawiarni – badawcze, wypatrujące oczy. Zamęczyły go na śmierć. Tradycyjne chowanki w metrze, wśród wejść, wyjść, korytarzy. Zmylił ślad. Tak mijały tygodnie, miesiące, rok.

Nareszcie urlop. Pozwolono mu pojechać do Chin. Znowu kołysał okręt unoszony na muskularnych barach fal, jak mówca – na barach rozentuzjasmowanego tłumu. U brzegów Chin zagroziły mu drogę posępne wieże pancerników, obserwujących brzegi przez długie lunety dział. Ponurym cieniem zamroczyły słoneczny dzień marcowy. Lecz brzegi kąpały się w słońcu, i

na brzegu, zatknięty wysoko nad piramidą stłoczonych gmachów, trzepotał jaśniejący sztandar Kuomintangu. Na widok jego P'an rozchmurzył się.

Szanghaj spotkał go pożarem, rozpaczliwym biciem w bębny, alkoholem musującego tłumu, lamentem syren, krzykiem i bełkotem. Wykurzeni z mieszkań, oszaleli z przerażenia ludzie, boso i w bieliźnie, jak widma, skakali poprzez główne, aby za chwilę zniknąć bez krzyku w bulgocącym, żółtym nurcie tłumu. Odświętnie ubrani rykszowie obnosili triumfalnie na odłamanych dyszelkach nadziane na nie głowy wczorajszych pasażerów.

Zaszedł na posiedzenie Zebrania Delegatów. Mowy tętniły zwycięstwem, odurzały mocniej od najteższego wina ryżowego. Większość stanowili lewi kuomintangowcy i komuniści. Uzbroić robotników. Uformować rząd tymczasowy z lewych. Cała władza – delegatom! Delegaci-nacjonałiści protestują przeciw uzbrojeniu drużyn robotniczych. Wyszli obrażeni. Figa! Lepiej jeszcze poskaczą!

Po Szanghaju – Nankin. Wojska szanduńskie cofają się w popłochu. Na ulicach – nieprzejrzone, odświętne tłumy, wylały, potoczyły się, prą. Przypieкло słońce i nagle z łoskotem ruszyły lody; zdaje się, że za chwilę, porwane wartkim prądem tłumu, oddziela się od ziemi, popłyną niezdarnymi krami domy, pałace, pagody; popędzą, zderzając się i kołując, ku otwartemu ujściu – ku zwycięstwu. Słońce – na rozwiniętych skrzydłach sztandarów, w rozszerzonych zachwytem źrenicach, w nieśmiałej wiosennej zieleni drzew, w szczebiocie pijanych ptaków; na fasadach, na twarzach – złota słoneczna sadza.

Wtem...

Głuchy łoskot. Co to? Pierwszy grzmot zbliżającej się wiosennej burzy? Nad zdumionym tłumem z trzaskiem pękł pocisk. Rozpaczliwy kołowrót i krzyk. Kłębowisko ciał, nagły, wściekły odpływ. Zagrodzono rzekę i wezbrane fale chlusnęły zpowrotem, naprzebój. W powietrzu – dymiące rakiety pocisków. Ostrzeliwiają miasto! Kto? Szanduńscy? Nie, nie szanduńscy.

Nadbiegli pierwsi obłądzeni gońcy.

– Kanonierki! Desant! Wojska amerykańskie i francuskie wysiadają na brzeg!

Wszystko zakotłowało. Pociski nad miastem szybowały, jak meteory. Na prawo, na lewo – łomot walących się gmachów i czerwone fontanny płomieni. Bezbronny tłum miota się wśród padających ścian, jak oślepy tabun zamknięty w płonącej stajni.

Dopadli go rozczochrani, zachrypnięci ludzie:

– Wszyscy do arsenału, po broń!

P'an Tsiang-kuei nie stracił głowy. Wyrwawszy pierwszemu z brzegu ogłupiałemu żołnierzowi z rąk karabin, na czele dziesiątka ludzi popędził w kierunku portu. Po drodze ze wszystkich stron zbiegali się już grupkami uzbrojeni robotnicy i żołnierze, odstrzeliwując się w biegu. Na wybrzeżu – potyczka. Zdażyli z odsieczą. Gąszcz ludzki. Ciasto. P'an z rozpędu prasnął w elastyczną niebieską masę. Karabin trzasł. Angielski marynarz zamierzył się na P'ana bagnetem. P'an wywinął się. Pięścią – w golony kark. Zakrwawiona twarz

marynarza ugrzęzła na zamku karabinu. P'an wyrwał broń. Na zamku czerwona miazga. Schwycił za lufę. Kolbą – na odlew po białych krochmalonych czapeczkach. Jak drwał oczyścił dokoła siebie przestronną polanę. Nadbiegli swoi. Marynarze – w rozsypkę, po kamiennych stopniach nadbrzeża. Ale z tyłu napływali już nowi. Na bulwarze – nowa utarczka. Skacząc przez ciała, P'an pospieszył w tę stronę. Nagle potknął się. W oczach – płaty, czerwony wir.

Runął lekko, bez krzyku, wyprostowany i elastyczny, jak spadający z trapezu akrobata na rozciągniętą w dole kamienną siatkę nadbrzeża.

Ocknął się trzy tygodnie później, w brudnym szpitalu wojennym, prześmierdłym jodoformem i mocnym żołnierskim potem. W piersiach – rozpalona igła.

Lekarz pocieszył go:

– Myśleliśmy, że się już nie wyliczecie. O jeden centymetr poniżej serca.

P'an spytał o wiadomości. Ogłuszyły go, jak cios. W Kuomintangu – rozłam, zdrada. Prawi zwąchali się z imperialistami. Zdrajca Czang Kaj-szek rozpoczął w tych dniach krwawy rozgrom organizacji robotniczych w Szanghaju i Kantonie. Hasło – walka z komunizmem. Wszędzie masowe rozstrzeliwania i rzezie. Nankin na razie jeszcze się trzyma, ale w nowym Kuomintangu – swary. Lewi kuomintangowcy są w zмовie przeciw komunistom. Tylko patrzeć, a przejdą otwarcie do obozu kontrrewolucji. I tak dalej. Długa litania niewesołych wypadków, haniebnych imion i dat.

Ze zmęczenia przymknął oczy. Cóż, czyż nie wiedział z góry, że przyjdzie czas i na tych? A jednak nie przypuszczał, że tak prędko. Zresztą tak może i lepiej. Lubił grać w otwarte karty.

Wkrótce wypisał się ze szpitala. Ślaniając się jeszcze na nogach, dał nurka w wir roboty. Teraz – wieś. Nowe dyrektywy. Opanować związki chłopskie. Przyczynić się do rozwoju istniejących organizacji włościańskich. Wciągnąć do organizacji młodzież. Dążyć do rozbicia „mituanej“. Nawiązać bliższy kontakt z „Czerwonymi Pikami“. Wytyczna – rewolucja agrarna. Hubei. Hunan. Lepianki. Podwody. Rozmokłe, nieskończone drogi. Wzdłuż kolein, jak słupy drogowe, gorzkie, przytłaczające daty: Uchan. Nankin. Zdławienie powstania robotniczego w Kantonie. Rozstrzelania. Kaźnie. Lepka, niewinna krew.

Jedyna radość: wrzenie rewolucyjne mas chłopskich wzmacnia się, wzbiera jak fala. Byle nie ustawać! Jak cierpliwy kret podkopywać groble. Chluśnie – zmyje wszystko. Wtedy – odwet.

Podtrzymywała go jeszcze jedna myśl: na północy olbrzymi Związek Radziecki rozpostarł się, zajął szóstą część kuli ziemskiej. Przetrwał interwencje, blokady, lata głodu i rozprzężenia. W pierścieniu imperialistów, sam, o własnych siłach, zapuścił korzenie, rośnie, piętro za piętro, wgórze. Nieodpartymi cyframi statystyk oskarża, upomina, nawołuje: „Trzymaj się! Nie ustępuj! Wznoś! Porażki, ucisk – wszystko to przejściowe! Przed nami – zwycięstwo, przestwór! Nie padaj na duchu!“

Od trudów, niewygód, ponieważ głowa zasnuwała mu się mgłą. Dawała o sobie znać zastarzała rana. Zaniemógł. Odwołano go do centrali. Znowu – w szpitalu. Wyciągnięto starą, zapomnianą kulę. Szybko powracał do zdrowia. W przeddzień wyjścia ze szpitala wręczono mu rozkaz. Odkomenderowany przez kompartię do Europy w charakterze tajnego agenta, jako znający tamtejsze warunki roboty, demaskować miał na miejscu kontrrewolucję.

Wyjeżdżał niechętnie, ale protestować nie próbował. Do Paryża przyjechał pod przybranym nazwiskiem. Rychło wywęszono. Trzeba było znów przemykać się nocami. Zamknięty w małym numerze hoteliku na placu Panteonu, P'an Tsiang-kuei przesunął skazówkę swego dnia powszedniego. Spał w dzień, na miasto zaś wychodził dopiero późno wieczorem, kiedy w żółtawym odbłyску elektrycznych lamp zaciera się zdradziecka barwa skóry, a pod szerokim rondem kapelusza nikną wydłużone szpary skośnych oczu.

W Paryżu, w Dzielnicy Łacińskiej, roi się od nacjonalistycznie nastrojonych studentów. Wślizgnął się niepostrzeżenie. Był małomówny i poważny. Pomału zaskarbił sobie powszechne zaufanie. Do wiosny był już duszą całego ruchu. Żartobliwy przydomek: „dyktator“.

O wybuchu dżumy dowiedział się po raz pierwszy z ust małego boya w hotelu. Instynktownie ucieszył się: nieoczekiwana sojuszniczka. Będzie zabawa lepsza od wszelkich interwencji. Zakorkuje Europę na ładne parę miesięcy – ani okrętów, ani wojsk, ani nabitych funtami waliz. Byle tylko przetrzymała trochę dłużej, póki nasi nie zdążą rozprawić się do cna ze swoimi i z tamtymi!

Przypadkowy zwiastun złowrogiej nowiny, podniósłszy oczy, dostrzegł ze zdumieniem, że kamienna twarz żółtego pana, jak dojrzały owoc, pęka po raz pierwszy szeroką szczeliną uśmiechu. Pochylnemu nad wystraszoną boyem P'an Tsiang-kuejowi wydało się nagle, że w szeroko rozwartych oczach chłopca dostrzega inne oczy, wąskie i skośne, a poprzez kontury jego twarzy, jak przez woal – inną twarz, mongolską, wyszczerzoną gębą dżumy.

Chłopak hotelowy zmarł zresztą tejże nocy, zaraziwszy się dżumą jeden z pierwszych.

\*

W małej chińskiej restauracyjce przegięty przez stół starszy pan ze szpakowatą bródką, obserwujący uporczywie P'an Tsiang-kueja spod okularów, powiedział, rumieniąc się, stanowczym, nieco drżącym głosem:

– Przepraszam pana, że go niepokoję. Mam z panem do pomówienia...

P'an Tsiang-Kuei podniósł oczy z nad talerza i spojrzał ze zdumieniem na obcego pana, usiłując przypomnieć sobie, czy już gdzieś tej twarzy nie widział.

– Nie przypomina mnie pan sobie oczywiście – powiedział starszy pan, nie spuszczając z niego oczu. – Jesteś pan zanadto Chińczykiem, aby rozróżniać twarze Europejczyków. Tym bardziej, że w gruncie rzeczy nie łączyły nas nigdy stosunki znajomości w ścisłym tego słowa znaczeniu. Studiował pan u mnie, na

Sorbonie, bakteriologię i biochemię, będzie temu z jakich siedem lat. Byłem pańskim profesorem. Stosunek nieobowiązujący do zapamiętania. Co innego, jeżeli chodzi o mnie. Obserwowałem was zawsze z ciekawością.

Przyjeżdżacie do nas pewnego ranka i, stojąc jeszcze na stopniach wagonu, nie dotknawszy nogą naszej ziemi, rzucacie się, jak z trampoliny pływalni, głową w dół, w basen naszej wiedzy, żądni przebyć go jak najszybciej wplaw, jak gdyby po tamtej stronie oczekiwała was jakaś czarodziejska, wam jednym wiadoma nagroda. W obce formy myśli europejskiej wciskacie swą niemieszczącą się w nich, odmienną umysłowość z równą pasją, z jaką kobiety wasze wtlaczają swoje okaleczone nogi w ciasne otwory swych chodaków. Mam wrażenie, że gdybyście dowiedzieli się pewnego dnia, iż ludzie o dłuższych nogach widzą rzeczy lepiej, nie zawahalibyście się ani na chwilę obciąć sobie własne nogi i zastąpić je dłuższymi od nich protezami.

Jesteście naszymi najpodatniejszymi, najpilniejszymi uczniami i jednocześnie – najbardziej niewdzięcznymi. Uzbrojeni w siedmiomilowe buty naszej wiedzy, zostawiacie je przed progiem własnego domostwa jak parę pantofli, by pójść dalej boso po wysłanej matami przesądów posadzce tradycji.

Pan byłeś właśnie jednym z moich najlepszych, najgorliwszych uczniów. Oczywiście to jeszcze nie powód, by po tylu latach odnawiać znajomość w tak dalece odmiennych okolicznościach.

Kiedy pewnego dnia zniknąłeś mi pan z oczu, jak tylu innych pańskich rodaków, sądziłem, że drogi nasze nie skrzyżują się już nigdy. Zapomniałem o panu, jak się zapomina o przechodniach, potraconych kiedyś na ulicy, których obraz ulatnia się równocześnie z konwencjonalnym uchYLENIEM kapelusza. Niestety, stało się inaczej. Drogi nasze zbiegły się jeszcze raz i odtąd nic już nie jest ich w stanie rozdzielić, chyba... chyba radykalna amputacja...

P'an Tsiang-kuei przypatrywał się starszemu panu z wzrastającym zdziwieniem:

– Przepraszam pana – powiedział łagodnie – wydaje mi się jednak, że bierze mnie pan za kogoś innego. Jeżeli kiedyś nawet studiowałem pod pańskim kierunkiem na Sorbonie bakteriologię i biochemię – zdaje się, że to istotnie miało miejsce – mogę pana zapewnić z całą stanowczością, że nigdy więcej w życiu pana nie spotykałem.

– Nie potrzebuje mnie pan zapewniać – odparł siwy pan, wzyerając sponad okularów. – Wiem o tym doskonale. Pan istotnie nie spotykał mnie więcej nigdy. To ja pana spotkałem. Spotkałem pana w Nankinie, w roku 1927. Jeżeli pan sobie przypomina, w roku tym w paru prowincjach Chin zanotowano masowe wypadki cholery azjatyckiej. Towarzystwo Bakteriologiczne wydelegowało mnie tam celem przeprowadzenia na miejscu odpowiednich badań naukowych. Pojechałem tym chętniej, że miałem nadzieję zobaczenia się z moim jedynakiem, który w owym czasie wstąpił ochotniczo do jednego z oddziałów desantu; pancernik jego stał właśnie u brzegu Chin.



Wojna domowa, która objęła badane przeze mnie okręgi, zmusiła mnie do szukania schronienia w Nankinie. Miałem istotnie możliwość zobaczenia się z synem, gdyż okręt jego stał na kotwicy u wejścia do portu. Jednakże w parę dni po moim przybyciu w mieście wybuchły rozruchy. Wówczas to ujrzałem pana po raz drugi. Zobaczyłem pana na czele rozjuszonego motłochu, który atakował broniące koncesji wojska desantu. Mało wprawdzie przypominał pan w owej chwili nieśmiałego, pracowitego studenta Sorbony, ale mimo to poznałem pana od razu.

Angielska koncesja, w której znalazłem przytułek, została złupiona przez cofających się żołnierzy chińskich, a nas, rozbudzonych, w białiznie, ewakuowano pospiesznie na oczekujący w przystani angielski krążownik, pod eskortą oddziału wojska. W liczbie oficerów jednego z tych oddziałów był również i mój syn. Z wyteżoną uwagą obserwowałem przez lunetę z pokładu przebieg rozwijającej się bitwy. Widziałem, jak z zaułków miasta chińskiego runął rozbestwiony tłum, zalewając całe nadbrzeże. Na czele tłumy biegłeś pan. Pod naporem zdziczałej czerni żołnierze nasi zaczęli się cofać. Wtedy ujrzałem mojego chłopca. Biegł z rewolwerem w rękę, zatrzymując uciekających i zmuszając ich do powrotu. Nacierала nań rozwścieczona tłuszcza. I wtedy zobaczyłem, zobaczyłem na własne oczy, jak pan pierwszy doskoczyłeś do niego i rozmiądzyleś mu czaszkę kolbą karabinu.

Straciłem przytomność i przeniesiono mnie do kajuty.

Od tego czasu pozostałem zupełnie sam. Jednym uderzeniem odebrałeś mi wszystko. Nauka, która była dotąd moim jedynym powietrzem, stała mi się nienawistną. Ilekroć próbowałem zasiąść do pracy, zawsze stawał mi przed oczyma obraz mojego chłopca i nie byłem w stanie napisać ani jednej litery...

Uwzględniając moje zasługi na polu nauki, emerytowano mnie, jak niedołęznego starca, pozostawiając mi z łaski pensję profesorską. Jestem nikomu niepotrzebnym szczurem, żerującym na padlinie własnej wieloletniej pracy.

Przez lata te, siedząc sam jak kret, w ciemnym pokoju, wiele i często myślałem o panu. Długo, po nocach, szukałem kładki – od pracowitego studenta Sorbony, płonącego pobożnym podziwem, niemal żarliwą miłością do naszej wielowiekowej kultury i wiedzy, składającego na jej ołtarzu nakrochmalone kwiaty swego zapału, do rozbestwionego Azjaty, masakrującego w dzikim opętaniu nienawiści niedawnych nauczycieli i gościnnych gospodarzy. Wałęsając się wieczorami po uliczkach i wypatrując zza rogu wychodzących z Sorbony skośnookich studentów z kajetami w rękę, usiłowałem wyczytać na ich twarzach tajemnicę tej nienawiści. Ale twarze ich były uśmiechnięte i sztywne jak maski.

Jednego wieczora zaszedłem do kolegi, rektora Sorbony i w długiej rozmowie starałem się go przekonać, że kultura europejska, przeszczepiona na grunt azjatycki, jak bakteria, przeniesiona w inne środowisko, staje się dla Europy zabójczą; że Europa, oświecając nieopatrnie Azję, gotuje sobie własną zagładę. Dowodziłem mu, że należy, nie tracąc ani dnia, zamknąć uniwersytety

europiejskie dla Azjatów. Wziął mnie za wariata i, skierowawszy rozmowę na inne tory, troskliwie odprowadził mnie do domu.

Z czasem konkretny obraz pański zatarł mi się w wyobraźni i, godzinami siedząc z zamkniętymi oczyma, na próżno usiłowałem go sobie odtworzyć. Twarz pańska prześliznęła mi się gdzieś, przez sito pamięci, zostały jedynie skośne, zwięzione oczy i wystające kości policzków, jak szablon, którego luki należy samemu wypełnić.

Aż raz, wieczorem, zetknąłem się z panem na ulicy twarzą w twarz. Poznałem pana od razu. Szedłeś pan szybko przed siebie i nie zauważyłeś nawet, że zatrzymałem się na twojej drodze, jak wryty.

Przez całą noc rozmyślałem nad różnymi sposobami zemsty, która narzucała mi się sama. O świcie, nie mogąc doczekać dnia, udałem się na policję i kazałem pana aresztować. Odpowiedziano mi wymijająco. Wskazywano na brak dowodów i przyrzeczono mi wdrożyć dochodzenie. Wyczułem, że wszczęcie procesu byłoby bezcelowe, ponieważ wielu uważa mnie za wariata.

Wówczas zrozumiałem, że pozostało mi jedno wyjście, że muszę pana zabić. Wracając do domu kupiłem sześciostrzałowy rewolwer i wyruszyłem na pańskie poszukiwanie.

Zacząłem bywać w chińskich restauracjach, w nadziei, że tam spotkam pana najpewniej. Przewidywania moje nie zawiodły mnie. Przed dwoma tygodniami istotnie spotkałem pana nareszcie w tej oto restauracyjce. Przekonałem się jednak tego wieczora, że zabić człowieka nie jest wcale tak łatwo, jakby się mogło zdawać. Widocznie do tego niezbędne są też jakieś wrodzone zdolności lub przynajmniej wprawa. Ja zaś nie mam ani jednych, ani drugiej.

Od dwóch tygodni chodzę za panem trop w trop, czekam na pana wieczorem przed pańskim hotelem, jadam z panem kolację w tym oto lokalu, towarzyszę panu, jak cień. I nie umiem pana zabić.

Inni robią to jakoś tak po prostu, mimochodem. Być może nie trzeba o tym myśleć i wówczas to przychodzi samo, odruchowo. Ja zaś nie przestaję o tym myśleć. Odprowadzając pana do domu, przysięgam sobie, że jutro uczynię to już na pewno. Ale „jutro“ kończy się tak samo jak „dzisiaj“.

Znalazłem się w tej sytuacji po raz pierwszy w życiu. Nigdy nikogo nie zabijałem. Tak się już jakoś złożyło. Nie byłem nawet na wojnie. Czytując niegdyś w gazetach opisy dziesiątków morderstw, nawet nie wyobrażałem sobie, że to takie trudne. Nad ranem, kiedy, odprowadziwszy pana do hotelu (przystosowałem się do pańskiego trybu życia), wracam do domu, wyciągam z kątów stare gazety i czytam uważnie opisy najróżnorodniejszych zabójstw. Sądziłem, że do wszystkiego potrzebne są pewne, bodaj elementarne, studia przygotowawcze. W tym wypadku jednak nie na wiele się one zdają. Widocznie, podobnie, jak znać teorię malarstwa, nie znaczy jeszcze wcale umieć malować, tak samo znajomość historii wszystkich mordów od stworzenia świata nie może nikogo nauczyć praktyki jednego własnoręcznego zabójstwa.

Po dwóch tygodniach straciłem prawie nadzieję, że potrafię pana zabić kiedykolwiek.

Wybuch dżumy z początku ucieszył mnie, jak proste a nieprzewidziane wyjście z sytuacji. Liczyłem, że mnie ona wyręczy, że przyszedłszy następnego wieczora pod pański hotel, z codziennym zamiarem zabicia pana, tym razem już na pewno – natknę się na nosze z pańskimi zwłokami. Przychodzę co wieczór, punktualnie o godzinie przejazdu trupiarek.

Dżuma jednak pana oszczędza. Początkowo sprawiało mi radość chodzenie za panem krok w krok, obserwowałem pana, jak się miotasz bez celu po pustych nocnych uliczkach, jak szczur, schwytyany w pułapkę. Pewność, że, mimo wszystko, prędzej czy później, musisz umrzeć od zarazy, była mi jedyną pociechą w moich codziennych bezpłodnych powrotach. Czas jednak mija. Jeżeli nie dziś, to jutro mogę umrzeć ja sam. Zdarzyć się może z łatwością, że umrę przed panem. Zdarzyć się może i tak, że ja umrę, a pan ocaleje. Do tego dopuścić mi nie wolno. Dziś poprzysiągłem sobie, że zabiję pana nieodwołalnie. Przyszedłem tu umyślnie wcześniej, aby zająć stolik w tyle za tym, przy którym siada pan zazwyczaj. Umyśliłem sobie, że zabić pana z tyłu będzie mi łatwiej. Tymczasem dziś właśnie spóźnił się pan i przysiadł po raz pierwszy wprost do mojego stolika. Czuję, że nie zabiję pana znowu.

Postanowiłem spróbować ostatniego środka. Mam wrażenie, że nie mogę pana zabić, póki wiem, że pan niczego się nie domyśla. Gdy będę przekonany, że pan wie o grożącym mu niebezpieczeństwie i może się bronić, sądzę, że przyjdzie mi to łatwiej. Dlatego zdecydowałem się wyjawić panu wszystko. Strzeż się pan! Broń się pan! Dzisiaj przy wyjściu z tego lokalu zabiję pana!

Profesor umilkł w widocznym podnieceniu, nie odrywając od P'an Tsiang-kueja swych szarych oczu, spozierających sponad okularów. P'an Tsiang-kuei przyglądał mu się przez chwilę z zaciekawieniem.

– Czy chce pan, byśmy wyszli zaraz? – zapytał spokojnie, wycierając usta serwetką.

– Jak pan sobie życzy – odpowiedział kurtuazyjnie profesor.

P'an Tsiang-kuei w milczeniu uregulował rachunek i wstał od stołu. W drzwiach ustąpił drogę profesorowi. Krótką chwilę obaj panowie certowali się ceremonialnie, kto ma wyjść pierwszy. Wreszcie pierwszy wyszedł profesor.

Znalazłszy się na ulicy, przez chwilę szli obok siebie w milczeniu. Po pięciu minutach milczącego marszu uliczka, którą szli, nagle urwała się, uderzając, jak głową o mur, o kamienną balustradę nadbrzeża. W dole cętkami światła migotała Sekwana.

P'an Tsiang-kuei i profesor zatrzymali się niezdecydowanie.

– Niech pan mi powie – podjął wreszcie profesor, przecierając chusteczką zapotniałe szkła okularów – niech pan mi powie z łaski swojej... Nie mogę tego zrozumieć. Za co wy właściwie nienawidzicie nas tak nieprzejeźdnie, nas, którym tyle zawdzięczacie, od których zapożyczacie się nieustannie. Myślę nad tym ciągle i nie mogę odpowiedzieć sobie na to pytanie. Zabiwszy pana, nigdy się

już tego nie dowiem. Niech mi pan to wytłumaczy, jeżeli nie sprawi to panu różnicy...

\*

Pod wygiętymi żeńsko arkadami mostu milionem rozmodlonych ust bełkotała czarna, połyskliwa woda.

Oparty o kamienną balustradę, P'an Tsiang-kuei mówił głosem miarowym i beznamiętnym:

– Antagonizm azjo-europejski, o którym uczeni wasi wypisują całe tomy, doszukując się jego źródeł w głębinach uwarstwień rasowych i religijnych, rozwiązuje się bez reszty na powierzchni codziennej ekonomiki i walki klas. Wasza nauka, z której jesteście tacy dumni i którą przyjeżdżamy do was studiować, nie jest systemem narzędzi panowania człowieka nad przyrodą, lecz systemem narzędzi panowania Europy nad nie-Europą, systemem narzędzi wyzysku słabszych kontynentów. Dlatego nienawidzimy waszej Europy i dlatego przyjeżdżamy tak żarliwie was studiować. Jedynie opanowawszy zdobycze waszej nauki, będziemy w stanie zrzucić wasze jarzmo. Wasza burżuazyjna Europa, rozprawiająca szeroko o swej samowystarczalności kulturalnej, jest tylko małym pasożytem, przyczepionym do zachodniego boku olbrzymiego ciała Azji i wysysającym z niego soki. To my, sadzący ryż, hodujący bawełnę i herbatę, jesteśmy, na równi z waszym własnym proletariatem, właściwymi, chociaż pośrednimi twórcami waszej kultury. Do jej skomplikowanego zapachu, trącającego na cały świat potem waszych robotników i chłopów, miesza się zapach potu chińskiego kulisa.

Dziś zresztą role nasze się zmieniają. Wasza żarłoczna Europa zdycha, jak klacz, która złamała nogę przed ostatnią przeszkodą. Zdycha, nie zdążywszy pożreć wszystkiego, ze zdławionym od zbytnej łapczywości przełykiem. Nie jest to przypadek, że zarazą, która ją dobija, jest dżuma, naszą starą azjatycką znajoma. Azja okazała się niestrawną dla żołądka europejskiego kapitalizmu.

Słodko jest patrzeć na śmierć wroga, zakradłszy się za jej plecami do wnętrza jego domu, widzieć w jego rozszerzonych przerażeniem żrenicach miniaturowe odbicie własnej twarzy. Widziałem jednego z waszych zadzumionych. Siny już był prawie, gdy wynosiła go z domu służba sanitarna. Kiedy ułożyć go chciano na wspólnym wozie, wyrwał się z krzykiem: „Nie kładźcie mnie tam! Tam są zadzumieni!“ Wpakowano go przemocą. Rzucił się, kopał i gryzł, gdy zaś wepchnięto go wreszcie i zatrzaśnięto za nim drzwiczki, nagle posiniał i stężał. Strach przed śmiercią przyśpieszył zbyt powoli zbliżającą się śmierć.

Patrzyłem w te oczy, rozszerzone śmiertelną trwogą, i zrozumiałem wówczas, że ten strach właśnie jest motorem i dźwignią całej waszej olbrzymiej kultury. Ten lęk, ten pęd do utrwalenia się za wszelką cenę, wbrew logicznej nieuchronności śmierci, popychał was do nadludzkich wysiłków, byle wykuć swą twarz na takich wyżynach, gdzie nie mogłaby jej już zmyć pochłaniająca

wszystko rzeka czasu. I myślałem jeszcze, że wyrwać naszą Azję z jej tysiącletniej śpiączki pod figowym drzewem buddyzmu zdołać może jedynie zastrzyknięcie jej tej surowicy kultury europejskiej. Dotychczas Europa posyłała nam tylko swoich kupców i swoich misjonarzy. Chrześcijaństwo było niegdyś jadem, zaszczepionym przez Azję Europie, jadem, który zniszczył bogatą kulturę rzymską i pogrążył Europę na długie wieki w mrokach barbarzyństwa. Lecz Europa nawet tę truciznę bezwładu potrafiła zasymilować, skinetyzować ją, uczynić dla siebie niejadowitą, obrócić ją w narzędzie ucisku innych. Dziś w spóźnionym odwecie eksportuje ją nam z powrotem. Nie mogąc uczynić z nas własnej koncesji, chce z nas zrobić koncesję Watykanu. Chrystus jest komiwojażerem, płatnym agentem wyzyskiwaczy.

Dziś już zresztą zaszkodzić nam nie może. Europa zdycha w ostatnich konwulsyjnych podrygach. Nie pomogą jej żadne kordony sanitarne. Z Paryża dżuma musi rozlać się nieuchronnie po całym kontynencie. Prawdę mówiąc, jej ingerencja w naszym odwiecznym sporze była najzupełniej zbyteczna. Absurdalność tej interwencji byłaby w stanie przekonać mnie o istnieniu waszego boga, którego tricki, jeżeli wierzyć autorom pisma świętego, nigdy nie grzeszyły zbytnią inteligencją. Lata waszej imperialistycznej Europy były już, tak, czy inaczej, policzone, i nie było potrzeby przyspieszać jej końca podobnym wybrykiem.

Za dwa lata, na bezimiennej, zapuszczonej mogile waszej drapieżnej Europy eksploatatorów wyrosłaby nowa Europa, Europa robotników, z którą Azja porozumiałaby się z łatwością międzynarodowym językiem pracy.

Nieproszone wtrącenie się najbezsensowniejszej klęski żywiołowej może dziś jednym razem obucha uśmiercić obie te Europy: zdychającą i jeszcze nienarodzoną.

Stara lichwiarka nie zdążyła nawet sporządzić swego testamentu. Ale testament ten, chociaż niepisany, istnieje. Spadkobiercami jej, na równi z waszym własnym proletariatem, jesteśmy. Los zarzucił nas tu, do metropolii Europy, po to, abyśmy z jej kostniejących rąk przejęli jej klucze.

P'an Tsiang-kuei umilkł. Chwilę słychać było tylko plusk wody, rozbijającej się w dole o filary mostu.

– Myli się pan – rzekł wreszcie profesor. – Jesteście za słabi, by udźwignąć na swoich barkach ciężar jej spadku. Jeśli Europa umrze, jeśli wymrze jej inteligencja, wraz z nią zginą owoce jej kultury i techniki. Wówczas popadniecie z powrotem w waszą wiekową śpiączkę, skoro nie stanie tego jedyne go bodźca. Czy przypuszcza pan serio, że rolę tę odegrać może nasze ciemne pospólstwo, że w sojuszu z nim zdołacie zawładnąć skarbnicami naszej kultury? Ale do czegoż, prócz bezmyślnego niszczenia, zdolny jest nieoświecony, rządzony niskimi instynktami plebs? Pozbawione swych chlebobawców, pańskie „masy pracujące“ znajdują się w sytuacji stada, któremu odebrano pasterzy. Politowania godne w swej bezradności, popadną one na powrót w mrok barbarzyństwa. Niezdolne do

żadnego twórczego wysiłku, nie będą one w stanie odziedziczyć jednego choćby tylko Paryża i własnymi siłami uchronić go od ruiny.

– A jednak tak będzie i to, zapewniam pana, w najbliższym czasie. Będzie pan miał sposobność przekonać się o tym naocznie.

– Nonsens. Idę o zakład, że nie.

– Przyjmuję.

– Zakład zbyt abstrakcyjny, aby ktokolwiek z nas miał szansę go wygrać.

– Możemy go z łatwością skonkretyzować. Jeżeli, przy dotychczasowych postępach epidemii, Paryż za miesiąc nie będzie w naszych rękach, uznaję się za pobitego.

– Akceptuję. Jedyne warunki: z chwilą przegranej pakuję pan sobie bez mojej pomocy kulę w łeb.

– Zgoda.

– Może się zdarzyć, że umrę, nie doczekawszy się rozstrzygnięcia naszego zakładu. To rzeczy w niczym nie zmienia. Zakład obowiązuje po dawnemu.

– Obowiązuje po dawnemu.

– Jeżeli wygra pan, w takim razie ja przyrzekam palnąć sobie w łeb.

– To zupełnie zbyteczne – odparł z uśmiechem P'an Tsiang-kuei. – Jeśli wygram ja, zobowiąże się pan wrócić do swej pracy naukowej i stać się lojalnym kierownikiem laboratorium do walki z dżumą w naszym proletariackim Paryżu.

– Zgoda. Termin – miesiąc. Na wszelki wypadek, dla uniknięcia trudności, jakie nastęrczyć może dotrzymanie warunku naszego zakładu, pozwoli pan, że ofiaruję mu już dziś ten oto rewolwer. Może posłuży on panu za fetysz.

P'an Tsiang-kuei z uśmiechem wsunął rewolwer do kieszeni:

– Poczynając od tej chwili, winien pan skrupulatnie dbać o siebie i zachowywać wszelkie środki ostrożności, aby nie zachorować i nie umrzeć, jeżeli, jako uczciwy dłużnik, nie chce się pan stać niewypłacalnym. Poproszę pana w każdym razie o pańską wizytówkę z adresem, żebym wiedział, gdzie mam upomnieć się o należność w chwili właściwej.

Profesor na wyrwanej z notesu kartce napisał ołówkiem adres.

Pod wygiętymi żeńsko arkadami mostu milionem rozmodlonych ust bełkotała czarna, połyskliwa woda.



Na Sacré-Coeur biły dzwony, nieustanne, płaczliwe, bezradne.

Rozproszkowani w olbrzymiej kadzi miasta ludzie, w obliczu wszystko niwelującego strychnulca śmierci, czepiali się kurczowo w ślepych pędzie odśrodkowym każdego elementu własnej odrębności, zbijali się, jak opiłki dokoła biegunów magnesu, dokoła świątyń własnego obrządku. Wieże kościołów, cerkwi i meczetu odprowadzały w niebo, jak piorunochrony, rosnący z każdą chwilą magnetyczny prąd odrębności, zbijający rozproszone stado ludzkie w samoistne kompleksy rasowe i religijne.

Pierwszy wybuch nastąpił w środowisku, wyodrębnionym najbardziej już samym pigmentem swej skóry i pozbawionym własnego piorunochronu-świętyńi.

Dnia 30 lipca stacja radia przyniosła nieprawdopodobną wiadomość. W nocy z dnia 29. na 30. żółtoskórzy mieszkańcy Dzielnicy Łacińskiej dokonali zorganizowanego zamachu stanu. Wszystkich białych mieszkańców zepchnięto na prawy brzeg Sekwany, ogłaszając Dzielnicę Łacińską autonomiczną republiką żółtych.

Wieczorem tegoż dnia na murach opustoszałej Dzielnicy Łacińskiej ukazały się pierwsze długie pasy hieroglifów: odezwy w języku chińskim.

Rząd tymczasowy powiadamiał żółtoskórych mieszkańców Paryża o ukonstytuowaniu na terytorium byłej Dzielnicy Łacińskiej niezależnej republiki żółtych, w odruchu samoobrony przed zarazą Europejczyków. Rząd tymczasowy ogłaszał każdego białego, schwytanego na terytorium republiki, wyjętym z pod prawa, jako rozsadnika dżumy. Rząd zabraniał dalej żółtym, pod karą śmierci, opuszczania granic swej republiki. Celem ściślejszego odgrożenia jej od zarażonego miasta, republika otoczona została nowym murem chińskim barykad.

W krótkiej apostrofie do ludności rząd tymczasowy polecał pieczy obywateli znajdujące się na terenie republiki drogocenne biblioteki, które, jak nietykalne skarbnice, przechować miały owoce kultury europejskiej dla przyszłych pokoleń.

Odezwę w imieniu rządu tymczasowego podpisał P'an Tsiang-kuei.

### III

W cienistych głębiach oceanu, gdzie nie dosięgają już prądy, wiry i odpluski fal, w nieruchomej, zielonkawej wodzie, martwej, jak woda akwarium, w lasach gigantycznych wodorostów, przedpotopowych sigilarii i lian, żyje ryba flądra.

Gdzieś, setki metrów wyżej, w wiecznej, niezmordowanej pogoni pędzą białogrzywe fale, czarnym lemieszem prują na metry w głąb obolałą powierzchnię oceanu kadłuby olbrzymich parowców, w mętnej galarecie wody trzepocą galaretowate ośmiornice, jak chłodny błysk reflektora przecinają głębie sztyletem łuski długie, wyostrzone ciała ryb w niespokojnym pościgu.

Na dole jest cisza, chłodny, twardy piasek, sady drzew bezpłodnych i białawych, jak chmury oglądane z aeroplanu. Dno jest jak niebo, jak odbicie nieba w wypukłej, niezmierzonej kropli oceanu, z kosmosem własnych ruchomych morskich gwiazd, zwyrtkich ogoniastych komet – chłodny pośmiertny przytułek zabłąkanych, strudzonych wędrowców.

Na dnie żyje ryba flądra. Wziął ktoś rybę, rozciął ją wzdłuż grzbietu przez pół i połowę położył na piasku. Ryba flądra ma jedną tylko stronę – prawą. Lewą jej stroną jest ziemia, dno.

Od nieużywania organu organ zanika. Wszystkie organy flądry z lewej, nie istniejącej strony przeniosły się na prawą. I z prawej strony, jedno obok drugiego, patrzy zawsze w górę para maleńkich, beznamiętnych oczu.

Oczy patrzą zawsze w górę, oba po jednej stronie, poczwarne, niesamowite, dziwaczne, a lewej strony – w ogóle nie ma.

W ogromnym mieście Paryżu, w rudym, piegowatym domu przy ulicy Pavé, mieszka rabi Eleazar ben Cwi.

Ulica Pavé leży w sercu dzielnicy Hôtel de Ville, małego Żydowskiego Paryża. W środku międzynarodowego miasta, w centrum Francji, przyniesione tu skądś, ze wschodu, z żyznych pól Ukrainy, z kałużastych miasteczek Galicji, osiadło, namuliło się przez kilka dziesięcioleci, wyrosło beztradycyjne nowoczesne getto, trwałe, nierozpuszczalne, odosobnione.

W wielkim wielojęzycznym mieście ścierają się z sobą na miał setki języków, dziesiątki narodów i ras, użyźniając mierzwą nowych, zapładniających elementów chłodną glebę francuską. Żydzi polscy i rosyjscy z właściwą im zdolnością nieasymilowania się, wlani w roztwór miasta, wypłyną zawsze na powierzchnię jednolitą plamą oliwy.

W Paryżu kotłują się masy, powstają i upadają gabinety, zderzają się i przesadzają w karkołomnym wyścigu wydarzenia. Tu jest cisza, czarny połyskliwy asfalt, lśniący, jak berdyczowskie błoto, jeszybot i bożnica, tydzień od piątku do piątku, i co piątek na stołach u okien karłowate drzewka zakwitają pomarańczowymi płomykami świec.

Tu są swoje własne wydarzenia. Do piekarza Herszla przyjechał czerwonym samochodem syn z Ameryki i samochód nie mógł wjechać w wąską szczelinę uliczki Prevost. Z Jass przybyła nowa partia Żydów uciekających przed pogromem. Córka tandeciarza Mendla, która zeszłego roku zbiegła do miasta z murzynem dżazbandystą z kawiarni na ulicy Rivoli i po miesiącu wróciła do ojca, urodziła dziecko, małego Murzynka, i stary Mendel powiesił się w sieni ze wstydu przed sąsiadami. W wąskich, obłupanych uliczkach stygnie stęchłe galaretowate powietrze, nieruchome i przeźroczyste, a wieczorem załamujące się w nim cienie latarni kołyszą się leniwie jak gigantyczne wodorosty.

Rabi Eleazar ben Cwi ma dwoje osadzonych blisko siebie oczu, i oczy patrzą zawsze w górę, beznamiętne, maleńkie, bliźniacze, obrócone ku niebu, w którym zdają się widzieć jakieś dla nich tylko dostrzegalne rzeczy. Od nieużywania organu organ zanika. Rabi Eleazar ben Cwi widzi wiele rzeczy niedostępnych ludzkiemu wzrokowi, a nie widzi tych najprostszych; zna jedną tylko stronę – tę, zwróconą do nieba, a tej, obróconej ku ziemi – w ogóle nie ma.

Od dawna, odkąd pamiętają mieszkańcy Hôtel de Ville, rabi Eleazar ben Cwi mieszkał stale w domu przy bożnicy, nie opuszczając go nigdy. Z domu jest wejście wprost do bożnicy i rabi Eleazar ben Cwi, by odmówić maref, nie potrzebuje przechodzić przez ulicę. Ulica nie zna rabiego Eleazara. Znają go tylko ci, co zasięgali jego rady, to znaczy, zna go cały Hôtel de Ville, bo i któż nie zasięgał rady rabiego Eleazara ben Cwi, który jest mędrszy od wszystkich



rabinów-cudotwórców i do którego na sąd przyjeżdżają specjalnie samochodami nawet kupcy z tamtego brzegu Paryża?

Rabi Eleazar ben Cwi nie był nigdy w Paryżu. Przyjechał tu przed pięćdziesięciu laty ze swego miasteczka i od razu zamieszkał w domu przy synagodze. A mądrości jego w zawiłych sporach kupieckich nie mogą się nachwalić kupcy paryscy.

Rabi Eleazar ben Cwi ma swego starego szamesa, który jeden mógłby opowiedzieć o świętobliwym życiu rebeego. Ale szames opowiada niechętnie i całe dnie i wieczory spędza przy boku rebeego. Szames powiada, że rebe jest bardzo słabowity i nie dopuszcza do niego osobiście z byle głupstwem, póki sam się nie przekona, że sprawa jest ważna i wymaga rady w cztery oczy. Jedno jest pewne: komu rabi Eleazar da w chustce swą ksybę, ten, choćby najcięższą boleścią Bóg go doświadczył, wraca do domu beztroski i wesół, jak ptaszek. To też drzwi do rebeego zamykają się rzadko, a staremu szamesowi, kiedy wychodzi w piątek na zakupy, nigdy nie braknie pieniędzy w przetartej aksamitnej portmonetce.

Rabi Eleazar ben Cwi ma dwoje maleńkich, blisko siebie osadzonych oczu, obydwój od strony nieba. Szames mówił w sekrecie staremu Herszłowi, że rebe często rozmawia z Bogiem. Długo, godzinami, Bóg i rebe gawędzą ze sobą. I Żydzi wiedzą: rebe może mówić z Panem Bogiem, kiedy zechce. To tak, jakby miał z nim stałe połączenie telefoniczne. Zwykli Żydzi mogą dzwonić do Boga całe życie i nigdy nie uzyskają komunikacji: tylu ludzi naraz chciałoby się do niego dodzwonić. Czasem, raz w życiu, na krótką chwilę, udaje się Żydowi osiągnąć z Nim połączenie i wtedy należy się bardzo śpieszyć, by wyłożyć swoją prośbę, zanim nie przeszkodzi kto inny.

O rabim Eleazarze można by powiedzieć, że ma do dyspozycji osobną linię i rozmawiać może z Bogiem o każdej porze, bez obawy, że mu ktoś przerwie. Zresztą rebe Eleazar wie, że Pan Bóg, jak każdy Żyd, nie lubi, by go nagabywano, gdy jest zajęty i wie już, w jakich godzinach można porozmawiać z nim najswobodniej. I Pan Bóg ma za to słabość do rebeego Eleazara, i nie było jeszcze wypadku, aby mógł mu czegoś odmówić.

Tak minęło wiele, wiele lat. Ile? Tego dokładnie nie pamiętał nawet stary szames.

Roku tego rabi Eleazar ben Cwi czuł się już bardzo słaby, często rozmawiał z szamesem o śmierci i przyjmował osobiście tylko w bardzo wyjątkowych wypadkach.

Pewnego wieczora szames wrócił z miasta później niż zwykle i rebe omal nie opóźnił przez niego kolacji. Szames był bardzo wystraszony. Na mieście opowiadano o jakiejś strasznej chorobie, która nawiedziła Paryż. Dzieci krawca Lewiego, które, jak to dzieci, poszły tańczyć na święto francuskie – w parę godzin po powrocie umarły w strasznych boleściach. Tej samej nocy umarła na boleści żona kamasznika Symchy i jeszcze trzy Żydówki. Od rana zmarło dwunastu Żydów. Na mieście panuje wielki lament. Szames, który pamiętał cholere w

Żmerynce, widział w tym jej niezawodne objawy, chociaż gazety nazywały nową zarazę inaczej. Żydzi są bardzo zatrwożeni i wybierają się gromadą do rebe go prosić go o radę.

Rabi Eleazar ben Cwi wysłuchał sprawozdania szamesa w milczeniu, jak bardzo jednak wziął je sobie do serca, widać było już z tego, że nie dojadł nawet kolacji. Umywszy ręce, kazał podać sobie tałes i zszedł da bożnicy.

W synagodze panował już lament i płacz. W ciągu wieczora umarło jeszcze trzydziestu Żydów. Nazwiska krążyły z ust do ust.

Rebe Eleazar długo modlił się zgięty nad swym pulpitem. Kiedy zamknął „sejfer“ i odwrócił się do wiernych, twarz miał pogodną i świetlaną. Kazał zaraz na drugi dzień odprawić ślub na cmentarzu, jak to jest w zwyczaju w czasie zarazy. Wyszukano na miejscu młodego i młodą. Kupiec bławatny, Szyja, i czapnik, Sender, podjęli się wyposażyć młodą parę.

Ślub odbył się nazajutrz, na cmentarzu Bagneux, w obecności Żydów z całego Hôtelu de Ville. Po ślubie odprowadzono młodych do domu.

Tej samej nocy młoda umarła z objawami zarazy. Szames, do którego wystraszeni Żydzi przybiegli z tą nowiną, długo nie ważył się powtórzyć jej rebemu. Wreszcie, w obawie, że rebe sam się dowie o tym w bożnicy, z wielkimi ostrożnościami dał mu do zrozumienia, co zaszło. Rabi Eleazar nie powiedział nic, ale twarz jego, koloru jego młeczej brody, stała się jeszcze bledsza i szames zauważył, że ten zły omen wywarł na nim wielkie wrażenie.

W synagodze panował lament głośniejszy jeszcze niż wczoraj. W ciągu dnia umarło znowu sześćdziesięciu Żydów. Między nimi wszystkie pomywaczki wczorajszych trupów. Umarło nadto dwunastu Żydów z towarzystwa ostatniej posługi, którzy chodzili odwiedzać rodziny nieboszczyków, siedzące na pokucie. W Paryżu ludzie padali podobno na ulicach tysiącami.

Przez całą noc trwało w bożnicy nabożeństwo, przerywane wtargnięciem coraz to nowych zwiastunów szerzącego się moru. Co chwila ktoś z rozmodlonych dowiadywał się o wypadku zarazy w swoim własnym domu i, zawodząc, wybiegał z synagogi.

Do rana modlił się żarliwie rabi Eleazar, zgarbiony nad swoim modlitewnikiem. Nad ranem z trudnością trzymał się już na nogach i gabe z szamesem musieli pod ręce odprowadzić go na górę.

Na cały następny dzień rabi Eleazar ben Cwi zamknął się w swoim pokoju i zabronił szamesowi dopuszczać do siebie kogokolwiek. Na schodach cisnął się szlochający tłum. Błady szames, z palcem na ustach, stał na warcie przed drzwiami. Wiedział dobrze, że rebe rozmawia teraz z Panem Bogiem i że nie należy mu w tym przeszkadzać.

Późno wieczorem rebe zawołał do siebie szamesa i kazał sobie powtórzyć nowiny. Wiadomości były okropne. W ciągu dnia zmarło jeszcze stu trzydziestu Żydów. Trupy poniewierały się w mieszkaniach niemyte, ponieważ wszystkie pomywaczki pozarażały się i pomarły. Rodziny nieboszczyków siedziały na pokucie o głodzie, gdyż odwiedzający je członkowie towarzystw ostatniej posługi

wszyscy poumierali. Rodziny siedzące na pokucie dogorywały kolejno. Ze składającej się z dziesięciu osób rodziny kamasznika Symchy, którego żona zmarła zaraz pierwszej nocy, dziewięć już nie żyje i na pokucie siedzi jeden ojciec.

Rebe kiwał w milczeniu głową, słuchając strasznych relacji szamesa. Potem kazał podać sobie tałas i zszedł do bożnicy. Szames pobiegł za nim z obowiązku i z ciekawości.

Kiedy rebe Eleazar zjawił się w synagodze, zapanowała w niej wielka cisza. Wszyscy wiedzieli, że rebe cały dzień rozmawiał z Bogiem i że przychodzi powiedzieć coś ważnego. Wszystkie oczy skierowały się w jego stronę.

Stanąwszy na stopniach ołtarza, rabi Eleazar ben Cwi zwrócił twarz do zebranych i mówić zaczął uroczystym głosem prawodawcy:

– Bóg otworzył oczy moje i w księdze swego gniewu pozwolił mi wyczytać bekijach nejfes. Przez cały czas zarazy Żydzi zwolnieni będą od siedzenia na pokucie po swoich zmarłych, jako też od grzebania ich w sposób rytualny. Na czas zarazy zwłoki bez uprzednich obrządków zaszywać będziecie w płótno i wywozić na cmentarz. Bóg doświadczył nas ciężko i jedynie modlitwa zdoła go przebłagać. Anioł śmierci, Malach Hamaweth, wszedł do domów żydowskich i drzwi naszych nie obroniła mezusa. Domy, których dotknął, będą nieczyste przez dni czterdzieści i podlegną opuszczeniu. Módlcie się i proście zmiłowania.

Rabi Eleazar, blady, słaniający się z osłabienia, zszedł po stopniach i, podtrzymywany przez szamesa, opuścił bożnicę. Po wyjściu jego synagoga zahuczała tysiącem rozgorączkowanych głosów.

Wypadki dni następnych nie zdawały się świadczyć o tym, jakoby Bóg zamierzał dać się przebłagać. Na skutek ogłoszonego bekijach nejfes liczba zgonów w ciągu następnych dni nieco zmalała, nie spadając zresztą poniżej stu ofiar dziennie. Natomiast zabrakło niebawem mieszkań niezapowietrzonych przez zarazę. Na dziesiąty dzień kryzys mieszkaniowy przybrał rozmiary zastraszające.

Rabi Eleazar ben Cwi zamknął się na cały ten czas w mieszkaniu, nie pokazując się nawet w bożnicy i nie przyjmując nikogo, poruczywszy wszystkie sprawy szamesowi. Napastowany szames umiał jedynie powiedzieć, że rebe jest bardzo milczący i całymi godzinami rozmawia głośno z Bogiem w swoim pokoju.

Na dziesiąty dzień, kiedy w całym Hôtel de Ville nie znalazło się więcej ani jednego mieszkania nienawiedzonego przez zarazę, dziesięciu najstarszych Żydów udało się do rebe w delegacji. Opłacony szames poszedł na palcach zameldować rebemu o ich przybyciu.

Po długiej chwili wyszedł do nich sam rebe. Twarz miał jeszcze bardziej przezroczyście, niż zwykle, aż strach było pomyśleć, że życie jego wisi na włosku.

Kiedy szames przyniósł krzesła, zabrał głos stary Mechel, największy grosista na cały Hôtel de Ville.

– Rebe – powiedział głosem bardzo przybitym – rebe, uczyniliśmy wszystko, coś nam polecił. W księdze gniewu bożego wyczytałeś bekijach nejfes

i odtąd Żydzi nie siedzą na pokucie po swoich umarłych, a zwłoki żydowskie bez oporządzenia rytualnego, zaszyte w płótno, wysyłają na cmentarz. Powiedziałeś, że domy nawiedzone przez zarazę będą nieczyste przez dni czterdzieści i podlegną opuszczeniu, i usłuchaliśmy cię, a jednak zaraza trwa, i nie ma dnia, w którym nie ucierpiałoby od niej kilkadziesiąt rodzin żydowskich. Mieszkania nasze są przepełnione. Wkrótce nie będzie już ani jednego domu, nieskalanego morem. W całym Hôtel de Ville nie ma już mieszkań. Rodziny zarażonych śpią na ulicach. Co czynić, rebe?

Rabi Eleazar ben Cwi uśmiechnął się dobrotliwie i dwoje oczek, utkwionych gdzieś, poprzez Mechela, nie widząc go, jakby był przezroczysty, odbłysnęły tym samym uśmiechem, kiedy powiedział w zamyśleniu:

– Wiele jest jeszcze mieszkań w dzielnicy żydowskiej, po które starczy sięgnąć ręką.

Starzy Żydzi zamienili spojrzenia. Kiedy rebe mówi rzeczy ważne, widzialne jego oczom, zwykłym rozumem ogarnąć ich zrazu nie sposób. Na chwilę zaległo milczenie. Wreszcie stary Mechel zdobył się na odwagę i zapytał:

– Rebe, rozumowi naszemu nie równać się z twoim. Słowa twoje są dla nas niejasne. Jakież to mieszkania masz na myśli, po które starczy sięgnąć ręką?

Rabi Eleazar pomilczał chwilę, potem podjął, jakby do siebie, w głębokim zamyśleniu:

– Wiele jest mieszkań w dzielnicy żydowskiej, których drzwi nie broni mezusa. Przez te drzwi wszedł do nas Malach Hamaweth.

Zapadła długa cisza. Potem rebe jął mówić dalej, jakby ciągnął głośno własną myśl:

– Powiada rabi Hillel, najmędrszy z mędrców: Za czasów rabiego Ezra, kiedy naród żydowski był rozbity, a dokoła szalała zaraza chrześcijaństwa, pragnąc ustrzec się przed nią i zachować swój zakon, Żydzi po miastach otoczyli domostwa swoje wysokim murem, a współcześni nazwali te miasta żydowskie słowem „getto“. Ale nadszedł czas, gdy Żydom uprzykrzyła się mowa ojców ich i zapragnęli ponieść swój zakon między obcych na pohańbienie. Wtedy zburzyli mur, okalający ich domostwa, i odtąd klęski gojów stały się ich klęskami, a gniew Pański obrócił się przeciw nim. Póki nie ogrodzą się Żydzi na nowo murem nieprzebytym od wszystkiego, co nie jest nimi, póty pożerać ich będzie mór, a anioł śmierci nie opuści ich progów.

W tem miejscu rabi Eleazar ben Cwi dał znak ręką, że uważa audiencję za skończoną, polecając szamesowi odprowadzić do drzwi przybyłych.

\*

Dnia 30 lipca o godzinie piątej po południu na bulwarach ukazały się nadzwyczajne dodatki. W dodatkach donoszono o nowym zamachu separatystycznym. Ludność żydowska obwodu Hôtel de Ville opanowała ratusz i wyparła z obrębu całej dzielnicy ludność aryjską. Apatyczni chrześcijanie na ogół

nie stawiali oporu. Na jedyny zdecydowany sprzeciw Żydzi natrafili w dzielnicy Saint-Paul, zamieszkałej przez ubogą ludność polską. W odruchu wrodzonego antysemityzmu ludność polska usiłowała przeciwstawić się z bronią w ręku. Doszło do krwawych utarczek, które pociągnęły za sobą straty ze stron obu, póki nie skończyły się zwycięstwem przeważających liczebnie Żydów.

Dodatki nadzwyczajne wspominały o rozklejonym na murach dzielnicy Hôtel de Ville orędziu gminy żydowskiej do wszystkich Żydów Paryża. Orędzie donosiło podobno o ukonstytuowaniu, w obronie przed zarazą aryjczyków, samodzielnej terytorialnej gminy żydowskiej, odgródzonej od reszty miasta murem barykady. Wzywało ono wszystkich Żydów Paryża do przesiedlenia się na teren gminy, wyrażając przeświadczenie, że od nowej tej plagi, która nawiedziła aryjską Europę za wielowiekowe gnębienie narodu żydowskiego, ocaleje on i tym razem, pod warunkiem, że zachowa jak najściślejszą izolację.

Wiadomość wywołała w mieście wielkie wrażenie. Wieczorem w stronę Hôtel de Ville z dzielnic zachodnich i północnych pociągnęły długie karawany samochodów, naładowanych walizami. Nikt im w tym nie przeszkadzał.

U wejścia do dzielnicy Hôtel de Ville milicja narodowa i szomrzy fortyfikowali gorączkowo barykady na wypadek ewentualnej obrony.

Nikt zresztą nie zamierzał ich atakować.



W rudym, piegowatym domu przy ulicy Pavé, stary, zgarbiony szames chodzi na palcach i cicho, na palcach, nasłuchuje u drzwi.

Rabi Eleazar ben Cwi już trzeci dzień nie wychodzi ze swego pokoju, nie przyjmuje żadnego pożywienia, modli się i rozmawia z Bogiem. Szames słyszy monotony, kiwający się głos. Nad otwartą zatłuszczoną księgą siedzi rabi Eleazar i pałakowate, przezrocyste jego ciało chyboce się, jak trzcina, pod podmuchem tchnienia bożego. Rabi Eleazar ben Cwi po raz pierwszy wątpi.

I jak tu nie zwątpić? Wziął na ramiona swoje brzemię, przechodzące siły człowieka. W księdze gniewu pańskiego wyczytał bekijach nejfes, i odtąd Żydzi nie siedzą na pokucie po swoich zmarłych, a trupy żydowskie bez oporządzenia rytualnego idą na łono śmierci. Wszystko na próżno.

Czarne, pokracczne litery, jak podróżni, wymachujący chusteczkami z okien pociągu w biegu, przesuwają się przed przebiegającym je wzrokiem rebego Eleazara.

*„I uczyni Pan rozdział między trzodami izraelskimi i między trzodami egipskimi, aby nic nie zdechło ze wszystkiego, co jest synów izraelskich...”*

Rabi Eleazar ben Cwi niżej, w wahadłowych pokłonach, kołysze się nad książką. Postąpił, jak kazał Pan, oddzielił trzody izraelskie murem nieprzebytym, a oto zaraza szerzy się wśród nich po dawnemu i nie masz na nią lekarstwa.

Czarne litery, jak krople męczeńskiej krwi, kapią na książkę z wykrzywionych bolesnym grymasem ust rebego Eleazara:

*„...I potłukł on grad po wszystkiej ziemi egipskiej, cokolwiek było na polu, od człowieka aż do bydłęcia; i wszystko ziele polne potłukł grad, i wszystko drzewo polne połamał.*

*Tylko w ziemi Gosen, gdzie synowie Izraelscy mieszkali, nie było gradu...“*

Rabi Eleazar wąpi. Wziął na barki swoje odpowiedzialność straszliwą: otoczył miasto żydowskie murem, pozbawiając je nawet własnego cmentarza; i po komorach gnść zaczęły trupy żydowskie.

I odsłonił rabi Eleazar Żydom bekijach nejfesz niesłychane w historii Żydostwa, iż trupy, niemogące spocząć w ziemi, oddane być mają płomieniom.

I nie opuściła zaraza murów miasta żydowskiego.

A wszakże powiedział Pan:

*„...I wezmą krwi jego, i pokropią obadwa podwoje i naprożnik u domu.*

*I będzie wam ona krew na znak na domach, w których będziecie; bo ujrzawszy krew, minę was, że nie będzie u was plaga ku zatraceniu, gdy będę zabijał w ziemi egipskiej...“*

Rabi Eleazar ben Cwi wąpi po raz pierwszy w życiu, ugina się pod ciężarem, jak gałązka pod ptakiem. Pergaminowe wargi mamroczą:

– Panie, czemuż włożyłeś na mnie ciężar ten? Stary jestem i wątłe są plecy moje.

Stara, zatłuszczona książka, jak sito pełne drogocennej cieczy, deszczem czarnych kropel-liter pada na spragniony piasek duszy rebego Eleazara:

*„...I rzekł Pan: Widząc utrapienie ludu mojego, który jest w Egipcie, a wołanie ich słyszałem przez przystawy ich; bom doznał boleści jego.*

*Przetoż zstąpiłem, abym go wybawił z ręki egipskiej i wywiódł go z ziemi tej do ziemi dobrej i przestronnej – do ziemi opływającej mlekiem i miodem...*

*...Przetoż teraz, pójdź, a pošlę cię do Faraona, abys wywiódł lud mój, syny izraelskie z Egiptu.*

*I rzekł Mojżesz do Boga; któżem ja, abym szedł do Faraona, a wywiódł syny izraelskie z Egiptu?...*

*...I rzekł Mojżesz do Pana: Proszę, Panie, nie jestem ja mężem wymownym ani przedtem, ani odtąd, jakoś mówił do sługi swego; bom ciężkich ust i ciężkiego języka.*

*A Pan mu rzekł: Któż uczynił usta człowiekowi?...*

*...Idźże teraz, a Ja będę usty twojemi, i nauczę cię, cobyś miał mówić.*

*I rzekł Mojżesz: Słuchaj, Panie, pošlij, proszę, tego, kogo pošląc masz.*

*I zapalił się gniew Pański na Mojżesza...*

*...Uczynił tedy Mojżesz i Aaron, jako im przykazał Pan, tak uczynili.*

*A Mojżesz miał ośmdziesiąt lat, a Aaron ośmdziesiąt i trzy lata, gdy mówili do Faraona...“*

Rabi Eleazar ben Cwi nie szemrze. Wie: niezbadane są wyroki boże. Na kogo On wskaże palcem, ten daremnie ujść by chciał swemu przeznaczeniu. Nie, rabi Eleazar nie będzie skomlał jak Mojżesz: „Słuchaj, Panie, pošlij tego, kogo

posłać masz.“ Za dawno przywykł do posłuchu. Pewną ręką zamyka książkę. Wstaje. Wyprostował się. Woła szamesa.

Wystraszony szames widzi: zaszło coś ważnego, najważniejszego. Ze zwojów siwej brody, jak z białych kłębow ofiarne dymu, wykwita wąska, parafinowa twarz rebego. Oczy świecą wewnętrznym blaskiem, patrzą, nie widząc.

Rebe Eleazar każe zwołać starszyznę.

Wąskimi, mroczniejącymi uliczkami, gdzie, jak olbrzymie wodorosty, kołyszą się modlitewne cienie latarni, w rozwianym chałacie biegnie stary szames, wspina się po krętych schodach, wrzucając w nieomknięty otwór drzwi depeşeşezpt: posłanie od rebego Eleazara.

\*

– Halo! Czy Grand Hotel? Proszę mnie połączyć z pokojem mistera Dawida Lingslaya. Halo! Halo-o-o! Czy mister Dawid Lingslay? Mówi sekretarz prezydium rady komisarzy koncesji anglo-amerykańskiej. Prezydium prosi pana uprzejmie o przybycie na tajne posiedzenie rady, o godzinie jedenastej przed południem. Tak jest, za godzinę. Możemy liczyć?...

Mister Dawid Lingslay przewrócił się na drugi bok. Światło, przezierające przez szparę między storami, uderzyło go w oczy i, marszcząc się, musiał powrócić do dawnej pozycji. Tak świetnie spał, gdyby nie ten piekielny dzwonek. Za godzinę – w „American-Express“. Trzeba pomyśleć o wstawianiu.

Mister Dawid Lingslay wyciągnął się jeszcze raz na wygodnym, czteroosobowym łóżku. Nagle zerwał się i przysiadł na krawędzi. Odrzuciwszy kołdrę, skrupulatnie pomacał przez jedwabną piżamę brzuch, potem, podnosząc każdą rękę z osobna – gruczoły pachowe. Po dokładnych oględzinach wyciągnął się z powrotem.

Co dzień budził się z tym instynktownym strachem zdrowego, muskularnego ciała, przeczuwającego w zwierzęcym lęku chwilę, w której, pewnego ranka, obudzi go gryzący ból w dole brzucha. O przykrym tym fakcie, na którego szali elementarny rachunek prawdopodobieństwa kładł dziewięćdziesiąt dziewięć przeciw stu, mister Dawid Lingslay starał się za dnia nie myśleć, piastując gdzieś wewnątrz, jak wychuchane w zanadrzu piskłę, nieśmiało formułowaną nadzieję na tę jedną setną możliwości ocalenia.

Co rana jednak, gdy pogrążone we śnie ciało, w nagłym przejściu od snu do jawy, oscylowało jeszcze w irrealnej próżni, zanim rozluźnione dźwignie woli nie trafiły znów trybem na tryb – jak odprężona sprężyna ciskał mu się do gardła strach, który wciskać trzeba było dopiero pięścią do jego komórki, gdzie przyczajony przebywał aż do następnego rana.

W tych krótkich chwilach mister Dawid Lingslay przypominał sobie, że tam, w szufladzie szafki nocnej – wystarczy sięgnąć ręką – leży, wyczekując niecierpliwie tego jednego rana, mały, stalowy przedmiocik, skulony i

niewidoczny, czeka, liczy niedosłyszalne tętno spoczywającego na blacie, pękatego zegarka, który gdzieś, w swych wnętrznościach, w rozdygotanym wskazującym palcu skazówki chowa ukrytą, jemu jednemu wiadomą, fatalną godzinę. Odliczył już precyzyjnie tyle i tyle obrotów i odrabia je co dzień, udaną obojętnością maskując gorączkowy pośpiech.

W podobnych momentach mister Dawid Lingslay czuł taką piekącą nienawiść do całego świata przedmiotów, że tylko dzięki jego wrodzonemu opanowaniu i flegmie pokojówka nie zastawała co rana jego apartamentu zdemolowanym.

Wyniosłe i oziębłe tafle luster, przyjmujące z lokajską pokorą każdy rzucony im, jak policzek, gest, wszystkie te szafy i biurka, obojętne, druzgocące swą niezbitą, matematyczną pewnością, że stać będą tak samo, odbijając wypolerowaną powierzchnią swej drewnianej skóry inne gesty, twarze i grymasy, kiedy po misterze Dawidzie Lingslayu nie zostanie ani śladu, swoją spokojną, arogancką wyższością zdolne były doprowadzić go do szału. Miało się nieprzepartą chęć porozbijać je, podeptać, połamać na kawałki, zadać kłam ich niewzruszonej przewadze, napaść się widokiem ich bezwładnych szczątków.

W chwilach takich mister Dawid Lingslay naciskał tylko mocniej namydloną brzytwę, pod pocałunkiem której, jak Afrodyta z piany morskiej, wyłaniała się twarz, oślepiająca nagością wypielęgowanej skóry.

Z tępą nienawiścią wpychał do kamizelki zegarek, do tylnej kieszeni od spodni – mały, stalowy drobiazg i wychodził na miasto, starając się pozostawać w swoim pokoju jak najkrócej.

Mister Dawid Lingslay, król amerykańskiego trustu metalowego, właściciel czternastu wielkich dzienników w New Yorku, Bostonie i Filadelfii, zatrzymał się w Paryżu w przejeździe, zdążając starym zwyczajem na letnie miesiące do Biarritz. W czasie tego kilkudniowego pobytu zastała go w Paryżu dżuma.

Wszelkie próby wydostania się z zadżumionego miasta spełzły na niczym. Nie pomogły powaga nazwiska, olbrzymie stosunki, astronomiczne czeki. Strach przed zarazą zatarł granice społeczne, potargał nierozzerwalną pajęczynę najniezawodniejszych znajomości, otoczył Paryż szczelnym, wyrosłym przez jedną noc, nieprzebytym murem.

Po dwóch tygodniach bezowocnych zabiegów mister Dawid zmuszony był dać za wygraną.

Jak wszyscy gracze giełdowi, mister Dawid Lingslay był fatalistą i przekonawszy się o bezskuteczności wszystkich usiłowań, sam na sam z sobą w swoim luksusowym pokoju hotelowym, przyznał się szczerze do przegranej. Wszystko dotychczas w życiu udawało mu się niebywale. Nieraz, stojąc na kolejnym szczeblu drabiny finansowej, rzuciwszy okiem w dół, doznawał na chwilę lekkiego zawrotu głowy na myśl, że karta jego może być kiedyś bita.



Przekonawszy się tym razem, że wyjścia nie ma, mister Dawid Lingslay, jak przystało na dżentelmena, sporządził testament, przetelegrafował go do Nowego Jorku, zamknął w biurku skoroszyty podręcznych spraw i czekał.

Dżuma wyraźnie bawiła się z nim w chowanego. Na trzeci zaraz dzień w strasznych boleściach zmarł jego osobisty sekretarz. Mister Dawid Lingslay czekał na swoją kolej. Mijały dni. Po tygodniu czarna karetka zabrała z sąsiedniego pokoju maszynistkę. Coraz to pustoszał któryś z przyległych apartamentów. Pod koniec drugiego tygodnia na całym pierwszym piętrze mister Dawid Lingslay pozostał sam. Z błyskawiczną szybkością, jak kamienie, rzucone w studnię windy, znikali bezgłośnie liftboye, służba, kolejni maîtres d'hôtel. Na ich miejsce wynurzali się nowi. Oddawszy wieczorem portierowi polecenie, mister Dawid, schodząc nazajutrz, zastawał innego portiera, nie pytał, powtarzał polecenie, starając się nie powracać myślą do tego drobnego epizodu, pił małymi łykami gorącą poranną kawę i jechał do swej metresy.

Od paru bowiem lat mister Dawid Lingslay utrzymywał w Paryżu kochankę, której w prezencie ofiarował, wraz z kolekcją oślepiającej biżuterii, niepozabawiony smaku pałacyk na Polach Elizejskich.

Kochankę swą odwiedzał mister Dawid Lingslay dwa razy do roku, nie zatrzymując się zresztą u niej nigdy i mieszkając po kawalersku, w Grand-Hôtelu. Zmuszały go do tego interesy, pomijając już to, że jako dżentelmen i człowiek żonaty, nie lubił afiszować się swym stosunkiem.

Za każdej zaś bytności swej w Paryżu miał w nim tyle interesów i spraw, że zazwyczaj, siedząc już w przedziale i odbierając z rąk grooma tradycyjny pakiet nowości powieściowych, przesyłany mu na dworzec przez kochankę, spostrzegał dopiero, że przez cały czas swego pobytu spędził z nią w sumie może niespełna sześć godzin i solennie przyrzekał powetować to sobie następnym razem, to jest za pół roku.

Nadawszy do New Yorku testament, mister Dawid Lingslay po raz pierwszy uświadomił sobie treść oklepanego słowa „wakacje“ i pożałował, że potrwają tak niedługo. Jakkolwiek bądź, postanowił po raz pierwszy w życiu całkowicie poświęcić je miłości. Była to właśnie ta funkcja życiowa, na którą nigdy nie wystarczało mu czasu, którą załatwić musiał między dwoma dzwonekami telefonu, zawsze w pośpiechu i zawsze nie w porę.

Przed laty, w tradycyjny wieczór poślubny, kiedy sądził, że tym razem będzie mógł poświęcić jej przynajmniej przewidziane prawem dwanaście godzin, otrzymał w ostatniej niemal chwili ofertę niezmiernie korzystnej i skomplikowanej transakcji, o którą zabiegał oddawna; i przez całą noc poślubną, wypełniając przykładowo, jak dżentelmen, nałożone na niego przez społeczeństwo obowiązki i odpowiadając w roztargnieniu na rozkapryszone pytania młodej małżonki, przesuwał w głowie gigantyczne liczydła cyfr, układając z nich odpowiedź, jaką trzeba będzie dać telefonicznie jutro, z samego rana (byle nie zaspać!). W rezultacie, ilekroć po latach, zwyczajem innych ludzi, mister Dawid Lingslay usiłował przypomnieć sobie swą noc poślubną, na kliszy pamięci

występowały tylko te długie kolumny cyfr, reszta zaś gubiła się gdzieś, jak źle wywołane tło.

Po raz pierwszy w życiu, być może na tydzień przed śmiercią, mister Dawid Lingslay mógł niepodzielnie oddać się miłości i każdy dzień był dla niego prawdziwym miodowym miesiącem.

Kochanka, którą utrzymywał w Paryżu ze snobizmu, jak dwa rolls-roysy, jak stałą kabinę na „Majestiku“, aby mieć z kim pójść wieczorem do teatru i potem na kolację do „Ciro’s“, aby kusić zazdrosne spojrzenia innych mężczyzn jej niezwykłą urodą, przyjmowaną przez niego na wiarę, od innych, nie mając sam nigdy czasu dobrze się w niej rozeznać – okazała się w samej rzeczy cudowną istotką, instrumentem czułym i czarownym, zawierającym niewyczerpane gamy słodczy.

Mister Dawid spędzał z nią teraz całe dni, wieczory i noce, odnalazłszy w sobie, w czterdziestym roku życia, najtkliwszego amanta.

Jak sybaryta, pragnący zaostrzyć sobie rozkosz spożycia następnego dania przez powstrzymanie się od poprzedniego, mister Dawid nie przeniósł się do niej ostatecznie, zachowując swój apartament w Grand-Hôtelu, aby po krótkich godzinach rozłąki wracać do niej z coraz większą tęsknotą, zakochany po raz pierwszy, po uszy.

Miłość to kwestia wolnego czasu. Któż zgadnie, grobowcami jakich płomiennych kochanków są poruszające się dokoła nas opasłe cielska brzuchatych biznesmenów, tych paradoksalnych niewolników, przykutych za nogę niewidzialnym łańcuchem do wskazówki własnego zegarka.

Zresztą misterowi Dawidowi Lingslayowi i tym nawet razem nie sądzone było rozwinać w pełni skarbów swej nieużytej erotyki. Przeszkodziły mu w tym wypadki, raptowne drgania sejsmiczne, które wstrząsnęły wkrótce psychiczną skorupą zadżumionego Paryża.

Dnia 30 lipca, niemal równocześnie, z jednolitego organizmu Paryża, drogą zbrojnych zamachów separatystycznych, w spontanicznym odruchu samoobrony przed zetknięciem z zarazą aryjczyków, wyodrębniły się dwie dzielnice: Łacińska i Ratusz, tworząc na mapie dawnego Paryża dwa samodzielne państewka: chińskie i żydowskie. Za przesunięciami rasowymi podążyły socjalne.

Dnia 4 sierpnia ludność robotnicza dzielnic Belleville i Menilmontant, rozbudzona nagłym nieprzemyślanym musiem zawładnięcia skromną gospodarką własnego, wymykającego się jej z rąk życia, ogłosiła swe terytorium samoistną republiką radziecką. Na stronę powstańców przeszło wojsko.

Wieczorem tegoż dnia, na znak protestu, kameloci królewscy przy poparciu katolickiej ludności przedmieścia Saint-Germain opanowali lewy brzeg Sekwany, od Pałacu Inwalidów do Pola Marsowego, ogłaszając restaurację monarchii.

Zaskoczona błyskawicznością wypadków, zagrożona w swym posiadaniu, anglo-amerykańska ludność dzielnic centralnych czuła się zmuszona zająć wobec nich określone stanowisko i przedsięwziąć środki ostrożności. Celem

omówienia wydarzeń, 8 września w gmachu Opery zwołany został pierwszy w swoim rodzaju mityng dżentelmenów.

Na mityngu tym, gwoli samoobrony przed zbolszewizowanymi dzielnicami Paryża, zdecydowano jednomyślnie dzielnice zamieszkałe przez ludność anglosaską ogłosić na czas zarazy autonomiczną koncesją anglo-amerykańską. Uzbrojona milicja, złożona z młodzieży, zajęć się miała wzniesieniem barykad dokoła nowej koncesji i ich ewentualną obroną na wypadek napaści ze strony dzielnic zbuntowanych.

Tematem ożywionej dyskusji stała się sprawa tubylczej ludności francuskiej, zamieszkującej teren nowej koncesji. Cześć dżentelmenów obstawała stanowczo przy wysiedleniu elementów nieanglosaskich. Większość głosów uzyskała jednak rozumna propozycja mistera Ramsaya Marlingtona, który wystąpił z wnioskiem użycia francuskich mieszkańców koncesji, po ich gruntownym rozbrojeniu, do świadczeń służebnych, rekrutując z nich niezbędne kadry służby hotelowej i prywatnej. Od świadczeń tych, według projektu mistera Marlingtona, zwolnieni być mieli jedynie sklepikarze i właściciele bistros, jako kierownicy zakładów użyteczności publicznej, oraz Francuzi, mogący się wykazać rentą roczną przewyższającą sto tysięcy franków.

Wniosek mistera Ramsaya Marlingtona został wprowadzony w życie. Ludność francuska dzielnic centralnych, przyzwyczajona od dawna do życia z napiwków turystów anglo-amerykańskich, nie stawiała oporu przeprowadzeniu projektu mistera Marlingtona i z nową swą rolą pogodziła się wcale nieźle, oszczędzając w ten sposób rządowi nowej koncesji wielu nieprzewidzianych kłopotów.

Do zarządu koncesją pierwsze zgromadzenie wyłoniło radę komisarzy złożoną z dwunastu wybitnych finansistów: sześciu Anglików i sześciu Amerykanów. Do dyspozycji rządu tymczasowego oddano gmach „American-Express Company“.

W wyniku głosowania do rady komisarzy koncesji, w liczbie sześciu potentatów amerykańskich, wybrany został i mister Dawid Lingslay. Powaga nazwiska i stanowisko społeczne nie pozwoliły mu wymówić się od tego zaszczytu, chociaż sprawy państwowe i administracyjne kolidowały wyraźnie z całokształtem jego obecnych zainteresowań i czynności, toteż postanowił poświęcać im jak najmniej czasu i uwagi.

Wspomnianego dnia, powróciwszy do hotelu o godzinie piątej nad ranem, pełen najmelodyjniejszych oddźwięków burzy miłosnej, która oskardami swych błyskawic rozorywała w nim coraz głębsze pokłady nienasyconego smakoszostwa, zbudzony nie w porę dzwonkiem społecznego obowiązku, mister Dawid Lingslay, bardziej niż kiedykolwiek, odczuł cały ciężar swej sytuacji socjalnej i w humorze więcej niż kwaśnym, jął naciągać powoli swój wykwinny garnitur.

Kończył właśnie golić się przed lustrem, gdy, poprzedzony pukaniem, do pokoju wszedł smukły, zawsze uśmiechnięty boy, niegdyś pierwszy sekretarz

wielkiego towarzystwa ubezpieczeniowego, które przy nowym stanie rzeczy straciło wszelką rację bytu, i zameldował, że dwóch panów w ważnej sprawie pragnie widzieć osobiście mistera Dawida Lingslaya.

Innym razem mister Dawid, przeczuwając jakichś nudnych interesantów, byłby kazał zapewne powiedzieć, że nie ma go w domu. Dziś jednak, postanawiając wychylić do dna kielich społecznego obowiązku, gestem pełnym rezygnacji kazał prosić ich do salonu.

Kiedy po długiej chwili, kończąc zawiązywać krawat, mister Dawid Lingslay ukazał się w drzwiach salonu, na spotkanie jego wstali z foteli rabi Eleazar ben Cwi i starszy korpulentny jegomość w amerykańskich okularach.

#### IV

Na Sacré-Coeur biły dzwony.

Z Saint-Pierre, z Saint-Clotilde, z Saint-Louis, z małych, rozrzuconych kościółków dzielnicy Saint-Germain odpowiadały im płaczącym podźwięciem dzwony katolickiego Paryża.

Głuche, łzawe dzwony nad miastem ołowianymi pięściami tłukły się we wklęsłą spiżową pierś i z wnętrza kościołów odpowiadał im łomot kurczowo zaciśniętych rąk i gorzki, pobożny mamrot. Nabożeństwo z wystawieniem sakramentu trwało bez przerwy, odprawiane przez woskowych księży, ślaniających się ze zmęczenia.

W cerkwi dzielnicy Passy metropolita w złotych ryzach gęstym, dostałym basem czytał ewangelię i dzwony dzwoniły wszystkie, jak w dzień wielkanocy.

Paryż trzasł na nowo wzdłuż szerokiego szwa Sekwany, sfastrygowanego niegdyś naprędcie białymi nićmi mostów.

Na moście Passy, z dwóch końców, na latarniach, trzepocą dwa sztandary: trójkolorowy sztandar imperium rosyjskiego i biały ze złotymi liliami sztandar Burbonów – prowizoryczna granica dwóch monarchii.

Po pustym moście, do środkowego przęsła i z powrotem, donośnym, miarowym krokiem przechadza się czterech chłopców z karabinami na ramieniu: dwóch z jednego końca mostu, dwóch – z drugiego.

Na żołnierskich czapkach chłopców w zielonych „rubaszkach“ połyskują wyciągnięte skądś, z naftaliny, wypucowane kredą carskie orzełki, spoglądające z góry na skromne, poczerńiałe lilie młodocianych królewskich kamelotów.

Wasja Krestownikow niecierpliwie przesuwając na ramieniu karabin. Karabin – ciężki, boli od niego ramię. Może by zdjąć? Nie, nie wypada. I Wasja sprężystym, dźwięcznym krokiem przemierza most, z wyrazem niewzruszonej powagi na rumianej, pucółowatej twarzy.

Mimo wszystko postanawia zdjąć. Trzeba tylko dojść do środkowego przęsła, tam można będzie postawić kolbę na ziemi i oprzeć się o lufę, bez ujmy

dla prestiżu. To wygląda poważnie i nawet bardziej monumentalnie. Nieraz na obrazach widywał w tej pozie żołnierzy na warcie.

I Wasja, niezmaczenie obojętny, opiera się malowniczo o lufę, wystawiając naprzód odniechcenią prawą nogę w błyszczącym, jak samowar lakierowanym bucie.

Ilekcioć jednak oczy jego spotykają się z oczyma granatowego szyldwacha z naprzeciw, Wasja nie może wytrzymać i spod maski namaszczenia wymyka mu się łobuzerski uśmiech. Jakie to zabawne: wczoraj jeszcze byli kolegami, grali pod ławką w oczko i po lekcjach w tenisa, a dziś – gwardziści, stojący na straży dwóch odrębnych, rozciągających się po obie strony mostu, państw, co prawda nie wrogich i do pewnego stopnia nawet sprzymierzonych, ale bądź co bądź odrębnych.

Za przykładem Wasji wymuskany granatowy kamelocik również opuszcza karabin i opiera się nonszalancko o lufę. Chciałoby się zapalić papierosa, ale nie można – na warcie!

I dwaj szesnastoletni chłopcy, wsparci na karabinach, tyłem do balustrady, patrzą statecznie w przestrzeń: dwóch ołowianych żołnierzyków na tekturowym moście, na tle kunsztownej papierowej dekoracji, przypominającej do złudzenia Paryż dorosłych.

– Co to u was był wczoraj za harmider i strzelanina? – rzuca mimochodem granatowy kamelocik, nie gardzący krótką żołnierską pogawędką.

– E, nic, głupstwo – odpowiada po francusku Wasja, podkreślając intonacją, że nawet mówić o tym nie warto.

– Przetrzebiliśmy troszkę Żydów. Chleb żrą i jeszcze zarazę roznoszą.

Wasja ogląda się, czy nikt nie widzi, i sięgnąwszy ręką do kieszeni, wyciąga stamtąd masywną złotą papierośnicę: jak tu nie pochwalić się przed kolegą?

– Widzisz, jaki mebel odebrałem jednemu? Na pewno w Rosji buchnął, czekista. Dwadzieścia papierosów się mieści.

I przeczuwając wzgardliwą fałdkę w kącikach warg kolegi, pospiesznie dodaje:

– Nie masz pojęcia, co to za szubrawcy. Wczoraj mama na jednej Żydówce poznała swoją własną kulię. W Moskwie z sejfu ukradli. To się u nich nazywa: „skonfiskowali“. Mamie „skonfiskowali“ w ten sposób całą biżuterię. Została jej jedna obrączka.

Kamelocik patrzy z leciutką pogardą. Wie: zabierać kosztowności, nawet Żydom, nie wolno – to kradzież. Wie jeszcze i co innego: ci Rosjanie to dzicz. I wargi kamelota d’Escarville’a krzywią się w złośliwym, lekceważącym uśmiechu.

U wylotu mostu, od strony francuskiej, ukazuje się w tej chwili grupka żołnierzy, prowadzących w pośrodku jakiegoś człowieka w szarym ubraniu. Kamelot d’Escarville z karabinem na ramieniu oddala się miarowym krokiem, bez pośpiechu, w tę stronę. Wasja patrzy zaciekawiony. Grupka kamelotów w towarzystwie d’Escarville’a zbliża się ku środkowemu przęsłu.

Wasja rozróżnia już teraz wyraźnie chudego młodzieńca w popielatym marynarkowym ubraniu i z wybitnie semickim nosem. Kamelot d'Escarville objaśnia: uciekł w nocy z waszego terytorium na naszą stronę. Patrol złapał go na mieście i odstawia z powrotem.

Wasja aż oczy przymrużył z zachwytem: Żyd! Uciekł, zmyliwszy strażę!

– Dajcie, ja go odprowadzę do rotmistrza.

Kameloci salutują i odchodzą. Wasja porucza koledze, by pozostał na warcie. On odprowadzi zbiega.

Chudy, wysoki Żydek, może o rok starszy od Wasji, milczy, tylko zgarbił się jakoś, głowę wciągnął w ramiona jak nastroszony ptak; niespokojny wzrok biega za Wasją jak jamnik.

Wasja zdejmując z ramienia karabin, odwodzi bezpiecznik:

– Marsz naprzód! Nie próbuj uciekać, bo kula w łeb!

Żyd nie próbuje uciekać. Posłusznie idzie przodem. Tylko głowę wcisnął jeszcze głębiej w ramiona i dwoje przydługich rąk, jak poprzetręcane skrzydła, nieporadnie dynda mu po bokach.

Zaś Wasja marzy: przyprowadzi sam, osobiście więźnia przed rotmistrza Sołomina. Rotmistrz spojrzy, trzepnie szpicrutą o cholewę, powie: dooobrze! Wasja aż wypina pierś z dumy i zadowolenia. Za rotmistrzem Sołominem – w ogień. Cała młodzież go ubóstwia. Dzielny oficer. Jeszcze w armii Wrangla bił bolszewików. Ci, co go znali, opowiadają: odważny jak diabeł. A jak strzela! Jaskółkę w locie zabije. Wasja widział wczoraj na własne oczy: siedział na stoliku na werandzie kawiarni przy rue de la Pompe i zmykających Żydów puszczał na pięćset kroków, kładąc ich z nagana, jak kaczki, ani razu nie spudłował! Będzie zabawa! Jeszcze na prawo, za róg...

Wasja widzi już z daleka. Na werandzie bistro, naprzeciw głównej kwatery siedzi rotmistrz Sołomin w towarzystwie jeszcze czterech oficerów. Piją od wczoraj wieczór.

Wasja sprężystym krokiem przecina plac i zatrzymuje się przed werandą:

– Wasze błagorodje, melduję posłusznie, sprowadzam zbiega. Zwiął wczoraj w nocy, zmyliwszy strażę, na tamtą stronę Sekwany. Schwymano go na mieście i odstawiano do naszych przednich posterunków.

– Dooobrze! – mówi rotmistrz Sołomin, podnosząc oczy, pod których spojrzeniem Wasja pręży się, jak struna.

– Dać go tu bliżej!

Oficerowie czują: będzie heca. Z rotmistrza kawalarz, umie się zabawić. Z ciekawością przysuwają się bliżej.

Chudy, piegowaty Żydek drży, jak liść.

– Bliżej – powtarza obojętnie rotmistrz Sołomin. – Odpowiadać krótko i węzłowato. Jakiego wyznania?

Żyd milczy. Po cóż mówić? I tak wszystko przepadło.

– Wyznania mojżeszowego?

Oficerowie, przeczuwając efektowne widowisko, parszczą śmiechem.

– Cóż to, niemowa, czy co? Czy też nie rozumie delikatnie? Pytam, się: Żyd?

– Nie... – pobladłymi wargami bełkoce chłopak.

Odpowiada mu wybuch śmiechu rozbawionych oficerów.

– Czekajcie, panowie, cóż w tey śmiesznego? – mówi, rozciągając słowa, rotmistrz Sołomin. – Nos niczego jeszcze nie dowodzi. Czasami mama się zapatrzy. Skoro mówi, że nie, to nie.

Oficerowie zrywają boki, zakochanymi oczyma spoglądając na rotmistrza.

– Przeżegnaj się – cedzi rotmistrz.

Chłopak kurczowo skreconymi palcami próbuje nakreślić znak krzyża. Drżąca ręka nie trafia na ramię, myli się, kreśli w powietrzu jakiś dziwny zakrętas.

Wtóruje jej głośny ryk śmiechu podochoconych oficerów.

– Niezupełnie tak – mówi z niezmaconym spokojem rotmistrz Sołomin. – To się zdarza. Brak wprawy... Jeszcze raz, powoli a dokładnie.

Chłopak zakreśla ręką mniej więcej prawidłowy zygzak.

– Tak, teraz już było znacznie lepiej. No, czy nie mówiłem wam? Nos jeszcze niczego nie dowodzi. Od razu widać, że prawosławny. Żebyście nie mieli więcej wątpliwości, spuście mu tam, chłopcy, spodnie!

Chłopak gestem zawstydzonej gracji zaciska ręce dokoła wstydliwego miejsca. Wasja i dwóch innych szeregowców rzucają się na niego i rozpinają mu przemocą spodnie. Chłopak szamoce się bezsilnie. Zdarte siłą spodnie bezkształtnymi obwarzankami ześlizgują się na ziemię pod ryk ogólnego śmiechu.

– Ach, tak? – wykrzykuje z udanym oburzeniem Sołomin. – To ja tu, można powiedzieć, pierśią własną cię zasłaniam, na słowo ci wierzę, a ty, bratku, kłamiesz? Krzyż święty niechrzconą ręką plugawisz? Wiary własnej się wypierasz? Tego się po tobie nie spodziewałem.

Chłopak podnosi i zapina niepotrzebne, nieposłuszne spodnie. Długo nie może natrafić na właściwy guzik.

– Przeszukać mu tam kieszenie, chłopcy! – mówi rotmistrz Sołomin.

Trzy pary chciwych rąk wciskają się w zanadrze, przetrząsają kieszenie, odrywają podszewkę eleganckiego ubranka i, wyciągnąwszy z triumfem jakiś zeszycik – sowiecki paszport, – podają go rotmistrzowi.

– Taaaak... – przeciąga rotmistrz. – Tak trzeba było mówić od razu. Poprosić: przepustkę do Belleville. Czemu nie? Któż to widział uciekać tak po nocy, w dodatku paszport zaszywać pod podszewkę. A, brzydko! No, żeby mi to było ostatni raz!

Rotmistrz Sołomin zwraca paszport.

– Włożyć mu z powrotem do kieszeni! A teraz – wiej!

Chłopak nie rozumie, patrzy wybałuszonymi tępo oczyma na rotmistrza.

– Zmykaj! Żeby cię tu więcej nie widział!

Żyd robi niezdecydowany krok naprzód, jakby chciał paść Sołominowi do nóg, zatrzymuje się, patrzy na uśmiechnięte twarze oficerów, odwraca się i

zaczyna biec przed siebie, wzdłuż muru, z początku wolno, potem coraz prędzej. Już jest prawie na rogu.

– Czekaj! – woła za nim rotmistrz Sołomin.

Chłopak zatrzymuje się i odwraca wylękły, niezdecydowany.

– Czekaj, zapomniałem postawić ci na twoim paszporcie pieczętkę – mówi Sołomin, posyłając w ślad za nim kulę z nagana.

Żyd pada na wznak z rozcapierzonymi niezgrabnie rękoma.

Wasja zna się na rzeczy, chwytą w lot. Karabin przewiesił przez ramię, biegnie na róg, gdzie leży chłopak, pochyla się nad nim, wyciąga mu z zanadru jakiś przedmiot i, wymachując nim w powietrzu, powraca biegiem do oficerów.

– W sam środek! – woła z daleka, potrząsając małą czerwoną książeczką.

Wystrzępiony sowiecki paszport przedziurawiony jest w środku na wylot i dokoła otworu od kuli czerwoną obwódka pieczętki zakrzepła krew.

Oficerowie ze szmerem uznania podają sobie z rąk do rąk małą czerwoną książeczkę.

– No, czas spać – mówi, odsuwając krzesło i bębniąc szpicrutą po cholewie, rotmistrz Sołomin. – Radzę panom zrobić to samo. Za dwie godziny muszę być w Pałacu Burbońskim. Wypaść się przecież też kiedyś trzeba. Do widzenia, do wieczora.

\*

W wygodnym parterowym pałacyku, którego drzwi otworzył mu ordynans, panował gęsty chłód i półmrok zapuszczonych rolet. Sołomin wyciągnął się na miękkim szezlongu i kazał zdjąć sobie buty. Krzątający się na palcach ordynans przyniósł poduszkę i ulotnił się z pokoju, zamykając za sobą bez szmeru drzwi.

Sołomin pogrążył się w miękką błogość puszystej jak dywan ciszy. Nie tak dawno zaczął korzystać z dobroczynnej atmosfery komfortu i, zanurzając się w nią każdorazowo, tajał jak pastylka sacharyny w mocnej, przedwojennej rosyjskiej herbacie.

Z wysokości tonącego w dywanach szezlonga, pod mlecznym księżycem kryształowej ampli, długie lata poniewierki wydawały mu się jakimś podłym niemieckim filmem, widzianym w trzeciorzędym, nadymionym kinie. Historia tych filmów bywa prosta, banalna, w banalności swej gryząca jak machorka. Filmy takie, wyświetlane dziesiątkami w podmiejskich iluzjonach, wyciskają łzy z oczu sentymentalnych szwaczek.

Syn oficera sztabowego. Po mamie – majątek pod Moskwą. Dzieciństwo (zazwyczaj pokazuje się to w prologu): kosztowne zabawki, guwernerzy i guwernantki. Chłopiństwo: gimnazjum, książki i marki. Latem na wsi – na kaczki. Pierwsze uciechy miłosne. Przeważnie dziewczki folwarczne pod kierownictwem doświadczonego ekonoma. I wszystko inne, jak się należy.

Uniwersytet. „Moskwa w nocy“. Wypełnianie luk w edukacji erotycznej. I naraz, w najbardziej pikantnym, rzecz by można, momencie – mobilizacja.



Podchorążówka. Front. Ranny. Szpital na tyłach. Siostrzyczki. Otchłanie szarów miłosnych pod skromnym habitem samarytanki. Znowu front. Druga linia. Nuda splądrowanych miasteczek. Spirytus i karty. W chwilach głodu ekstazy – Żydóweczki. Głuche wieści z tyłów. Rewolucja. Komitety i „towarzysze“. Urlop. Moskwa. Czar munduru i wynikające stąd rozkosze. I znowu wstrząs – Październik.

Tułaczka po mieszkaniach. Kryjówki. Szary żołnierski płaszcz i ręce usmolone sadzą: byle bez manikiuru i koniecznie z odciskami. Papę rozstrzelano. W majątku – sowiet. Ziemię podzielili do cna. We dworze, tam, gdzie wspomnienia szczęsnego dzieciństwa – szkoła, umorusane wiejskie bachory.

Ucieczka. Podrobione papiery. Krym. Wrangel. Ofensywa. Odwet za „pohańbioną Rosję“. Odzyskane miasteczka. Kontrwywiad. Porachunki z bolszewikami. Rozstrzelania. Komuniści i komsomolcy. W wolnych od zajęć chwilach – Żydzi. Żydóweczki: lufa do skroni i jazda w kolejkę! Lepka, cuchnąca krew.

Ewakuacja, pospieszna, upokarzająca, jak ucieczka. Miasta i ludzie. Konstantynopol. Sofia. Praga. Likwidacja zasiłków. Głód. W Paryżu angażują podobno białych oficerów do armii Czan-Tso-lina. Paryż. Błaga, nic podobnego! Bez środków do życia. Tournée po emigranckich komitetach. Zasiłki skasowano. Dźwigał walizki na Dworcu Północnym. Pracował w fabrykach Renault, jako zamiatacz. Redukcja. Znow na bruku. Noclegi pod mostem. Jednorazowy zasiłek. Egzamin szoferski. I jako uwieńczenie długoletniej włóczęgi – nieśmiertelne, kanoniczne taxi.

Z szoferki wyżyc już było można. Daleko gorsze – upokorzenia. Paryż roił się od znajomych, papy i własnych. Nie wszyscy przyjechali z niczym. Niektórzy, owszem, potrafili przeszwarcować coś niecoś, z grubsza. W Paryżu z pieniędzmi nie ma kłopotu. Pozakładali przedsiębiorstwa, robią interesy. Wielu ma już własne maszyny. Inni dzień i noc rozbijają się taksówkami. Przykre, kłopotliwe spotkania. Wożąc znajomych i wyciągając rękę po napiwek, odwracał twarz w inną stronę. W notesie – adresy wszystkich domów publicznych i domów schadzek.

Nie tylko znajomi – często i znajome. Wiezorami, pod „Florydą“, pijane, w towarzystwie podskubanych Francuzików – taksówka do hotelu. Inne nie zdążą nawet dojechać do hotelu – wprost w taxi. Siedzenie miękkie – wszystkie wygody. W polerowanym lusterku przy kierownicy – co wieczora całe „Chabanais“: wszystkie figury. Taxi, jak lupanar, na kilometr zalatuje sperumą... W Moskwie były gimnazistkami: warkoczyk, nieprzyzwoitego słowa w towarzystwie nie zniesie, papa – tajny radca, narzeczony i wszystko jak się należy. Tu – ledwie wsiądzie do taksówki, już nogi rozkracza: paryżanka! Cała Etoile – jeden wielki bordel: pokaż sto franków – zaliż na śmierć. Nie potępiął. Cóż, może naprawdę żyć nie mają z czego? Każdy zarabia, jak może... Aż do jednego, najbardziej upokarzającego spotkania.

Miał w Moskwie narzeczoną. Córka generała Achmatowa, Tania. Oczy – lazur. Uduchowiona. Cała – Balmont i Siewierianin. Na fortepianie gra jak artystka. Zaręczyli się przed rewolucją. Kiedy odjeżdżał na front, pocałowała go w usta i dwie ciepłe łezki spłynęły mu po policzkach, zostały na zawsze w małej fiołce serca.

Z Rosji uciekli jedni z pierwszych. Przebąkiwano o nich, że są w Paryżu. Przewidujący generał pieniądze umieścił w zagranicznym banku. W Paryżu, grając na giełdzie, majątek podobno podwoił.

Przyjechawszy do Paryża latem, Sołomin odszukał ich adres. Powiedziano mu: państwo – w Nicei, kiedy wrócą – nie wiemy.

I oto, pewnego razu, odwożąc klientkę pod znajomy dom schadzek, ujrzał: wychodzi z bramy – ona. Nie wierzył własnym oczom. Wsiadła do taksówki, niedbale rzuciła adres.

Jadąc, układał w myśli plan. Nie powie nic, tylko przy płaceniu zdejmie czapkę, żeby go poznała. Przed domem jej jednak nie wytrzymał. Osadziwszy maszynę, odwrócił się do wnętrza i zdejmując czapkę, powiedział dobitnie:

– Dużo też pani dorabia w ten sposób, Tatiano Nikołajewna?

Przełękła się, potem – w płacz. Wodotrysk słów. Papa skąpy, wylicza każdy grosz. Trudno chodzić w pocerowanych pończochach. Tyle przeżyli...

– Gdzież to, jeżeli wolno wiedzieć? W Nicei?

Zmarszczyła brwi. Trzasnęła drzwiczkami. Nie jest obowiązana zdawać sprawy ze swoich uczynków byle szoferowi. (Tak dosłownie powiedziała: „Byle szoferowi“ – Sołomin dobrze zapamiętał). Wetknęła mu w garść dziesięć franków i zniknęła w bramie.

Chciał wbiec za nią, cisnąć jej w twarz dziesięć franków, zwymyślać od ostatnich. Zobaczył na progu lokaja w białym wykrochmalonym plastronie. Zrobiło mu się nagle wstyd własnego szoferskiego uniformu, wstyd śmiesznej sytuacji. Odjechał. Pieniądze postanowił odesłać pocztą.

Tegoż wieczora zresztą przepił je w rosyjskiej szoferskiej knajpie, pod zakatarzoną „Wołgę“ gramofonu, pragnąc poznać do dna gorycz upokorzenia, upodlenia („wdeptali w błoto“).

Ale policzka nie zapomniał. Z pośród tysiąca i jednej zniewag zapamiętał sobie na zawsze tę jedyną, zawiesił ją na szyi, jak mały, zatłuszczony szkaplerzyk, od czasu do czasu wyciągając go stamtąd, żeby się rozjątrzyć, żeby nie zapomnieć. I w myśli długimi wieczorami układał skomplikowane, fantastyczne plany odwetu.

Wieczorem, za całodzienny zarobek, brał z Avenue Wagram trzeciorzędną dziewczynkę, bezwarunkowo Rosjankę, i odrobiwszy, co trzeba, cisnąwszy jej dwadzieścia franków, bił ją po twarzy, wyzywając ostatnimi słowami. Wkrótce żadna dziewczynka z Wagram nie chciała iść z nim za żadne pieniądze.

Mijały miesiące, potem lata. Powrót do Rosji z bronią w rękę, na czele roty jakiejś wyimaginowanej białej armii, o którym marzył wieczorami, hołubiąc w sobie to marzenie, jako odtrutkę przeciw dziennym upokorzeniom, stawał się

coraz bardziej problematyczny. W gruncie rzeczy przestał w niego wierzyć. Zapewniały o tym jeszcze z uporem jedynie gazety emigracyjne. Rozumiał: redaktorzy też muszą z czegoś żyć. Przestał czytywać gazety.

Tamci, bolszewicy, rozsiedli się, rozgospodarowali na dobre, na stałe; otrąbili z hałasem swoją dziesiątą rocznicę, szykowali się do setnej. Nikt nie myślał występować przeciw nim z bronią w ręku. Powrót, prawdopodobny jeszcze po dwóch, trzech, czterech latach, po upływie dziesięciu lat tracił już wszelkie pozory prawdopodobieństwa.

Niektórzy zresztą wracali, wyżebrawszy sobie w konsulacie sowiecki paszport. Wracali nawet oficerowie. Dowiedziawszy się o każdym nowym renegacie, Sołomin zaciskał tylko zęby i spluwał z pogardą. O powrocie do Rosji w ten sposób – nie myślał. Komunistów nienawidził każdym centymetrem swej zgrubiałej skóry. Złamali mu życie. Zamordowali papę. Skonfiskowali majątek. Zmarnowali młodość, miłość – wszystko. Doprowadzili do prostytucji narzeczoną (od biedy można było zapisać na ich rachunek i policzek w taksówce). Kazali miesiącami zdychać z głodu, obwozić po Lasku Bulońskim wysztafirowane lafiryndy, wypatrywać napiwki. Być prostym dorożkarzem, jemu, rotmistrzowi Sołominowi, synowi pułkownika Sołomina! I to kto? – Kupa parszywych Żydków i ciemne pospólstwo. Nie, tego zapomnieć nie sposób! Wracać? Służyć za parobka u ordynansa Leontija? Nie, stokroć już lepiej wozić tu całe życie wystryknięte dziwki, odstawiać do burdelików zażywnych francuskich ojczulków. Nie spodlić się. I oficerski honor go pokrzepiał.

Życie stawało się coraz bardziej bezsensowne. Dobrze, można być dorożkarzem czasowo: rok, dwa, dziesięć. Wiedzieć, że do czasu. Ale pomyśleć: zostanę dorożkarzem na zawsze, przez całe życie, to jest moje życie i innego nie będzie – to nie mogło się jakoś pomieścić w głowie rotmistrza Sołomina. Czuł wyraźnie, że musi przyjść coś – wybuch, kataklizm, katastrofa, – przetasować karty. Tak dalej – niepodobna.

I co rano, obudzony dzwonkiem budzika, wciągając zasmarowane oliwą szoferskie ubranie, rotmistrz Sołomin konstatował z goryczą: jeszcze nie.

Z wybuchu dżumy ucieszył się jak z dawno oczekiwanego kataklizmu, który od razu przetasował karty. Taksówkę zarekwirowano na trzeci dzień do przewożenia chorych. Życ zaczęło być jakoś przestronniej. Paryż, jak roztwór, do którego ktoś wlał silny odczynnik, rozkładał się w oczach na odrębne składniki.

Wypierana z kolejno powstających państwówek bezpańska emigracja rosyjska, idąc za przykładem innych narodowości, okopała się w Passy, ogłosiwszy tę dzielnicę białą koncesją rosyjską. Uformowany naprędce rząd nowej koncesji dla obrony jej granic powołał do życia białą gwardję.

W trzy dni później rotmistrz Sołomin, w wysokich, lśniących butach, w epoletach i z rozetką na czapce, wprowadzał się do zarekwirowanego pałacyku w towarzystwie świeżo zafasowanego ordynansa i wydawał przez telefon lakoniczne rozporządzenia, dotyczące oczyszczenia terytorium Passy z elementów nierosyjskich.

Zresztą błogostan ten zbyt był pełny, aby mógł być długotrwałym. Napomykała o tym niedwuznacznie dzuma, wymachująca figlarnie z przejeżdżających pod oknami aut chorągiewką Czerwonego Krzyża. Rotmistrz Sołomin zrozumiał: trzeba żyć, póki się da i poregulować z życiem, nie odkładając na później, wszystkie zaległe rachunki.

Niestety ci, z którymi pozostały do wyrównania porachunki najcięższe, znajdowali się o setki mil za kordonem, niedosięgalni i nieuchwytni. Trzeba było zadowolić się namiastką. I rotmistrz Sołomin przypomniał sobie od razu: jest przecież poselstwo sowieckie na ulicy Grenelle i cały sztab „przedstawicieli“, wprawdzie nie tak wielu, ale za to autentycznych, najautentyczniejszych, „odpowiedzialnych“. Byle kogo do Paryża szubrawcy nie wysyłają.

Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności ulica Grenelle wraz z całym inwentarzem weszła w skład improwizowanej monarchii burbońskiej; jak dochodziły słuchy, cały personel misji sowieckiej przebywał w tej chwili, w spokoju i komforcie, w jednym z gmachów przedmieścia Saint-Germain, zamienionym naprędce na więzienie, i pod strażą gwardii francuskiej drwił sobie wyraźnie z bliskiego sąsiedztwa ukonstytuowanej na terenie Passy władzy prawowitej.

Rotmistrz Sołomin pierwszy wystąpił z wnioskiem bezwzględnego zażądania od władz francuskich wydania w ręce białej gwardii więźniów sowieckich, jako podległych sądowi rosyjskiemu, jedynie kompetentnemu do stanowienia o ich losie.

Wniosek rotmistrza Sołomina spotkał się z gorącym poklaskiem komendy głównej i jednogłośnym poparciem armii. Wyłoniono natychmiast specjalną komisję, w skład której wszedł między innymi i projektodawca. Komisji tej poruczono nawiązać niezwłocznie pertraktacje z rządem monarchii Saint-Germain.

Francuzi stawiali przeszkody. W zasadzie niby nie mieli nic przeciwko wydaniu bolszewików, uzależniali je jednak od wypłacenia przez rząd rosyjski wysokich odszkodowań obywatelom francuskim, zamieszkałym w Passy, którzy z racji swego semickiego wyglądu ucierpieli w czasie ostatniego pogromu. Sprawa przewlekała się.

Mimo wszystko – wreszcie zdawała się dobiegać końca. Na wczorajszym posiedzeniu rząd rosyjski dał się na koniec skłonić i przychylił się do warunków, stawianych przez nieustępliwych Francuzów. Definitywne podpisanie umowy nastąpić miało dzisiaj, o godzinie dziesiątej rano, na terytorium francuskim, w gmachu byłej Izby Deputowanych, przemianowanej z powrotem na Pałac Burboński.

\*

Punktualnie o dziesiątej z rana miękki sześćoosobowy fiat, po okazaniu odpowiednich przepustek, przejechał most d'Iéna, kierując się w stronę Pałacu Burbońskiego.

Dyżurny urzędnik, chłodnymi, dobrze już znajomymi kuluarami poprowadził delegację rosyjską do małej sali posiedzeń, gdzie czekało na nią nad stołem, zawalonym skoroszytami, czterech szpakowatych, czarno ubranych panów. Przystąpiono od razu do omówienia poszczególnych punktów. Francuzi wysuwali dodatkowe klauzule, nie zgadzali się na projekt wypłat progresywnych, żądali natychmiastowego, gotówkowego załatwienia sprawy. Posiedzenie ciągnęło się w nieskończoność.

Rotmistrz Sołomin, nie biorący czynnego udziału w obradach i zachowujący dostojne milczenie, ziewał dyskretnie w dłoń i znudzonym wzrokiem błędził po suficie.

W chwili, gdy układy zdawały się już pomyślnie zmierzać ku końcowi, siwy pan, o wąskim, wydłużonym nosie wyjął z kieszonki zegarek i ogłosił przerwę śniadaniową.

Przewodniczący delegacji rosyjskiej, zdenerwowany tą nową zwłoką, próbował zaoponować, przekładając, że do chwili sfinalizowania układów pozostało jeszcze najwyżej pół godziny, że odkładać sprawy dłużej nie należałoby i że po załatwieniu jej wszyscy zdążą swobodnie udać się na śniadanie. Panowie o burbońskich nosach zdawali się nie słyszeć jego słów i, jak na komendę, wstali od stołu, przy czym siwy pan niewzruszonym głosem oświadczył, że dalszy ciąg obrad rozpocznie się o godzinie drugiej. Delegacji rosyjskiej nie pozostało nic innego, jak, zagryzłszy wargi, odsunąć krzesła i udać się na przechadzkę w oczekiwaniu ponownego rozpoczęcia układów.

W poszukiwaniu pisuaru rotmistrz Sołomin zabłądził wśród nieskończonych kuluarów i długo wałęsał się, na próżno szukając zgubionej sali. Kiedy wreszcie natrafił na schody i znalazł się na ulicy, kolegów przed pałacem już nie było; najwidoczniej, nie mogąc się go doczekać, udali się bez niego na miasto.

Rotmistrz Sołomin powolnym, spacerowym krokiem zapuścił się w ciche, szkliste od asfaltu ulice. Znał tę dzielnicę dobrze. Odwoził tu, nie tak jeszcze dawno temu, po teatrze, starszych, bogatych panów z nieodłączną rozetką Legii Honorowej w butonierce. Najgorsi pasażerowie! Zawsze kombinują: wsypie ci taki w rękę pełną garść drobników, rachuj do jutra, nie dorachujesz się – pięć sous napiwku.

Rotmistrz Sołomin ze swego przymusowego zawodu wyniósł nieprzezwyctęzoną pogardę dla Francuzów, jako uosobienia wszystkich cech diametralnie przeciwnych „szerokiej naturze rosyjskiej“.

Mocą wieloletniego nawyku obecny rotmistrz, zmieniawszy uniform szoferski na kawaleryjskie rajtuzy, nie przestał wartościować ludzi stosownie do wielkości dawanych przez nich napiwków. Nie był to bynajmniej z jego strony objaw solidarności w stosunku do klasy pariasów, której szeregi opuścił

niedawno, lecz jedna z tych wyżłobionych w umyśle fałd przyzwyczajenia, po których myśli spływają automatycznie, jak łyż po brzdach pooranej zmarszczkami twarzy.

Po raz pierwszy szedł chodnikami tej dzielnicy, jak wolny, równouprawniony przechodzień, spoglądając z wysokości swych złotych epoletów na mijających go ludzi. Można by powiedzieć, że wraz z mundurem oficerskim włożył na oczy inne okulary i oglądane przez nie po raz pierwszy miasto, którego nie znosił, pochylony nad kierownicą, z trotuaru wydało mu się naraz przez te szkła przyjaznym, pociągającym i niepozbanionym swoistego uroku.

Zatrzymał się w kontemplacji przed oszkloną witryną wielkiego zakładu restauracyjnego, uciekającego w głąb tunelem luster, cieniistą oranżerią, egzotyczną i dziwaczną, gdzie nad bielą rozrzuconych, jak płaty śniegu, obrusów kołyszą się wysmukłe wachlarze palm.

Dawniej szybko wymijał te lokale, czasem tylko, ilekroć wypadało mu wysadzać przed ich oszklonym tunelem wyfraczonych gości, rzucał do wewnątrz ukradkiem złe, zazdrosne spojrzenie. Był to ten inny, zamknięty, na zawsze niedostępny świat, miasto w mieście, odgrodzone od reszty tylko grubą taflą szkła, widzialne a nieprzeniknione. Dostać się tam można było jedynie przywdziawszy uprzednio frak, podobnie, jak po to, aby przeniknąć w głębie morskie, włożyć trzeba ubranie nurka.

Znieruchomiałego przed witryną rotmistrza Sołomina nagle olśniła kapitalna myśl. W rzeczy samej, kto w danej chwili może mu zabronić wejść do środka, jeżeli mu się zechce, kto przeszkodzi mu usiąść w cieniu egzotycznej palmy, pośród tych czarnych dżentelmenów w polerowanych garniturach, wyrastających niby tresowane fokki, nad lodowatymi blokami obrusów i niedbale zamówiwszy cokolwiek, zmusić do zakrzątnięcia się wokoło swej osoby wyfraczonego fągasa z przyrośłym do twarzy, przypochebnym uśmiechem?

Olśnienie było tak nagłe, że rotmistrz Sołomin z niemałym trudem zdołał odegrać przed samym sobą małą wewnętrzną komedię obojętności.

Jak gdyby obserwowało go w tej chwili całe miasto (ulica była zupełnie pusta), rotmistrz Sołomin wyjął od niechcenia grubą złotą zegarek; jakby zauważył dopiero teraz, że właśnie jest pora posiłku, nieokreślonym, lecz wymownym gestem dał komuś do zrozumienia, że, skoro już w pobliżu znalazła się restauracja, nie szkodziłoby zjeść w niej śniadanie, i z obojętną, znudzoną miną światowca pchnął masywne lustrzane drzwi.

Owiał go przyjemny chłodek nakrochmalonych obrusów, powietrze, obryzgane rozpylaczem fontanny, mdławy międzynarodowy zapach komfortu. Nad małymi ołtarzykami stolików pochyleni w nabożnym skupieniu ludzie przyjmowali hostie cielęcych i baranich kotletów pod modlitewny podzwitek talerzy namaszczonego ministrantów-piccolo.

Z roztargnioną miną starego bywalca, który nie lubi siadać zbyt na widoku i woli własne dyskretne kąci, rotmistrz Sołomin wyszukał sobie w rogu,

za kolumną, zaciszny stolik, skąd, jak z łoży, roztaczał się widok na całą salę i rozsiadłszy się wygodnie, jął studiować kartę dań.

Zjawienie się gościa w egzotycznym uniformie nie przeszło niepostrzeżenie i rotmistrz Sołomin, czując się punktem przecięcia wielu spojrzeń, z zabójczą nonszalancją i flegmą, po której łatwo odróżnić nowicjuszków od prawdziwych bywalców, przywołał skinieniem kelnera i zaczął zamawiać długie, skomplikowane śniadanie, drobiazgowo, z miną znawcy, wypytując się o gatunki win. Wybrawszy szereg potraw o nazwach najbardziej wyszukanych i uroczystych, w leniwej, malowniczej pozie osunął się na oparcie kanapki, apatycznym wzrokiem błędząc po sali.

Sala o tej porze była prawie pusta, i rozrzucony tu i ówdzie, przy kilku zaledwie stolikach, panowie oddawna przestali już zajmować się egzotycznym gościem, pochłonięci całkowicie jedzeniem i rozmową.

Przy sąsiednim stoliku, zasłonięci kolumną, trzech wygoleni panowie, popijający czarną kawę, prowadzili półgłosem ożywioną rozmowę. Oddzielony od nich jedynie filarem, rotmistrz Sołomin, mimowolny świadek ich rozmowy, mógł ich niepostrzeżenie obserwować.

Dominował pan w binoklach:

– Nie możecie panowie nie przyznać – mówił tonem pełnym smutku i goryczki – że wypadki, które przeżywamy, na każdego szczerego demokratę muszą działać przygnębiająco. W gwałtownym i niespodziewanym bilansie sił, jaki dokonał się w naszych oczach, demokracja francuska okazała się *quantité négligeable*. Jesteśmy świadkami faktu do niedawna tak nieprawdopodobnego i niedorzecznego, jak restauracja monarchii i, co gorsza, przyznać musimy, że odbyła się ona bez jednego wystrzału, bez widomego sprzeciwu ze strony szerokich warstw naszej burżuazji. Zgodzicie się, panowie, że jest to zjawisko wysoce upokarzające.

– Nie podzielam pańskiego pesymizmu – odparł stateczny jegomość, którego wieku nie pozwalała określać idealna łysina. – Czasy powszechnego zdenerwowania, jakie przeżywamy, skłaniają nas do przesadzania i uogólniania wypadków zgoła sporadycznych i wyjątkowych. Zapominamy, że poza obrębem Paryża, przechodzącego okres zakaźnej gorączki ze wszystkimi jej przywidzeniami i dziwactwami, istnieje jeszcze cała właściwa Francja, szczerze demokratyczna i burżuazyjna. Wystarczy, by wygasła w Paryżu epidemia, a wraz z nią znikną, jak gorączkowe majaki, zarówno monarchie burbońskie, jak i radzieckie republiki. Pierwszy oddział rządowych wojsk republikańskich, który wkroczy do Paryża, przywróci w nim dawny porządek w całej jego rozciągłości.

– Wybacz pan – zaproponował w podnieceniu pan w binoklach – drogą pańskich wywodów zapuścilibyśmy się jednak w haszcze najczystszej metafizyki. Sądząc z dotychczasowych danych statystycznych, byłoby niedorzecznością przypuszczać, że ktokolwiek z obecnych mieszkańców Paryża doczeka się opisywanej przez pana chwili. Wszystko zdaje się raczej wskazywać na to, że rzeczywistość, w jakiej żyjemy, jest i pozostanie naszą jedyną daną nam

rzeczywistością. Dla nas, paryżan, obywateli zadżumionego miasta, granice Francji skurczyły się do obrębu rogatek Paryża. Mówić o istnieniu jakiejś Francji, jakiejś Europy, czy jakiegoś świata poza granicami tego miasta, które opuścić może pozwolić nam jedynie śmierć, równa się dla nas w danej chwili mówieniu o realności życia pozagrobowego.

Powie pan, że Francja i Europa istnieją rzeczywiście, pomimo iż nie możemy sprawdzić tego w obecnej chwili naszymi pięcioma zmysłami, że widzieliśmy je wszak jeszcze niedawno na własne oczy, że otrzymujemy stamtąd radiodepesze? Ale czyż mistycy nie mówią nam o źródłach prabytu, które poznajemy drogą prostego przypomnienia, a spirytyści czyż nie otrzymują ze świata duchów depesz niemniej dowodnych? A jednak, zgodzi się pan ze mną, że świat pozagrobowy nie przestaje być przez to kwestią wiary, i że socjologa, który chciałby opierać na fakcie jego ewentualnego istnienia swe koncepcje socjologiczne, nazwalibyśmy w najlepszym razie mistykiem, męża stanu zaś, który budowałby politykę swego narodu na nadziejach pomocy z tamtego świata, umieścilibyśmy po prostu w domu wariatów. Czymże jednak innym, jak nie oczekiwaniem takiej odsieczy z tamtego świata są pańskie wojska republikańskie, które mają przyjść i przywrócić w Paryżu dawny ład?

Powtarzam, dla nas świat, Europa, Francja, jak kawałek lichej, zmoczonej materii, skurczyły się do rogatek, względnie do przedmieść Paryża. Zagadnienia naszego życia społecznego i politycznego pozostały te same, zmieniła się tylko ich pomiarka; rozwiązywać musimy je odtąd w innej, zmniejszonej skali. Posługując się zaś nią, nie możemy nie stwierdzić, że jesteśmy świadkami formalnego rozbioru Francji i że w obliczu tego rozbioru demokracja francuska okazała się w znaczeniu moralnym wielkością równa zeru. Dotychczas trzymała się ona u steru jedynie mocą inercji, dawno już roztrwoniwszy swój kapitał moralny; skoro zaś wypadło jej przystąpić do reorganizacji mocno okrojonego gospodarstwa, w momencie licytacji między komunizmem i monarchią z bożej łaski – bez namysłu i bez walki oddała poniżej ceny kosztu miejsce, zajmowane przez nią od czasów Wielkiej Rewolucji, w ręce najczarniejszej, ukoronowanej reakcji, byleby zachować swą rentę w całej jej nietykalności.

Łysy pan obejrzał się lękliwie dokoła, czy ktoś nie słyszy i podniósł ostrzegawczo palec do ust. Nie wiadomo, czy chciał coś zareplikować, wyprzedził go bowiem trzeci z panów, dotychczas milczący, o dorodnej głowie, przepłataney przez pół, jak orzech, cięciem nieposzlakowanego przedziału.

– Niewątpliwie ma pan wiele słuszności – powiedział, ważąc słowa z godnością i umiarem urodzonego parlamentarzysty. – Nie podzielam jednak pańskiego pesymizmu. Zapewne, możliwe, że ludność Paryża, wymierając w tempie dotychczasowym, wymrze całkowicie, zanim uda się unieszkodliwić epidemię. Jest to jednak ostatecznie też tylko hipoteza, równie możliwa, jak i hipoteza przeciwna. Winniśmy brać ją pod uwagę, lecz nie wolno nam podnosić jej do znaczenia pewnika. Dziesiątki i setki uczonych i lekarzy za kordonem



pracują, nie pokładając rąk, nad zwalczaniem śmiertelnie zaraźliwej choroby; nikt nie może zaręczyć, że im się to nie uda – nie dziś, to jutro.

W każdym razie niepodobna zaprzeczyć, że wypadki, których jesteśmy świadkami, są ze wszelkich miar symptomatyczne i pouczające. Przy próbie ponownego zagospodarowania się w tej zmniejszonej skali – pozwoli pan, że użyję pańskiego wyrażenia – demokracja nasza istotnie, musimy to przyznać, nie zdała swego egzaminu. Nie powinniśmy jednak wyciągać z tego zbyt daleko idących wniosków. Wszystkim wiadomo, że klasy panujące starzeją się w miarę tego, jak przejadają swój kapitał rewolucyjny, który wyniósł je do władzy. Burżuazja francuska nie jest i nie może być z tej reguły wyjątkiem. Przedwcześnie byłoby jednak wnioskować, że burżuazja francuska odegrała już swą rolę historyczną i musi zejść ze sceny. Dziś, gdy nauka bliska jest tajemnicy odmładzania osobników, dlaczego nie mielibyśmy się pokusić o odmładzanie całych klas? Proceder tego odmładzania będzie, nota bene, o wiele prostszy. Wystarczy, że klasa rządząca zrezygnuje ze swych przywilejów i stanie się na pewien czas klasą rządzoną. Nic nie odmładza tak bardzo jak opozycja. Jest to fakt dobrze znany z praktyki parlamentarnej.

Burżuazja francuska, która od dawna już roztrwonila swój kapitał moralny, nagromadzony przez Wielką Rewolucję i straciła do reszty swój kredyt w masach, potrzebuje tego zabiegu bardziej, niż jakakolwiek inna klasa jakiegokolwiek innego narodu. W interesie zachowania przez nią jej stanowiska kierowniczego należało już od dawna zainscenizować bodaj jakiś zamach stanu, jakąś restaurację monarchii, która pomogłaby po pewnym czasie burżuazji odegrać powtórnie jej rolę oswoobodzicielki. Skoro taki stan rzeczy powstał sam przez się, możemy się z tego tylko cieszyć.

Opracowuję właśnie obecnie memoriał, który z chwilą stłumienia epidemii przedłożyć chcę rządowi w Lyonie. Dowodzę w nim, że natychmiastowe zlikwidowanie monarchii paryskiej byłoby niewybaczalnym błędem. Przeciwnie, utrzymuję, że rząd i demokracja powinny przyczynić się wszelkimi środkami do rozpowszechnienia ustroju monarchistycznego na całą Francję, dopomagając mu do zdławienia wspólnego nieprzejednanego wroga – komunizmu. Dopiero z góry uplanowana i w odpowiednim momencie umiejętnie przeprowadzona rewolucja, której burżuazja potrafi dokonać bez pomocy innych klas i oczywiście bez przelewu krwi, wróci jej moralny kredyt rewolucyjny wśród mas, podniesie jej autorytet i osłoni jej pierś nowym pancerzem przed niebezpieczeństwem komunizmu...

Czy i co odpowiedzieli na tę tyradę łysy pan i pan w binoklach, rotmistrz Sołomin już nie dosłyszał. Zrobiło mu się nagle nieskończenie nudno. Przypomniały mu się mityngi moskiewskie za Kiereńskiego z tasiemcami przemówień, w których słowo „demokracja“ powtarzało się nie mniejszą ilość razy, tylko, że z mocnym rosyjskim przyświtem. Wzmianka o komunizmie przypomniawszy mu o tamtych gagatkach, odsypiających się z komfortem we francuskim więzieniu („u nas się odeśpią!“).

Spojrzał na zegarek: druga. Znow zmitrężył czas! I nie dojadłszy tak starannie zamówionego śniadania, zapłacił słony rachunek i pustymi, nagle ogołoconymi z uroku, ulicami podążył w stronę Pałacu Burbońskiego.

Tym razem układy potoczyły się różnie i niespełna po godzinie, kładąc na czarnym od paragrafów i klauzul arkuszu zakrętas swego podpisu, rotmistrz Sołomin uśmiechnął się w myśli – nareszcie!

Ostatni szkopuł: termin. Francuzi chcą wydać więźniów jutro. Przewodniczący delegacji rosyjskiej chciałby jeszcze dzisiaj. Niemożliwe – formalności itd. (Jakie tu mogą być jeszcze, u licha, formalności?) Trzeba było przystać na jutro. Rosjanie chcą przysłać po odbiór jeńców dwóch oficerów. Francuzi oponują. Odstawią sami na most, wydadzą za pokwitowaniem przednim strażom.

– Cóż, niech będzie i tak. A zatem – jutro rano, o jedenastej.

Obie delegacje w milczeniu uściśniły sobie dłonie.

Czarny sześćosobowy Fiat półkołem cienistego nadbrzeża miękko potoczył się w stronę mostu d'Iéna.

## V

– Towarzysze! Tak nie można! Proszę zapisywać się do głosu. Musi być przecież jakiś porządek!

– To go pilnujcie, towarzyszu! To już wasza rzecz. Na to obrali was przewodniczącym. Zapisujcie. Tylko tak, żeby każdy mógł się wypowiedzieć całą gębą. Ty masz zdanie takie, a ja mam takie. A wymachiwanie dzwonkiem, jak w kapitalistycznym parlamencie, tak, że nie słycać nikogo – cóż to za porządek?

– Towarzysze! Proszę o spokój! Głos ma towarzysz Lerbier.

– Ja, towarzysze, długo mówić nie będę. Jako komisarz aprowizacji, obwijać prawdy w bawełnę nie mam poco. Stan aprowizacji republiki jest katastrofalny. Jeżeli wydawać po ćwiartce chleba, jak ostatnimi dniami, starczy najwyżej na trzy dni. A i to już licząc, że ludność zmniejszy się w międzyczasie o odpowiedni procent. Wczoraj rozdaliśmy ostatni worek kartofli. Za trzy dni, towarzysze, nikt nie będzie miał co włożyć do gęby. Republika skazana jest na śmierć głodową.

– A wyjście? Jakież jest wyjście?

– Wyjście, towarzysze, moim zdaniem, jest jedno. Przedrzeć się na terytorium koncesji amerykańskiej i opanować jej składy. Moim zdaniem, towarzysze, imperialiści angielscy i amerykańscy z głodu jeszcze, jak świat światem, nie umierali; na pewno nagromadzili sobie przyzwoity zapasik prowiantów. Musimy, naturalnie, być przygotowani z ich strony na zajadły opór. Milicja angielska jest uzbrojona od stóp do głów i, żeby dostać się na ich terytorium, sforsować będziemy musieli dwa rzędy barykad i wyrznąć ładnych

parę tysięcy dżentelmenów. Innej rady jednakowoż nie widzę. Ludność pójdzie chętnie, jak tylko się dowie, że chodzi o wyrzucenie z Paryża Anglików.

Wiadomo, że to nie rozwiązanie kwestii, ale przynajmniej odroczenie jej na jakiś czas, dopóki starczy zapasów amerykańskich. Jeżeli ktoś z towarzyszy widzi lepsze wyjście – proszę. To wszystko, towarzysze, co chciałem powiedzieć. Skończyłem.

– Spokój! Proszę o spokój! Głos ma towarzysz Laval.

– Ja, towarzysze, ze zdaniem towarzysza-przedmówcy w żaden sposób zgodzić się nie mogę. Pewnie, wyrzucić parę tysięcy angielskich kapitalistów i oczyścić śródmieście Paryża – to rzecz pożyteczna, nie ma co gadać. Ale teraz na to jeszcze nie pora. Zresztą wyręczy nas w tym czyściej i dokładniej dżuma. O parę dni ubijać się nie warto. A przede wszystkim dlatego, że nie wierzę, towarzysze, w te składy żywności, które spodziewa się znaleźć na terytorium koncesji towarzysz Lerbier. Bo i skądże by je Anglicy wzięli? Co innego pieniądze. Pieniądzy znaleźlibyśmy z pewnością kupę. Ale co nam, towarzysze, teraz po pieniądzach? Chleba za nie nie kupi. Nie warto po to, towarzysze, przelewać naszej krwi proletariackiej. A prowianty, jeżeli jakieś tam nawet były, żeżarli już dawno sami. Nie pożyjemy się tym. I oczyszczać Paryż, towarzysze, jeszcze za wcześnie. Póki się sam z dżumy nie oczyści, niewielką będziemy mieli z niego pociechę. Nie, towarzysze, szukać żywności w Paryżu na diabła się zdało. Wygubimy tylko na barykadach połowę proletariatu, a i tak zostaje go z każdym dniem coraz mniej. Czymże, towarzysze, jakimi siłami opanujemy Paryż, jak wygaśnie w nim zaraza? Trzeba strzec, towarzysze, pilnować, jak oka w głowie, każdej kropli krwi proletariackiej, a nie pomagać jeszcze dżumie w jej robocie.

– Nie pomożesz jej ty, to jej głód pomoże! Bez chleba długo nie wyżyje!

– Wiem, towarzysze, bez chleba nie wyżyje, ale i z jedną pajdą też daleko nie zajędzie. I szukać tej pajdy musimy gdzie indziej, tam, gdzie wiemy na pewniaka, że jest, a nie tam, gdzie z góry wiemy, że jej nie ma. Szukać jej, towarzysze, musimy za kordonem.

– A jakżeż, towarzyszu, przez kordon? Przez kordon ręką nie sięgnie. I przebić się, wiadomo, nie sposób.

– Chwileczkę, towarzysze, pozwólcie mi skończyć. Mam plan. Wcale nie potrzebujemy przebijać się przez kordon, żeby zmusić imperialistyczny rząd francuski do zaopatrzenia nas w prowianty. A wystarczy, moim zdaniem, wysłać od rady delegatów do rządu iskrówkę: albo w dwa dni dostawicie nam na drugą stronę kordonu i będziecie dostawiać na przyszłość tyle i tyle wagonów mąki, kartofli i jeszcze tam czego, albo przebijemy się i zerwiemy wasz kordon. A jeżeli nawet przerwać go nie zdołamy, to w każdym razie przy starciu z nami zarazi się od nas wasze wojsko, a od wojska, jak chuchnął, dżuma pójdzie dalej spacerkiem po całej Francji. Czekamy akurat dwa dni – wybierajcie.

– Nie odpowiedzą!

– A moim zdaniem, towarzysze, odpowiedzą i to piorunem. Żadna pogroźka nie podziała tak, jak strach przed zarazą. Zmiarkują, że nie mamy nic do

stracenia. Przestraszą się. Nie zechcą ryzykować. A nuż uda nam się przebić aż do samego kordonu i zetknąć z ich wojskiem? Przecie tego boją się, jak ognia. Nie zechcą dla kilkunastu wagonów prowiantu narażać na zarażenie się całej Francji. A drugą iskrówkę nie zawadzi wysłać do proletariatu francuskiego za kordonem: wymierający z głodu proletariat paryski zwraca się do proletariatu Francji i całego świata, żeby przycisnął rząd francuski i zmusił go do wysłania głodującym pomocy żywnościowej. Z tej strony dzuma, a z tamtej – strajk generalny. Nie miną dwa dni, jak dostawią nam żywność elegancko za kordon. Takie jest, towarzysze, moje zdanie. Skończyłem.

Zadudniło równocześnie kilkadziesiąt głosów.

Późnym wieczorem rada delegatów robotniczych i żołnierskich republiki radzieckiej Belleville, przychylając się większością głosów do wniosku towarzysza Laval, wyrzuciła w przestrzeń dwie iskrówki.

Odpowiedzi nie otrzymano.



W dwa dni później ponowne posiedzenie rady delegatów akceptowało wniosek towarzysza Lerbier, polecając komisji wojskowej opracowanie szczegółowego planu zbrojnego opanowania koncesji anglo-amerykańskiej.

Wychodząc z posiedzenia, towarzysz Laval nacisnął głęboko na czoło czapkę, co zawsze świadczyło o jego silnym wzburzeniu i zapuścił się w kręte, słabo oświetlone uliczki. Mżył drobny deszcz.

Fiasko przedwczorajszego wniosku dotknęło towarzysza Laval do żywego, jak osobista zniewaga, napełniając go głuchą wściekłością.

– Dranie! Gwiżdżą na nasze pogróżki! Chcą nas wymorzyć głodem! – mrucał przez zaciśnięte zęby.

Wiedział dobrze: imperialiści. Jakież tu mogą być z nimi układy? Nie wzruszą się losem zdychającego proletariatu. Ale liczył, że ulękną się zarazy. Nie zechcą ryzykować. Nie, nie zlekli się. Mocno widać pewni są swojego kordonu. Wytłuką, jak psów. Nie podpuszczą na kilometr.

I głucha, bezsilna złość bulgotała w sercu towarzysza Laval.

Nienawidził tej zgrai każdym włókniem, na samo jej wspomnienie krtań ścisnął mu bolesny skurcz. Zatrutowali już raz ciężkimi buciskami żołdactwa Komuny Paryskiej. Teraz czekają spokojnie, aż powyzdychają wszyscy z głodu i zarazy, wtedy będzie można zająć na nowo wydezynfekowany Paryż, zalać go policją, zatopić demokracją, otwarłszy śluzy częściej parlamentarnej gadaniny, obstarwić pułapkami kryminałów, zgnieść w żelaznych klubach; i znowu popłyną do fabryk spędzeni z roli, czarni, zahukani ludzie, potem spracowanych rąk wykuwać dla nich spokój, zbytek i nieróbstwo. Znów potoczy się wszystko po dawnemu, i pies nie będzie nawet wiedział, że była już przed paru miesiącami w Paryżu komuna, rząd robotniczo-żołnierski, rady delegatów, surowa robotnicza epopeja.

Na myśl o tym towarzysz Laval zaciskał tylko silniej zęby, aż rozlegał się ostrzegawczy trzask szczęk. Ciężkim butem, cięższym od jarzma zarazy, przygniatała go bezsilność.

Towarzysz Jacques Laval, kapitan czerwonej gwardii republiki radzieckiej Belleville, w epoce przedrewolucyjnej, to jest przed czterema tygodniami, był marynarzem na krążowniku „Zwycięstwo“. W partii – od ośmiu lat, to znaczy od chwili, gdy go, jako dwudziestoletniego rumianego parobczaka z tartaku Combé, komisja poborowa przydzieliła do marynarki i strącony do czarnego, pływającego lochu, wgarniać zaczął łopatą w ziejącą paszczę pieca ciężkie grudy węgla, zgrubiałymi palcami badając pierwsze oparzeliny na nagim, muskularnym torsie. Cała dwudziestoletnia wiedza wyróciła koziołka i mocno osadzony, uporządkowany świat zakotył się w jego głowie, jak pokład pod nogami w czasie wścieklej chwiejby.

Z pomostu partii wszystko nagle stało się przejrzyste, jak szkło i, obejrzawszy się za siebie, towarzysz Laval od razu zrozumiał niejedno. Stary Combé własnym samochodem zajeżdża raz na tydzień do tartaku sprawdzić, czy wszystko w porządku? A starego Frosta, co stracił wzrok, wymierzając milimetry, majster przez policję wywał na zбитy łeb: „niezdalny“. Na krążowniku armaty, wieże pancerne – militarizm. Wylizany oficerek i stary Combé – to jedno, tylko twarze różne, ale tułów ten sam – biała międzynarodówka. I nastawiając działo pod kątem 25°, szeregowiec Laval marzył: spędzić by to wszystko bractwo z całego świata, z samochodami, w szlifach, w sutannach w jedno przestronne miejsce i – bęc! I twarz towarzysza Lavalą rozkwitała wtedy szerokim uśmiechem.

Do Paryża towarzysz Laval przyjechał na urlop i w Paryżu uwięziła go dzuma. Kiedy pod wpływem zarazy w mieście wybuchły pierwsze zamieszki i grunt zachybotał się, trzaskając wzdłuż ściegów odrębnych pokładów klasowych, towarzysz Laval poczuł: umierać po staremu, jak psy – nie sposób. Dopóki imperialiści za kordonem i dostępu do Paryża broni mór, trzeba zburzyć na razie starą rudere, położyć fundamenty pod wolną republikę rad.

I zsunąwszy na tył głowy beret, towarzysz Laval pewnym, elastycznym krokiem ruszył pierwszy do koszar, skąd po godzinie wyszedł już na czele niebieskiego pułku z wytrząśniętym na poczekaniu, nie wiedzieć skąd, czerwonym sztandarem.

Następnie przyszyły dni pracy organizacyjnej. Przeszkadzała dzuma. Wyrwała spod boku najlepszych towarzyszy. Gdyby nie to, towarzysz Laval, pochłonięty zagadnieniem organizacji rad robotniczych na terenie południowych peryferii Paryża, byłby jej prawdopodobnie nie zauważył. Oczywiście – higiena i środki ostrożności. Reszta to już rzecz lekarzy. Do pewnego stopnia była nawet pożyteczna. Oczyszczała centrum i dzielnice zachodnie z elementów burżuazyjnych. Należało tymczasem postawić na nogi peryferie, aby, w chwili ustania epidemii, cały burżuazyjny Paryż ocknął się, jak w obręczy, w cęgach

blokady proletariackiej. Opanowanie wycieńczonego zarazą miasta byłoby już wtedy drobnostką.

Ale dzuma nie folgowała, dziesiątkując ze złowrogą systematycznością kadry proletariackie. Pracować w tych warunkach było bardziej, niż trudno. Dzień w dzień rozpoczynać trzeba było od nowa. I oto teraz, na dobytek wszystkiego – głód. Młoda, kształtująca się komuna skazana na śmierć głodową. W walce o kęs chleba na barykadach koncesji anglo-amerykańskiej polegają resztki przeredzonych już i tak szeregów proletariatu paryskiego. W dodatku w istnienie poważnych zapasów żywności na terenie koncesji towarzysz Laval nie wierzył.

Wszystko waliło się w oczach w gruz pod złośliwym, nieubłaganim obuchem. Ostatnia pogroźka pod adresem tamtych, imperialistów, zażerających się w spokoju i w dostatku za kordonem i wyczekujących cierpliwie, kiedy też z głodu i zarazy zdechnie wreszcie ostatni paryżanin – zawiodła. Cóż pozostawało? Kapitulować i ze złożonymi rękami czekać śmierci, czy też biec po nią samemu na barykady zadzumionej koncesji amerykańskiej?

Towarzysz Laval w milczeniu, jak niegdyś łopatą węgiel, przerzucał tony opornych, niewesołych myśli.



Późno po północy do mieszkania głównodowodzącego wojskami republiki radzieckiej Belleville, towarzysza Lecoq zapukano.

Towarzysz Lecoq odszukał po omacku na krześle przy łóżku binokle, osadził je jako tako na nosie i, narzuciwszy na białą żółnierską płaszcz, poszedł otworzyć, zapalając po drodze elektryczność.

– To wy, towarzyszu Laval? Co się stało?! Czy co ważnego?

– Przychodzę do was, towarzyszu dowodzący, w interesie. A interes mam pilny, niesobisty, dotyczy całej komuny. Nie wytrzymałem z nim do rana. Nie gniewajcie się... – mówił, miętosząc czapkę w rękę, towarzysz Laval.

– Skądże, skądże! – zakrzętał się towarzysz Lecoq. – Wchodźcie. Jestem do waszej dyspozycji. Jeżeli sprawa ważna, każda pora odpowiednia. Spanie nie ucieknie. Siadajcie. Może zapalacie? Słucham. Cóż to za sprawa?

– Przychodzę, towarzyszu dowodzący, w sprawie tejże samej żywności dla komuny. Niedopuszczalna rzecz posyłać resztki proletariatu na barykady angielskie. I żywności tam żadnej nie ma. Istne samobójstwo.

Towarzysz Lecoq ze zdziwieniaomal nie zgubił binokli.

– Jakże to, towarzyszu? Przecież taka była uchwała rady delegatów. Mówiliście już o tym na posiedzeniu. Wniosek wasz przeszedł. Nie dał żadnych rezultatów. Wypadło uchwalić inny. A teraz, skoro już zapadła taka uchwała, wracać do tego za późno. I pora niezupełnie stosowna. Gdyby tak każdy z nas zaczął krytykować i odwoływać uchwały rady, coż by z tego wyszło? Sami zresztą wiecie dobrze, czemu taką właśnie uchwałę powzięto i nie protestowaliście wtedy. Rozumieliście, że innego wyjścia nie ma.

– Jest wyjście – powiedział pochmurnie towarzysz Laval. – Wtedy nie widziałem, a teraz widzę. Dlatego też przyszedłem do was po nocy, towarzyszu dowodzący.

– Jakież wyjście znaleźliście nagle? Widzicie, nie zlekli się waszej depeszy. Nie dostawili na termin ani jednego wagonu żywności. Na cóż jeszcze będziemy czekać. Któż nam jej dostarczy?

– Z tym właśnie przyszedłem, towarzyszu dowodzący. Ja jej dostarczę – rąbnął z przekonaniem Laval.

– Wy? – Towarzysz Lecoq aż nachylił się ze zdziwienia. – Jak to wy? Skądże ją weźmiecie?

– Skąd wezmę, to już moja rzecz. Wiadomo, że zza kordonu wezmę. Towarzysz Lecoq zakasłał w zniecierpliwieniu.

– Cóż wy, towarzyszu, żartować przyszliście, czy co? Co to znaczy: zza kordonu weźmiecie? Nie czas teraz na żarty.

– Mnie, towarzyszu dowodzący, żarty nie w głowie. Przyszedłem wam powiedzieć, że jutro wrócę z żywnością dla komuny, a przyszedłem w nocy, bo sprawa, moim zdaniem, pilna, odkładać jej się nie godzi.

Towarzysz Lecoq przyjrzał się badawczo gościowi i odpowiedział dopiero po długiej pauzie:

– W jakież to sposób, jeżeli wolno wiedzieć, wybieracie się sami przywieźć dla komuny żywność zza kordonu?

– Wiadomo, przedarłszy się przez kordon. Całe wojsko się nie przebije, a kilkoro chłopą prześlizgnąć się potrafi. Osobliwie wodą.

– I cóż z tego, jeżeli się nawet prześlizgnie i wróci z bochenkiem chleba? Komunę tym myślicie nakarmić? Wiecie, ile trzeba, żeby nakarmić komunę? Wagon! Jakże z tym się wybieracie prześlizgnąć? Na plecach przeniesiecie, czy co?

– Na plecach nie przeniosę, a wodą przewieźć nietrudno.

– Jak to wodą?

– A tak, bardzo zwyczajnie. Na rzece kordonu nie ma. Murem rzeki nie zagrodzili.

– I cóż z tego? Pilnują dniem i nocą. Ryba się nie przedostanie.

– Ja, towarzyszu dowodzący, po próżnicy do was nie przychodzę.

Wszystko zbadalem na miejscu. Wiem, co mówię. Rzeką przejechać można.

– A to w jaki sposób?

– W dzień nie można, a w nocy można.

– Wiecie przecież, że w nocy oświetlają całą Sekwanę reflektorami, właśnie w obawie, żeby kto nie przepłynął.

– Oświetlać oświetlają, ale nie całą Sekwanę, tylko na przestrzeni jednego kilometra. Dwoma reflektorami oświetlają. Jeden na jednym brzegu, drugi na drugim. Więcej reflektorów w pobliżu nie ma, bo i po co? Widno, jak w dzień.

– W jakież sposób uważacie wobec tego, że można przepłynąć?

– Przepłynąć nietrudno, nawet nie jednym statkiem, ale tyloma, iloma się chce. Trzeba tylko zgasić oba reflektory.

– A to znów w jaki sposób?

– Sposób znowuż bardzo prosty, kiedy się zna dokładnie stanowisko każdego reflektora. Dwoma wystrzałami z pięciocalówki można zgasić.

Trudniejsze sztuki robiło się u nas, w marynarce.

– Powiedzmy, że zgasicie oba reflektory. Po pół godzinie naprawią.

– Przez pół godziny, jakbyście chcieli, cały Belleville przepłynie. Osobliwie teraz. Noce ciemne, choć oko wykol.

– Przypuśćmy. A jakże z powrotem?

– Z powrotem, ma się wiedzieć – trudniej. Zawsze spróbować można. Jak będziemy jechać nazad, nie od razu się połapią: kto i dokąd. A jak się połapią na pierwszym kordonie, to i strzelać chyba nie bardzo będą. Przecież grunt na to jest kordon, żeby nikt się z Paryża nie wymknął. A kto sam, z własnej ochoty, wilkowi lezie w gardło, takiemu krzyżyk na drogę. Po cóż do takiego strzelać? Strzelą dwa razy dla postrachu i dadzą spokój.

– Wszystko to bardzo pięknie. A skądże macie zamiar wy dostać żywność?

Towarzysz Laval nachylił się bliżej:

– Jak jechać prosto Sekwaną, o jakich sześćdziesiąt kilometrów od Paryża leży nad brzegiem miejscowość jedna, nazywa się Tansorel. Niby rodzinne moje strony. Każdy kamyczek znam na pamięć. O wiorstę od brzegu jest tam młyn parowy, wielki, z całej okolicy zboże miele. Osobliwie o tej porze mąki w nim będzie dobrych paręnaście wagonów. Mało-wiele: trzy galary po dwieście worków będzie można zabrać. Więcej holownik nie uciągnie. Myślałem brać galary stąd, puste, ale obejdzie się i bez tego i prześlizgnąć się jednym holownikiem w tamtą stronę łatwiej. A galary weźmiemy na miejscu, tartaczne. Jest tam tartak. Deski galarami do Paryża spławiał. Teraz nie spławia, to i galary stoją na miejscu. Naładuje się trzy galary. Przed świtem będziemy z powrotem. Sześćset worków po sto kilo. Wiele-niewiele – na miesiąc na wyżywienie komuny starczy. Dalej zobaczymy. Może i zaraza do tego czasu wygaśnie, a może odezwie się proletariat na tyłach? Będzie czas poczekać.

Towarzysz Lecoq odpowiedział nie zaraz.

– Romantycznie mi coś ta cała wasza wyprawa wygląda. Jeżeli nawet uda się wam przejechać w tamtą stronę, nie widzi mi się, żeby przepuścili was z powrotem. Zatopią was z całym bagażem.

– Spróbować nie zawadzi. Wytluką, to wytluką dziesięcioro chłopca.

Zawsze, co dziesięciu, to nie cała komuna. Koncesja amerykańska nie ucieknie. Zatopią nas, to pójdziecie szukać chleba tam. Spróbować trzeba.

Towarzysz Lecoq w milczeniu zaciągnął się papierosem.

– Widzicie, towarzyszu, sęk właściwie tkwi nie w tym. Przypuśćmy, że udałoby się wam nawet przedostać przez kordon i wrócić z żywnością, chociaż mało mi się to wydaje prawdopodobne. Tak czy tak, nie mamy prawa, towarzyszu, nawet dla ratowania od głodowej śmierci całej komuny, przenieść



zarazę za kordon. Co innego pogróżki, a co innego wykonanie. Gdyby wyprawa wasza się wam udała, w poszukiwaniu żywności musielibyście wysiąść na brzeg po tamtej stronie kordonu i zetknąć się z tamtejszą ludnością, to znaczy – liczyć się zgóry z ewentualnością zostawienia im zarazy. Nie mamy prawa, towarzyszu, dla ratowania od śmierci dziesięciu tysięcy obywateli komuny, wystawiać na niebezpieczeństwo zarazy proletariat i chłopstwo całej Francji. Nie mogę dać wam pozwolenia na taką wyprawę.

– Sprawiedliwie mówicie, towarzyszu dowodzący. Tylko że pomyślałem o tym wszystkim nasamprzód. Znalazłem sposób, że nawet przybijając do brzegu nie będziemy. Przyjedziemy, zatrzymamy się pośrodku rzeki, zabierzemy żywność i nogi za pas! Widzicie, nawet galarów naszych dlatego ze sobą nie biorę. Ich własne przyczepić tylko i jazda!

– Cóż to, uważacie, że sami mąkę wam wyniosą, naładują na własne galary, jeszcze was poproszą: zabierajcie?

– Jakbyście zgadli, towarzyszu dowodzący. Sami naładują. Plan mam, zobaczycie sami, prosty, nietrudny, tylko dopowiedzieć mi go do końca nie pozwalacie.

Towarzysz Laval wziął ze stołu ołówek i, wodząc nim po bibule, zaczął szczegółowo wyklądać swój plan.

\*

Kiedy towarzysz Lecoq został w pokoju sam, na dworze już dniało i na okopconych sadzą nocy szybach okien matowym, bladym witrażem inkrustował się maleńki wszechświat ulicy.

Towarzysz Lecoq zrzucił płaszcz i, wyciągnąwszy się na łóżku, spróbował zasnąć. Sen jednak, raz spłoszony, nie powracał. Lecoq sięgnął ręką do półki i zdjął książkę. Otworzył. Lenin: „Zadania Proletariatu“. Próbował czytać.

Myśli, jak maleńkie robaki skałotocze, nie mogąc przedostać się do mózgu, zawracały zadąsane pomiędzy czarne grządki wierszy. Towarzysz Lecoq odłożył książkę i zapatrzył się w sufit.

Skądś, z lustra pamięci, jak spóźnione odbicie, wynurzyła się smagła, ochłostana wiatrami twarz, odebrzmiały słowa proste, uśmiechnięte: „Wytluką, to wytluką dziesięcioro chłopca. Zawsze co dziesięciu, to nie cała komuna. Spróbować trzeba.“

Towarzysz Lecoq uśmiechnął się. Ambicja? Junactwo? Czy też doprawdy taka zapamiętała miłość komuny?

Spotykał się z tymi ludźmi co dzień, od lat, twarzą w twarz, jeszcze na uniwersytecie, gdy, zakopany w książkach, syn zabiedzonego nauczyciela gimnazjalnego, biegał ze studenckiej garkuchni na zebranie sprawdzać na realnym przykładzie czarne cyfry statystyk. Nauczył się patrzeć w te oczy, odcyfrowywać ze zmarszczki, z akcentu wyzwiska krzywdę głęboką, niezaleczoną, konkretną; w konturze wyrzuconych mimochodem

sakramentalnych słów: „proletariat“, „imperializm“, odgadywać cyfry obciętych zarobków, kaliber doznanych upokorzeń. I nagle tu – jasne, niebieskie oczy, uśmiech i śmierć. Wpływ romantycznej lektury? Bohaterstwo?

Na biurku zaterkotał telefon.

Towarzysz Lecoq wstał, odebrał raport, potem w czarną muszlę głośnika przedyktował kilka rozporządzeń. I wyciągając się jeszcze raz na twardym żołnierskim łóżku, twarzą do ściany, zamykając już oczy do snu, pomyślał:

– Zatłamszą chłopą, jak nic. A szkoda. Minie dzuma, wypadnie budować komunę – takich trzeba będzie wtedy jak najwięcej.

I wargami gdzieś w sen, jak wyuczoną, cowieczorną lekcję:

– Ale wtedy mnie już nie będzie także...

Sen jednak nie przychodził. Poprzewracawszy się z boku na bok, towarzysz Lecoq zapalił papierosa. Spojrzał na zegarek. Czwarta. Dokończył papierosa, wstał, zapalił światło. Podszedł do biurka. Z szuflady biurka wyciągnął schowany głęboko pod raportami gruby brulion w ceratowej okładce i rozłożył go na stole.

W tajemnicy przed wszystkimi, towarzysz Lecoq pisał historię zadumionego Paryża. O tym, że niegdyś zajmował się literaturą, wiedziało niewiele. Za młodu pisywał wiersze. Podobno nawet niezłe. Zarzucił je zresztą od dawna. Zdolności literackie wstydził się, jak swej erudycji, jak swego inteligentnego pochodzenia. Jak żbik, najeżył się szorstkością, kolcami żołnierskiego słownictwa, obejściem lapidarnym i rubasznym.

Nieustanne postępy dżumy utrwaliły w nim pewność, że Paryż w pierścieniu kordonu skazany jest na wymarcie, że nie ocaleje zeń ani jedna żywa dusza.

Co prawda, od pierwszych chwil istnienia republiki, na rozkaz KC. przedsięwzięte zostały najenergiczniejsze środki w walce z zarazą. Korzystając z zamieszania, jakie zapanowało w skołowaciałych dzielnicach burżuazyjnych, republika Belleville w zuchwałym wypadzie zawładnęła instytutem Pasteura i ciężarówkami autami przewiozła na swoje terytorjum cały jego inwentarz. We wzorowo urządzonych laboratorjach dziesiątki uczonych, oddanych sprawie proletariatu, pracowały dniem i nocą w nadludzkiem wyteżeniu nad unieszkodliwieniem śmiertelnego zarazka. Codziennie dokonywano próbnych szczepień nowowynalezionych surowic, nie dających, jak i wszystkie poprzednie, pożądaných rezultatów.

Po miesiącu bezskutecznej walki towarzysz Lecoq przestał wierzyć w możliwość pomyślnego wyniku. Na rozgrywające się dokoła wypadki patrzył z ciekawością przyrodnika, obserwującego obumieranie komórek. Cierpiał nad tym, że tyle materiału dokumentalnego przepadnie na darmo, nie stanie się nigdy dobytkiem ludzkości. Myśl ta dręczyła go po nocach.

Wymrą wszyscy, nie zostanie nikt, kto by mógł odtworzyć dla przyszłych pokoleń historię tego miasta, niezapomnianą i chimeryczną.

Postanowił wreszcie sam, po kryjomu, na podstawie zebranych danych, ustnych relacji, i naocznych spostrzeżeń spisać jego kronikę. Umrze on, wymrą wszyscy, zostanie rękopis. Przemienie dżuma, przyjdą nowi ludzie, odnajdą go, otrząsną z kurzu, nie zginie na zawsze ten obfitujący w cenne doświadczenia płat historii, niepowtarzalne perypetie tego makabrycznego okresu.

I po nocach, ukradkiem, w godzinach wolnych od zajęć służbowych, wciągał do grubego brulionu zebrane w ciągu dnia wiadomości, porządkując i uzupełniając napływające bez ustanku dokumenty i przyczynki.

Otworzył brulion na ostatniej zapisanej stronie, towarzysz Lecoq jeszcze raz pomyślał o Lavalu. Co za wspaniały egzemplarz! O takich – pisać epepeje. Trzeba zresztą poczekać końca wyprawy. Co za patetyczny rozdział! W zamyśleniu przerzucił kilka stron. Zatrzymał się na ostatniej notatce, dotyczącej powstania na terenie placu Pigalle i ulic okolicznych nowej autonomicznej republiki murzyńskiej, założonej przez Murzynów – Montmartre’u (dżazbandystów i odźwiernych), na znak protestu przeciw panującej na terytorium dzielnic centralnych murzynożerczej władzy amerykańskiej. Według danych świadków naocznych, każdemu białemu, schwytanemu w obrębie nowego państewka, murzyni obcinają głowę z zachowaniem wszystkich ceremoniałów przejętych od Ku Klux Klanu.

Towarzysz Lecoq odwrócił nową kartę, wyjął pióro, przewertował w myślach zebrane przez dzień dzisiejszy materiały, potem starannie, u góry strony, równym drobnym pismem skreślił tytuł nowego rozdziału: *Przypowieść o granatowej republice*.

Nikt nie zauważył i nie głowił się nad tym, gdzie podzieli się nagle z rogów ulic mali pompatyczni ludzie w granatowych pelerynkach, którzy, jak naturalne, nieodzowne akcesoria, wznosili się tam od dziesiątków lat.

Wiadomo jednak powszechnie, że nic w naturze nie ginie.

Zdezorientowana, zbyt liczna policja, wypierana kolejno ze wszystkich nowo powstałych państewek, ściągnęła siłą przyzwyczajenia do swych koszar na wysepce Cité, którą zamykały z trzech stron trzy niezależne republiki: żółta, żydowska i anglo-amerykańska.

Wysepka Cité spoczywa w uścisku dwóch ramion Sekwany i, wyodrębniona przez samą naturę, zdaje się stanowić pewnego rodzaju samodzielny terytorialny.

Owego dnia zaroła się ona od bezrobotnych granatowych człowieczków.

Pozostawiona samej sobie, policja znalazła się po raz pierwszy w położeniu kłopotliwym. Pozbawieni naraz busoli praworządności, nie mogąc zdecydować się, który z powstałych rządów uważać mają za praworządny, zdając sobie jednocześnie dobrze sprawę z fikcyjności jakiegokolwiek rządu poza pierścieniem kordonu, bezrobotni granatowi ludzie uświadomili sobie wkrótce, że ztracają z każdym dniem pozory istot realnych, a stają się metafizyczną fikcją, czystym nonsensem, beztreściowym, jak samo pojęcie: „Policja dla policji“.

Na trzeci dzień wyspa Cité była świadkiem pierwszej w dziejach ludzkości demonstracji bezrobotnej policji.

Thum bezrobotnych granatowych ludzi przeciągnął przez całą wysepkę, spływając na plac przed prefekturą. Na czele pochodu demonstranci nieśli transparenty z wypisanymi na nich hasłami: „Republika umarła – niech żyje republika!“, „Żądamy jakiegokolwiek rządu!“, „Policja bez rządu – to tramwaj bez elektrowni!“ itp.

Na placu przed prefekturą odbył się imponujący mityng. Po długich debatach, w imię ratunku policji jako takiej, postanowiono zwrócić się kolejno do poszczególnych rządów nowo powstałych państewek, proponując im swoje usługi.

– Nie chodzi tu o zabarwienie, czy nawet o narodową przynależność rządu – dowodził projektodawca. – Policja, aby odzyskać swą rację bytu, powrócić z krainy fikcji w szranki instytucji realnych, musi jak najprędzej postarać się o jakikolwiek rząd, bodajby o ideę rządu. Bez pojęcia praworządności jesteśmy cieniami.

Projekt został przyjęty jednogłośnie i do wszystkich rządów, z wyjątkiem radzieckiego rządu Belleville, wysłano gońców z ofertą.

Wszystkie rządy, w obawie przed wprowadzeniem na swe terytorium obcego elementu, odpowiedziały odmownie, motywując swoje stanowisko niemożnością wyżywienia nowych przybyszów, z uwagi na nader szczupłe zasoby posiadanej żywności („dość mamy własnych gąb do karmienia“).

W ostatnim odruchu instynktu samozachowawczego przyjęto wniosek jednego z policjantów, proponującego odnaleźć jakiego bądź cywila i zmusić go do proklamowania się dyktatorem wyspy Cité. Postanowiono niezwłocznie zarządzić obławę.

Po półgodzinnych bezowocnych poszukiwaniach u wylotu jednej z uliczek ukazał się patrol, niosący na rękach nieznanego bliżej, sparaliżowanego staruszka. Staruszek zdradzał niedwuznaczne objawy przerażenia. Gdy wnoszono go do prefektury, zaczął płakać i próbował się wyrwać, rzecz prosta – bezskutecznie.

W gabinecie prefekta delegacja policjantów oświadczyła mu, że jest dyktatorem i jako taki wydać winien kilka dekretów restytuujących pojęcie władzy praworządnej.

Staruszek siedział w fotelu apatycznie, nie reagując zupełnie na ofiarowany mu zaszczyt i władzę. Próbowano wyluszczyć mu rzecz w jak najdostępniejszych wyrazach. Na próżno. Jak się okazało, był głuchy.

Z trudnością wreszcie zdołano porozumieć się z nim na piśmie. Kancelaria zreagowała orędzie, które staruszek, po długich wzdraganiach, pod groźbą lufy rewolwerowej, zdecydował się wreszcie podpisać.

W godzinę później na murach wyspy Cité ukazało się pierwsze orędzie nowego dyktatora. W orędziu tym nowy dyktator obwieszczał, iż obejmuje władzę nad wyspą Cité, ustanawiając na niej państwo praworządności. Wszystko, co ośmieli się przeciwstawić władzy nowego dyktatora, uważać należy za

niepraworządne i podlegające jak najsurowszemu tępieniu. Pod orędziem widniał podpis: Mathurin Dupont.

Cała wyspa rozbrzmiała tego dnia jednym wielkim westchnieniem ulgi. Instytucja policji jako takiej została uratowana. Rozradowani policjanci stąpali buńczucznie, dzwoniąc obcasami o asfalt, jakby pragnęli się upewnić o swej niezaprzeczalnej realności.

Wszelako z wydaniem orędzia bezrobocie bynajmniej nie ustało. Przeciw władzy nowego dyktatora nikt nie zamierzał występować, wskutek czego pojęcie niepraworządności, w odniesieniu do nowego państwa, pozostało w sferze czystej teorii.

Po upływie kilku dni staruszek, widząc, że nikt nie robi mu nic złego, stał się rozmowniejszy i dał się nawet namówić do osobistego wglądnięcia w sprawy państwowe.

Pierwszym samorzutnym rozporządzeniem nowego dyktatora były wielkie manewry na placu przed prefekturą. Rozradowani objawem aktywności swego dyktatora, policjanci defilowali z werwą i animuszem. Dyktator z wysokości balkonu przyjmował rewie, klaszcząc z uciechy w ręce.

Po tym pierwszym odruchu ożywienia zapadł jednak z powrotem w dawną apatię.

Na trzeci dzień, w porannym raporcie, po konwencjonalnych zwrotach, że w państwie panuje spokój i wypadków naruszenia praworządności nie zanotowano, kancelaria donosiła dyktatorowi, iż jest rzeczą niezbędną zdefiniowanie na nowo pojęcia niepraworządności i wydesygnowanie bodaj kilku przestępców, bowiem policja bez przestępców zaczyna powątpiewać o swej autentycznej realności.

W odpowiedzi na raport staruszek nieoczekiwanie ożywił się i po raz pierwszy sam zażądał pióra i papieru.

W pół godziny później na murach Cité ukazał się dekret, który wywołał na sennej wysepce niezwykle poruszenie. Na mocy tego dekretu wszyscy mieszkańcy wysepki – blondyni ogłoszeni zostali wrogami państwa, w odróżnieniu od prawomyślnych obywateli – brunetów. Praworządnym kadrom policji nakazywało się zlikwidować nowych przestępców w terminie jak najkrótszym, nie przebijając w środkach.

Tegoż dnia wieczorem wyspa Cité wyglądała, jak za najlepszych swoich czasów. Z bramy prefektury, jeden za drugim, wychodziły karne uzbrojone patrole, znikając kolejno w ciemnych uliczkach. Przestępcy-blondyni zabarykadowali się w domach mieszkalnych. Obława trwała trzy dni, zamieniając się miejscami w krwawe potyczki. Pod koniec trzeciego dnia złoczyńcy zostali wyłowieni i odstawieni do aresztów policyjnych. Na wyspie Cité znowu zapanował spokój.

Wyczerpany niezwykle wydatkiem energii, dyktator popadł na powrót w stan takiej apatii, że niepodobna go było nawet zmusić do czytania codziennych raportów.

Reasumując wyżej wzmiankowane wypadki, zmuszeni jesteśmy wyrazić powątpiewanie, czy dzielnej wysepce udałoby się uratować pożyteczną skądinąd instytucję policji, gdyby z odsieczą ospałem dyktatorowi nie przyszła równie ospała, lecz bardziej konsekwentna, dżuma.

## VI

W chłodnej sali posiedzeń Instytutu, nad olbrzymim stołem, krytym zielonym sukniem i zasłanym plikami papierów, w wysokim, prezydialnym fotelu siedział P'an Tsiang-kuei w szarych rękawiczkach i w omotanym dokoła szyi szalu (sposób, by jak najmniejsza powierzchnia skóry stykała się bezpośrednio z powierzchnią zadżumionego powietrza).

Na dwóch końcach stołu dwie maszynistki wypukiwały równocześnie tekst dwu dyktowanych przez niego cyrkularzy. Ustawiony na stole telefon, przerywający co chwila pracę ostrym lamentem dzwonka, wyrzucał z czarnej lufy słuchawki raporty z różnych punktów państwa.

Raporty na ogół nie były pocieszające. Pomimo zastosowania środków nadzwyczajnych, dżuma rozpowszechniała się na terenie nowego państwa powoli, lecz nieustannie. P'an Tsiang-kuei postanowił rozprawić się z nią po azjatycku.

Na czwarty dzień istnienia nowej republiki na murach domów ukazał się przejmujący chłodem dekret. Stwierdzając, że panująca obecnie forma dżumy okazała się w praktyce nieuleczalna, a zarażeni nią osobnicy, podtrzymywani sztucznie przy życiu, stają się jedynie dalszymi rozsadnikami epidemii, dekret oznajmiał, iż na przyszłość każdy z zarażonych podlegać będzie natychmiastowej egzekucji. Obywatele zdrowi obowiązani są donosić niezwłocznie o każdym wypadku zasłabnięcia. Winni ukrywania zarażonych podlegać będą rozstrzelaniu na równi z nimi.

Suche raporty telefoniczne donosiły co chwila o nowych egzekucjach. Dżuma podjęła wyzwanie. Na zielonym suknie stołu, gdzie, miast kart, padały z szelestem podpisywane w locie kartki rozkazów, rozgrywała się hazardowna partia. Z głębi wysokiego fotela P'an Tsiang-kuei kładł na podawane mu kolejno do podpisu dekrety zygzak swego nazwiska, jakby rzucał na stół nowy atut. Partnerka odpowiadała skądś, z daleka, przez tubę słuchawki telefonicznej, cyfrą nowych egzekucji.

Przedyktowawszy wszystkie cyrkularze, P'an Tsiang-kuei odprawił gestem obie maszynistki i pozostał sam w mroczniejącej zwolna sali. Wytężony w nierównej, bezsennej walce umysł domagał się wypoczynku. Dzwonek telefonu wykasał nową cyfrę straconych. P'an Tsiang-kuei z wściekłością odczepił słuchawkę i cisnął ją na stół. Bezsilne usta słuchawki syczały zjadliwie w próżnię.

P'an Tsiang-kuei zapragnął nagle powietrza. Od trzech dni nie opuszczał sali, przykuty do fotela. Weisnąwszy kapelusz, zamknął salę na klucz i po

szerokich kamiennych schodach zbiegł szybko na ulicę, obok wyprężonych skośnookich wartowników.

Na ulicach było pusto. Po bezludnych wąskich trotuarach przemykali gdzieś samotni żółci przechodnie.

Znajomymi ulicami dotarł P'an Tsiang-Kuei do ogrodu Luksemburskiego, zamienionego na państwowe krematorium. Skądś, z głębi, powitał go suchy trzask salwy. P'an Tsiang-kuei zmarszczył się i przyśpieszył kroku.

Dziwnym rikoszetem wrażeń przyszedł mu nagle na myśl profesor, wywołując na jego wargi nieczęsty uśmiech.

W noc przewrotu, na mocy specjalnego rozkazu, profesor, jedyny z białych, został aresztowany i internowany w jednym z pałacyków Dzielnicy Łacińskiej, w którym przebywał w najściślejszej izolacji.

W pałacyku było urządzone wzorowe laboratorium, gdzie, pod osobistym kierownictwem profesora, kilkunastu Chińczyków, asystentów i studentów bakteriologii, ślęczało dwadzieścia cztery godziny na dobę nad wynalezieniem zbawczej szczepionki, zdolnej zniszczyć morderczego bakcyła.

Trzeba przyznać, że profesor dotrzymywał swego słowa sumiennie, pracując dzień i noc bez wytchnienia. W toku hazardowej walki z nieustępliwą zarazą odezwała się w nim jego żyłka uczonego; początkowo niechętny, z każdym nowym niepowodzeniem zapalał się coraz bardziej, poprzysięgając sobie zwyciężyć za wszelką cenę złośliwego mikroba, który zadrasnął jego ambicję uczonego i ośmielał się podawać w wątpliwość potęgę współczesnej wiedzy. Im dłużej trwały nieudane próby, tym bardziej profesor zaciął się w swym niezłomnym uporze. Skończyło się na tym, że przestał prawie zupełnie sypiać, nie opuszczając ani na chwilę laboratorium i z trudnością udawało się wmuszać w niego jedzenie. Zamknięty wśród mikroskopów, probówek i retort, wychudzony i żółty od nieprzespanych nocy i przemęczenia, z dziko zwichrzoną bródką, przypominał średniowiecznego alchemika, który, opętany manią wykrycia kamienia filozoficznego, nie daje się zrazić żadnym niepowodzeniem.

Na dziesiąty dzień po przewrocie P'an Tsiang-kuei osobiście odwiedził profesora w jego nowym mieszkaniu, aby sprawdzić, czy mu czego nie potrzeba. Profesor gorączkowo przestawiał jakieś probówki i krzątał się koło mikroskopu.

– Obowiązuję się uśmiercić tę przeklętą bakterię – zawołał, potrząsając pod światło jakąś probówką – przyrzeknij mi pan jednak, że nie wykorzystasz wynalezionej przeze mnie szczepionki wyłącznie dla pańskich żółtych, lecz uczynisz ją dobytkiem i białych dzielnic miasta. Nie zamierzam bynajmniej ratować od śmierci samych tylko Azjatów, pozostawiając na pastwę losu moich białych współbraci.

– Jeśli o to tylko chodzi, mogę pana uspokoić – odparł z uśmiechem P'an Tsiang-kuei. – Szczepionka pańska w chwili jej wynalezienia stanie się dobytkiem, wprawdzie nie wszystkich białych dzielnic, ale za to z pewnością najludniejszej z nich – robotniczej dzielnicy Belleville. A propos, jeżeli nie zna pan jeszcze ostatnich nowin, mogę panu donieść, że w tych dniach robotnicze

dzielnice Paryża, Belleville i Ménilmontant z przyległościami oderwały się od reszty miasta i utworzyły samodzielną robotniczą republikę rad. W chwili obecnej rozporządzają już laboratoriami nie gorszymi od naszych, gdzie koledzy pańscy pracują nad zlikwidowaniem wspólnego nieprzyjaciela. Mam wrażenie, że informacje o postępach ich prac powinny pana interesować i że wzajemna wymiana spostrzeżeń byłaby nie bez pożytku dla obydwu stron. Zdołałem – z niemałym trudem, to prawda – nawiązać z nimi kontakt telefoniczny. Musieliśmy w tym celu przeprowadzić druty poprzez wszystkie leżące między nami dzielnice, co przy obecnym rozdrobnieniu Paryża na samodzielne państewka nie było wcale rzeczą łatwą. Wpadliśmy na pomysł zużytkowania w tym celu tunelów metra. Dziś wieczór postawimy panu aparat, który połączy pana bezpośrednio z laboratorium republiki Belleville.

Profesor nie posiadał się z zachwytu:

– Co pan mówi! Ależ to kapitalny pomysł! Ma się rozumieć, że to ogromne ułatwienie. Jeżeli tamci mają dobrze urządzone pracownie, będziemy mogli równolegle dokonywać wielu doświadczeń. To niezawodnie przyspieszy wynik moich poszukiwań. Tak, to istotnie świetny pomysł.

– Czy nie ma pan jeszcze jakichś życzeń?

– Owszem. Niech pan każe usunąć stąd radio. Asystenci będą mogli słuchać wiadomości, jeżeli ich to interesuje, w innym pokoju. A ja nie mam w tej chwili do tego głowy. Przeszkadza mi to w pracy.

– Życzeniu pańskiemu stanie się zadość.

Uścisnęli sobie ręce, jak dwaj starzy znajomi.

Schodząc po schodach w kierunku wyjścia, P'an Tsiang-kuei natknął się na jednego z asystentów, małego, puciołowatego Japończyka. Kolegowali z sobą kiedyś na Sorbonie. Mały Japończyk, schludny i staranny w swej toalecie, bez jednego puszka na ubraniu, przypominał mu zawsze odkurzony skrupulatnie bibelocik.

Japończyk zdawał się na niego tu specjalnie czekać. P'an Tsiang-kueia uderzyła jego zacięta bladość i determinacja, z jaką zastąpił mu drogę.

– Co się stało? Czy macie mi coś do powiedzenia?

– Ośmielam się mieć do was wielką prośbę, ogromną prośbę... – powiedział półgłosem Japończyk wąskimi, jakoś dziwnie nie w takt słów podskakującymi wargami i wargi te nagle zatrzepotały, spadły, przylgnęły do kościstej, zgrubiałej ręki P'an Tsiang-kueja.

P'an Tsiang-kuei zaskoczony wyrwał rękę.

– Oszalesiście? O co wam chodzi?

– Ośmielam się mieć do was wielką prośbę, ogromną prośbę... – powtórzył asystent, szybko żując słowa i odcinając każde białymi, wystającymi zębami. – Jestem tutaj zamknięty w zupełnej izolacji. Nie wolno mi stykać się z nikim. Dziś zatelefonowano mi z miasta... Żona moja zasłała. Boleści. Może wcale nie dzuma. Nawet na pewno nie dzuma. Musiała zjeść coś nieświeżego. Sąsiedzi donieśli. Zabrano ją do baraku. Dziś wieczór, o ósmej, będzie rozstrzelana.



Rozumiecie? Dziś wieczór... Żeby choć poczekać do jutra. Próbuujemy nową szczepionkę. Jutro będą rezultaty. Wszystko zdaje się wskazywać na rezultat pomyślny. Jutro dżuma może się okazać uleczalną. Rozumiecie? Nie można jej przecież w tych warunkach dzisiaj zabijać. A zresztą może to wcale nie dżuma. Pierwsze objawy bywają mylne. Może zwyczajna niedyspozycja żołądkowa. Trzeba by przeczekać, zbadać. Odizolować przynajmniej na kilka dni. Przecież, odizolowana, nie będzie przedstawiała dla nikogo żadnego niebezpieczeństwa. Trzeba tylko zawiesić wykonanie egzekucji. Wasze polecenie telefoniczne... Rozumiecie, towarzyszu... Nazywa się...

P'an Tsiang-kuei patrzył na asystenta ze zdziwieniem.

– Nie rozumiem was, towarzyszu. A raczej zaczynam was, zdaje się, rozumieć – powiedział szorstko. – Chodzi wam, o ile się nie mylę, o protekcję. Domagacie się naruszenia prawa o walce z zarazą dla przedłużenia życia o kilka dni jednemu z zarażonych osobników, na tej jedynie podstawie, że osobnik ten jest waszą żoną. Zapominacie, zdaje się, że dzień w dzień giną dziesiątki naszych co lepszych pracowników i że jedynie dzięki zastosowaniu prawa o straceniu zarażonych udało nam się zmniejszyć ilość wypadków o przeszło 50%.

Japończyk mrugał prędko powiekami.

–...Próbuujemy nową szczepionkę... Jutro będą rezultaty... Jutro dżuma może się okazać uleczalną... Zatrzymajcie całą dzisiejszą partię... Jeżeli doświadczenie się nie uda, można będzie stracić ją jutro. A może uda nam się ich uratować? Zresztą jestem pewien, że żona nie ma dżumy... Zwykła niedyspozycja żołądkowa... Gdyby odizolować...

P'an Tsiang-kuei przerwał sucho:

– Powtarzacie piosenkę każdego zadżumionego. Jeżeli żona wasza nawet nie miała dżumy, to ma już ją na pewno. Z baraku zadżumionych więcej się nie wychodzi. Zresztą nie możemy się bawić w wyjątki i pielęgnować rozsadników zarazy. Wszystkie dotychczasowe surowice nie dały żadnych rezultatów. Nie ma żadnej podstawy przypuszczać, że ostatnia będzie lepsza. W ten sposób musielibyśmy odkładać egzekucję z dnia na dzień i magazynować zarażonych, nie będąc w stanie odgrodzić ich od zetknięcia się ze zdrową ludnością, nie mamy bowiem na to dostatecznych kadrów sanitariuszy. Innymi słowy znaczyłoby to podnieść znowu śmiertelność o poprzednie 50%. Dziwię się wam, towarzyszu.

Wargi małego Japończyka bezdźwięcznie drgały.

P'an Tsiang-kuei zbiegł po schodach i minął bramę. Na ulicy jeszcze raz stanął mu przed oczyma mały Japończyk-czyścioszek z drgającymi kącikami popielatych warg.

– Dla ratowania jednej spódnicy zarazić wszystkich! – pomyślał z goryczą.  
– Właściwie takich należałoby rozstrzeliwać...

Zresztą po chwili zapomniał już o całym incydencie.

\*

Upłynęły dwa tygodnie. Zaprzątnięty sprawami miniaturowej republiki, P'an Tsiang-kuei nie zaglądał do profesora od owego dnia. Otrzymywał wprawdzie co dzień dokładne biuletyny telefoniczne o stanie prac starego uczonego, które, na przekór niezmorzonym wysiłkom, nie dawały uparcie pozytywnych rezultatów. Korzystając z wolnej chwili, P'an Tsiang-kuei postanowił go odwiedzić.

Ścieżkami szarzejących uliczek przyzwyczajone nogi wywiodły go na plac Panteonu. Okno na trzecim piętrze w domu pod numerem 17 świeciło po dawnemu bielmem zatrzaśniętej okiennicy.

Naraz zaczął padać deszcz, zasłaniając domy storą ze szklanych koralików. P'an Tsiang-kuei, chcąc go przeczekać, wszedł do otwartego Panteonu.

Panteon był pusty i od wysokiej kopuły, od cienistych naw, wionęło chłodem i spokojem. Pusta kasa świeciła po dawnemu niegościnnym napisem: „Wejście 2 franki“. Samotne kroki po kamiennej posadzce przedrzeźniały się długo dudniącym, wielokrotnym echem. Ze wszystkich stron, białkami oczu bez źrenic, wpatrywały się w przybysza dobrze znajome postacie...



Deszcz ustał już dawno, gdy P'an Tsiang-kuei ukazał się na powrót w drzwiach Panteonu.

Dokoła sztachet zebrała się w międzyczasie grupka żółtych, witająca dyktatora okrzykami entuzjazmu. Odkłaniając się niezręcznie, P'an Tsiang-kuei postawił w zakłopotaniu kołnierz od palta i zniknął szybko w krętych uliczkach.

Zapadł już mrok i na tonących w ciemnościach pomostach trotuarów żółci latarnicy zawieszali pospiesznie misterne kule papierowych lampionów, pstre akcesoria jakiejś fantasmagorycznej nocy weneckiej.

W laboratorium profesora ustało się mdłe, cieplarniane powietrze, oprowadzające wszystkie kontury chwiejną, rozdwojoną linią; jak muchy pod grubym szklanym kloszem ślaniali się w nim rozleniwiali ze zmęczenia, senni asystenci.

Profesor z rozwichrzoną czupryną przelewał z retorty do retorty mętną białawą ciecz, mieszał ją z substancjami, zawartymi w szeregu probówek, przygotowując jakąś reakcję. Na zapytania P'an Tsiang-kueia odmrukiwał niezrozumiale, niecierpliwie opędzając się przed nimi rękoma. Niepodobna było wydobyć z niego ani słowa.

Na wpół nieprzytomni z wyczerpania asystenci zdawali się nie rozumieć zadawanych im pytań, odpowiadali nie od razu i od rzeczy.

Pokręciwszy się chwilę po salach, P'an Tsiang-kuei rzucił okiem na zegarek. Była siódma, godzina wieczornego raportu. P'an Tsiang-kuei szybkim krokiem podążył ku wyjściu. W drzwiach zderzył się z rozpędu z małym asystentem w białym chałacie. Pysnęło szkło. Wylana ciecz obryzgała P'an Tsiang-kueiowi twarz i ubranie. Mały asystent przeproszał. P'an Tsiang-kuei spojrzął na zaciśniętą w palcach asystenta szyjkę strzaskanej probówki, podniósł

wzrok na bielejącą przed nim plamę twarzy. Twarz wydała mu się skądś znajoma. Przez chwilę usiłował sobie przypomnieć. Wąskie drgające wargi. Mały Japończyk-czyścioszek. Prosił o protekcję dla żony...

Japończyk rozplýwał się w przeproszeniach. P'an Tsiang-kuei ostro spojrział mu w oczy i natknął się na opór pary zimnych, utkwionych w nim źrenic. Przez chwilę wydało mu się, że dostrzega w nich dwie drwiące iskierki. Bez słowa zawrócił na pięcie i poszedł w głąb laboratorium. Dobył z szafy aptecznej wielką butlę z roztworem sublimatu, zlał nim całe ubranie, długo i starannie mył twarz i ręce. Potem, nie patrząc na przeproszającego wciąż jeszcze asystenta, szybko zbiegł po schodach.

Po powrocie do Instytutu, P'an Tsiang-kuei zajął się przyjmowaniem raportów i wydawaniem rozporządzeń na dzień jutrzejszy. Skazówka wielkiego zegara dobiegała już dwunastej, gdy, wydawszy dyspozycje, dyktator odprawił ostatniego kuriera i przykręcił zbyt jaskrawy żyrandol.

W kącie sali, pod ścianą, wniesione tu od trzech dni i od trzech dni nietknięte, stało wąskie polowe łóżko. P'an Tsiang-kuei posłał je sam i po raz pierwszy jął się rozbierać. Gdy został zupełnie nago, natarł starannie całe ciało jakimś przezroczystym roztworem. Doszedłszy z kolei do pach, zatrzymał się na chwilę i, podnosząc rękę, przyjrzał się uważnie. Gruczoły pachowe wydały mu się nieco obrzmiałe. Długo badał je skrupulatnie palcami.

– Autosugestia... – mruknął bezbarwnie i, narzuciwszy koszulę, szybko dał nurka pod kołdrę. Usnął natychmiast.

W nocy śniły mu się udekorowane flagami ulice, orkiestry i maszerujące ulicami kolumny żółtych wojsk. Przystrojony czerwoną flagą Panteon otwarty był na oścież; u sztachet jego oczekiwał łańcuch zasypanych kwiatami ciężarowych aut. Po obu stronach wejścia dwa szpalery żołnierzy sztywno prezentowały broń. P'an Tsiang-kuei, zdziwiony zagadnął wartownika o powód uroczystości.

– Przewozimy ich do Chin – oznajmił żołnierz.

Teraz dopiero P'an Tsiang-kuei przypomniał sobie, że przecież po to właśnie tu przyszedł i, przeciąwszy nawę, szybko zbiegł do krypt.

Krypty były otwarte i tłoczył się w nich uroczysty, galowy tłum. Przecisnąwszy się do wnętrza, P'an Tsiang-kuei ujrzał pluton żołnierzy, podważających olbrzymimi żelaznymi kilofami sarkofag Rousseau. Sarkofag, jak przykuty do ziemi, nie ustępował.

– Jeszcze! Razem! Rrrraz!

Ani drgnie.

P'an Tsiang-kuei, odpychając pierwszego z brzegu żołnierza, z całej siły naległ brzuchem na kilof.

– Teraz! Na komendę! Rrrraz!

Ani drgnie.

– Rrrraz! Znowu nic.

– Rrrraz!

Kroplisty pot wystąpił mu na czoło.

Obraz znikł. P'an Tsiang-kuei długą chwilę nie mógł uświadomić sobie, co zaszło, gdzie się znajduje, pogrążony w nieprzeniknionych ciemnościach. Pierwszym odczuciem, które zatrzepotało jak ryba na lustrzanej powierzchni świadomości, był silny ból w dole brzucha. Zaraz... Co to było? Aha! Nalegał brzuchem na kilof. Kiedyż to było i gdzie?

Ból stawał się z każdą chwilą nieznośniejszy i dopomógł myśli ugruntować się w przestrzeni. Ciemność. Noc. Łóżko. W sali Instytutu. Boleści. Czyżby??...

Ból stawał się nieludzki. P'an Tsiang-kuei zeskoczył boso na chłodną posadzkę, namacał ręką kontakt i przekręcił. Buchnęło światło, wycinając zasłane papierami zielone sukno stołu, wysokie oparcia foteli, sufit, noc.

Dziki ból w brzuchu nie ustępował. P'an Tsiang-kuei z trudnością dowlóknął się do okna, gdzie na parapecie stała, pozostawiona tam wczoraj, butelka koniaku, i haustem chlusnął w siebie jej palącą zawartość. Koniak rozlał się po wnętrznościach rozpaloną strugą, zagłuszając na chwilę poczucie bólu.

P'an Tsiang-kuei powolnym, niepewnym krokiem wrócił na łóżko. Myśli skakały w skrótach, niedomyślane do końca, jak obrazy w starym, przerywającym się co chwila filmie. Ostry ból w brzuchu znowu dawał o sobie znać.

P'an Tsiang-kuei wyciągnął się sztywno i postarał się przez chwilę nie myśleć. Pochłonięty koniak musował mu pod czaszką ciepłym pluskiem napływających miarowo fal. Brzuch, jak worek, pełen bólu, opadł gdzieś, jak gdyby całe ciało wydłużyło się nagle niepomiernie, zwiększając o kilka metrów odległość między głową a biodrami. Chłodne fale bólu napływały stamtąd rytmicznie, jedna za drugą. Zmęczony mózg wyrzucał na ekran zamkniętych powiek rozsypujące się i z mozołem zlepiane na nowo obrazy. Na chwilę zmorzył go półsen.

W półśnie realne kontury przedmiotów jęły się powoli zacierać i pałakować, stwarzając w nowych kombinacjach tych samych linii coraz to inne pejzaże.

Gdzie przed chwilą tysiącem świec płonął żyrandol, żarzyło się teraz olbrzymie kuliste słońce ciężkie, jak kropla rozpalonego metalu, gotowa w każdej chwili skapnąć na ziemię, paląc ją na węgiel. To co przed chwilą jeszcze było szeregiem ławek, przeciągało się teraz leniwie w słońcu garbami tysiąca zagonów, wyzierających z mętnej szklawa wody. Zanurzeni po kolana w wodzie, mali, pomarszczeni, żółci ludzie w łachmanach sadzą ryż. Jak okiem sięgnąć – nic, tylko woda, zagony i zgięte, skarłałe w wiekowym jarzmie mozołu plecy ludzkie, pod gotową skapnąć lada chwila rozżarzoną kroplą słońca.

Olbrzymia bolesna fala wszechogarniającej miłości pełźnie wolno od brzucha ku krtani, przyplływem nagromadzonych ciepłych łez. P'an Tsiang-kuei czuje, że jeszcze chwila, a rzuci się twarzą w rozmokłą glinę zagonów całować rozpalonymi gorzkimi wargami białe, pożółkłe od potu ziarna życiodajnego ryżu, pochwyci w ręce i z płaczem przygarnie do serca, drobną, pomarszczoną kobiecą twarzyczkę pochylonego wieśniaka.

Nagle, jak przez łyzy, obraz zaczyna się mienić i blaknąć. Na pierwszym planie, w powietrzu majaceje para potwornych, migających w pędzie stóp i wir szprych sadzącego naprzeciw wózka.

Ostry, piekący ból i ciemność. Tak, to skapnęła rozżarzona kropla słońca. Szary, gryzący dym powleka wszystko miękką drapieżną pieszczotą. W pasmach dymu, jak w pętlach, kołyszają się białe, wykrzywione twarze ludzkie.

Czyjaż to obrzękła kobieca twarz, z oczami rozszerzonymi dziecięcym lękiem? Drogie, znajome rysy. Czen! Maleńka! Słów nie słyhać, lecz w rysunku ust uchwytnie drży zasłyszane już gdzieś zdanie: „Tak się boję umierać!“

Dym rozwiera się powoli, odsłaniając czerwone szkielety budynków.

Nankin!

Płomień pożera dzielnice chińskie i staje, jak zaczarowany, przed ażurową kratą koncesji. Zza kraty biała, nalana twarz dziobatego majstra w obleśnym grymasie wywaliła język nad dymiącym ryjem karabinu maszynowego.

– Za mną! – krzyczy P’an Tsiang-kuei do pracującego za nim tłumu, przecinając gigantycznymi susami dzielący go od kraty placyk.

Nagle ogląda się. Placyk jest pusty, nie ma za nim nikogo. Dziobata twarz za kratą wyszczerza się w grymasie przedrzeźniającego rechotu nad białawą zmiwką dymu, wypełzającą z lufy kulomiotu. Straszliwy ból w brzuchu zdaje się rwać naprężone struny wnętrzości.

– Dostałem w brzuch! – szepce P’an Tsiang-kuei, na próżno usiłując poderwać się do biegu.

Ból skręca się we wnętrzościach jak robak. Dym opadł. Na suficie jasno świeci żyrandol. Zielone sukno stołu. Telefon. W wielkiej, rzęsiście oświetlonej sali po kątach wiję się czyjś jęk.

– Kto może tu jęczeć?

P’an Tsiang-kuei przysiadła na tapczanie. Spozrzega, że to jęczy on sam. Szarpiący ból w brzuchu szamoce się jak ranny ptak.

– Aha, więc koniec?

P’an Tsiang-kuei dwukrotnie głośno powtórzył to słowo, nie mogąc doszukać się w nim żadnego znaczenia. Machinalnie, sycząc z bólu, zaczął się ubierać. Ubierał się długo, z przestankami dla złapania tchu po szczególnie ostrych paroksyzmach. Ubranie było jeszcze wilgotne. P’an Tsiang-kuei nagle zatrzymał się wpół ruchu. Ostra myśl, jak drucik, przewinęła się wstecz, nawlekając rozsypane koraliki faktów. Plamy od sublimatu. Stłuczona probówka. Mały asystent-Japończyk. Dwie drwiące iskierki. Na ręce – nieznaną dotyk suchych, drgających warg...

P’an Tsiang-kuei zapiął marynarkę. Automatycznie wciągnął na ręce szare rękawiczki i owinał dokoła szyi szal (sposób, by jak najmniejsza powierzchnia skóry stykała się bezpośrednio z powierzchnią zadżumionego powietrza).

Skończywszy swą toaletę, P’an Tsiang-kuei z wysiłkiem dowlókl się do stołu i odszukał papier i pióro. Ból, pełznąc wzdłuż przełyku, napełnił już całe usta i rozdygotane zęby dzwoniły bezradnie na alarm. Aby pisać równo, lewą ręką

musiał przytrzymywać sobie szczękę. Napisał dwa listy, włożył je starannie do koperty i zaadresował.

Dopiero ukończywszy ten proceder, wyjął z szuflady stołu wielki nagan, towarzysza czerwonych dni Nankinu i zasiadł się w fotelu. Na stole zadzwonił telefon.

P'an Tsiang-kuei odłożył rewolwer i ujął słuchawkę. W pierwszej chwili po wystraszonej głosie w słuchawce nie mógł poznać, kto mówi. Mówił asystent, zarządzający pracownią profesora.

– Dziś w nocy – niespodziewanie – nie było objawów – profesor – umarł. – Z wieczora – nie kładł się spać. – Asystenci nocnej zmiany – znaleźli...

P'an Tsiang-kuei powiesił słuchawkę. Na blade zagryzione wargi wspinał się z trudem wąły uśmiech. P'an Tsiang-kuei włożył z powrotem do szuflady czarny nagan i wyjął z innej szuflady mały polerowany sześciostrzałowy rewolwer. Nie przestając się uśmiechać, wsunął sobie lufę do ust. Potrącone jak kamerton zęby zadzwoniły o chłodną stal. Osadzona mocno między zębami muszka natrafiła w ustach na wyżłobione dla niej miejsce.

W pustej, rześście oświetlonej sali Instytutu od zdziwionych, uroczystych ścian głuchym, nieswoim echem odbił się łoskot wystrzału.



Chowano P'an Tsiang-kueia z wojskowymi honorami, bez muzyki, w żołnierskim łomocie bębnow. Trzydziestu trzech doboszy w osamotnionem, złowieszczym solo, jak rozlegające się raptem alarmowe larum bębnow wśród grobowego milczenia zamarłej orkiestry cyrkowej w chwili śmiertelnego skoku, werblem migających pałeczek fastrygowało przed nim długi żałobny chodnik. Na mocy nadzwyczajnego dekretu rządu narodowego ciało jego wyjęte zostało spod przymusu palenia i złożone tymczasowo w Panteonie.

Pośrodku głównej nawy, w rzeźbionej drewnianej skrzyni, okrytej czerwonym sztandarem, pozostawiono go samego za zatrzaśniętą żelazną bramą. Białe oczy bez źrenic marmurowych postaci, jak rozszerzone zdumieniem, wpatrywały się w dziwnego intruza.

W prostej drewnianej trumnie, na prostej parcianej poduszce leżał P'an Tsiang-kuei, wyprostowany i nieruchomy, w szarych rękawiczkach i w szczelnie omotanym dokoła szyi szalu, jakby pragnął, by jak najmniejsza powierzchnia jego zadżumionej skóry stykała się bezpośrednio z powierzchnią przezroczystego, życiodajnego powietrza.

## VII

Dziwnym zbiegiem okoliczności nie w samej tylko republice chińskiej ranek ten zaznaczył się niezwykłym ożywieniem. O dwie dzielnice na zachód, po tamtej stronie Sekwany, rosyjska monarchia Passy gotowała się tego dnia do przyjęcia wydanych jej nareszcie przez rząd francuski bolszewików. Na placu Trocadero zbijano naprędce z desek improwizowaną trybunę. Stosownie do uchwały rządu tymczasowego, sąd nad wydanymi bolszewikami miał się odbyć publicznie, pod gołym niebem. W roli oskarżyciela wystąpić miała cała emigracja rosyjska. Rozstawiano na łapu-capu stoły i ławki.

Około godziny ósmej z rana na drodze, prowadzącej do mostu d'Iéna, gromadzić się już zaczęły podekscytowane, niecierpliwe tłumy. Przeważały kobiety. Zapomniawszy tego dnia nawet o rannej kąpeli, pulchne, ubrylantowane damulki, nieprzyzwyczajone do oglądania światła dziennego przed godziną pierwszą po południu, w gorączkowym pośpiechu wyległy na ulice o trzy godziny wcześniej przed wyznaczoną porą. Przykrywając pudrem wypieki, damy skracały sobie dłużący im się czas pogawędką.

Tematy były przeważnie jedne i te same: ilu też przywiozą i jakich – starych czy młodych? Dziesiątki nazwisk krążyły z ust do ust. Zaopatrywano je w locie w obfite komentarze, dotyczące fantastycznej krwiożerczości i bestialstw tego lub owego z bolszewików. O pierwszym sekretarzu poselstwa czterdziesta z kolei dama odpowiadała, że wymordował własnoręcznie trzy tysiące rodzin. Badał we własnym mieszkaniu, przy stole, zastawionym najwyszukańszymi daniami, a opornym więźniom wydłubywał oczy wykałaczką.

Rosły, brodaty pop po raz setny prawił zawsze chętnym słuchaczom o świętokradczym zbezczeszczeniu cerkwi św. Mitrofana: święte szczątki męczennika wyrzucili do dołu kloaczego, a w cerkwi założyli szpital – siostrzyczki-bolszewiczki porubstwem święte miejsce plugawią.

Wszystkie zarekwirowane meble, skonfiskowane kosztowności, krzywdy niewybaczalne i zastarzałe szczyrzyły spróchniałe zęby, wywleczone na nowo na światło dzienne z dna emigranckich kufrów, spod wieloletnich warstw naftaliny, nieprzedawnione, wiecznie aktualne, łaknące zemsty, ciepłej, bulgocącej krwi i tłum, jak kot przed pułapką, z której za chwilę wypuszczą mu mysz, oblizywał się w łapczywym oczekiwaniu.

Minęła jedenasta, a od strony francuskiej ciągle jeszcze nie było widać żadnego wozu. Tłum, zmęczony przewlekłą oskumą, zaczynał się niecierpliwić.

O godzinie trzy na dwunastą po tamtej stronie mostu ukazało się wreszcie wielkie ciężarowe auto, poprzedzone przez dwa motocykle. Auto powoli wjechało na most i zatrzymało się pośrodku. Z motocykli zeskoczyli dwaj francuscy oficerowie i podeszli do oczekujących oficerów rosyjskich. Wywiązała się ożywiona rozmowa. Tłum zafalował niespokojnie. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę ciężarowego samochodu na moście. Ludzi na nim nie można było z daleka rozróżnić.

Rozmowa na moście przeciągała się. Oficerowie żywo gestykulowali, rozkładając ręce. Wreszcie Francuzi zasalutowali i dosiedli z powrotem

motocykli. Ciężarowe auto z wolna potoczyło się po moście na stronę rosyjską. Tłum przyczał się w oczekiwaniu.

Kiedy samochód minął most i wjechał na nadbrzeże, ze wszystkich ust wyrwał się głuchy ryk bezsilnej wściekłości. Na przedzie samochodu powiewała chorągiewka czerwonego krzyża.

Otoczono go ciasnym kołem. Teraz już wszystko widać było wyraźnie. Na platformie samochodu leżało pokotem kilkunastu ludzi o popielatych, wykrzywionych twarzach, kłębiąc się jak robactwo. Byli zadżumieni.

W jednej chwili dokoła samochodu zrobiło się luźno. Tłum w panicznym strachu odskoczył na trotuary.

W parę minut później, gestykulując i klnąc jak zawiedziona publiczność, której odwołano długo oczekiwany benefis, z powodu niedyspozycji czołowego aktora, tłum powoli i niechętnie rozchodził się do domów.

Na opustoszałym placu, samotny, nikomu niepotrzebny pozostał czarny samochód, pełen przytłumionego jęku kłębiących się w nim ludzi.



Rotmistrz Sołomin wracał do domu, posępny jak wygwizdany tenor. Zawód doznany był zbyt wielki, aby można było przejść nad nim do porządku dziennego.

Wydawało mu się, że przez długie lata czekał na tę chwilę, znosił dla niej upokorzenia i poniewierkę, marzył o niej po nocach, i oto, w ostatnim momencie, ktoś złośliwy pokazał mu figę.

I dorodny rotmistrz, wypadając z pozy, w bezsilnej wściekłości parsknął jak koń.

– Dranie! – warczał przez zaciśnięte zęby. – Francuzi! Naumyślnie zwlekali z dnia na dzień, wyłudźli pieniądze i czekali, aż wszyscy powyzdychają.

Nienawidził w tej chwili Francuzów nie mniej od tamtych. Zadrwili sobie z niego boleśnie. Odbili sobie za jednym zamachem wszystkie wyciśnięte przez niego z takim mozołem napiwki, wszystkie swoje sous.

I głucha złość, jak mleko, gotowe wykipieć, zatapiając wszystko białą parzącą lawą, bulgotała na prymusie serca.

Wszystko nagle straciło swój sens i wartość, stało się niepotrzebne. Jedyna nadzieja zadośćuczynienia za długie lata pomiatań, za zmarnowane życie, zwichniętą karierę – zawiodła. Nie pozostało nic. Szedł ociężałym krokiem przed siebie, nie wiedząc dobrze, dokąd i po co.

Pusty ciemny pokój z meblami w szarych pokrowcach trącił szpitalną nudą, a meble, jak chorzy w szarych, uszytych na wyrost, szpitalnych chałatach, przypominały natrętnie o chorobie, o śmierci, o grząskiej jamie w wilgotnej ziemi. Chciało mu się skupić na kimś swój gniew, bodajby na tych meblach w szpitalnych chałatach, cięciem zardzewiałej szabli z rozprutych brzuchów foteli wypuszczać poskręcane bebechy sprężyn – jak niegdyś, w odciętym od czerwonych lazarecie.



Podwinął mu się spod rękę ordynans, spieszący na palcach z poduszką, wypucowanym butem dostał w brzuch, odleciał, zatrzymał się u drzwi, zbaraniałym wzrokiem liźnął wyglancowany but i bez szmeru zniknął za drzwiami.

Nie, w domu – nie sposób!

Trzasnął drzwiami i wyszedł na ulicę. Długo, do późna w noc wałęsał się po zaułkach, po skwerach, bez celu, opustoszały, czczy. Z odrętwienia obudził go głód.

Wszedł do małej narożnej knajpki. Od progu buchnął na niego gwar głosów:

– Sołomin!

W rogu przy stoliku – kompania. Oficerowie. Lśniące, czerwone mordy. Pchają się do całowania. O stopniu nagromadzonej czułości świadczy bateria opróżnionych butelek. Ściągnęli go do stołu. Nalali szklanek po brzegi:

– Pij!

Wypił duszkiem, ani mrugnął.

A w kwadrans potem, pod zachrypniętą „Wołgę“ gramofonu, pod szcęk szklanek i bulgot nalewanej wódki, na ramieniu, na kłującym epolecie rudowąsego porucznika rozkleił się, rozplakał, łzami zmoczył frencz, do fałdów frencza przyłgnał twarzą mokrą, gąbczastą jak blin.

Rudy porucznik, z macierzyńską pieczołowitością przechylając mu głowę, wlał mu do ust szklanekę spirytusu.

\*

W jaki sposób i kiedy znalazł się na ulicy – nie zdawał sobie sprawy. Na dworze było zupełnie ciemno. Z trudnością utrzymując równowagę, poszedł przed siebie, macając rękoma wzdłuż ściany. Pod latarnią zauważył, że coś sterczy mu z kieszeni: napoczęta butelka koniaku. Męczyła go czkawka. Upił jeden łyk i, zakorkowawszy butelkę, pomaszerował dalej. Uliczki gmatwały się pod nogami w dziwaczne holendry.

Kiedy wreszcie wybrnął na plac, wydało mu się, że z gęstego lasu wy dostał się na polanę. Zataczając się i niepewnie stawiając nogi, poszedł na przełaj.

Uszedłszy jednak kilkanaście kroków, natknął się na jakąś przeszkodę. Przeszkoda, przy bliższym obejrzeniu, okazała się samochodem ciężarowym o kołach z podwójnymi oponami.

Sołomin stanął, usiłując coś sobie przypomnieć. Jak rybak, pochylony nad sadzawką pamięci, zarzucał w nią niezgrabnie wędkę i wspomnienie, jak srebrnołuski kielb, trzepotało w przezroczystej wodzie: już-już zniknął tańczący pławik, aby, łysnąwszy naraz łuską, zmaciwszy wodę, po chwili wynurzyć się na powrót.

Nagle, z góry, z platformy doleciał go zduszony jęk. Pławik, jak kamień, dał nurka w wodę i na końcu wędki błysnęła olbrzymia, oślepiająca ryba; nie poradzi: całe życie ołowianym gwichtem zawisło na tym wspomnieniu.

– Aha, gagatki!... – wymamrotał Sołomin. – Jeszczeście nie powyzdychali? Cóż, widać bez mojej pomocy nie sądzono wam opuścić tego padołu...

Pijany rotmistrz z nabiegłymi krwią, mętными oczyma zaczął gramolić się na górę. Szło mu to niesporo. Niepewne nogi ześlizgiwały się ze szprych, ręce, jak drewniane, nie mogły udźwignąć bezwładnego ciała. Wreszcie silnym podrzutem przewalił się przez ramę i wyrzwał twarzą o coś miękkiego. Podźwignął się i ciężko siadł na jakimś przypłaszczonym wałku.

Zza chmury wyjrzał wyleniwały księżyc; w jego dymnym świetle rotmistrz Sołomin ujrzał dno platformy, zasłane powałem czarnych, stężonych ciał. Skądś, z rogu, dobywał się jęk.

Rotmistrz Sołomin odwrócił się w tę stronę, wyciągając z pochwy zgrubiałymi palcami kolbę nagana.

Z głową opartą o ramę, leżał tam na wznak człowiek lat dwudziestu kilku, o jasnej, regularnej twarzy, po której łzami zaskórnego płaczu spływał pot. Na czoło spadały mu w nieładzie pozlepiane kosmyki jasnych włosów. Ze szerniałych warg, jak dym przez szparę w polepie, wydobywał się jęk.

Rotmistrz Sołomin nachylił się niżej nad leżącym i, chwyciwszy go garścią za marynarkę na piersiach, uniósł i posadził sztorcem.

– Aha! Cienko coś śpiwasz, bratku. Nie rób umrzyka. Przyszedłem w gości. Pogadamy.

Posadzony bezwładnie, jak kukła, człowiek otworzył nieprzytomne oczy i chrapliwie wyszeptał:

– Pić!

– Pić chcesz? – przedrzeźniał Sołomin. – Cóż, na, possij! – rzekł, wpychając choremu do ust lufę nagana.

Chory spieczonymi wargami przypadł do chłodnej lufy i chciwie począł ją ssać.

– Dobrze? – skrzeczał rotmistrz. – Smakuje? Uważaj, połkniesz kulkę, gotówes się udławić.

Zbłąkany palec szukał w ciemności cyngla.

– Udławisz się, jak mi Bóg miły!

Palec natrafił na cyngiel i zatrzymał się w namyśle. Sołomin wyciągnął z ust chorego lufę i wetknął nagan z powrotem do pochwy.

– Nie, bratku! Nie ma tak dobrze! Za mądryś. Każdy by tak chciał. Dobić? I co z tego? Nawet nie poczujesz. Wdzięczny jeszcze będziesz. Nie ma głupich. Poczekaj, obudź się najprzód – pogadamy. Pić chcesz? Czemu nie? Mam tu coś dla ciebie. Znaj moje dobre serce. To cię, bratku migiem postawi na nogi.

Rotmistrz wyciągnął z kieszeni frencza butelkę koniaku, odkorkował ją i wsadził szyjkę do ust choremu.

– Pij, serdeńko, ile wlezie. Znaj pana! To nie wasze sowieckie samogony. Martel! Trzy gwiazdki! Przysmak, co?

Chory łapczywymi haustami ciągnął z butelki roziskrzony płyn.

– Pijesz niczego. No, jeszcze ździebko. Nie żałuj sobie. Zaraz będziesz do rzeczy.

Sołomin przechylił flaszkę. Płyn przelał się przez usta i chory zakrztusił się gwałtownym kaszlem. Długo kaszlał, nie mogąc pochwycić tchu. Gdy się wreszcie uspokoił, zwrócił na Sołomina szeroko otwarte oczy, w których błysnęła przytomność. Oddychał urywanie i szybko.

Rotmistrz Sołomin, nie śpiesząc się, zakorkował butelkę i wetknął ją na powrót do kieszeni, wyciągając z kolei rewolwer.

– Tak. Teraz przynajmniej patrzysz, jak człowiek. Można będzie się z tobą dogadać.

Rotmistrz rozsiadł się wygodniej na czymś, co przypominało odwrócone do góry plecy ludzkie i, bawiąc się naganem, przystąpił do badania:

– Jak się nazywasz?

Chory wpatrywał się w niego ciągle, żarłocznie, jak ryba, wyrzucona na brzeg, łykając powietrze.

– Gdzie jestem? – wyrzęził wreszcie z wysiłkiem.

– W Paryżu, synku, w Paryżu. Nie w Moskwie. W Paryżu, u białych. Przed trybunałem wojennym Imperium Rosyjskiego. Wiesz już teraz, gdzie?

Chory przymknął oczy, widocznie zbierając myśli. Po długiej pauzie zapytał cicho, z wyrazem śmiertelnego znużenia:

– Czego ode mnie chcecie? Jestem zadzumiony.

– To, bratku, nie ma tu nic do rzeczy. Myślicie, że, jakeście zadzumieni, to już nie ma na was sprawiedliwości, rzezimieszki. Figa! Potańcujesz, bratku, jeszcze ździebko, nim cię wypuścimy furtką na tamten świat. Nie będziesz odpowiadał na pytania – kolbą w zęby. Nie chcesz wędrować do Lenina z pokiereszowaną mordą – odpowiadaj grzecznie i do rzeczy. Zrozumiano?

Chory patrzył na Sołomina w milczeniu.

– Jak się nazywasz?

– Sołomin.

– Żarty zachciało ci się, bratku, stroić! Czemu nie, podowcipkuj. Ja ci, psi synu, pokażę żarty! Skąd znasz moje nazwisko? Mów, jak ci się pytam! Skąd mnie znasz?

– Nie znam cię wcale i znać cię nie chcę.

– Skąd znasz moje nazwisko?

– Nie znam twojego nazwiska.

– Powiedziałaś przed chwilą: Sołomin.

– Nazywam się: Sołomin.

Rotmistrz ze zdumienia opuścił rękę z naganem.

– Jak to, szubrawcze, nazywasz się Sołomin? Ja się nazywam Sołomin.

Chory zmarszczył brwi i przypatrywał się rotmistrzowi uważnie.

– Ty się nazywasz Sołomin?

Brwi, jak spłoszone ptaki, wzleciały w górę.

– Jak ci na imię?

Rotmistrz zgrabiała ręką, naodlew, wymierzył mu tęgi policzek.

– Jak śmiesz, skurwysynu, mnie zadawać pytania? Kto z nas jest podsądny: ty, czy ja?

Chory przesłonił twarz ręką.

– Pijany jesteś jak bela i zapomniałeś widać własnego nazwiska. Nazywam się Sergjusz Aleksandrowicz Sołomin. Jestem drugim sekretarzem poselstwa ZSRR w Paryżu. Chciałeś wiedzieć, z kim masz przyjemność – proszę. A teraz strzelaj. Więcej nie powiem ani słowa.

Ale rotmistrz Sołomin nie podniósł rewolweru. Wyłażącymi na wierzch oczyma wpatrywał się w chorego. Cały chmiel opadł z niego nagle, jak lupina, i otrzeźwiały siedział z otwartymi ustami, nie mogąc wykrztusić z nich słowa. Z głębi gardła wydrapało się na wierzch i upadło z brzękiem imię:

– Sierioża!

Chory obserwował go w niemym zdumieniu.

– Zaraz, to niemożliwe... – mrucał rotmistrz. – To niemożliwe. Ja jestem Borys Aleksandrowicz Sołomin, syn pułkownika Aleksandra Wasiljewicza Sołomina.

Dwaj obcy ludzie patrzyli na siebie długą chwilę w osłupieniu.

– Brat... – powiedział bezdźwięcznie chory, opierając się z wysiłkiem o ramę.

Zapadło długie milczenie.

– Myślałem, że dawno zginąłeś – powiedział wreszcie chory. – Mama mówiła mi, że uciekłeś z białymi. Tyle lat nie było o tobie słyhu. Nie przychodziło mi nigdy na myśl, że możesz być w Paryżu... Oficer tej białej, operetkowej armii...

Umilkł, osuwając się wyczerpany.

Rotmistrz Sołomin nieporęcznie, zgrubiała dłonią ścierał machinalnie z twarzy pot, jak resztki parującego chmielu.

– Nie poznałem cię... – powiedział po długiej chwili. – Jakże zresztą miałem cię poznać. Kiedy wyjeżdżałem z Moskwy, miałeś chyba z trzynaście lat. Jakoś i teraz dziko pomyśleć... Nie przychodziło mi do głowy, że żyjesz, że już jesteś dorosły, żeś się zaprzedał bolszewikom. A mama czy żyje? Nie zamordowali jej?

– Mama umarła w tym roku, niedawno.

– A Jula, siostra? Słyszałem coś. Wyszła za bolszewika. Pewnie sama też bolszewiczka. Podłe z was nasienie, nie ma co.

– Z Juli przykładna pracownica i mąż jej dzielny pracownik, jeden z pierwszych. Dużo przeżyła, dużo się nauczyła. Cóż mówić o tym tobie, białogwardziście. I tak nie zrozumiesz.

– Pewnie, iść na służbę do oprawców – wielka mi filozofia. Nie każdy zrozumie. Jak papę rozstrzelili – nie pamiętasz. Mały byłeś. Zapomniałeś. Julia też pewnie zapomniała. Krótką macie pamięć, szczenięta.

– Nie krótką. Gdyby więcej „pap“ powystrzelano wówczas, nie byłoby tych trzech najcięższych lat.

– Szczekasz ich żargonem, jak mityngowy agitator. Powiedz jeszcze: „Dosyć się naszej krwi nażłopali!“. Własnego ojcaś się wyrzekł. Chamom służyć poszedłeś. Za worek krupy, za deputat – łapę żydowską lizać. I to kto – Sołominowie! Strach pomyśleć: brat – szubrawiec, bolszewik.

– Żal mi cię, Borysie – powiedział cicho Sergiusz. – Nie rozumiemy się. Mówimy różnymi językami. Nie przypuszczałem, jadąc do Paryża, że mogę cię spotkać w tutejszej emigranckiej kompanii. Pewnieś przez ten czas gości po lupanarach taksówką rozwoził, albo gdzie do stołu podawał i napiwki zgarniał. Jak wszyscy. Życieś na wysługach przelokaił. Wpakować sobie „z honorem“, po oficersku, kulę w łeb, nawet na to odwagi ci nie stało. Eh, Borysie!

Twarz Sergiusza raptownie wykrzywiła się grymasem niehumanitarnego bólu i zupełnie poszarzała. Chory jęknął i ciało jego w nagłym skręcie wypięło się, jak łuk trzeszczący od naprężenia. Na wargi wystąpiła mu piana.

Rotmistrz Sołomin uczuł, że włosy stają mu dęba, ostre jak igiełki, a serce, jak rozgnieciona w garści, dojrzała pomarańcza, tryskiem nagłego bólu przesącza się przez palce. Przyczyny tego bólu nie mógł zrozumieć. Patrzył wytrzeszczonymi oczyma na wijącego się w konwulsjach człowieka i chciał krzyczeć, ale krzyk, jak wtłoczony, zbyt gruby korek, nie wychodził przez wąską szyjkę ust. Rozmiękłymi palcami pochwycił umierającego za ramiona i, potrząsając nim, bełkotał:

– Sierioża!

Chciał powiedzieć coś ciepłego, pieśczołliwego, lecz w gorączkowo przetrząsanej stercie słów nic odpowiedniego nie znajdował. Tylko ręce kurczowo ścisnęły suche, bezwładne ramiona.

Naraz, przypomniawszy sobie coś, wyciągnął z kieszeni flaszkę koniaku, odkorkował ją zębami i, podtrzymując pieczołowicie jedną ręką głowę umierającego, drugą przechylił mu do ust butelkę. Sergiusz pił chciwie, do ostatniej kropli. Po ciele jego przebiegł ożywczy prąd. Po chwili chory otworzył oczy.

Rotmistrz czuł w głowie dziwny szum i chaos; słyszał tylko skądś z daleka, jak własne jego wargi mamrotały bezładnie:

– Czekaj... Tak przecież nie można... Zawiozę cię do domu... Zawołamy lekarza... Tak nie można...

Wargi chorego wykrzywiły się w bladym uśmiechu:

– Jak to, Borysie? Bolszewika chcesz ratować? Ładny z ciebie białogwardzista. Zresztą – późno już. Trzeci dzień. Rychło koniec.

Rotmistrz, nachylony, wpatrywał się w tę twarz, nagle tak bliską. Dzwoniło mu w skroniach. Gdzieś, powyżej myśli, przesybował błysk: jaki

podobny do matki! I nos, i usta, i zarys podbródka... Zachciało mu się wyć. Ciepła fala tkliwości popęzła skądś, z trzewi, pod krtań.

– Krew czuję, krew... – pomyślał, usiłując jakoś usprawiedliwić to, co bulgotało w nim nieznanym nurtem.

Uwolniona spod kontroli mózgu, ręka sama popęzła ku bladej głowie, opartej o ramę, spoczęła na czole, ześlizgnęła się na zlepione potem, jedwabiste włosy... I było w tym ruchu wszystko: matczyne zmoczone łzami policzek, kiedy żegnał się na zawsze, i lata gorzkiej, zlodowaciałej samotności bez ciepłego słowa, bez bliskiej duszy ludzkiej, i nieupita przez nikogo, zwarzona tkliwość kłującego, starzejącego się, bezpańskiego ciała.

Umierający przymknął powieki i wargi znów rozświecił mu uśmiech:

– Myślisz, Borysie, że strach umierać w dwudziestym piątym roku życia? Rozebrało cię: młodość itd. Daj spokój! Nad sobą się pożał. Tacy jak my nie umierają. Zanadto wszystkimi korzeniami wszczepiliśmy się w masę, w gatunek. Wrośliśmy w nią każdym włókmem. Ci, co nie przeżyli z nami tych lat początkowej budowy, niech nam zazdroszczą, umierając...

Chory nerwowymi rękoma chwycił rotmistrza za klapy frena, przyciągnął go ku sobie i zaszeptał mu w twarz głosem świszczącym i podnieconym. Oczy błyszczały mu gorączkowo.

– Czy ty rozumiesz, Borysie, co to znaczy własnymi rękami ugniatać glinę, wypalać cegły na własny dom, karczować plac pod budowlę, wyciągać z ziemi piętro za piętem? Budować nowe, krzepkie, udoskonalone życie... Czuć, że jesteś jądrem tej cudownej ludzkiej lawiny, która urwała się i leci w przyszłość... obrasta cię, jak śniegiem, ubitą, ziarnistą masą. Jesteś jej sercem... Ciaikiem jej krwi, przenikającym z żył do żył. Kpisz sobie z praw fizycznych: jesteś przenikalny i sam przenikasz, nie zatracając swoich materialnych konturów... O, Borysie! I tyś mógł i tobie danym było to rzadkie, to niepojęte szczęście urodzić się i żyć w tych czasach, a tyś je odrzucił, wolałeś, jak ślepy kret w tępej, chamskiej zawziętości podkopywać to, co wyrastało w twoich oczach, wbrew wszystkim kretom świata, windowane w górę dźwigarem wysiłku milionów, póki cię jak kreta nie wykurzono z nory...

– Och, Borysie – dodał po pauzie zmęczonym, niewyraźnym szeptem – jaki ty się musisz czuć samotny, niepotrzebny, bezdomny, jak pies sparszywiaty i bezpański... Jakże ty będziesz umierał, Borysie?

Sergiusz, wyczerpany, osunął się na platformę i z ust wąską strugą popłynęła mu piana. Wąskie szerniałe wargi wykrzywiły się w bolesną podkowę. Twarz, stężała z bólu, zbielała, stała się maleńka, prawie dziecinna.

Rotmistrz poczuł, jak nieprzeparła rodzicielska tkliwość żelazną ręką nachyla go ku tej twarzy. Co począć? Jakże puścić go tak samego w śmierć? Wynieść go stąd! Zabrać! Być zawsze z nim! Nie opuszczać go! I blade wargi same powtarzały bez związku:

– Sierioża! Nieprawda! To niemożliwe! Weź mnie za szyję. Wyniosę cię stąd. Zaniosę cię do domu. Zawołamy lekarza. Wyleczysz się. Wydostaniemy się

stąd. Pojedziemy razem, do twoich. Nie puszczę cię samego. Pojadę z tobą. Słyszysz, Sierioża? Wyjedziemy razem. Będę z tobą pracować. Sierioża!

Twarz Sergiusza zasnuwać zaczął dziwny żółtawy cień. Wargi, same wargi wyrzeźbiły:

– Nie, Borysie, za późno. Koniec... Ciebie, ciebie mi żal. Jeżeli nie umrzesz – wróc. Pracuj. Próbuje odrobić, przebudować się, zmontować na nowo. Przerób się, jak ja, jak Jula... Czekaj... Nie mam prawa... Ale ty odkupisz mój grzech, życiem, latami, pracą... Masz – to mój sowiecki paszport... Jesteś podobny do mnie... Nie odróżnią... Przyjedziesz za nim do Moskwy... Zgłoś się do Juli... To dzielny towarzysz... Jula ci pomoże, zrozumie... Tylko, na pamięć matki, przysięgnij mi, że nie nadużyjesz...

– Przysięgam... – wymamrotał Borys.

– To dobrze... A teraz już idź... Nie dotykaj mnie... Zarazisz się...

Napraw...

Nagły skurcz podrzucił jego ciało do góry i cisnął nim na bok. Otwarte oczy zaciągnęły się błoną mlecznej mgły.

Rotmistrz schwycił flaszkę. Chciał wlać do ust. Była pusta.

Z ust leżącego wąską nitką pociekła bura piana, zmieszana z krwią.

Sołomin poczuł, jak coś wewnątrz, jakaś strunka, której istnienia nigdy nie podejrzewał, naraz naprężyła się i pękła, pękła bezpowrotnie. Od razu opróżnił, jakby wytrząśnięto zeń wszystkie napelniające go dotychczas trociny. Tępy, bezmyślnym wzrokiem patrzył na martwą twarz, z której wyzierał ku niemu macezyny nos, podbródek i podkova bolesnych ust. Machinalnie pochylił się i pocałował te wargi. Poczuł na wargach słonawy posmak krwi. Zdrewniały i bezwładny siedział sztywno jak kukła.

Wyjrzał księżyc. Oświecił platformę. Zmartwiałe, obwisłe ręce rotmistrza Sołomina. W jednej – zaciśnięty zwitek: książeczka. Co to? Aha, prawda! Sowiecki paszport. Dał Sierioża...

Rotmistrz zbliżył go do oczu.

Mały czerwony kajecik. Gdzie też mógł go już widzieć? I to tak niedawno... Aha, Żyd. Czerwona pieczęć... Jeżeli nie umrę – wracać do Rosji. Przerobić się. Zastąpić Sieriożę. Nie. Późnawo. W tym wieku ludzie już się nie przerabiają. Ładny byłby ze mnie komunista! Po cóż oszukiwać Sieriożę?

Rotmistrz przyklęknął, delikatnie rozpiął na piersiach brata koszulę i położył na ostygłą już pierś małą czerwoną książeczkę.

W pustym wnętrzu, jak w blaszanej kabinie transformatora, dzwoniła próżnia.

Potem ręką namacał wystającą usłużnie z pochwy kolbę nagana.

\*

Kiedy nazajutrz rano obsługa sanitarna zabrała do krematorium czarny wymarły samochód, wrzucając ciała do pieca, pomiędzy trupami bolszewików natrafiono

na zwłoki białego oficera w mundurze i w epoletach. Przybyły z głównej komendy oficer rozpoznał rotmistrza Sołomina.

Wdrożone śledztwo wykazało tylko, że w tragiczną noc rotmistrz Sołomin, w stanie mocno nietrzeźwym, wyszedł z restauracji w niewiadomym kierunku.

Na rozkaz komendy ciało jego spalono osobno, z wojskowymi honorami.

## VIII

W zbyt kownym salonie mistera Dawida Lingslaya rolety były jeszcze spuszczone, a w chybotliwym półmroku nieruchome, sztywne sylwetki rabiego Eleazara ben Cwi i korpulentnego jegomościa w amerykańskich okularach zdawały się na tle pąsowych tapet dwiema woskowymi figurami, przyniesionymi tutaj żywcem przez niewiadomych kawalarzy z muzeum Grevin.

– Czym mogę panom służyć? – porajac się z krawatem, zapytał dziwnych gości mister Dawid Lingslay. – Niestety spieszę się na posiedzenie i mogę panom udzielić za ledwie dziesięć minut czasu.

Przygarbiony człowiek z siwą brodą, w niezgrabnym, wytartym tużurku, powiedział coś po żydowsku do korpulentnego pana w rogowych okularach.

Mister Dawid Lingslay z zaciekawieniem przypatrywał się patriarchalnej twarzy, delikatnym semickim rysom człowieka w tużurku.

Okrągły pan w okularach, pełniący najwidoczniej rolę tłumacza, powtórzył poprawną angielszczyzną:

– Sprawa nasza nie zajmie panu dużo czasu. Może pan zechce usiąść i wysłuchać nas uważnie.

– Słucham – odparł mister Dawid Lingslay, sadowiac się w fotelu.

Obaj przybysze zamienili parę krótkich zdań, po czym pan w okularach przełożył:

– Sprawa nasza jest krótka. Może pan przystać na nią albo nie – to zależy od pana. Zanim jednak przystąpimy do jej omówienia, musiałby pan nam przyrzec, że ani jedno słowo z naszej rozmowy nie wyjdzie poza te cztery ściany.

– Nie lubię na ogół tajemnic, zwłaszcza z ludźmi nieznanymi – odparł sucho mister Dawid. – Jeżeli jednak panom na tym bardzo zależy, damę panom słowo dżentelmena, że o rozmowie naszej nie wspomnę nikomu.

– Literalnie nikomu – podkreślił z naciskiem pan w okularach. – Zależy nam na tym ogromnie. Nawet pańskiej przyjaciółce, pannie Dufayel.

Mister Dawid zmarszczył brwi:

– Widzę, że panowie jesteście doskonale poinformowani o moim życiu jak najściślej prywatnym – odpowiedział tonem lodowatym. – Wszystko to zaczyna mi trącić szantażem. Sprawy panów nie jestem bynajmniej ciekaw i przypuszczam, że najlepiej będzie, jeżeli panowie, nie wyluszczając mi jej, opuszczą moje mieszkanie.

Pan w okularach nie zdawał się być bynajmniej stropionym.



– Sprawa nasza jest prosta i powinna interesować zarówno pana, jak i nas. Przyszliśmy się zapytać, czy nie chciałby pan wydostać się z Paryża i powrócić do Ameryki?

Mister Dawid Lingslay spojrział ze zdumieniem na mówiącego.

– Co to ma znaczyć? Niech pan wyraża się jaśniej.

– To ma znaczyć, że jesteśmy w stanie umożliwić panu wydostanie się z Paryża i powrót do Ameryki, i to w czasie jak najkrótszym – powtórzył pan w okularach.

Mister Dawid przymrużył oczy z niedowierzaniem:

– W jaki sposób, jeżeli wolno wiedzieć, myślicie to panowie uczynić? Możecie być pewni, że wszyscy członkowie naszej koncesji poruszyli już w tym celu wszystkie możliwe sprężyny, jak widzicie – bezskutecznie.

– To do rzeczy nie należy – odpowiedział spokojnie pan w okularach. – Prosimy o odpowiedź: tak czy nie?

– Ależ oczywiście! – roześmiał się nieco nienaturalnie mister Dawid. – Służę panom za przeprowadzenie tej transakcji każdą sumą. Nie rozumiem tylko, dlaczego zwracacie się panowie z tą ponętą propozycją wyłącznie do mnie. Zapewniam panów, że dobrych paręset dżentelmenów zapłaciłoby wam za przeprowadzenie jej dowolną kwotę. A może chodzi tu o jakieś nowe hurtowe przedsiębiorstwo, które za określoną opłatą przewozi majątnych ludzi przez kordon? Kapitalnie intratna impreza! Z zamkniętymi oczyma przystępuję do spółki.

– Pieniądzy za przewóz nie bierzemy. Przeciwnie, gotowi byśmy byli dopłacić panu każdą sumę, gdybyś pan jej potrzebował. Wiemy jednak dobrze, że pan tego nie potrzebuje.

– A zatem jesteście panowie widocznie filantropami, lub proponujecie mi to dla moich pięknych oczu, bowiem znać was nie miałem dotychczas przyjemności?

– Nie proponujemy panu tego dla pańskich pięknych oczu – z niezmaconym spokojem ciągnął pan w okularach. – Proponujemy panu przysługę za przysługę. My wywieziemy pana poza obręb Paryża i pomożemy panu dostać się do Ameryki. Pan wyświadczy nam w zamian inną przysługę.

– Intrygujecie mnie panowie. Słucham z całą uwagą.

Pan w okularach odwrócił się do siwobrodego starca w tużurku i obaj przez długą chwilę rozmawiali ze sobą po żydowsku. Mister Dawid przysłuchiwał się niecierpliwie.

Po chwili pan w okularach przysunął swój fotel bliżej do fotela gospodarza i, nachylając się ku niemu, powiedział dobitnie:

– Przychodzimy z miasta żydowskiego, jako delegaci.

– W jaki sposób przedostaliście się panowie na terytorium koncesji? – zawołał ze zdumieniem mister Dawid.

– To do rzeczy nie należy. Proszę, niech pan posłucha nas uważnie. Żydzi z miasta żydowskiego w tych dniach wyjdą z Paryża.

– A to w jaki sposób?

– O sposób mniejsza. Przekupiliśmy wojska na jednym odcinku. Wojsko przepuści przez kordon ludność żydowską, która, by nie zwracać niczyjej uwagi, dojdzie do roгатki podziemiami metra. Po drugiej stronie kordonu czekać będą towarowe pociągi. W zaplombowanych wagonach ludność żydowska, zafrachtowana jako paki na amunicję, odjedzie do Hawru.

– Kapitalne, choć niezupełnie prawdopodobne. Iluż mieszkańców, jeżeli wolno wiedzieć, liczy miasto żydowskie?

– Wyjadą oczywiście jedynie ludzie zamożni. Cała biedota pozostanie w Paryżu. Wyjadą tylko zdrowi, po odbyciu uprzednio w wagonach trzydniowej kwarantanny. Ogółem trzeba liczyć około trzech tysięcy osób. Reszta wymarła, albo wymrze w dniach najbliższych. Wyjechać musimy w terminie jak najkrótszym. Pobyt w Paryżu staje się coraz niebezpieczniejszy. Nie mówiąc już o tym, że codziennie wymiera na dzumę stu z górą Żydów, nad miastem żydowskim zawisła inna jeszcze klęska, zaraźliwsza od zarazy. Gmina żydowska graniczy bezpośrednio z Belwilską Republiką Rad. Od chwili jej powstania, wśród naszego tałatajstwa dał się zauważyć groźny ferment. Nie dalej jak wczoraj, cała dzielnica Republique oderwała się od żydowskiego miasta i przyłączyła do bolszewików. Przeszło tysiąc kupców padło ofiarą motłochu i majątek ich został złupiony. Wszystkie męty miasta żydowskiego czekają jedynie sposobnej chwili, aby pójść za tym przykładem... Pozostawać w Paryżu dłużej niepodobna.

– Twierdzi pan zatem, że z otoczonego kordonem Paryża wyjdzie armia z trzech tysięcy ludzi i nikt tego nie zauważy?

– Tak będzie. Wszystko jest już przygotowane i przewidziane.

– Coś mi to zakrawa na mocno fantastyczną powieść. Przypuśćmy jednak, że to prawda. Jeżeli was dobrze zrozumiałem, chcecie panowie zabrać mnie ze sobą, udzielić mi miejsca w swoich zaplombowanych wagonach. Czy tak? Jakiej przysługi żądamie ode mnie w zamian?

– Przysługi prostej i dla pana osobiście nietrudnej. Chodzi mianowicie o to, że osiedlić taką ilość Żydów gdzieś w pobliżu, w Europie, nie ściągając tym niczyjej uwagi, byłoby niemożliwym. Zresztą dzuma, wcześniej czy później, przetrzuci się z pewnością za kordon i zaleje resztę kontynentu. Nie po to Żydzi uciekają z Paryża i wydają na tę ucieczkę grube miliony, aby czekać na dzumę gdzie indziej. Żydzi muszą dostać się w miejsce zupełnie bezpieczne: muszą dostać się do Ameryki.

– Ba! Wiadomo panu chyba, że Ameryka zamknęła wszystkie swoje porty w obawie przed przyniesieniem do niej zarazy i że żaden okręt nie może przybić do jej brzegów pod groźbą zbombardowania.

– Wiadomo nam o tym równie dobrze, jak panu. Dlatego przychodzimy właśnie do pana. Pan przez swoje olbrzymie stosunki wyrobi, że Ameryka wpuści jeden okręt.

– Nonsens.

– Zaraz. Nie powie pan wcale, że okręt wiezie ludzi z Paryża, ani w ogóle z Europy. Powie pan, że przyjeżdża pan okrętem z Kairu. Wszystko będzie na to wskazywać. Okręt czeka już w Hawrze. Z Hawru, aby nie zwracać niczyjej uwagi, odpłynie nocą, ze zgaszonymi ogniami. W drodze zmieni nazwę i banderę. Nie zawinie ani do Nowego Jorku, ani do Filadelfii, lecz do jakiegoś małego portu. Przybije, wysadzi pasażerów i odjedzie w nocy. Nikt nie dowie się o niczym. Wyrobi pan przez swoje stosunki tylko to, że władze miejscowe przymkną na godzinę oczy. To wszystko.

Mister Dawid Lingslay pogrążył się w głębokim zamyśleniu.

– Żądacie panowie ode mnie ni mniej ni więcej, abym, dzięki swym stosunkom sprowadził do Ameryki dżumę, bo przecież jest rzeczą nieulegającą najmniejszej wątpliwości, że na trzy tysiące osób opuszczających Paryż u kilku bodaj z nich okaże się ona w drodze lub po wylądowaniu. Odmawiam.

– Nie należy odmawiać bez namysłu. Niech się pan wprzód dobrze zastanowi.

– Zastanowiłem się już. Nie mogę brać na siebie podobnej odpowiedzialności. Dlaczego obraliście sobie panowie właśnie Amerykę? Jedźcie do Afryki, do Azji.

– Żydzi nie mają co robić w Afryce ani w Azji. W Ameryce każda rodzina żydowska ma krewnych i Ameryka jest najbardziej odgradzona od Europy. Zresztą w pańskim własnym interesie leży, aby Żydzi pojechali do Ameryki. Gdyby jechali do Afryki lub Azji, nie potrzebowaliby pańskiej pomocy.

– I nie miałoby powodu zabierać mnie ze sobą. Rozumiem to doskonale. Tym niemniej tego, czego ode mnie żądacie, podjąć się nie mogę. Zstanę w Paryżu.

– Pan jest samobójcą. Pan chce umrzeć, mając możliwość ratunku.

– Ratunek jest wątpliwy, skoro, uciekając do Ameryki, mam do niej przywieźć z sobą dżumę. To nie ratunek, to jedynie odroczenie.

– Pan jest pesymistą. Gdzie jest powiedziane, że pośród Żydów, którzy wyjadą, musi się zaraz znaleźć ktoś chory? Wszystkich przed wyjazdem zbadają lekarze. Wszyscy odbędą trzydniową kwarantannę. Gdyby ktoś w drodze zachorował na okręcie, wrzuci się go po prostu do morza. A gdyby nawet, przypuścmy najgorsze, jeden, czy dwóch Żydów zachorowało po wylądowaniu, to przecież to się nie nazywa jeszcze epidemia. Od dwóch Żydów nie zarazi się cała Ameryka.

– Na trzy tysiące zachorować może nie dwóch, lecz trzystu Żydów.

– Po co być zaraz takim pesymistą? Zawsze trzeba liczyć, że będzie lepiej. Niech pan pomyśli. My jutro przyjdziemy po odpowiedź.

– Pomyślałem już i przystać na waszą propozycję nie mogę.

– To jest pańskie ostatnie słowo?

– Tak jest, ostatnie.

Człowiek w okularach porozumiewał się chwilę ze starcem w tużurku, po czym ponownie zwrócił się do mistera Dawida:

– Pan jest idealistą. – (Mister Dawid uśmiechnął się w myśli z mimowolną dumą.) – Myśmy myśleli, że z pana człowiek praktyczny. Pan skazuje się na śmierć dlatego, że boi się pan, że się zarazi kilku Amerykanów. Nie bierze pan pod uwagę, że jednocześnie uratuje pan paruset innych godnych Amerykanów z kapitałami, uwięzionych tu, w Paryżu, których gotowi jesteśmy zabrać z sobą do Ameryki na naszym okręcie. Zresztą, jeżeli z pana już taki humanitarysta, to dlaczego pan nie pożałuje tych trzech tysięcy Żydów, którzy, jeżeli nie wyjadą, to też zarażą się i wymrą.

– Dlaczego miałbym żałować właśnie tych trzech tysięcy Żydów, a nie miliona innych mieszkańców Paryża, którzy, pozostając tu, również skazani są na zagładę?

– Nie można żałować wszystkich. Tak nie można byłoby żyć. Trzeba żałować tych, którzy są bliżsi.

Mister Dawid Lingslay nachmurzył się.

– Dlaczegoż pan sądzi, że Żydzi właśnie mają mi być bliżsi?

Pan w okularach odpowiedział dyplomatycznym milczeniem.

Mister Dawid wyjął papierosa, zapalił i zaciągnął się nerwowo.

– Wydaje mi się, że zaczynam rozumieć właściwe źródło waszej wizyty. Dowiedzieliście się, panowie, zbierając o mnie wyczerpujące informacje, że ojciec mój był Żydem i sądziliście, że, jeżeli nie pójdę na interes, będzie mnie można wziąć na sentyment. „A idisz harc“ – jak to mówicie między sobą. Muszę was rozczarować. Wychowałem się w Ameryce, w Ameryce dorobiłem się majątku. Jestem Amerykaninem. Żydostwu niczego nie jestem dłużny i nie mamy żadnych punktów styecznych. Linie nasze, które w ubiegłym pokoleniu może jeszcze się przecinały, rozbiegły się bezpowrotnie. Kwestia pochodzenia jest kwestią wyłącznie metrykalną. Żydostwo nie ma powodu niczego się po mnie spodziewać.

Pan w okularach pospiesznie zaprzeczył.

– Kto mówi o pochodzeniu? Po prostu, pozwolę sobie opowiedzieć, postępuje pan nierozsądnie. To, że kiedyś tam może się zarazić i umrzeć paru Amerykanów, to bądź co bądź tylko ewentualność; to zaś, że pozostając tutaj, za pięć-sześć dni umrze pan sam, nie ulega zdaje się najmniejszej wątpliwości. Czy to się nazywa logiczne rozumowanie? A co, jeżeli z tych trzech tysięcy Żydów nie zachoruje ani jeden? Przecież istnieje i taka możliwość. A tym samym nie zaraziłby się żaden Amerykanin. A pan, zamiast spróbować i tej ewentualności, woli pogodzić się z tym, że za tydzień, kiedy byłby pan już u siebie, w Ameryce, w gronie rodziny i przyjaciół, z dala od zapowietrzanej Europy, będzie pan leżał tu, nawet nie w ziemi, tylko lichy wie, gdzie, jako zwyczajna kupka popiołu, bo przecież w życie pozagrobowe pan nie wierzy. A że taki właśnie będzie koniec pańskiej egzystencji tutaj, o tem pan chyba nie wątpi.

Mister Dawid Lingslay z hałasem odsunął fotel.

– Uważam rozmowę naszą za bezcelową. Wybaczą panowie, że więcej czasu poświęcać im nie mogę, ale spóźniłem się już na posiedzenie.

Obaj panowie wstali i pospieszyli skwapliwie ku wyjściu. Na progu pan w okularach zatrzymał się i powiedział z dobrotliwym uśmiechem:

– Nie pali się. Pan się teraz śpieszy. Nie będziemy zabierali panu czasu. Pan pomyśli, rozważy jeszcze sam. My tu jutro rano zajdziemy po odpowiedź.

Mister Dawid Lingslay chciał przeciąć, oświadczyć kategorycznie tym ludziom, że nie mają po co się fatygować, że decyzja jego jest nieodwołalna, lecz ludzi nie było już w pokoju.

Mister Dawid zmiął w palcach papierosa, pomacał kieszeń, spostrzegł, że zapomniał zegarka, wrócił do sypialni, z nerwową odrazą wsunął do kamizelki spoczywający na blacie zegarek, machinalnie wepchnął do kieszeni od spodni mały, stalowy przedmiocik i, nacisnąwszy na czoło kapelusz, szybko zbiegł po schodach.

Na zakręcie schodów natknął się na dwóch sanitariuszy, znoszących z góry czarne, przykryte nosze. Mister Dawid usunął się pospiesznie i, zapominając o porannej kawie, szybkim krokiem ruszył w stronę American Express.



Przy wejściu do American Express na mistera Dawida czekał już lift-boy, który powiózł go windą na drugie piętro (posiedzenie poufne, gabinet nr 7).

W gabinecie, przez błękitną mgłę cygarowego dymu, mister Dawid nie od razu rozróżnił sylwetki swych pięciu kolegów amerykańskich, wynurzających się z objęć wygodnych klubowych foteli. Uderzyła go nieobecność kolegów Anglików.

Mister Dawid zasiadł w przeznaczonym dla niego fotelu i, wzięwszy z usłużnie podsunętego mu pudełka pękate cygaro, zapadł w pytające milczenie.

Z kłębow błękitnego dymu, jak przez tłumik, doleciał go dostojny, gardłowy głos mistera Ramsaya Marlingtona:

– Sądzę, panowie, że skoro jesteśmy już w komplecie i wszystkim nam wiadomy jest cel dzisiejszego zebrania, możemy nie tracąc czasu przystąpić wprost do omówienia szczegółów sprawy. Chciałbym jednak przedtem usłyszeć zdanie w tej materii mego wielce szanownego kolegi, mistera Dawida Lingslaya; być może posłuży nam ono za podstawę do dalszej dyskusji.

– Przepraszam panów – odezwał się bez pośpiechu z głębi swego fotela mister Dawid. Aksamitno-sina atmosfera pokoju działała na niego usypiająco. – Muszę jednak stwierdzić, że nie poinformowano mnie w ogóle o celu dzisiejszego zebrania i zanim będę mógł coś powiedzieć, musiałbym wprzód zapoznać się z przedmiotem obrad.

Wszystkie głowy, jak na komendę, wychyliły się z głębin foteli, zwrócone w jego stronę.

– Czy możliwe? – wycedził mister Marlington, a w głosie jego zabrzmiało zdziwienie. – Czyż nie odwiedziła pana dziś rano delegacja miasta żydowskiego?

Fotel mistera Dawida wydał zdławiony okrzyk torturowanych sprężyn.

Mister Marlinton, niewidoczny w obłokach spowijającego go dymu jak masywna, stukilowa Pytia, ciągnął spokojnie dalej.

– Jakeśmy to przed chwilą ustalili, każdy z nas pięciu o jednej i tej samej godzinie, to jest mniej więcej około godziny dziewiętej rano, odebrał wizytę dwóch delegatów miasta żydowskiego z jedną i tą samą propozycją. Delegaci poinformowali nas, że dwóch spośród nich udało się do pana, jako do osobistości, mającej w tej sprawie głos poniekąd decydujący. Czyżby ich pan nie przyjął?

Swawolne smugi dymu zawisły nad fotelami pięcioma znakami zapytania.

Z fotela mistera Dawida rozległ się opanowany, bezbarwny głos:

– Istotnie, była u mnie taka delegacja. Nie powiedzieli mi jednak wcale, że z podobną propozycją zwracają się równocześnie do wszystkich pozostałych amerykańskich członków rządu naszej koncesji. Dlatego wziąłem ją do pewnego stopnia za propozycję indywidualną i nie spodziewałem się, że dzisiejsze posiedzenie poświęcone będzie tej właśnie sprawie.

– Doskonale – wybeczał ze swego fotela mister Marlinton. – Teraz, skoro ustaliliśmy już faktyczny stan sprawy, czy nie moglibyśmy się dowiedzieć, ja i moi koledzy, jakiej treści odpowiedź dał pan delegacji żydowskiej?

– Owszem – odparł flegmatycznie mister Dawid. – Odpowiedziałem odmownie.

Teraz z kolei wszystkie pięć foteli wydało nieartykułowany okrzyk. Zaległa cisza.

Z jednego z foteli rozległ się dobroduszny rechot:

– Kolega raczy żartować. He-he! Kapitalny żart!

– Myli się pan, kolego – odciął się oschle mister Dawid. – Nie żartuję bynajmniej. Nie wiem, czy wszystkim panom znane są warunki, z którymi Żydzi łączą proponowaną nam przysługę. Delegaci żydowscy oświadczyli mi, że gotowi są zabrać nas z sobą jedynie w tym wypadku, o ile za naszą sprawą Ameryka wpuści trzy tysiące Żydów, zbiegłych wraz z nami z zadżumionego Paryża, czyli, innymi słowy – wpuści do siebie zarazę. Nie uznałem za możliwe brać na siebie podobnej odpowiedzialności.

– Oczywiście – odezwał się po dłuższej chwili mister Marlinton. – Wwóz do Ameryki trzech tysięcy Żydów jest bezsprzecznie najmniej ponętną stroną tej propozycji. Trudno jednak wysuwać w tym względzie jakiegokolwiek zastrzeżenia. Nie trzeba zapominać, że w gruncie rzeczy to nie my zabieramy ze sobą Żydów do Ameryki, ale oni – nas. Wiemy dobrze, że wszystkie nasze dotychczasowe próby wydostania się poza kordon spełzły na niczym. Odtrącając nadarzającą się nam sposobność, popełnilibyśmy szaleństwo. Zresztą, z chwilą, gdy tylko znajdziemy się po tamtej stronie kordonu, role nasze zmieniają się radykalnie. Po przybiciu do brzegów Ameryki nie ma nic łatwiejszego jak, pod pozorem jakiejś komisji lekarskiej, nie pozwolić Żydom w ogóle wylądować. Znalazłszy się na brzegu, postąpimy oczywiście tak, jak będziemy uważali za stosowne i wskazane dla dobra naszej drogiej ojczyzny. Nieprawdaż, panowie?

Głowy w fotelach skłoniły się milcząco na znak aprobaty.

Mister Marlinton ciągnął, w przerwach między dwoma kłębami wonnego dymu:

– Chcąc uniknąć niepotrzebnego rozgłosu i wychodząc z założenia, że sprawa ta dotyczy wyłącznie nas, Amerykanów, postanowiliśmy nie wtajemniczać w nią naszych angielskich kolegów, których, jak pan widzi, nie zaprosiliśmy na dzisiejsze poufne posiedzenie. Niech postarają się sami, o własnych siłach, dostać na swoją wyspę. Mają zresztą o wiele bliżej i z nami byłoby im nie po drodze. Wyznam panom szczerze, że nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy wynosić stąd, że tak powiem, na własnych barkach, ludzi, którzy w ciągu ostatnich dziesiątków lat podstawiają nam ustawicznie nogę w naszych operacjach światowych. Powoływania się na pokrewieństwo ras są mało przekonujące i abstrakcyjne. Sądzę, że jestem wyrazicielem zdania wszystkich panów, proponując rozwiązanie tej sprawy w myśl starej dewizy: Ameryka dla Amerykanów.

Fotele w milczeniu skinęły głowami.

Mister Marlinton przechylił się konfidencjonalnie przez poręcz w stronę mistera Dawida Lingslaya.

– Widzę, że w tym względzie nie ma między nami różnicy zdań. Sprawa prawie wyłącznie zależy od pana, mister Lingslay. Cała marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych siedzi w pańskiej kieszeni. Wystarczy pańska króciutka depesza, by krążowniki, patrolujące na danym odcinku nasze wybrzeża, pojechały sobie gdzieś na manewry. Dał pan delegacji żydowskiej zbyt pochopną odpowiedź, nie zważywszy sprawy ze wszystkich stron. Wszyscy jak tu jesteśmy, jesteśmy gorącymi patriotami amerykańskimi. Nie wystarczy jednak być uczuciowo patriotą. Trzeba być patriotą racjonalnym. Powrót nasz do Ameryki przyniesie naszej ojczyźnie niewątpliwie korzyści, podczas gdy nasza bezsensowna śmierć tutaj byłaby połączona dla niej z nieobliczalnymi stratami. Przy wyborze naszych rodaków, których zechcemy wywieźć z Paryża, aby wrócić ich Ameryce, kierować się będziemy, rzecz oczywista, nie względami ilościowymi, lecz jakościowymi. Odjadą wraz z nami jedynie ludzie, których majątek stawia w pierwszym rzędzie obywateli naszej wielkiej ojczyzny, i którzy dzięki niemu są potężnymi podporami jej społecznego porządku. Sekretarz mój przygotowuje do wieczora odpowiednią listę. Uważam, iż zwlekać z tą sprawą nie należy pod żadnym pozorem i że powinien pan, o ile możliwości jak najprędzej, zawiadomić rząd miasta żydowskiego o swej przychylniej decyzji.

Mister Dawid Lingslay odłożył cygaro i wstał.

– Pozwolicie panowie, że zarezerwuję sobie dwadzieścia cztery godziny czasu do namysłu. Jutro rano, po gruntownym zastanowieniu się, dam wam telefoniczną odpowiedź. Sprawa jest zbyt poważna, aby można było rozstrzygnąć ją na poczekaniu.

Pięciu panów dźwignęło się ociężale z foteli.

Mister Dawid pożegnał się i pospieszył ku drzwiom.

– A co się tyczy tych trzech tysięcy Żydów i wpuszczenia ich do Ameryki, – dmuchnął w ślad za nim wraz z obłokiem dymu mister Marlinton – to o nich niech się pan nie kłopoce. Ten drobny szkopuł z łatwością da się zlikwidować na miejscu. Niech pan to pozostawi mnie...

Zresztą mister Dawid dosłyszał już tylko pierwszą połowę ostatniego zdania. Drugą odcięły zasunięte z trzaskiem drzwiczki windy.

Po jego odejściu panowie zamienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Ciekawe, jakiego rodzaju kombinację planuje nasz czcigodny kolega, Lingslay – rzucił mimochodem jeden z foteli.

– I ile też my za nią bekniemy? – wtrącił drugi.

– Czy aby czasem Lingslay nie zmówił się z Żydami, że wyjedzie z nimi sam, pozostawiając nas w Paryżu? Czy zauważyliście, panowie, jego zmieszanie, gdy się dowiedział, że u wszystkich nas byli dzisiaj delegaci żydowscy?

– Tak, moim zdaniem należy Lingslaya mieć na oku. Niewątpliwie coś się w tym kryje. Sam Lingslay jest z pochodzenia Żydem. Byłoby niezmiernie głupio, gdyby się nagle okazało, że wystrychnięci zostaliśmy na dudków i że przegapiliśmy taką wyjątkową okazję.

– Możecie panowie być spokojni – rozległ się z kąta dostojny głos mistera Ramsaya Marlingtona. – Dzięki temu, że mister Dawid i ja pracujemy od dawna w pokrewnych gałęziach przemysłu, detektyw mój starym zwyczajem nie odstępował go ani na krok. O każdym jego posunięciu będziemy dokładnie poinformowani i w chwili właściwej zawsze będziemy mogli interweniować. Tymczasem szykujemy się do odjazdu, aby nie dać się zaskoczyć wypadkom.

Niestety, mister Dawid nie słyszał tej ciekawej rozmowy. Był już na ulicy i, odszukawszy w sznurze samochodów swego rolls-royce'a, opuścił się na miękkie poduszki i burknął, jak zawsze:

– Pola Elizejskie!...

Znad kierownicy odwróciła się ku niemu nieznajoma twarz szofera.

Mister Dawid Lingslay w pierwszej chwili pomyślał, że przez pomyłkę wsiadł nie do swego auta, spojrzawszy na wyszyty na poduszkach swój monogram, chciał spytać, lecz nie spytał. Jako solista zwariowanej rewii, przywykł już do ustawicznych zmian, których dokonywała codziennie w obsadzie zahukanych statystów narwana reżyserka – śmierć.

Suchym, metalicznym głosem powtórzył dokładny adres.

Szofer skłonił się w milczeniu. Auto ruszyło.

Odchodzący dzień, jak modelarz niemogący się doczekać śmierci zbyt powoli konającego chorego, oblepił twarz mistera Dawida gipsową maską skwaru. Mister Dawid pomyślał o miękkich jedwabnych poduszkach, w które można się zanurzyć jak w półsen i o innych, bardziej jedwabistych i zawrotnych. W rozmarzeniu przymknął oczy.

Kiedy je otworzył, spostrzegł, że auto stoi już przed dobrze znajomym pałacykiem. Story w oknach były szczelnie zasunięte.



– Śpi – pomyślał z tkliwością mister Dawid i uśmiechnął się do własnej myśli.

Dwukrotnie zadzwonił do drzwi. Minęła długa chwila. Nie otwierał nikt. Mister Dawid zadzwonił ponownie. Odpowiedziała mu cisza. Czyżby nie było nikogo ze służby? Mister Dawid zniecierpliwiony przytrzymał guzik dłużej. Dzwonek zaterkotał na alarm. Znowu milczenie.

Z bramy sąsiedniego pałacyku wychyliła się głowa starszego, siwawego mężczyzny. Zgryźliwa, zła głowa. Głowa powiedziała głośno łamaną angielszczyzną:

– Nie ma nikogo. Pani umarła dziś w południe. Zabrali ją do krematorium. A służby nie ma, uciekła.

Mister Dawid Lingslay znieruchomiał z ręką na dzwonku. Stał tak widocznie długo, bo pierwszą rzeczą, jaka na powrót rzuciła mu się w oczy, była zdziwiona, pytająca, jakby z lekka szydercza twarz nowego szofera.

Mister Dawid ciężko zszedł po stopniach i opadł na siedzenie. Odwrócony ku niemu szofer nie przestawał patrzeć pytająco.

– Proszę jechać tak... trochę... przed siebie... – wyrzekł powoli mister Dawid.

Szofer skłonił się z szacunkiem. Auto ruszyło.

\*

Kiedy późnym wieczorem przed bramą Grand-Hotelu zatrzymała się maszyna mistera Dawida Lingslaya, na parterze, w „Café de la Paix“, skowytał już jazz, a skazani na śmierć wylupiastoocy dżentelmeni, jak gigantyczne komary, obsiedli okrągłe stoliki, ssąc przez trąbki słomek czerwoną krew koktajlów.

Znalazłszy się w swym pokoju sam, mister Dawid machinalnie nakręcił zegarek, położył go na szafce nocnej, po czym powoli zaczął się rozbierać. Dotknięcie chłodnych prześcieradeł przez cienki jedwab piżamy było pierwszym bodźcem, jaki obudził z odrętwienia świadomość silnego, prawidłowo funkcjonującego ciała, i świadomość ta, jak włączona maszyna, ruszyła po swej codziennej, nieomyślnej linii.

Czterdziestoletni mężczyzna pod fałdami kołdry po raz pierwszy uświadomił sobie jasno, że zeszłej nocy całował, tulił i brał kobietę, która dzisiaj umarła na dżumę.

Myśl była tak ostra i zimna, że mężczyzna poczuł lekki chłodek wzdłuż kręgosłupa.

Gdzieś, na powierzchni, zakłamane społeczne „ja“ czterdziestoletniego pana, znane pod nazwą „mister Dawid Lingslay“, coś jak etykiетка na flaszce zawierającej roztwór chemiczny, jak przylepiony do szkła paperek z określoną ilością umownych znaków, spróbowało się oburzyć: umarła kochanka, jedyna, niezastąpiona itp. Zrozumiałe byłyby jeszcze rozpacz, krzyk, rezygnacja, ale nie ordynarny egoizm, strach: zarażę się! Umrę! Lecz etykiетка, jak każda etykiетка,

nie ma i nie mogła mieć wpływu na chemiczną zawartość butelki (czasem nieuważny chemik popłące etykiety) – i ciało czterdziestoletniego mężczyzny, niezawstyżone bynajmniej, kontynuowało swą myśl prawem własnej niezachwianej logiki.

Za pierwszą myśl ząbęła się zaraz druga: a zatem zaraziłem się, zaraza jest już we mnie. Najdalej jutro – umrę. Może nawet jeszcze dziś w nocy.

Czterdziestoletni pan usiadł raptownie na łóżku. Myśl była tak prosta, tak niezbita w swej nieskazitelnej logiczności, tak przezroczyta i pełna tlenu, że powietrze w pokoju w porównaniu z nią wydało mu się czystym dwutlenkiem węgla i czterdziestoletniemu panu zabrakło na chwilę tchu.

„Miłość“, „kochanka“, wszystkie te kategorie, którymi niejaki mister Dawid Lingslay określał niegdyś stopnie swych wrażeń, odpadły nagle niezrozumiale jak słowa cudzoziemskiego języka. Została obca, zarazona, nieżywa kobieta; nawet nie kobieta, lecz kilogram popiołu, żyjąca teraz jedynie w nim, w bakteriach udzielonej mu zarazy, które może właśnie w tej chwili przegryzają się przez ciało do krwi.

Czterdziestoletni mężczyzna szarpnął ręką kontakt i zapalił światło. Lustrzana szafa naprzeciw wykrzywiła się ku niemu grymasem bladej, znajomej twarzy.

– Czy nie ma już ratunku? Czy aby na pewno nie ma już ratunku? Zastanówmy się spokojnie – rozumowało ciało czterdziestoletniego pana. – Bywały przecież wypadki, że nawet ludzie, którzy zarazili się syfilisem, przez wypalenie zakażonego miejsca bezpośrednio po stosunku, zapobiegali rozszerzeniu się choroby.

– Za późno – próbował oponować mózg.

– Nie, może właśnie jeszcze wcale nie za późno. Nie minęły jeszcze nawet całe dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli się pospieszyć...

Zresztą ciało, jak wszelkie ciało, nad abstrakcyjne rozumowanie przekładało mowę konkretnej akcji. Czterdziestoletni mężczyzna bosko zeskoczył z łóżka, z zabobonnym obrzydzeniem zrzucił, a raczej zdarł z siebie piżamę i nago podbiegł do toaletki. Z ustawionych na niej flakonów ręka czterdziestoletniego pana wyrwała słoik z sublimatem i, przyrządziwszy pod kranem mocny rozczyń, zaczęła oblewać nim i nacierać do czerwoności kosmate, pokryte gęsią skórą ciało, poczynając od organów płciowych, kończąc na twarzy i muszlach usznych.

Gdy potrzeba bezpośredniej akcji została zaspokojona i odprężona energia opadła jak rozkręcony bąk, mógł na chwilę zabrać głos mister Dawid Lingslay i ten, spojrzawszy przez oczy czterdziestoletniego pana na odbijające się w lustrze, zaczerwienione, włochate ciało, zaopiniował:

– Jestem śmieszny.

Była to jednak uwaga nieśmiała i pozostała gdzieś, na marginesie, jakby nie dotyczyła zupełnie czterdziestoletniego pana. Nieprzyzwyczajony do nagości, czterdziestoletni mężczyzna poczuł dreszcz chłodu; omijając rozpostartą na

dywanie piżamę, skierował się do szafy i wyjął świeży szlafrok, którym otulił swe kształty.

Przez chwilę rozważał, czy nie położyć się z powrotem do łóżka, potem przyszło mu na myśl: zmienić bieliznę pościelową! Chciał zadzwonić na boya, lecz w tym miejscu zainterweniował mister Dawid Lingslay, któremu wstyd było spotkać się o tak niezwyklej porze oko w oko z boyem i czterdziestoletni mężczyzna dał za wygraną, wlaźł wraz z nogami na fotel, postanawiając przeczekać na nim do rana.

Usadowiwszy się wygodnie, czterdziestoletni pan zaczął macać uważnie brzuch, naciskając go z całej siły, podobnie jak gruczoły pachowe. Oględziny nie dały jednak żadnego określonego rezultatu i czterdziestoletniemu panu nie pozostało nic innego jak czekać.

Wtedy przez okienko wyczekiwania spróbował znów wyrzeć mister Dawid Lingslay, który szybko sformułował swoje zdanie:

– Jestem tchórz. Boję się śmierci. Co za nonsens! Przecież od trzech tygodni żyjąc wśród zadzumionych, wiem doskonale, że lada dzień muszę umrzeć.

To jednak, o czym wiedział doskonale mister Dawid Lingslay, nie dotyczyło zupełnie czterdziestoletniego pana, który, jeżąc się tylko bardziej w swym, fotelu, uparcie nie przyjmował tego do wiadomości.

– Umrę, muszę umrzeć – starał się przekonać czterdziestoletniego pana mister Dawid Lingslay. – Cóż w tym dziwnego? Po prostu: byłem i nie będzie mnie.

Czterdziestoletni pan nie mógł jednak sobie tego prostego faktu w żaden sposób wyobrazić i jeżył się tylko coraz bardziej. I mister Dawid Lingslay zląkł się, czując, że czterdziestoletni mężczyzna chce krzyczeć.

– Nie można! Usłysz! Przybiegnie służba! Wstyd! – perswadował gorączkowo.

Ale czterdziestoletni pan nie dbał w tej chwili o służbę. Czuł coś czarnego, śliskiego, oblepiającego mu już członki i ryczał przeciągle, jak zwierzę, póki mister Dawid Lingslay nie zatkał mu ręką ust.

– Usłysz!

Przez chwilę mister Dawid Lingslay nasłuchiwał. Żaden szmer nie dobiegł jednak jego uszu. Teraz dopiero przypomniał sobie, że na całym piętrze nie ma poza nim nikogo.

– Cicho! Cicho! – uspokajał pieśczośliwie czterdziestoletniego pana.

Czterdziestoletniemu mężczyźnie w brokatowym szlafroku na gołym ciele było zimno i dzwonił zębami.

Korzystając z jego chwilowej apatii, mister Dawid Lingslay próbował rozumować dalej.

Jako doświadczony biznesmen, przywykł przed przystąpieniem do likwidacji jakiegokolwiek przedsiębiorstwa sporządzać bilans jego pasywów i aktywów. I teraz, z wysokości swego fotela, jak z wzniesienia, mister Dawid

Lingslay spróbował obejrzeć się wstecz na przeżyte życie i podsumować z grubsza jego pozycje. Obejrzawszy się za siebie, zobaczył nieogarnione masy cyfr, które spływały ku niemu ze wszystkich stron szczelną, wszystko zalewającą lawą i, jak szare, miliardowe stada szczurów otoczyły jego fotel; w mimowolnym strachu podgarnął pod siebie bosc, rozdygotane nogi.

Z szarego morza cyfr jedyną zieloną wysepką wykwiatała miłość ostatnich tygodni i mister Dawid Lingslay, jak rozbitek chwytający się deski, spróbował na niej stanąć, ugruntować się w jej ciasnym obrębie. Ale w tej chwili złapał go za rękę czterdziestoletni pan, który nienawidził nieżywej, zadzumionej kobiety i bał się postawić nogę na jej spuściźnie.

Życie okazało się przedsiębiorstwem deficytowym i mister Dawid Lingslay czuł, że bez żalu zamyka jego księgę handlową. Czy warto było przez dwadzieścia długich lat, dniem i nocą, jak skazaniec, obracać ciężkie żarna milionów, mażąc je obficie lepkiem, czerwonym smarem, aby w chwili bilansu przekonać się, że we wzniesionych pracownice spichrzach, miast mąki, załęgły się miliardami szczury cyfr, nieprzeliczona, wiecznie głodna armia, ostrząca już zęby na niego samego, który uważał ją za swe narzędzie, za środek, a okazał się nagle sam tylko środkiem do jej własnego zagadkowego celu?

I mister Dawid Lingslay, jak na egzaminie, bez zajknięcia odpowiedział:

– Nie, nie warto.

– Więc umrę, umrę i nie pozostanie po mnie nic, ani śladu...

Tak sformułowana myśl wydała się niestrawną nawet misterowi Dawidowi Lingslayowi i upartą czkawką powróciła mu do gardła.

– Zaraz... Zastanówmy się na zimno: umierają pisarze, myśliciele, artyści. Zostają na zawsze utrwaleni w swoim tworzywie. Cóż było moim tworzywem?

I mister Dawid Lingslay odparł:

– Pieniądze, majątek.

Niewdzięczne, bezimienne tworzywo. Majątek podzielią spadkobiercy. Nie zostanie nic, nawet nazwiska. Nazwisko wykreślą starannie ze swych rachunków bieżących wszystkie banki świata. Cóż pozostanie? Tępa nienawiść kilku milionów robotników, w której żył dotychczas jak w strasznej legendzie? Nawet stamtąd wyskrobiają jego imię, zastąpią nowym. Za pięć lat nie zostanie po nim ani wspomnienia.

Mister Dawid Lingslay po raz pierwszy zrozumiał to, co nazywał dotychczas filantropijną psychozą starzejących się milionerów, wszystkich tych Carnegiech i Rockefellerów, przekazujących olbrzymie sumy na cele dobroczynne, zakładających milionowe fundacje swego imienia. Odczuł nagle krzyżący w nich starczy lęk przed niebytem, chęć utrwalenia się w czymś, przyczepienia się do czegoś za wszelką cenę, bodajby sylabami własnego nazwiska. Po raz pierwszy zrozumiał, ulitował się, rozgrzeszył wyrozumiałym uśmiechem. Biedacy! Finansując cudzą ideę, łudzą się, że uwiecznią w niej siebie, skoro przyczepią do niej z boku swój bilet wizytowy, tyleż mający z nimi wspólnego, co numer ich książeczki czekowej.

Tu zaniepokoił się nawet czterdziestoletni pan, który czując, jak grunt obsuwa mu się spod nóg, niespokojnymi palcami przebierał w powietrzu.

Czterdziestoletni pan nie był w stanie rywalizować z logiką wywodów mistera Dawida Lingslaya i głuchym, zwierzęcym instynktem szukać zaczął kurczowo czegoś, o co można by się zaczepić, jak mięczak, czujący zbliżanie się fali, która go zmyje, szuka gorączkowo występu, chropowatości skały, aby do niej przylgnąć i przetrwać.

Macając w próżni świadomości, czterdziestoletni pan natrafił nagle na znajomą, przyczajoną tam twarz i najeżył się jak smagnięty pies...

Mister Dawid Lingslay był człowiekiem bezdzielnym. Ta maleńka zgryzota toczyła go jak robak, chociaż nie przyznawał się do tego nawet przed sobą samym. Upewniwszy się w trzydziestym szóstym roku życia, że dzieci mieć nie będzie, mister Dawid pomyślał o rodzinie. Miał niegdyś brata, o którym w swoim czasie doszła go wieść, że umarł z głodu w jakiejś norze na przedmieściu Londynu. Na człowieku tak wypranym z wszelkich sentymentów rodzinnych jak mister Dawid, wiadomość ta nie sprawiła najmniejszego wrażenia. Napomykało mu chwilami o niej leciutkie poczucie winy (niegdyś w ojcowskim testamencie wypadło zrobić małą poprawkę...). Rozglądając się za rodziną, przypomniał sobie, że pechowiec brat pozostawił jakieś potomstwo. Mister Dawid postanowił je odnaleźć. Po długich poszukiwaniach dowiedział się, że z całego potomstwa pozostał jedynie dwudziestoletni chłopak imieniem Archibald, zarobkujący na życie w Londynie.

Poleciwszy przesłać mu bilet okrętowy pierwszej klasy i kilka tysięcy dolarów na zlikwidowanie spraw w Europie, mister Dawid w lakonicznym liście zaproponował bratankowi przeniesienie się na studia do Nowego Jorku.

Przyjechał chudy, wysoki mężczyzna, o dobrych, piwnych oczach, o twarzy zapadłej i zniszczonej, poprzecieranej wzdłuż załamań przedwczesnych zmarszczek, z kosmykami kasztanowatych włosów na mądrym, wysokim czole. Zamieszkał w lewym skrzydle pałacu.

Misterowi Dawidowi spodobała się otwarta twarz bratanka i postanowił, odpasłszy go nieco, uczynić go swą prawą ręką.

Od razu wyszedł jednak galimatias. Bratanek, zdeklarowany komunista, nie rozpakowawszy jeszcze dobrze manatków, rozpoczął na fabrykach stryjaska agitację. Mister Dawid przyjmował alarmujące raporty podwładnych dyrektorów pobłażliwym uśmiechem.

Pragnąc położyć kres młodzieńczym fanaberiom bratanka, mianował go sekretarzem generalnym jednego ze swych przedsiębiorstw, w długiej, dobrotliwej i poufnej rozmowie dając mu do zrozumienia, że upatrzył go sobie na współnika i spadkobiercę.

Bratanek posadę przyjął, lecz agitacji w fabryce nie zaprzestał. Skończyło się na tym, że podburzeni robotnicy pewnego pięknego poranka opanowali fabrykę i ogłosili ją własnością komitetu robotniczego. Trzeba było uciec się do pomocy policji, która z trudnością przywróciła porządek, usunąwszy podżegaczy.

Po burzliwej rozmowie, między stryjem a bratankiem doszło do kategorycznego zerwania.

Od tego czasu mister Dawid Lingslay nie chciał więcej słyszeć o niewdzięcznym bratanku, o którym wszelki słuch zaginął.

Aż do pewnego wiosennego popołudnia. W tym czasie, na skutek wydalenia kilku prowadzących, w czternastu fabrykach mistera Lingslaya wybuchł strajk. Na rozkaz mistera Dawida zarząd zamknął fabryki, wyrzucając na bruk wszystkich robotników. Wydaleni robotnicy spróbowali opanować fabryki siłą. Sprowadzono wojsko. Wyparty z zabudowań fabrycznych, tłum utworzył pochód i bocznymi ulicami, z różnych stron, spłynął ku pałacowi mistera Dawida Lingslaya. Zadzwoiły szyby.

Wytrącony z równowagi, mister Dawid zatelefonował po policję. Komisarz policji, będący na jego żołdzie, zapytał usłużnie, czy życzy sobie, aby zrobiono użytek z broni. Mister Dawid burknął lakonicznie w słuchawkę:

– Uważam, że już najwyższy czas skończyć z tym bałamuctwem. Wasze łzawiące bomby nie odnoszą żadnego efektu. Tłum przyzwyczaił się do pustych naboju i nic sobie z nich nie robi. Dwie salwy prawdziwe rozproszą demonstrantów i odbiorą im ochotę na przyszłość. Zresztą, to już pańska rzecz.

Komisarz nie zawiódł pokładanego w nim zaufania. Mister Dawid, ukryty za firanką, miał możliwość widzieć, jak z bocznej ulicy wypełził kordon policji, jak gruchnęła salwa i tłum w popłochu rzucił się do ucieczki. W ciągu pięciu minut plac został opróżniony, jeśli nie liczyć kilkunastu ludzi, pozostałych bez ruchu na asfalcie.

Po chwili w gabinecie mistera Dawida zjawił się osobiście komisarz, w widocznym zakłopotaniu miętoszący nieskazitelnie białe rękawiczki. Mister Dawid długą chwilę nie mógł zrozumieć powodu jego wizyty.

– Pański bratanek... – bełkotał komisarz. – W pierwszym szeregu... Nie mogliśmy przewidzieć...

– Zabity? – zagadnął sucho mister Dawid.

– Tak jest... – wykrztusił ośmielony jego tonem komisarz. – Czy mam go kazać tu przenieść?

– Nie, skądże! – zdziwił się mister Dawid. – A zresztą... ma pan słuszność... Proszę go kazać zanieść do jego pokoju w lewym skrzydle.

Późno wieczorem, po raz pierwszy od roku, mister Dawid stanął na progu pokoju bratanka. Bratanek leżał na kanapie z odrzuconą w tył głową, z kącików ust, dwiema cienkimi nitkami, na kosztowny dywan sączyła się krew.

Mister Dawid Lingslay widział od tego czasu wiele twarzy, żywych i martwych, ale ta jedna pozostała na zawsze, w nienaturalnym powiększeniu, przybita na obwieszanej setkami gracików ścianie pamięci.

Rozumiał wszystko: robotnicy burzą się, idą otwartą piersią naprzeciw salwom policji. Nie widział w tym żadnego bohaterstwa. Cóż w tym dziwnego, że nędzarze zazdroszczą bogactw bogatym. Wystarczy podwyższyć zarobki, a wrócą potulni do pracy. Nie miał dla nich nawet nienawiści, po prostu gardził nimi.

Aż oto tu urywały się wszystkie przesłanki logiczne. Bratanek mistera Dawida Lingslaya, przysły spakobierca jego trzydziestu fabryk, prowadzący na splądrowanie przeznaczonych dla niego w przyszłości bogactw obdarty, drapieżny tłum... To nie mogło pomieścić się w głowie mistera Dawida i myśl jego, przyzwyczajana do poruszania się we wszystkich szerokościach społecznych jak we własnym gabinecie, uderzała się o to łbem, niby o nieprzebyty mur.

Znowu szerokim strumieniem popłynęły cyfry, lecz nie zmyły, nie zatarły nigdy bladej twarzy z kosmykami kasztanowatych włosów i dwiema nitkami krwi w bolesnych kącikach warg. Bratanek Arczi, pochowany na cmentarzu w New Yorku, w rodzinnym grobowcu Lingslayów, kpił sobie wyraźnie z kosztownych marmurowych płyt, prowadząc dalej swą przerwana robotę. Z tłumu osaczonych demonstrantów, z depeszy o nowym strajku, ze szpalty porannej gazety, donoszącej o rewolucji w Chinach, zewsząd spozierała na mistera Dawida blada twarz z czapką kasztanowatych włosów, czujna, wszechobecna, niezniszczalna.

Nieraz, gdy mister Dawid przejrzał raport o wygórowanych żądaniach robotników, gdy zniecierpliwiona ręka sięgała już po słuchawkę, a usta układały się do wycharknięcia hasła lokautu, ze słuchawki, jak ślimak z muszli, wyłaniała się naraz twarz bratanka Arczi i mister Dawid odkładał słuchawkę, brał ponownie raport, szedł na ustępstwa.

Nie zdając sobie sam z tego sprawy, gdzieś głęboko, poniżej niewzruszonych fundamentów „zasad“ i „przekonań“, w małym ogniotrwałym sejfie duszy, bratanek Arczi pozostał na zawsze, jako symbol bezinteresownego idealizmu i wyzuty ze skrupułów szalberz i łupieżca, mister Dawid Lingslay, ilekroć w jakiejś sytuacji życiowej zdarzyło mu się zdobyć na gest prawdziwie bezinteresowny, ukradkiem przed samym sobą, jak Żyd mezuzę, dotykał palcami drzwiczek tego sejfu, jakby z mimowolną dumą szukając w nim sankcji.

Podobnie dzisiejszego rana, kiedy siwobrody rabi Eleazar i korpulentny pan w rogowych okularach proponowali mu interes, którego nieetyczność nie podlegała dlań najmniejszej wątpliwości, mister Dawid, skłonny już do zgody, instynktownie sięgnął ręką do swej skrytki i, niespodzianie dla samego siebie, z katonowską nieugiętością odpowiedział odmownie.

I teraz, gdy wyłuskany z ubrań, goły czterdziestoletni pan, w obliczu obstępującej go nicości, kurczowym krzykiem rąk szukał dokoła siebie czegoś, do czego mógłby przywrzeć, na czym mógłby się odcisnąć, utrwalić, na przekór oczywistości śmierci i procesowi rozkładu, ręka jego natrafiła w próżni na bladą twarz w czapce kasztanowatych włosów i czterdziestoletni pan drgnął, jakby dotknął przewodnika elektrycznego.

Tak. Bratanek Arczi znalazł tę tajemnicę. Przywalony ciężkimi, kosztownymi płytami grobowca Lingslayów, żył wzmożonym, niewykorzenionym życiem; na każdym kilometrze kwadratowym świata, gdzie tylko skupi się kilkuset obdartych, prześladowanych ludzi złączonych wspólną wolą nowego ładu – wytryskał na nowo żywą, życiodajną iskrą.

I stryj po raz pierwszy odczuł cały ciężar i ubóstwo swej niehumanitarnej samotności i zrozumiał, dlaczego nie chciał jej od niego przejąć, wraz z jego trzydziestoma fabrykami, lekkomyślny, zwariowany bratanek.

– Wszystko pozostanie tu tak samo, tylko mnie nie będzie... – próbował wyobrazić sobie mister Dawid Lingslay. – I lustro, i komoda, i łóżko, wszystko tak samo. Przejdzie zaraza. Wydezynfekują i po wszystkim. Na łóżku będą spali inni ludzie, mężczyźni z kobietami, kto wie, może nawet znajomi. Wszyscy będą odbijać się w lustrze. A po mnie nie zostanie nic. Paradne! A może po śmierci jednak coś z człowieka zostaje? Trzeba by choć zapamiętać dobrze, jak wyglądałem.

Mister Dawid Lingslay zaświecił jasno żyrandol i spojrzał w lustro. Ale spojrzawszy, przestraszył się. Z lustra patrzył na niego czterdziestoletni pan o rozczochranych, szpakowatych włosach, w rozpiętym na gołych piersiach szlafroku, ze sterczącymi, dotykającymi brody kolanami i z latającą szczęką.

– To nie jestem ja, to przecież nie jestem ja! – wybełkotał zdrtwiałym mister Dawid, nie mogąc doszukać się swych nieskazitelnych rysów w bladej, sflaczałej twarzy czterdziestoletniego pana.

– Nic nie zostanie, nic! – ryczał z lustra czterdziestoletni pan. – Przyjdą, wyniosą, wrzucą do jamy! Nic, nawet w lustrze! Jutro będzie się już w nim odbijał kto inny, a nie ja! Nie ja? Co to znaczy: „nie ja?” Nieprawda! Wcisnę się! Przyłgnę! Zastanę w lustrze! Patrzeć! Widzieć, co robią tu inni! Tu, w tym samym pokoju! O-ho-ho! Niech spróbują odkrobać mnie od szkła! O-ho-ho!

Czterdziestoletni pan z obwisłą, rozdygotaną szczęką wyprężył się, zasłaniając sobą całe lustro.

Mister Dawid Lingslay poczuł, że traci pod nogami grunt, że rozplywa się jak widmo. W ostatnim odruchu samoobrony pochwycił stojący pod ręką flakon z sublimatem i z całej siły wyrzucił go w lustro...

\*

Kiedy, nazajutrz rano, nowy boy wprowadził do salonu mistera Dawida Lingslaya rebege Eleazara ben Cwi i korpulentnego jegomościa w amerykańskich okularach, obaj panowie długi czas czekali w milczeniu.

Po dwudziestu minutach na progu salonu ukazał się mister Dawid Lingslay. Był bledszy nieco, niż zwykle, i bardziej jeszcze sztywny. Patrząc gdzieś, w okno, powiedział matowym głosem:

– Zastanowiłem się przez noc nad propozycją panów i doszedłem do wniosku, że wczoraj rozumowałem niesłusznie. Istotnie, dlaczego zakładać zgóry, że ktoś musi się koniecznie zarazić? Miejmy nadzieję, że, przy skrupulatnej rewizji lekarskiej i kwarantannie, dżumę pozostawimy w Paryżu. Dziś jeszcze wyślę do mego sekretarza, do Nowego Jorku, odpowiednią szyfrowaną depeszę. Sądzę, że nie należy sprawy odkładać i że byłoby najlepiej, gdybyśmy mogli wyruszyć jeszcze tego wieczora.



Rabi Eleazar i pan w okularach w milczeniu skłonili głowy.



Zimny wschodni wiatr palcami wprawnego fryzjera ondulował niesforną czuprynę nocnego morza.

Okręt „Maurytania“ szedł pełną parą, ze zgaszonymi ogniami. Ostatnie zarysy brzegów rozplynęły się dawno we mgle. Tłum pasażerów, który przez pierwsze godziny po odjeździe zalegał pokłady, z wolna rozpełzł się już po szufladach klas. W olbrzymim kadłubie okrętu, jak dwa przyczepione do jego żeber świetliki, błyszczały dwa okienka w rzędzie kajut pierwszej klasy.

Na kanapie jednej z kajut zwinięty w kłębek śpi stary szames i wargi jego przez sen powtarzają wyrazy niedokończony modlitwy.

Przy stoliku, w starym pasiastym tałasie, jak siwobrody Neptun w pasiastym płaszczu kąpielowym, siedzi rabi Eleazar ben Cwi. Miarowo, w takt kołysania okrętu, kiwa się chudy tułów rebege Eleazara, a wargi jego szepeją modlitwę dziękczynną:

– Jam jest Pan Bóg twój, który cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli...

Pomału kleją się bezsenne oczy rebege Eleazara i z wolna, w takt modlitwy, w stronę Mizrach, kołysze się olbrzymi, brzuchaty kadłub okrętu.

W narożnej zachodniej kajucie, wyciągnięty na łóżku, z papierosem w ustach, leży mister Dawid Lingslay, wpatrzony w drgający na suficie cień lampy; przewraca się z boku na bok, zapala od niedopałka już dziesiątego papierosa. Jak hamak kołysze się pokój, wabiąc sen, a sen ucieka jak kulka po spadzistej podłodze kajuty. Każde chybnięcie podłogi, to mila dalej od Europy, od Paryża, od dżumy, od śmierci, to mila w głąb w puszystą, kwietną łąkę życia.

Na blacie szafki nocnej cyka niewzruszony, ironiczny zegarek: sześć godzin od chwili odjazdu z Europy.



Na drugi dzień, pod wieczór, rozpalone żelazko słońca rozprasowało bez śladu zmięte fałdy fal. Okręt szerokim łukiem skręcał na zachód, jak czarodziejska igła na obracającej się gigantycznej płycie gramofonowej oceanu.

Na wszystkich pokładach czarno było od pasażerów.

Z górnego pomostu paruset dżentelmenów w kraciastych kepi, otulonych w pledy, plamiło niepokalany błękit tła kłębami cygarowego dymu. Dżentelmeni co bardziej rześcy skracali sobie czas już to golfem, już to tenisem, już to zwyczajnie brydżem. Bezcieleśni stewardzi z tacami w ręku balansowali pobożnie między szezlongami, jak linoskoczki na przeciągniętych nad przepaścią,

niewidzialnych drutach, obawiając się uronić nie tylko kroplę drogiego płynu, ale nawet najmniejsze słówko lub mimowolne westchnienie.

Na pokładzie pierwszej klasy opaśli, podkarmieni panowie, przebierając w palcach paciorki breloków, delektowali się morzem, rozparci na wygodnych leżakach. Miękkostopi, gutaperkowi stewardzi roznosili napoje chłodzące. Kilku pomysłowych młodzieńców, z dwóch przypadkowych trąb, bębna i naczyń kuchennych, skleciło improwizowany jazz-band i pod miauczące dźwięki modnej muzyki młodzież tańczyła do upadłego.

Na pokładzie trzeciej klasy, pasażerowie ubożsi, usadowieni na pękatych walizach, chwyтали padające z góry okruchy dźwięków, otwierając ze zdziwienia usta, jak ryby na przyjęcie rzucanej im bułki.

Naraz w grupie tańczących powstało nieopisane zamieszanie. Pokład opustoszał jak zmieniony raptownym podmuchem. Wystraszeni tancerze pierzchnęli szerokim kołem. Pośrodku koła, na ziemi, wił się młody człowiek w binoklach. Widocznie upadając stłukł jedno szkiełko i wytrzeszczone, krótkowzroczne oko, pozbawione osłony, wpatrywało się teraz z przerażeniem w uciekających. Młody człowiek, jak wyrzucona na piasek ryba, pluskał niezdarnie przydługimi płetwami rąk.

Nie wiadomo skąd, zza rogu, wyłonili się nagle dwaj ludzie w białych fartuchach, z noszami i, rzuciwszy na nie trzepocącego się jak karp młodzieńca, znikli za węglem. Drugie szkiełko od binokli spadło i potoczyło się po pokładzie.

W jednej chwili cały pokład zawirował w zamęcie. Zażywni panowie, popychając się i gubiąc breloki, parli ku schodom, prowadzącym do kajut. Przez chwilę słychać była tylko zgłębienie głosów i łoskot zatraskiwanych drzwi. Po pięciu minutach na pokładzie nie było już żywej duszy.

Wtedy z jednego z foteli niewidocznych w cieniu komina wstał szpakowaty pan w kraciastym sportowym ubraniu. Powolnym, roztargnionym krokiem przemierzył pokład i oparł się o poręcz.

Szpakowaty pan zapalił papierosa.

W dole, u burt, pluskały fale.

\*

Nazajutrz rano powiał wiatr i chłostane nim morze zakolysało się trwożnie.

Na pokładzie pierwszej klasy było pusto i, jak lokaje po balu, snuli się po nim elastyczni, bezsenni stewardzi.

Okolo godziny dziesiątej na pokładzie ukazał się szpakowaty pan w kraciastym sportowym ubraniu.

Szedł niepewnie, zataczając się nie w takt chwiejby okrętu. Uszedłszy parę kroków, natrafił na wygodny fotel u burty i opuścił się na niego ciężko. Wyjął z kieszeni lusterko w kosztownej skórzanej oprawie i uważnie zbadał swój język.

Bez określonego wyrazu na twarzy, schował z powrotem lusterko i ostrożnie rozejrzał się po pokładzie. Pokład był pusty. Upewniwszy się, że nikt go

nie widzi, pan w sportowym ubraniu wykonał rękoma parę dziwnych ruchów, przypominających szwedzką gimnastykę. Następnie, nie przestając się oglądać, ukradkiem pomacał się pod pachami, jak człowiek w uwierającym go za ciasnym ubraniu.

Na pokładzie zjawił się steward. Szpakowaty pan szybko wyjął z kieszeni książkę i pogрузzył się w czytaniu. Z kąta jego roztaczał się widok na pokład trzeciej klasy, gdzie przycupnięci na swoich walizkach, stłoczeni pasażerowie rozwijali prowianty i skwapliwie zabierali się do śniadania.

Na pokładzie, gdzie siedział szpakowaty pan, stewardzi rozstawiali poprzewracane fotele.

Szpakowaty pan szybko wertował książkę.

Było już dobrze po południu, gdy z dolnego pokładu do uszu jego doleciał hałas i zgiełk. Zgiełk był tak donośny, że szpakowaty pan oderwał się od książki i, przechyliwszy się przez poręcz, spojrział w dół. Dolny pokład roił się w tej chwili jak stratowane mrowisko. W czarnym mrowiu ludzi dostrzec było można uwijającą się parę białych fartuchów. Przysłoniwszy oczy dłonią, szpakowaty pan w innym rogu dolnego pokładu dojrzał dwa inne białe fartuchy. Trzecia para białych fartuchów schodziła z ciężarem po schodach prowadzących do kajut. Na dole rozbrzmiewał lament i gwałt.

Szpakowaty pan wrócił do poprzedniej pozycji i zagłębił się w czytaniu książki. Zgiełk jednak najwidoczniej rozproszył jego uwagę, gdyż po chwili odłożył książkę i, wyciągnąwszy się w niedbalej pozie, przymknął oczy. Długi czas pozostawał tak bez ruchu i mogło się zdawać, że zasnął.

Po pewnym czasie jednak wyjął z kieszeni pióro i na wyrwanej z notesu kartce napisał parę słów. Potem wstał i stanowczym krokiem podążył w kierunku schodów prowadzących na dół.

Znalazszy się w kabinie radiotelegrafu, szpakowaty pan poprosił dyżurnego telegrafistę o przesłanie do Nowego Jorku pilnej szyfrowanej depechy. Radiotelegrafista skłonił się z uszanowaniem. Zastukał aparat.

Wychodząc po chwili z kabiny, szpakowaty pan natknął się w drzwiach na korpulentnego jegomościa w rogowych okularach.

– A, to pan, panie Lingslay! – ucieszył się jegomość w okularach. – Szukam pana wszędzie. Za trzy godziny będziemy u celu. Czy wszystko w porządku?

– W najzupełniejszym. Pokazywałem wszak panu odpowiedź. Wszystko przygotowane. Dla całkowitej pewności wysłałem właśnie przed chwilą do mego sekretarza jeszcze jeden telegram.

– Doskonale – zatarł ręce pan w okularach.

Mister Dawid Lingslay spojrział na zegarek:

– Za niecałe trzy godziny będziemy na linii krążowników, patrolujących wybrzeże. Pan będzie łaskaw dopilnować, aby zastosowano się ściśle do moich instrukcji. Czy nie zapomniał pan o podniesieniu egipskiej bandery?

– Wszystko zrobione według pańskich wskazówek.

– Nie jest wykluczone, że, o ile na pokładzie któregoś z krążowników znajduje się przypadkowo jeden z niewtajemniczonych admirałów, będą one zmuszone nas ostrzeliwać. Oczywiście ślepyimi nabojami. Niech pan będzie łaskaw uprzedzić o tym pasażerów dla uniknięcia niepotrzebnej paniki. Żeby mi nikt nie ważył się w zamieszaniu spuszczać na wodę łodzi ratunkowych! Dowódcy odcinka, powiadomieni o wszystkim, oddadzą do nas najwyżej dla pozorów kilka ślepych wystrzałów. Jechać będziemy ze zgaszonymi ogniami. W ciągu pięciu minut będziemy po tamtej stronie linii.

– Czy nie zachodzi możliwość jakiejś komplikacji? – zagadnął niespokojnie pan w okularach.

– Wykluczone. Pokazywałem panu depeszę. Wszystko przygotowane do najdrobniejszych szczegółów. Obecność moja na pokładzie jest, sędzę, najlepszą tego gwarancją. Nie przypuszcza pan chyba, abym narażał się na niepewne.

– Naturalnie. Pytam się tylko tak, dla pewności. Wysłał pan jeszcze jedną depeszę?

– Tak jest. Za chwilę powinniśmy mieć odpowiedź.

Na pokładzie ukazał się chłopiec:

– Depesza dla mistera Dawida Lingslaya.

Mister Dawid przebiegł wzrokiem blankiet.

– Sekretarz depeszuje, że wszystko przygotowane – powiedział, mnąc kartkę w palcach. – Niech pan łaskawie uprzedzi pasażerów, jak to wskazywałem, i wyda ostatnie zarządzenia. W chwili przyjazdu spotkamy się na pokładzie.

Mister Dawid Lingslay wspiął się po schodach na pokład.

Zapałał szybko zmierzch. W półmroku mister Dawid natknął się na dwie białe postacie, wynoszące na noszach jakiś ładunek. Skwapliwie ustąpił z drogi i przywarł do komina. W ciemności przytknęła zapalniczka. Przytknąwszy do niej blankiet otrzymanej depeszy, mister Dawid zapalił nim papierosa. Wąty płomyk oświetlił na chwilę twarz, bladą, surową, prawie kamienną. Ogień zgasł. Twarz rozplynęła się w mroku.

\*

O godzinie dwunastej na horyzoncie ukazały się światła pierwszych krążowników. Na pokładzie zapanowało silne ożywienie. W ciemności, tu i tam, zamiotły się postacie ludzkie, zabrzmiały krótkie odgłosy komendy. „Maurytania“ ze zgaszonymi ogniami szła pełną parą.

Ognie na horyzoncie zbliżały się z każdą chwilą. W mroku można już było rozróżnić gołym okiem czarne kontury pływających gmachów. Z wieży jednego z nich, jak z rozpylacza, trysnął reflektor. Reflektor nerwowo pomacał morze i zatrzymał się na kadłubie „Maurytanii“, oślepiając snopem światła tłum znajdujący się na pokładzie.

Równocześnie drugi reflektor oświetlił pokład od strony północnej. W głuchej ciszy żałośnie, przeciągle zaskowytała syrena i skowyt jej, jedna z drugą, podchwytywały kolejno coraz dalsze. Naprężenie na pokładzie dosięgło szczytu.

Od jednego z krążowników z świstem oderwał się słup ognia i łukiem pocisku przeszybował nad „Maurytanią“.

– Strzelają ślepyimi nabojami – szepnął konfidentycznie jegomość w okularach do otaczającej go grupy korpulentnych panów.

– Czy nie może się tam czasem przez pomyłkę zaplątać jakiś prawdziwy?  
– zagadnął niespokojnie pan z czarną spiczastą bródką.

– Wykluczone – uśmiechnął się pobłaźliwie pan w okularach. – Tam, gdzie wchodzi w grę mister Dawid Lingslay nie może być mowy o pomyłce.

„Maurytania“ szła naprzód, co pary w kotłach. Teraz już, równocześnie z trzech stron, trysnęły w górę trzy słupy ognia i huk wystrzałów wstrząsnął zwisającą jak żagiel płachtą powietrza. Gdzieś na końcu pokładu rozległ się krzyk, potem rumor walących się odłamków. Na okręcie powstało zamieszanie. Armaty były bez przerwy. Ze środka pokładu „Maurytanii“ buchnął w górę czerwony słup dymu, podpierając walące się niebo.

W tej samej chwili na pokładzie, oświetlonym snopami reflektorów, ukazał się stary szames w rozwianym chałacie i pobiegł z krzykiem, wymachując rękoma.

– Zabity! Rebe Eleazar zabity! – wrzeszczał oszalały szames.

– Mister Dawid Lingslay! Gdzie jest mister Dawid Lingslay?! – krzyczał pan w rogowych okularach, szarpiąc za piersi wszystkich napotkanych dżentelmenów i zagładając im w twarze.

Wybuch desek i dymu odrzucił go na barierę.

Pan w okularach spróbował wstać, ale jakiś olbrzymi niewidzialny gwicht przytłoczył go do ziemi. Pochylił się nad nim stary rozczochrany szames. Pan w okularach chciał coś powiedzieć. Z gardła wydobywał mu się chrapliwy świst. Szames nachylił się niżej.

– Depeszę... Wysyłał dziś do New Yorku nową depeszę.. – wyrzeźił pan w okularach.

Pociski waliły bez ustanku. Tylne część kadłuba „Maurytanii“, zdruzgotana na miazgę, z błyskawiczną szybkością pogrążyła się w wodę. Nad falami sterczał jeszcze tylko wystrzelający pionowo dziób.

Na dziobie, bodącym niebo, przerzucony przez poręcz wisiał mister Dawid Lingslay. Z oderwanej wraz z częścią tułowia ręki obfitym strumieniem spływała na pokład krew.

Mister Dawid Lingslay nie odczuwał bólu. Czuł, że powoli pogrąży się gdzieś w dół, ale nie była to woda, był to raczej miękki, posuwisty dźwig, który spuszczał go gdzieś w głąb, wzdłuż przesuwających się pięter świadomości. Mimo niego, w odwrotną stronę, wznosiły się inne szklane windy, pełne znajomych, na wpół startych twarzy. Na pierwszym planie mister Dawid dostrzegł nienaturalnie powiększoną twarz bratanka Arczi, o dobrych piwnych

oczach, z kosmykami kasztanowatych włosów na mądrym, szerokim czole; bratanek Arczi uśmiechał się. Mister Dawid Lingslay spróbował odzwierciedlić ten uśmiech dziwnie znieruchomiałymi kącikami warg. Czuł z dumą, że wykonał przed chwilą jakąś niezmiernie ważną pracę, na którą przez całe życie nie starczyło mu czasu i z której bratanek Arczi powinien byłby być bardzo zadowolony, ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć – jaką mianowicie. Potem oświetlone piętra stały się coraz rzadsze w czarnym, nieprzeniknionym szybie.

Powolny, kołyszący się dźwig miękko strącił go w śmierć.

## IX

Ciemną, bezgwiezdną nocą, środkiem Sekwany, od mostu Bercy na wschód posuwał się niewielki czarny statek, podobny do olbrzymiego pływającego katafalku ze zgaszoną świecą komina.

Na dziobie dwóch ludzi, opartych o burtę, czterema klinami oczu wrzynało się w mrok.

Na horyzoncie, niby biała krecha nakreślona kredą na czarnym suknie nocy, jaśniała oślepiająca smuga światła.

– Za trzy minuty będziemy na pierwszej linii ognia. Jest za pięć dwunasta. Wypadnie nam poczekać ze dwie minuty przed linią – rzuciła półgłosem jedna z sylwetek.

– Noc jak wymarzona. Byleby wiatr nie rozpędził chmur. Daję głowę, że uda nam się przejechać niepostrzeżenie. Obejdźcie no, towarzyszu, jeszcze raz cały pokład, czy nie zapomnieli gdzie zgasić światła. Niech nikt mi się nie waży palić! Ani pary z gęby! Dojeżdżamy.

Towarzysz Laval musiał na chwilę zmrużyć oczy. Holownik wyjeżdżał z zakrętu. W odległości pół kilometra rzeka, zalana światłem, zdawała się płonąć. Towarzysz Laval gardłowym szeptem rzucił w tubę:

– Stop!

Śruby zawirowały na miejscu. Statek stanął jak wryty.

Teraz, w zestawieniu z murem światła, mrok wydawał się jeszcze czarniejszy i gęstszy. W oddali, na prawo i na lewo, ciągnął się oświetlony reflektorami pas strefy demarkacyjnej, jak rozżarzana do białości sztaba żelaza.

Towarzysz Laval cały zamienił się w słuch. Upłynęła długa, nieskończona minuta. Wśród niezmaconej ciszy, skądś z miasta, doleciały pierwsze uderzenia bijących północ zegarów. W tej samej niemal chwili z tyłu, od strony miasta, rozległ się pierwszy huk, po sekundzie – łoskot padającego pocisku – i znowu cisza.

– Pudło! – syknął przez zęby Laval.

Raz po raz zagrzmiały dwa nowe wystrzały. Po chwili – trzeci, czwarty, piąty. Działa waliły jedno za drugim.

Naraz, prawie równocześnie z grzmotem pękającego pocisku, runęła przegradzająca rzekę ściana światła i w wyłom, jak w lej, z świstem wtargnął mrok. Armaty huczały bez przerwy.

– Jazda! – ryknął w tubę towarzysz Laval.

Statek drgnął, szarpnął się naprzód i wleciał całym pędem w czarny tunel mroku. Gdzieś, w oddali, trysnął reflektor drżąca, rozcapierzoną ręką ślepeca obmacując obojętne niebo.

Wtedy na niebie, w aureoli światła, ukazał się czarny rozkołysany balon. Równocześnie prawie wystrzeliła ku niemu ogoniasta raca pocisku.

– Tak. Wszystko jak z nut – mruknął, zacierając ręce towarzysz Laval. – Teraz pobawią się dziebko balonikiem, póki nie przejedziemy. No, jeszcze go raz!

W kierunku kołyszącego się balonu raz po raz wybiegały w niebo taneczne rakiety pocisków. Pograżony w mroku Paryż odpowiadał kanonadą.

Statek, jak zdyszany szybkobiegacz, wielkimi haustami połykał przestrzeń. Wyszczerbiona ściana światła została już gdzieś w tyle. Teraz, z prawej i z lewej strony, brzeg mienił się i migotał tysiącem świateł, huczał głuchym podmuchem alarmu.

Nagle, pod pocałunkiem jednej z rac, czarny niedołączony balon przysł czerwoną bańką płomieni i, jak olbrzymi gorejący motyl, zaczął spadać w dół.

– Za wcześnie trochę, do licha! – mruknął, obserwując go spod oka Laval. – Gotowi teraz zwrócić uwagę i na nas...

Armaty były ciągle, choć już słabiej i rzadziej.

Rzeka w tym miejscu zwięzła się widocznie i padające na nią z brzegów światła wycinały w fantastyczne ząbki jej jednolity czarny galon. Kanonada z wolna zaczynała ucichać. Jeszcze jeden, jeszcze dwa ostatnie wystrzały, jak spóźnione oklaski – i gruba kurtyna ciszy zapadła bezpowrotnie.

Towarzysz Laval wstrzymał dech w piersiach i całym ciałem w napięciu oczekiwania naległ na burtę, jakby pragnął osłonić przykrótkimi skrzydłami rąk, jak kura – niesforne pisklę, hałaśliwy, zziajany holownik.

Stopniowo światła na brzegu poczęły rzednąć, wyskakując jeszcze pojedynczo, to tu, to tam, i spłoszone uciekały w tył, jak błędne ogniki. Jeszcze trzy, cztery ostatnie semafony i statek wjechał w czarną wyrwę nocy.

Długi czas jechali w zupełnych ciemnościach, ciężkimi ciosami śruby odmierzając przestrzeń. Wreszcie towarzysz Laval zapalił papierosa i zaciągnął się nim łapczywie. Przy migotliwym świetle zapalki spojrzął na zegarek: pięć minut po pierwszej.

Laval nachylił się nad tubą:

– Wszyscy na pokład! – zakomenderował donośnie.

W jednej chwili pokład zaroił się od kilkunastu rosnących postaci.

– Możecie zapalić, towarzysze. Zaraz dojeżdżamy. Ustawić na pokładzie reflektory! Mniejszy możecie zaświecić. A teraz – uwaga! Na lewym brzegu powinna tu gdzieś w pobliżu być przystań i kilka galarów. Kto zobaczy pierwszy, niech da znać. Boję się, czyśmy już nie przejechali. Jest tu towarzysz Monsignac? Wyście służyli, towarzyszu, w lekkiej marynarce? Umiecie dobrze drapać się po linach? Dobra. Będziecie mi potrzebni.

– Galar! Jest galar! Są dwa, trzy, cztery galary! – zabrzmiało naraz kilka głosów. – Jest i przystań!

– Stop!

Statek zatrzymał się.

– Zaświecić oba reflektory! Tuż nad brzegiem powinna być szosa.

– Jest! Jest szosa! – ozwały się głosy.

– Dobra! Gdzieś tu, nad brzegiem, szosa się rozdwaja. Jedna odnoga idzie w głąb lądu. Musieliśmy ją przegapić. Dać tylną parę! Bliżej brzegu! Tak.

Statek powoli zaczął się cofać wstecz.

– Jest odnoga! – krzyknął ktoś z borku. – Stop!

Holownik stanął.

– Zaświecić wszystkie reflektory! Oświetlić mi dobrze to miejsce! Dobra! Widać jak na dłoni. Jeszcze trochę bliżej! Stać! Wystarczy! Towarzyszu Monsignac, chodźcie tu bliżej. Widzicie ten węzłowy słup telegraficzny, od którego druty rozchodzą się na trzy strony? Ile też może być od niego do nas?

– Z dziesięć metrów będzie – powiedział po namyśle, szacując przestrzeń okiem znawcy, krępy marynarz.

– Potraficie zarzucić na niego linkę?

– Czemu nie? Jakby tak jeszcze podjechać trochę bliżej...

Statek posunął się jeszcze o dwa metry w kierunku brzegu.

– Stop! Nie dojeżdżać do samego brzegu! – komenderował Laval. – Tak. A teraz próbujcie, towarzyszu, zarzucić linkę. Tylko zróbcie mocną pętlę, żebyście mogli po linie przejść z pokładu prosto na słup. Będziecie musieli przeciąć druty z lewej strony i z prawej i połączyć nasze z drutami prostopadłymi do brzegu.

– Po cóż, towarzyszu, w takim razie po linie? Zeskoczę na brzeg i migiem jestem na słupie. A z linką – długa mitręga.

– Na brzeg zeskakiwać ani się ważcie! Kto zeskoczy na brzeg – kula w łeb! – uprzedził surowo Laval. – Jeżeli nie jesteście baba, tylko marynarz potraficie dostać się na słup po linie wprost z pokładu.

– Potrafić potrafię, ale czasu dużo zejdzie. Czasu szkoda. Świt nas przyłapie.

Towarzysz Laval odciął sucho:

– Dyskutować będziemy, towarzyszu, po powrocie. Jak wam szkoda czasu, to go nie traćcie po próżnicy. Rzucajcie linkę.

Towarzysz Monsignac w milczeniu zawiązał pętlę, zamierzył się, zarzucił i chybił.



– Mówiłem, że tak łatwo nie pójdzie... – mruknął pod nosem, zamierzając się do nowego rzutu.

Po piętnastu minutach linkę udało się wreszcie przymocować. Przysadkowaty marynarz przewiesił przez ramię wiązkę drutu, zatknął za pas obcęgi i nożyce i, zakasawszy rękawy, zwinnie jął piąć się po linie w stronę słupa.

Laval wyjął z pochwy rewolwer.

– Towarzyszu Monsignac, na wypadek, gdyby przyszło wam do głowy nie wrócić na pokład i zeskoczyć na ziemię, pamiętajcie, że nim jej dotkniecie, pierwsza kula z tego rewolweru roztrzaska wam łeb.

Zajęty wspinaniem się marynarz nie odpowiedział. Po chwili siedział już okrakiem na wierzchołku słupa. Dwa przecięte rzędy drutów, jak pęknięte struny, z brzękiem zsunęły się na ziemię. Przez długą chwilę marynarz majstrował jeszcze na wierzchołku.

– Zrobione? – zapytał z pokładu Laval.

– Zrobione! – odkrzyknął marynarz.

– No, to jazda z powrotem!

Marynarz przez chwilę zdawał się mierzyć odległość dzielącą go od ziemi, potem, odległość od statku, czarny wymierzony w niego mauzer towarzysza Laval – i w milczeniu, posłusznie zaczął spuszczać się po linie na pokład. Stojąc już nogą na pokładzie, splunął przez zęby i burknął:

– Schowajcie swój mauzer – towarzyszu komendancie. – Odstrzelilibyście lepiej linkę. Celny z was podobno strzelec.

Towarzysz Laval bez słowa zmierzył się i strzelił. Linka upadła w wodę. Wciągnięto ją na pokład. Marynarz mruknął coś pod nosem z uznaniem i zabrał się do rozwijania drutów, przymocowanych drugim końcem do słupa.

– Odbić na środek rzeki! – zakomenderował Laval. Statek z wolna wypłynął na środek, ciągnąc za sobą dwie cienkie nitki drutów.

– Stać! Towarzyszu Monsignac, macie tu aparat telefoniczny, przymocujcie do niego końce drutów.

Marynarz zakrzętała się koło aparatu. Nie szło mu jakoś, bo co chwila kłął głośno i spluwał przez zęby. Po upływie dobrych dwudziestu minut aparat był gotów.

Towarzysz Laval ujął słuchawkę.

– Zaświecić wszystkie światła! I cisza!

Zachrzęściła sucho korba polowego aparatu.

Długo w słuchawce przelewała się wieczność, zanim rozległo się w niej skądś, z daleka, cierpliwe, smętne: Halo—o—o...

– Halo! Tansorel! – krzyknął w tubę Laval.

– Tansorel... – odebrzmiała jak echo słuchawka.

– Zawołać do telefonu mera!

– Kto mówi?... – doleciało zoddali.

– Mówi prefektura – ciągnął spokojnie towarzysz Laval. – Proszę zbudzić natychmiast mera i proboszcza. i wezwać obydwóch do telefonu. Sprawa ważna.

– Proszę nie odkładać słuchawki... – zabrzmiało echo.

Towarzysz Laval, wsparty łokciem na kolanie, ze słuchawką przy uchu, czekał, dopalając papierosa. Minęło z dziesięć minut.

Naraz w słuchawce zakaszlały czyjeś przyśpieszone kroki. Z oddali nadleciał, zatrzepotał, zabrzączał głos, zaplątany w pajęczynie drutów.

– Tu – mer Tansorel.

– Czy zbudzono proboszcza?

– Już idzie.

– Niech pan mu da drugą słuchawkę. Sprawa dotyczy i jego. Nie chcę powtarzać dwa razy – mówił tonem rozkazującym Laval.

– Słuchamy. Kto mówi? Czy to pan, panie prefekcie?

– Proszę słuchać uważnie. Mówi ekspedycja paryskiej republiki radzieckiej. Dziś o godzinie dwunastej w nocy przedarliśmy się przez kordon i przyjechaliśmy tu po żywność. Proletariat Paryża zdycha z głodu. Statek nasz stoi na rzece, naprzeciwko przystani. Mówię z pokładu. Nie próbujcie telefonować o pomoc do garnizonu. Wszystkie druty telefoniczne – przecięte. Jedyna linia, jaka wam pozostała łączy was z naszym statkiem. Słuchajcie teraz uważnie.

Przyjechaliśmy w zamiarach pokojowych. Statek stoi na środku rzeki i, jeżeli wykonacie na termin nasze żądania, nie przybije w ogóle do brzegu.

Przyjechaliśmy po żywność dla zdychającej z głodu biedoty paryskiej. Jeżeli w ciągu godziny nie dostarczycie nam do przystani i nie naładujecie na galary sześciuset worków mąki, wysiadamy na brzeg, splądrujemy i zbombardujemy wieś. Dajemy wam godzinę czasu. Wy, obywatelu merze, rozbudzicie natychmiast wieś, wyznaczycie podwozy i pokierujecie dostawą do przystani.

Wy, obywatelu proboszczu, użyjecie swojego wpływu, żeby przekonać ociągających się i dopilnujecie, żeby wszystko było na czas. Nastawcie obydwaj swoje zegarki. Jest za dziesięć minut druga. Jeżeli za dziesięć trzecia, na szosie, prowadzącej do przystani, nie zjawi się pierwsza podwoda z mąką, przybijamy i wysiadamy na brzeg. Posłuchem i punktualnością uchronicie od zarazy siebie i całą Francję. Zrozumiane, obywatelu merze? Sześćset worków mąki za godzinę w przystani.

W słuchawce dzwoniła cisza. Po długiej chwili zachrobotło w niej pierwsze, z wysiłkiem wykrztuszone słowo:

– Ależ w naszej wsi nie ma tyle mąki...

– Znajdzie się. Nie trzeba wcale daleko szukać. Weźmiecie z młynu braci Plon. Załadujecie na galary tartaczne. Widzicie, że znamy waszą miejscowość nie gorzej od was. Nie zapomnijcie wziąć z młyna plandek do przykrycia galarów. Czy zrozumieliście mnie dobrze?

– Zrozumieliśmy... – wyjękło echo.

– Doskonale, wiedziałem z góry, że mam do czynienia z ludźmi inteligentnymi. Nie traćmy wobec tego czasu. Dodaję wam pięć minut na sprawdzenie tego, co wam powiedziałem. Możecie przez ten czas przekonać się, że druty wasze są naprawdę przecięte i że wieś znajduje się w polu obstrzału

naszego statku. Dla pewności uprzedzam was, że pierwszy konny posłaniec czy rowerzysta, który by ukazał się na szosie, dostanie kulą w łeb. A teraz – do rzeczy. Powtarzam jeszcze raz: jeżeli za godzinę wozy z mąką ukążą się na brzegu i w pół godziny galary będą naładowane, odjedziemy, nie przybijając do brzegu i nie robiąc nikomu nic złego. Przyjechaliśmy nie na rabunek, tylko po żywność dla głodujących. Czas leci. Do widzenia! Za godzinę!

Towarzysz Laval powiesił słuchawkę i nerwowym krokiem przeszedł się po pokładzie. Z niezdecydowanego głosu w słuchawce nie mógł wywnioskować na pewno, czy wieś usłucha rozkazu, czy też zatnie się w uporze. Gryzła go niepewność. A co, jeżeli nie? Jeżeli za godzinę nie zjawi się na brzegu nikt? Co wtedy? Wtedy – trzeba będzie zawracać i odjeżdżać z próżnymi rękoma. Wiedział przecież dobrze, że do brzegu mimo wszystko nie przybije. Wtedy – cała wyprawa do diabła.

Towarzysz Laval w bezsilnej złości splotował przez zęby, ściskając w rękę zegarek z żółwio powolną skazówką...

Tymczasem na drugim końcu drutu, we wsi rozpętał się już nieopisany tumult, trzask zamykanych i otwieranych drzwi, nawoływania i bieganina. Ludzie z latarniami, zaspani i oszołomieni, tłoczyli się na drodze do młyna.

Na progu, blady, rozczochrany mer, bez kołnierzyka, w narzuconej w pośpiechu marynarce i butach, włożonych na bosą nogę, wydawał gorączkowe rozkazy. Pierwsza podwoda, naładowana mąką, odjeżdżała już w stronę przystani.

Nagle, rozpychając tłum, w oświetlonym kręgu drogi ukazał się zadyszany proboszcz w rozwianej sutannie.

– Czekał pan! Czekał pan – krzyczał z daleka proboszcz, wymachując rękoma. – Mam myśl!

Mer pobiegł na jego spotkanie.

\*

Powolna skazówka docierała już do trzeciej, gdy na zakręcie szosy ukazał się pierwszy wóz z garbem białych worków.

Towarzysz Laval otarł chustką pot z czoła i, rozweselony wetknął zegarek do kieszeni.

Za pierwszą podwodą ukazała się druga, trzecia – długi tren, biała, śpiewnie skrzypiąca litanja wozów. W jaskrawym świetle reflektorów, umęczeni, wylękli chłopcy, uginający się pod ciężarem, podobni do skrzętnych mrówek, znosili białe, pękate bele do pływającego mrowiska galarów. Śnieżne góry na szkutach rosły z chwili na chwilę.

Towarzysz Laval trwożnie zerknął na zegarek. Minęła już godzina, a kończono ładować dopiero drugi galar. Gdzieś daleko, czarny szew widnokręgu, szczepiający ziemię z niebem, rozłaził się w oczach, jak znoszona, przetarta materia i poprzez rosnące pęknięcie prześwitywała szara podszewka brzasku. Towarzysz Laval z niepokojem odwracał się co chwila w tę stronę.

Gdy wreszcie trzeci galar był gotów, zegarek wskazywał pół do piątej. Smuga brzasku na wschodzie zarysowała się już szeroką szczeliną. Śnieżne wzgórki szkut, jakby przygrzane pierwszymi promieniami słońca, zazieleniły się nieśmiałą murawą brezentu. Nie należało tracić więcej ani chwili.

Przeskakując z burty na burtę, załoga pospiesznie szczepiała linami galary, odepchnięte żerdziami na środek rzeki i przymocowywała je do holownika. Cisnąca się na brzegu gromada przypatrywała się tej pracy w milczeniu.

Towarzysz Laval ujął jeszcze raz słuchawkę:

– Halo! Kto mówi? Urzędnik pocztowy? Doskonale. Proszę powiedzieć merowi, żeby jutro, jak będzie naprawiał przecięte linje, spalił przedtem na wszelki wypadek węzłowy słup telegraficzny i postawił na tym miejscu nowy. Tak, to wszystko, co chciałem powiedzieć. Oddajcie mieszkańcom Tansorelu proletariackie pozdrowienie od rewolucyjnego Paryża.

Towarzysz Laval odstawił aparat.

– Wszyscy na pokład! Ustawić się w rząd! Jest piętnastu? Dobra. Na stanowiska! Odciąć druty! Zdjąć reflektory! Pogasić światła! Ruszamy!

Statek drgnął, zachybotał na miejscu i ciężko popłynął, roztrącając pyskiem fale, jak olbrzymi wielbłąd z trzema garbami szkut.

– Jedziemy całą parą!

Towarzysz Laval przemierzył pokład. W ciemności natknął się na czyjąś postać, wspartą na burcie.

– To wy, towarzyszu Monsignac? Jak myślicie, będziemy w Paryżu przed świtem?

– Nie widzi mi się, z takim ładunkiem.. – odparł pochmurnie marynarz.

– Ale za to jedziemy teraz z prądem, to i lżej.

Marynarz bez słowa odwrócił się i wskazał ręką na rozpruwający się coraz dalej szew horyzontu.

– Dnieje – powiedział sucho. – Nim dojedziemy, rozwidni się do reszty.

Towarzysz Laval długo, z niepokojem wpatrywał się w rosnącą w oczach cielistą szparę.

– Spóźniliśmy się... – szepnął w zamyśleniu.

Po bokach płynęły szare, zarysowujące się już wyraźnie brzegi, usiane pierwszymi odpryskami światła.

Towarzysz Laval nie wiedział, że z Tansorel, godzinę temu, bocznymi, polnymi drożynami wyjechał na rowerze w stronę miasta mały, zgarbiony człowieczek.

Mały człowieczek przybył do miasta, gdy szara roztań na niebie rozlała się już szeroko.

Po dziesięciu minutach elastyczne, gumowe słowo jak piłka toczyło się po drutach na wyścigi z zadyszczanym holownikiem. Słowo, przeskakując z drutu na drut, wyprzedziło holownik i potoczyło się dalej, w las czerwonych, migocących światełek.

W dwadzieścia minut później, w sztabie armii kordonowej, w miękkim, nadympionym salonie starego pałacyku, toczył się następujący dialog:

Porucznik: Czy będziemy ostrzeliwali ich holownik?

Kapitan: Oczywiście, wydałem już odpowiednie zarządzenia.

Porucznik: Właściwie... skoro już przejechali... w dodatku, jak donosi depesza, nie przybijali wcale do brzegu i zachowali wszelkie środki ostrożności... – co by nam szkodziło przepuścić ich z tą żywnością do miasta? Przecież w tej chwili nie stanowią już żadnego niebezpieczeństwa i, topiąc ich, nic na tym właściwie nie zyskujemy.

Kapitan: Pan oszalał, Monteloup! Przepuścić ich bezkarnie do miasta? Żeby jutro przedarł się kto inny? Od czegoż w takim razie jest kordon? Czelność musi być ukarana w sposób bezwzględny. W dodatku zapomniał pan chyba, że to bolszewicy i że wiozą żywność dla swojej komuny? Może mamy jeszcze żywić ich komunę? Dziękuję uprzejmie!

Porucznik: Ależ nie, ja bynajmniej... Tylko po prostu... myślałem... skoro już przejechali...

\*

W Paryżu, koło mostu Bercy, od godziny trzeciej w nocy gromadzić się jęły tłumy ciekawych, spoglądające niespokojnie na wschód, gdzie między rozchyłonymi wargami nieba i ziemi przezierała już biała szrama brzasku.

O godzinie piątej biała szrama zajęła już połowę nieba. Powrót wyprawy stawał się coraz mniej prawdopodobny. Zawiedziony tłum zaczął pomału rozchodzić się do domów. Wówczas to, od wschodu, rozległ się łoskot pierwszego armatniego wystrzału. Tłum drgnął, zachybotał i całym ciałem szarpnął się w tę stronę.

– Jada! – przeleciał pogwar.

Armaty były jedna przez drugą. Tłum wzbełtaną falą rozlał się wzdłuż brzegu. Jakaś kobieta zawodziła na cały głos, łopocąc jak ptak na żelaznej poręczy mostu. Po dziesięciu minutach kanonady pomruk zamienił się w wycie.

Nagle ktoś z brzegu pierwszy ryknął:

– Jada!

Zaległa cisza.

Na zakręcie rzeki ukazał się czarny holownik ze strzaskanym kominem i zwisającymi bezsilnie szczątkami pokładu. Holownik, dysząc ciężko, leżąc już prawie na boku, ostatkiem sił ciągnął za sobą dwa galary. Na miejscu trzeciego czarna oderwana burta powłóczyła płetwami potrzaskanych desek.

Holownik z wolna zbliżał się do mostu. Entuzjazm tłumu dosięgnął szczytu:

– Laval! Niech żyje Laval!

Holownik z trudnością dobił do brzegu. Na piasek zeskoczył przysadzisty, zakrwawiony marynarz.

– Laval! Gdzie jest Laval? – ryczał tłum.  
Marynarz przewiązaną ręką wskazał na pokład.  
Kilku czerwonogwardzistów wskoczyło na statek. Tłum przycichł w oczekiwaniu.

Po paru minutach na pokładzie ukazali się dwaj czerwonogwardziści, niosący coś na rozpostartym, jak nosze, płaszczu.

Tłum pochylił się naprzód.

Na płaszczu leżał człowiek, z przymkniętymi oczyma, z odrzuconą w tył głową. W miejscu, gdzie powinny były znajdować się nogi, miał ochłap skrwawionej galarety.

Tłum odsłonił głowy i rozstąpił się w milczeniu.

Przez improwizowany szpaler czerwonogwardziści przenieśli towarzysza Lavalą do narożnej apteki.

Zakotłowało.



W białym szpitalu, przejściem między łózkami szło czterech ludzi w błękitnych płaszczach żołnierskich. Prowadzący ich sanitariusz zatrzymał się przy jednym z łóżek.

– To tu, towarzyszu dowodzący.

Towarzysz Lecoq pochylił się nad posłaniem.

Powieki rannego, na które padł cień, drgnęły, zatrzepotały, jak płomyk, co za chwilę uleci, i wielkie, szkliste oczy rozwarły się, spoczęły na twarzy towarzysza Lecoqa. W zetknięciu ze znajomą twarzą, szklane oczy zakwitły uśmiechem. Wargi poruszyły się bezwiednie, załopotały jak skrzydła i przepuściły nieporadne, przedzierające z wysiłkiem kokon ust, słowo:

– To wy, towarzyszu dowodzący?... Widzicie? Przywiozłem... Jeden galar mi tylko zatopili, dranie... – wyrzęził siniejącymi już wargami.

Towarzysz Lecoq pochylił się nad nim bez słowa i złożył na tych wargach cichy braterski pocałunek.

Towarzysz Lecoq nie powiedział umierającemu ze szczęśliwym uśmiechem człowiekowi, że w czterystu przywiezionych workach zamiast mąki znaleziono – piasek...



W trzy dni później wygłodzona ludność komuny przypuściła szturm do barykad koncesji anglo-amerykańskiej. Wystraszeni dżentelmeni do obrony zmobilizowali armię z zamieszkujących terytorium koncesji mieszczuchów francuskich. Walka na barykadach trwała kilka dni, a odznaczała się szczególną zaciętością i okrucieństwem. Poległ w niej towarzysz Lecoq, nie zdążywszy dopisać swej

historii zadżumionego Paryża, a wraz z nim wielu innych wybitnych przywódców komuny.

Nowy głównodowodzący topniejącymi wojskami republiki radzieckiej Belleville postanowił sforsować barykady przy pomocy ciężkiej artylerii, ustawivszy baterie na Czerwonym Pagórku. Wezwana do poddania się koncesja angielska odpowiedziała odmownie.

I kto wie, widownią jakich nowych straszliwych scen, jakich fantastycznych wojen stałby się jeszcze wielojęzyczny wojujący Paryż, gdyby dobrotliwa dzuma nie zdystansowała swego współzawodnika – głodu.

Dnia 1 września, na terytorium kilkunastu państweczek, oznaczonych na mapie jednym wspólnym krążkiem Paryża, nie pozostało ani jednej żywej duszy.

Tegoż samego dnia, skonsumowawszy ostatniego paryżanina, dzuma opuściła Paryż równie nagle, jak się w nim zjawiała.

## CZEŚĆ TRZECIA

### I

A jednak pozostał ktoś, kogo nie dojrzała przez grube, szczelnie zasunięte mury.

Na zatopionych przypiływem śmierci polach Paryża, w cichej godzinie odpływu, wynurzone z opadających fal, jak białe łysiny mielizn na martwej przestrzeni wód, kołysały się trzy żywe wysepki ludzkie.

Były to, odcięte od reszty świata chłodnym golfstromem prawa, wyspy robinsonów o golonych głowach.

Zagubione wśród delty ulic, odgródzone wydzielającym się z ich ścian, właściwym im fluidem izolacji, podległe własnym wewnętrznym prawom samoistnych organizmów, jakby w innej położone rzeczywistości, przetrwały one długie tygodnie, nietknięte, obojętne, jak dziwne pływające domy, zmyte w nocy powodzią i unoszące się rankiem na jej powierzchni, pełne uśpionych, nie podejrzewających niczego ludzi.

Ogłupiali dozorczy więzienni, w obawie przed odpowiedzialnością i w oczekiwaniu jakichś urojonych instrukcji, otoczyli je podwójną obręczą jak najściślejzego odosobnienia. Obawa, by słuch o panujących na zewnątrz epidemii i rozprzężeniu, wtargnąwszy do natłoczonych więzień, nie stał się hasłem do buntu, paraliżowała im języki.

Korzystając z innych zbiorników wody, więzienia, zwykłym zbiegiem okoliczności, ustrzegły się przed zakażeniem śmiertelną bakterią pierwszego

zaraz dnia. Zaopatrzone obficie własne składy żywnościowe, w połączeniu z najsurowszą izolacją, dokonały reszty.

Tak zaszedł ten fakt, nieprawdopodobny, choć w gruncie rzeczy prosty: w swych wędrówkach po mieście dżuma otarła się wielokrotnie o wysokie średniowieczne mury, o zatrzaśnięte hermetycznie bramy dziwnych wysepek i poszła dalej w noc, w mrok, w gmatwaninę ulic i zaułków.

Wpółrodku i na krańcach zapowietrzonego miasta, ogrodzone groblami murów, pozostały trzy nietknięte wysepki, zamieszkane przez tłumy stłoczonych na ciasnym kwadracie ludzi o golonych głowach, pozbawionych od dawna kontaktu ze światem zewnętrznym i przebijających swój monotony różaniec więziennych dni, nie domyślając się nawet, co się święci w tej chwili po tamtej stronie ścian.

Od pierwszego zaraz dnia epidemii przez mury więzień przestały przesączać się dzienniki, co wywołało protest i demonstrację uwięzionych. Gdy demonstracja nie odniosła skutku, rozpoczęto głodówkę. Głodówka trwała cztery tygodnie i, nie dopiawszy niczego, zakończyła się wreszcie kapitulacją. Jednym realnym jej rezultatem było zaoszczędzenie żywności, która dzięki temu starczyć mogła jeszcze na kilka dni.

Po wstrzymaniu gazet nastąpiło z kolei pogorszenie i uszczuplenie porcji stawy więziennej. Wyczerpani głodówką aresztanci składali to na karb obostrzenia karnego reżimu. Pogorszenie jadła stawało się jeszcze kilkakrotnie powodem dłuższych lub krótszych głodówek, które, zaoszczędzając zapasy, odsuwały tylko dzień ostatecznego rozwiązania.

Porcja jedzenia stawała się z każdym dniem skąpsza. W obawie odwetu ze strony więźniów mizerna grupka dozorców więziennych, zamkniętych wraz z nimi w tych mimowolnych arkach Noego na falach powszechnego potopu, skasowała samorzutnie przepisowe przechadzki, nie wając się wypuszczać z cel tej rozjuszanej masy ludzkiej.

Pozbawiony swych elementarnych przywilejów tłum, stłoczony w ciasnych antałkach cel, fermentował, grożąc lada chwila ich rozsądzeniem. Przepelnione dziesięciokrotnie ostatnimi represjami cele trzeszczały w swych kamiennych spojeniach.

Struchlała służba więzienna z przerażeniem dostrzegała dno, przeświecające w skrzyniach prowiantów. Pewność niechybnej zagłady z rąk zrozpaczonych więźniów, gotowych lada chwila wysadzić z zawiasów zaryglowane drzwi, podszeptowała jej, jako jedyny ratunek, ucieczkę na miasto. Lęk przed szalejącą poza obrębem murów zarazą przykuwał ją do miejsca.

Rozwiązanie nadeszło samo.

Dnia 4 września, to jest na czwarty dzień po wymarszu z Paryża dżumy z duszą ostatniego paryżanina, zagłodzony tłum, internowany w więzieniu Fresnes, wywalił wraz z odrzwiami furty cel i rozlał się po gmachu więziennym. Poukrywanych na strychu dozorców wyrznięto. O godzinie dziesiątej rano, przez odryglowaną bramę, wzburzony tłum wychlusnął na plac.



Ku niemałemu jego zdziwieniu, nie zagroził mu drogi kordon wojska ani policji. Raczej zaniepokojony tym niż podniesiony na duchu, tłum w milczeniu popłynął ku miastu, nie napotyając nigdzie po drodze żywej duszy.

Ktoś rzucił hasło uwolnienia piętnastu tysięcy więźniów, zamkniętych w więzieniu Santé. Podniecona masa ruszyła w stronę bulwaru Arago. Brama więzienna została wzięta szturmem, zanim zdążyły nadciągnąć z tyłu nowe posiłki. Oglupiała służbę więzienną wycięto w pień.

Na wieść o niespodzianej odsieczy więźniowie wyważyli drzwi cel, wysypując się na podwórza. Z ciasnych dzież dziedzińców wezbrana masa wykpiiała burem mięsiwem na bulwar Arago.

Na bulwarze Arago tłum utworzył pochód i parł w górę zwartym wałem. Kłóś pierwszy zaintonował „Międzynarodówkę“. Od samotnego, nieśmiałego głosu, jak od zapalanej w ciżbie zapalniczki, buchnął płomieniem śpiewu alkohol dwudziestu ośmiu tysięcy głosów. Nabrzmiały jak ciężka, ołowiana chmura tłum wyładował się nagle w deszczu pieśni. Jak w skwamy, nasycony elektrycznością dzień, suchy, że aż słycać, zda się, trzask iskier we włosach, pod orzeźwiającyymi strumieniami ulewy zapachniało nagle świeżą wilgocią rozmokłej ziemi. Śpiew, przeciągłym dreszczem elektrycznego prądu, przebiegł przez ciało olbrzymiego węża masy, od głowy ku ogonowi, spajając po drodze rozproszone komórki ludzkie w jeden sprężysty organizm, żywiony arterią jednolitego rytmu. Za każdym obrotem niewidzialnego koła rozpędowego dwadzieścia osiem tysięcy nóg uderzało w takt w twardą skorupę bruku, a pod krótkim pocałunkiem stóp ziemia tryskała iskrą.

W śmiertelnej ciszy wymarłego miasta, niemym parowem bulwaru, posuwał się ten niezwykły pochód, demonstracja wynędzniałych ludzi o golonych głowach, w szarych kaftanach więziennych, bez transparentów, z wzniesionym wysoko nad głowami czerwonym sztandarem słońca i w pustych przesmykach ulic dziwnie groźnie brzmiała ta pieśń odwetu, pieśń boju ostatniego, dobijając się refrenem, jak kolbą, do pustych, zatrzaśniętych okien.

U wylotu bulwaru Montparnasse czoło pochodu niespodziewanie zakłębiło się na miejscu i cały wąż, osadzony w marszu, zafalował tysiącem pierścieni.

Na widok, jaki roztoczył się tu przed jego oczyma, tłum wzdrygnął się, jak gdyby jego obnażonego serca dotknęła zimna łapa przerażenia.

Na werandach bistros, w plecionych krzesłach, na chodnikach i jezdni, w pokracznych, niezrozumiałych pozach tak, jak zastała je śmierć, leżały zaczynające już cuchnąć zwłoki ludzkie.

Ogarnięty zgrozą pochód posuwał się dalej w milczeniu.

Z rozplakatowanych po murach różnojęzycznych odezw i dekretów mijanych kolejno dzielnic-państwerek, przed oczyma zdumionego tłumy z wolna jęła się wyłaniać w całej swej groteskowej grozie historia ostatnich sześciu tygodni.

Pochód skręcił na Wielkie Bulwary, spotykając wszędzie ten sam obraz nieprzejrzanej trupiarni, wpatrzonej w gołe niebo szklivem miliona oczu.

U wylotu bulwaru Hausmanna tłum rozdzielił się na dwie odnogi, z których jedna popłynęła w stronę więzienia Saint-Lazare. Zamknięte bramy więzienne spotkały demonstrantów głuchym milczeniem. Wyważono je z trudnością przy pomocy przyniesionych z dworca żelaznych szyn. Nikt z wewnątrz nie usiłował stawiać oporu. Jak się okazało, służba więzienna, w obawie przed zemstą, uciekła cztery dni temu na miasto, pozostawiając w celach trzy tysiące kobiet, skazanych na śmierć głodową. Uwięzione kobiety od dziesięciu dni nie miały nic w ustach.

Przetrząsając dworzec Saint-Lazare, niespodziewanie odkryto w jego magazynach i remizach dobrze zaopatrzone składy żywności, nagromadzonej tam przez najbardziej zapobiegliwą z republik, koncesję anglo-amerykańską. Wyłoniony samorzutnie komitet aprowizacyjny zajął się doraźną akcją żywnościową.

Z placu Saint-Lazare spontaniczne patrole rozpełzły się po mieście na inspekcję pozostałych więzień. Przed wieczorem patrole, jeden po drugim, powróciły z niczym. Więzienia znaleziono otwarte, pełne gnijących zwłok zadżumionych. Na całym obszarze Paryża nie pozostało więcej ani jednej żyjącej istoty.

W międzyczasie zapadła noc i trzydziestodwutysięczny tłum, nie korzystając z mieszkań, pełnych cuchnących trupów, rozłożył się biwakiem na jezdniach, wysunąwszy w noc bezsenne macki szyldwachów.

## II

Nazajutrz rano, w wielkiej sali byłego ministerstwa wojny, zebrał się naprędce ukonstytuowany na nowo Komitet Centralny partii.

Dzień był słoneczny i z wiosenna soczysty. Przy długim stole, zielonym, jak murawa, zmięta po niedawnej majówce, z rozrzuconymi tu i tam, jak skorupy od jaj, skrawkami notatek, siedziało trzynastu ludzi w szarych więziennych bluzach. Przez otwarte na oścież okna, wychodzące na plac Zgody, wtargnęło bezceremonialnie słońce i przytłumiony rozgwar mas, mityngujących na placu przed gmachem. Atmosfera tej pseudowiosennej błogości, przetykana odległymi pogrzmotami zgiełku i gęstą, chluszczącą ulewą oklasków, zrywającą się raptem, by po chwili ustać, nawiewała kwietniowe reminiscencje.

Mówił sekretarz KC., towarzysz Courreau:

– Nie możemy być pewni, czy dżuma nie zdołała już rozszerzyć się poza obręb Paryża. Sądząc jednak z dotychczasowych danych, wszystko zdaje się wskazywać na to, że Paryż otaczają po dawnemu szczelne kordony wojsk, których zadaniem jest całkowite odizolowanie go od reszty Europy. Świadczyłoby to o tym, że dżumę udało się umiejscowić. Nie ulega wątpliwości, że z chwilą, gdy tylko rząd i otaczające nas wojska dowiedzą się, że epidemia w

stolicy wygasła, następnego dnia wkroczą do Paryża i wtrącają na powrót do więzień uwolniony kosztem tyłu cierpień proletariatu. Do tego pod żadnym pozorem dopuścić nie możemy. Skoro, zbiegiem tragicznych okoliczności, Paryż znalazł się w naszych rękach, nie mamy prawa oddać go z powrotem w ręce kapitalistów i wyzyskiwaczy.

– W jakim to sposób, jeżeli wolno zapytać, zamierzacie się w nim utrzymać? – przerwał, skubiąc nerwowo rzadką bródkę, towarzysz Majoie. – Z trzydziestotysięczną, wyczerpaną głodem masą robotniczą nie możemy chyba nawet marzyć o stawieniu czoła regularnej armii, otaczającej Paryż ze wszystkich stron. Nie mamy prawa oddawać na rzeź tych wynędzniałych resztek proletariatu paryskiego.

– Pozwólcie mi skończyć, towarzyszu. Utrzymać Paryż w swoich rękach możemy w sposób bardzo prosty, nie uciekając się wcale do zbrojnego oporu, który przerasta nasze nikłe siły. Należy jedynie utrzymać za wszelką cenę świat i Francję możliwie jak najdłużej w przeświadczeniu, że dżuma w Paryżu sroży się po dawnemu i nie zamierza bynajmniej wygasać. Wystarczy najzupełniej obsadzić w tym celu naszymi ludźmi radiostację Eiffla i wysyłać stamtąd co rano na cztery strony świata biuletyny o nieustannych spustoszeniach, jakich nie przestaje, jakoby, dokonywać w zamkniętym Paryżu mór. Dopóki rząd i wojska przekonane będą o tym, że epidemia w stolicy szerzy się z dawną siłą, dopóty nie odważą się zbliżyć do miasta ani na krok.

– Zapominacie, zdaje się, towarzyszu, o tym, że ludność Paryża jest niestety liczebnie ograniczona i że jedni i ci sami ludzie nie umierają po dwa razy – uśmiechnął się towarzysz Majoie. – Prosty rachunek arytmetyczny każe im się domyślić, że w Paryżu od dawna nie powinno być już zostać żywej duszy.

– Nie sądzę. Stopniując wiadomości umiejętnie i z umiarem, będziemy mogli w każdym razie utrzymać Europę w tym przeświadczeniu przez czas bardzo długi. Musimy, kropla po kropli, zaszczepić w kraju przekonanie, że przez długie jeszcze miesiące, a kto wie, może i lata, Paryż pozostanie jedynie niebezpiecznym ogniskiem zarazy, że wszystkie jego instalacje uległy zniszczeniu i przywrócenie go do poprzedniego stanu wymagałoby miliardowych wkładów i lat pracy. Zapewniam was, że nic nie działa tak przekonująco jak przyzwyczajenie. Ludzie, którzy w pierwszych dniach wojny światowej nie mogli wyobrazić sobie, aby wojna mogła potrwać dłużej nad cztery tygodnie, pod koniec czwartego roku przestali już wierzyć, że może się ona w ogóle kiedykolwiek skończyć, przywykły uvažać ten stan rzeczy za zupełnie naturalny, jeżeli nie jedynie możliwy.

– Chcecie zatem, jak widzę, zrobić z nas coś w rodzaju Robinsonów na bezludnej wyspie, skazanych przez całe lata na łowienie ryb w Sekwanie i polowanie na małpy w Lasku Bulońskim – żartował towarzysz Majoie. – Nie widzę celu tej całej mistyfikacji.

– Pozwólcie, towarzyszu. – odezwał się nagle towarzysz Marac, płaski, kościsty mężczyzna o twarzy zapadłej i kanciastej, czempion głodówek więziennych, mogący dać tydzień „for“ każdemu zawodowemu głodomorowi.

Wszyscy zwrócili się w jego stronę.

– Zdaje mi się, że rozumiem myśl towarzysza Courreau. Badając dzisiaj stan radiostacji na Eifflu, potknąłem się o tę samą myśl: utrzymać Europę jak najdłużej w przekonaniu, że dżuma w Paryżu nie ustała. W międzyczasie, objąwszy miasto, zorganizować w nim wzorową komunę. W środku Francji, w sercu Europy, metropolię świata zamienić na olbrzymie miasto komunistyczne, ognisko i komórkę, z której ustrój nasz rozpromieniuje na cały kontynent. W chwili, gdy będziemy już dostatecznie zorganizowani, nie czekając na wykrzyki naszej mistyfikacji – pierwsi zwrócić się ponad głowami otaczających nas wojsk z apelem do robotników i chłopów Francji i całego świata. Nie zapominajmy, że na tyłach blokującej nas armii stoją masy proletariatu francuskiego i że zew, który nie docierał do nich ze wschodu, zagłuszony świstem, rykiem i jazz-bandem orkiestry kapitalistycznej, rzucony stąd, z Paryża, wstrząśnie całą Europą. Czy dobrze zrozumiałem waszą myśl, towarzyszu Courreau?

Towarzysz Courreau skłonił głowę.

Po chwili milczenia, zabrał głos towarzysz Durail, trzymający się dotychczas na uboczu:

– Plan towarzyszy Courreau i Maraca jest bardzo piękny, obawiam się jednak, że niewykonalny. Towarzysze Courreau i Marac nie biorą pod uwagę jednej prawdy, przykrej, lecz realnej: po to, żeby wytrwać przez długie miesiące w pierścieniu kordonu nie wystarczy, by Europa zostawiła nas w spokoju. Trzeba jeszcze mieć co włożyć do gęby. Trzeba nakarmić trzydzieści dwa tysiące ludzi, którzy wygłodowali się już do syta w więzieniach i którzy dłużej głodować niezdolni. Towarzysz Duffy, który przeprowadzał dziś ewidencję składów żywnościowych, wykrytych na terytorium miasta, będzie nas mógł poinformować najlepiej o stanie zapasów i o tym, jak długo mogą one starczyć na wyżywienie naszej komuny.

Z kolei wszystkie oczy zwróciły się w stronę towarzysza Duffy.

Towarzysz Duffy, bawiąc się ołówkiem i wystukując nim takt po stole, zaczął mówić monotonnym, pedantycznym głosem, jak gdyby recytował wykuty na pamięć raport:

– Ewidencji wszystkich zapasów przeprowadzić w ciągu dzisiejszego dnia nie zdołaliśmy. Na dworcu Saint-Lazare znaleźliśmy większe zapasy mąki i cukru. Ogółem około czterystu ton. W elewatorach wykryto tysiąc dwieście ton pszenicy. Większe lub mniejsze zapasy prowiantów, przeważnie konserw i makaronu, znaleziono w piwnicach fabryk artykułów spożywczych i przetworów mięsnych. W piwnicach wielu domów prywatnych dzielnic: Etoile, Wielkie Bulwary, Saint-Germain i Passy natrafiono na większe ilości mąki, ryżu i cukru. Widocznie nagromadzili je tam mieszkańcy w obawie przed głodem. Dokładną sumę tych produktów ustalić będzie mogła dopiero szczegółowa rewizja. W

przybliżeniu, ogólną cyfrę wykrytej w ciągu dzisiejszego dnia żywności określić można z grubsza na dwa tysiące ton. Licząc, że przeciętny organizm ludzki dla utrzymania się przy życiu wymaga dziennie: 82 g białka, 100 g tłuszczów, 310 g węglowodanów i 26 g witamin, co, przełożone na cyfry aprowizacyjne, daje przeciętnie, samego tylko chleba, w braku innych substancji, conajmniej 350 g dziennie, zapasów dotychczas odkrytych starczyć może na wyżywienie trzydziestu dwóch tysięcy ludzi najwyżej na cztery do pięciu miesięcy. Oczywiście niepodobna przewidzieć, ile żywności znajdziemy jeszcze w piwnicach fabryk i domów mieszkalnych. Dobrać się do niej zdoła jedynie skrupulatna rewizja...

Przez okna, zagłuszając słowa, bryznął nowy chlust oklasków.

Towarzysz Majoie zapalił papierosa, przeszedł się w zamyśleniu po sali i przystanął w oknie. W dole nieprzejrany plac roił się mrowiem głów. Tłum mityngował. Okolicznościowi mówcy wdrapywali się zwinnie na strome postumenty ośmiu symbolicznych dziewic-miast, rzucając stamtąd w ciżbę, w otwarte od natężonej uwagi usta, pełnymi garściami pastylki mocnych, zamaszystych słów, od których łechce w nosie i głowa kręci się, jak pijana.

Z piedestału dziewicy przedstawiającej Strasburg mówił bezręki wąsał:

– Ja, towarzysze, chciałem rzec słowo względem tych towarzyszy, co to z branży kryminalnej. Będzie między nami, towarzysze, ze trzy tysiące towarzyszy-kanciarzy, wypuszczonych z więzień razem z pozostałym proletariatem. My, towarzysze, po sądach ich ciągnąć nie będziemy. Choć to niby i przestępcy, jak to mówią, ale przestępcy, można powiedzieć, przeciwko dawnemu państwu burżuazyjnemu, a kogóż to wtedy nie uważali za przestępcę? Niejeden z głodu, z nędzy, z bezrobocia świsnął gdzieś funt kielbasy, albo jenszą szynkę, nie? Takiego zaraz pański, klasowy sąd – bach do ula! Złodziej i tyle. My tam, towarzysze, w tych drobiazgach grzebać się nie będziem. Jak rewolucja, to rewolucja, znakiem tego – wolność dla całego proletariatu bez różnicy i wyjątku, nie? Innym słowem: starym grzechem, jakie by tam nie były – można powiedzieć, amnestia i koniec. Od dzisiaj wszystko na nowo, po naszymu, co było, a nie jest – nie pisze się w rejestr, nie?

Ale, towarzysze, kiedy już towarzyszom-kanciarzom odtąd, jak to mówią, wszystkie prawa obywatelskie i tak dalej, niech i oni pokażą nam teraz swoje proletarjackie pochodzenie. Były tam u nas z burżuazją różne porachunki i niemałośmy się od nich krzywdy najedli – wyrównało się wszystko na glanc. Teraz żeśmy wszyscy jednacy robociarze, proletarij i kropka. Kraść dobytek ludowy – wara! My, towarzysze, na bawienie się z nimi czasu nie mamy. Władza proletarjacka każdy zamach na dobytek komunalny karać będzie bez ceregieli. Niech towarzysze-złodzieje to sobie dobrze zapamiętają. Co było, to było, a od dzisiaj – ani mru-mru! U nas, towarzysze, sądów ani procesów nie trzeba. Złapiemy złodzieja – grabił nasz komunalny majątek – i pod murek go! Nam w policję bawić się nie pilno!

– Dobrze mówi!

– Mało roboty, jeszcze ich doglądaj!  
– Myśmy się do nich za policjantów nie zgadzali!  
– Chcą po dobroci, roboty huk, a jakże, każdemu starczy. Nie chcą – wolna wola. Pod murek i po krzyku.

– Właśnie, towarzysze, to chciałem powiedzieć. To już, towarzysze, nasza, jak to mówią, sprawa familijna. KC w to mieszać nie trzeba, oni swojej roboty mają dosyć. A ogłoszeń drukować, ani powtarzać, dwa razy nic będziemy. Powiedziane i dosyć, nie?

Wąsaty mówca zeskoczył z piedestału, żegnany oklaskami.

Towarzysz Majoie uśmiechnął się i, rozweselony, odszedł od okna. Nowy wybuch oklasków i grzmiące „racja!” pociągnęły go mimo woli ku ostatniemu oknu. Towarzysz Majoie rzucił ukradkiem spojrzenie w stronę stołu. Duffy wciąż jeszcze recytował swoje sprawozdanie. Majoie na palcach zbliżył się do ostatniego okna, oparł się o parapet i nadstawił ucha.

W dole, z zabłąkanej tu nie wiadomo skąd drewnianej skrzyni, grzmiał barczysty parobczak z zadartym nosem:

– Towarzysze! W tej chwili towarzysze z KC zastanawiają się nad sposobami i możliwościami, jak by utrzymać Paryż w naszych rękach i nie oddawać go więcej w ręce burżujów i kapitalistów. Główny sęk, towarzysze, z prowiantem. Gąb do karmienia, naturalnie, mamy do diabła i trochę, a z prowiantem, powiadają, całkiem gorzej. Ja, towarzysze, myślę, że niech to towarzyszy z KC nie turbuje. Głodowaliśmy, towarzysze, naturalnie dla burżujów, dla ich zysku, pogłodujemy i dla siebie, dla naszej własnej robotniczej władzy radzieckiej. A Paryża burżujom nie oddamy!

– Dobrze gada!

– Nie po to nam się dostał, żeby go oddawać!

– A my co? Z powrotem do ula? Nie ma głupich! Ma się wiedzieć przetrzymamy!

– Narodowi głodowanie nie pierwszozna!

– Towarzysze, Rosja Radziecka gorzej głodowała w pierścieniu blokady imperialistycznej, a przetrzymała, wybudowała naturalnie pierwszą republikę socjalistyczną. Czymże francuski proletariat gorszy jest od rosyjskiego?

– Ma się wiedzieć, żołądek każdy ma jednaki.

– A Komuna nie głodowała? Szczury jedli, a nie poddali się.

– Racja!

– Co tu dużo gadać, towarzysze. Wytrzymamy naturalnie i koniec. Tylko patrzeć, ruszy się proletariat na tyłach, jak się dowie, że Paryż trzymamy w garści i pójdzie nam na pomoc. Miesiąc czy rok czekać wypadnie – poczekamy. Prowiantu, jeżeli go oszczędzać, na miesiąc jeden albo drugi jako tako starczy. Będzie trzeba – przetrzymamy się i dłużej. W elewatorach, towarzysze, sam widziałem, przechowali dla nas naturalnie burżuje krztynę pszenicy. Jakby tak wyspekulować i odjąć sobie tę pszenicę od ust, a dociągnąć jako tako do wiosny, to potem już bagatela. W mieście – miejsca wolnego, ile chce. Ziemia także samo

niegorsza. Jak zasieje pszenicę na wiosnę – pod koniec lata, ani chybi, mielibyśmy już zboże z nowego zbioru. Nie jeden rok można przetrzymać takim sposobem, a ile zechce. Ruszyć nas burzuje nie ruszą, stchórzą, furt myślą – dżuma. A my im tu tymczasem takiego piwa nawarzymy, że, nie pijąc go, syci będą. Główna rzecz, towarzysze – przetrzymać.

– Przetrzymamy, co nie mielibyśmy przetrzymać?

– Na więziennym wikcie wyżyliśmy, wyżyjemy i na własnym.

– Musowo, wyżyjemy!

– Nie po to jedni gospodarze powyzdychali, żeby drugich wołać!

Towarzysz Majoie odwrócił się od okna. Do uszu jego doleciał spokojny głos towarzysza Courreau:

– ... przed interwencją Europy, pewniej od wszystkich armii, broni nas pancierz zarazy. Żadne promienie Roentgena nie są w stanie odgadnąć na odległość, czy dżuma w Paryżu wygasła, czy też sroży się w nim po dawnemu...

W dole plac huczał dziesiątkiem tysięcy zapalczywych głosów.

Towarzysz Majoie rzucił papierosa i pospieszył na swoje miejsce, do stołu. Po skupionych twarzach komitetowców odgadł, że zdążył na ostatni akt. Twarzy mówiącego, obróconego doń plecami, nie widział, po szorstkim głosie poznał jednak Maraca.

– Towarzysze, za chwilę wniosek towarzysza Courreau będzie oddany pod głosowanie. Od wyniku tego głosowania zależą, być może, losy proletariatu Francji, losy całej Europy. Niechaj każdy z was poradzi się własnego sumienia. Czy mamy prawo, dla ratowania własnego życia i życia trzydziestu tysięcy naszych towarzyszy, w oczekiwaniu łaski i amnestii, wydać ich w ręce rządu fabrykantów i imperialistów? Czy mamy prawo przepuścić moment jedyne w dziejach ludzkości kataklizmu, który oddał w nasze ręce Paryż, oczyszczony miotłą zarazy z burżuazji i bogaczy? Czy mamy prawo, w obawie przed głodem, niedostatkiem i izolacją w kleszczach blokady, wyrzec się możliwości wzniesienia pośrodku Europy, na miejscu jej dawnej stolicy, stolicy bankierów i prostytutek, podwalin wielkiej wzorowej komuny, która, jak słup ognia, rozświeci drogę proletariatu wszystkich krajów, stanie się zarzewiem, pierwszą głownią rewolucji światowej? Czy mamy prawo wyrzec się tej historycznej misji, którą narzucają nam same okoliczności? Towarzyszu przewodniczący, proszę postawić wniosek Courreau pod głosowanie.

Towarzysz Gaillard równym głosem wybił:

– Towarzysze, stawiam pod głosowanie wniosek towarzyszy Courreau i Maraca. Kto za? Proszę podnieść rękę.

Podniosło się dwanaście rąk.

Towarzysz Duffy powstrzymał się od głosu.

– Wniosek towarzysza Courreau przeszedł – ogłosił lakonicznie Gaillard. Przystąpiono do kolejnych punktów porządku dziennego.

### III

Na placu wciąż jeszcze bulgotał niemilknący tłum, kiedy w drzwiach ministerstwa ukazali się pierwsi komitetowcy. Ktoś z brzegu ryknął przeciągle:

– Idą!

Tłum zamilkł, zachybotał, pękł zygzakiem szczeliny i, pochłonawszy wychodzących z gmachu ludzi, zamknął się za nimi na powrót. Przez chwilę, jak kręgi od rzuconych w wodę kamieni, kołysały się dokoła tego miejsca kępy głów. Niebawem pochłonięci ludzie wypływać zaczęli pojedynczo na wysterczające nad powierzchnię masy rafy postumentów. Nie było słychać słów, jedynie gwałtowne ruchy rąk rozcinały powietrze, jak gdyby dwunastu obłąkanych dyrygentów zapragnęło ująć w harmonijne karby partycji chaotyczną wrzawę wielogłosego morza.

Z cokołu symbolicznej dziewicy-Strasburga mówił kościsty mężczyzna, na którego twarzy wielkimi kroplami potu osiadała natarczywa ulewa oklasków:

– W miejsce dżumy, co zalać miała cały świat, a oczyściła tylko plac pod naszą budowlę, wzniesimy wielką zarazę idei, która morzem oczyszczającego ognia rozleje się po starym kontynencie, drwiąc z armii, kordonów i granic. Paryż, który pierwszy pokazał Europie pierwszą Komunę, pierwszy rozdmucha jej ustrój na całą Europę!...

Rozsadzany drożdżami entuzjazmu, tłum wykypiał wezbrany refrenem „Międzynarodówki“. Chudy, kolczasty człowiek, jak korek porwany wirem, spłynął na wartkie ramiona, poniesiony gdzieś naprzód, bez celu.

Długo rozhuśtane fale ludzkie przelewały się w buchtach placów i cieśninach zaułków.

Aby wyrwać łatwo zapalny tłum z tego stanu rozkiełzanego uniesienia i skierować go w łożysko konkretnej akcji, należało przede wszystkim rozpruć jego szwy, poćwiartować go nożycami organizacji.

Do południa rozczłonkowana masa, sprzęgnięta na nowo klamrami dyscypliny, stanowiła już zdolny do działania systemat sił.

Pierwszym zadaniem chwili było oczyszczenie ulic z gnijących trupów, zagrażających miastu powrotną falą zarazy. O grzebaniu takiej ilości zwłok, ani o spaleniu ich w ciasnych, prowizorycznych krematoriach, nie mogło być nawet mowy. Postanowiono spalić je pod gołym niebem.

Przez trzy dni na wszystkich wielkich placach Paryża rozbita na ekipy, karna armia ludzi o golonych głowach wznosiła olbrzymie stosy z mebli i makulatury, na które zwalano trupy. Na czwarty dzień praca była ukończona. Stosy oblano benzyną, naftą i podpalono.

Dzień był zupełnie bezwietrzny i sąsiadującym budynkom nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Ogień czarną spiralą dymu uderzył w niebo, a podpalone niebo, jak dymiąca strzecha, runęło, nakrywając miasto burą kosmatą czapą.



8 września dzienniki całego świata doniosły o pożarze Paryża. Na wzniesienia i wzgórze Francji wyległy tłumy Francuzów oglądać go gołym okiem. Czarny gejzer dymu bił na setki metrów w niebo. Był to widok niezapomniany.

Odważny lotnik francuski, który na własne ryzyko umyślił przelecieć nad płonącym Paryżem, zmuszony był zawrócić w kłębach gryzącego dymu, i nie potrafił opowiedzieć nic nad to, że Paryż płonie od końca do końca.

Łatwo rozczulająca się babcia-Europa roztkliwiła się tego dnia nad losem nieszczęsnego miasta do prawdziwych, nieglicerynowych łez. Starsi panowie całego świata wspominali z rozrzewnieniem lata młodości, „Moulin Rouge“, „Maxima“, manekiny i midinetki. Księża z ambon napomykali mglisto o karze bożej i nawoływali do pokuty. W izbie deputowanych siwy, nieśmiertelny Briand napadał na komunistów.

Nazajutrz stacje odbiorcze kontynentu pochwyciły po długiej przerwie pierwsze radio z Paryża. Depesza donosiła o pożarze, o rozprzężeniu i o dalszych postępach epidemii.

Wypadki następnych miesięcy odwróciły, siłą rzeczy, na długo uwagę Francuzów od ich nieszczęsnej stolicy, z której otrzymywane systematycznie wiadomości były po dawnemu mało pocieszające.

Korzystając z ciężkiego położenia Francji, Niemcy odmówiły kategorycznie dalszych spłat według planu Dawesa, wymawiając się trudnościami natury gospodarczej. Zapachniało wojną. Gazety burżuazyjne, z socjalistami na czele, wzywały do okupacji Berlina i rozprawienia się z krnąbrną sąsiadką. Marynarze floty śródziemnomorskiej odpowiedzieli rewoltą, wyhisowawszy na maszty czerwony sztandar. Garnizon Lyonu sympatyzował z nimi wyraźnie, demonstrując w szeregach robotniczych przeciwko wojnie.

Nadzwyczajne posiedzenie Ligi Narodów zapisało dwa wagony firmowego papieru, usiłując za wszelką cenę załagodzić nabrzmiały konflikt. Pod naciskiem mas robotniczych rząd francuski zmuszony był pójść na ustępstwa, które pogwałciły dziewictwo traktatu wersalskiego. Bezpośrednia groźba wojny zdawała się być zażegnana.

Radiostacja Paryża głosiła po dawnemu o wzmaganiu się zarazy i o wybuchłych w zapowietrzonym mieście rozruchach. Według ostatnich wiadomości wschodnimi dzielnicami Paryża zawładnęła sekta anarchistów-nihilistów, która postawiła sobie za cel zburzenie miasta. Trzej rządowi lotnicy, którzy spróbowali przelecieć nad Paryżem, zostali strąceni wystrzałami domniemanych sekciarzy. Ten pożałowania godny incydent ostatecznie odebrał rządowi ochotę do wtrącania się w sprawy zadżumionego miasta, które pozostawiono odtąd jego opłakanemu losowi.

Minęły miesiące. Łatwo zapominająca wietrznica-Francja pomału pogodziła się z utratą ulubionej stolicy. Dotkliwiej od tej utraty dawał jej się we znaki brak wypchanych dolarami turystów, których zwabić z powrotem było niezmiernie trudno. Należało za wszelką cenę zaopatrzyć się jak najprędzej w

nową stolicę, która nie ustępowałaby poprzedniej pod względem komfortu i różnorodności pikantnych wabików. Powstało specjalne konsorcjum dla rozszerzenia i eksploatacji Lyonu.

Po obu stronach lyońskich bulwarów z błyskawiczną szybkością drapały się w górę zbyt wysokie, ośmiopiętrowe hotele, otwierały się teatry, dancingi i kabarety, wyrastały luksusowe domy publiczne, męskie i kobiece. Z wszystkich zakątków Francji zwożono pospiesznie zabytki historyczne.

Sensacyjną wieść o nowej olśniewającej stolicy telegraf w okamgnieniu roztrąbił na wszystkie strony świata.

Niebywała nowina spotkała się z gorącym oddźwiękiem na całej kuli ziemskiej; każde państwo spieszyło ofiarować zaludniającemu się Lyonowi swój wdowi grosz w naturze.

Z usługowej sojuszniczki-Ameryki, która w imię zyskowej transakcji przemogła nawet strach przed niezlikwidowanym jeszcze ogniskiem zarazy, dzień w dzień odchodziły do Francji olbrzymie statki „Majestic“, naładowane aż po czubek najwyższego komina armiami jazz-bandów i giralasek, zastępami maitre d'hôtel, stewardów i groomów. Co odważniejsi Amerykanie pakowali już walizy, aby z pierwszą wycieczką biura Cooka jako pierwsi postawili stopę na odzyskanym centymetrze Europy.

Ze wszystkich stron świata serpentynami szyn zjeżdżały nad Rodan w karkołomnym wyścigu kokoty, rajfurki i zwykłe prostytutki, żywy towar wszystkich narodów i ras, dla którego zapobiegliwy rząd francuski zmuszony był wprowadzić pociągi nadliczbowe.

W cieniu nowiużeńskich domów, jak grzyby, wyrosłe z ziemi, zroszonej obfitym deszczem dolarów, zjawili się niezniszczalni, brzuchaci hotelarze.

Nad całym miastem zawisł stukot przybijanych reklam i szyldów.

Dniem i nocą, z ulic i zaułków, mając przechodniów, migotały bez ustanku znajome napisy nocnych hotelików. Owego zaś wieczora, gdy pod jazgot jawajskiej orkiestry, po raz pierwszy po długiej przerwie zatoczył swój odwieczny krąg, odbudowany w Lyonie gorejący wiatrak „Moulin Rouge“, cała Europa odetchnęła z ulgą, jak gdyby chciała powiedzieć: „A jednak się kręci.“

Perlistą, wszystko zmywającą strugą, rynsztokami nowego Montmartre'u, popłynął szampan i z pustoszejących wsi do fabryk czarną strugą popłynęli wychudli, obdarci robotnicy.

Drugiej jesieni czterdziesty szósty z rzędu gabinet stabilizował franka. We Francji, z racji kiepskiej koniunktury, ludzie przestali kupować samochody. Fabrykom groziło zamknięcie. Wszędzie zredukowano do połowy personel. Celem uniknięcia zaburzeń usuwano po kilku ludzi, o różnych porach dnia, z różnych oddziałów. O przyjmowaniu nowych robotników nie mogło być mowy.

W izbie deputowanych białogrzywy socjalista Paul Boncourt referował projekt o zwiększeniu w dwójnasób kadr policji.

Pewnego pięknego sierpniowego wieczora, kiedy po zmierzających ulicach Lyonu oscylował ten przypadkowy, niezgrany tłum statystów, jaki na

ekran bulwarów lyońskich wyrzucał co wieczora zepsuty aparat projekcyjny Europy, na rogu ulicy Vivienne i bulwaru Montmartre Jeannette oświadczyła Pierre'owi, że potrzeba jej nieodzownie wieczorowych pantofelków.

#### IV

Bure mgły londyńskie oparem wilgotnych gazów trujących pomału rozsnuwały się nad Europą.

W te lata uczeni stwierdzali wyraźną zmianę klimatu europejskiego. Zimą w Nicei leżał grząski śnieg, a zdumione palmy, siwe, z zaondulowanymi przez przymrozki liśćmi, jak dziwne płaskopierśne „garsonki“ balansowały w widmowym tangu.

W Londynie, jak zawsze, była mgła i we dnie, we mgle, paliły się latarnie, i w mętnej, mlecznej galarecie przemykali się zjeżeni ludzie – ośleple podwodne łódki z dziwacznie krótkimi peryskopami fajek.

Londyńczycy zamiast płuc mają prawdopodobnie gąbki, aby wchłaniać nimi mgłę i, wchłonawszy, wydychać ją z powrotem, jak fabryki – dym spiczastymi mordami kominów.

W południe, we mgle, zadarte ku niebu spiczaste mordy kominów były przejmująco, jak psy wietrzące trupa i wtedy z fabryk, z biur, z urzędów państwowych, wysypywały się miliony ludzkich gąbek – wsysać mgłę, aby ponieść ją na powrót do sześciopiętrowych mrowisk urzędów i biur.

W czarnych jak kopalnie portach, co dzień o jednej i tej samej porze, huczały brzuchate okręty, a na okrętach odpływały do angielskich dominiów transporty żołnierzy, urzędników i zwykłych obywateli Brytyjskiego Imperium, aby tam, pod skwarnym niebem Indii, wytchnąć ze siebie trochę mgły, która ołowianym oparem rozściele się po ziemi, bowiem dla przepalonego słońcem Hindusa londyńska mgła jadowitsza jest od trującego gazu.

Tego lata w Europie padał bez przerwy drobny, kłujący deszcz i w sierpniu od brzegów Brytanii tchnęło mgłą. Mgła ciężkim woalem przepłynęła nad La Manche, otuliła zielone wybrzeża Normandii i pociągnęła dalej, oblekając przedmioty i miasta szarym, mięciutkim zamszem. Szare kosmate kłęby pełzły równinami, jak dym. Uczeni przepowiadali słotną jesień i nie wyciągali z tego dalszych wróżb, jak to czynili chłopci, którzy, pamiętając o tym, że dym ściele się po ziemi przed burzą, przebąkiwali o nieszczęściu.

Na La Manche przeciągłym krzykiem syren nawoływały się zabłąkane we mgle parowce.

W Dauville mgła zdmuchnęła z plaży przybyłych rozkoszować się słońcem letników i morze łasymi językami chleptało biały piasek, jak zapomniane na talerzu, wystygłe purée z kartofli. Po tarasach hoteli wałęsali się nastroszeni, jakby niewyspani ludzie, z flanelowymi szalami, omotanymi dokoła szyj.

W restauracjach, w kawiarniach, w holach hoteli, od rana skowytął już jazz, a niefortunne, półnagie letniczki, ociekające żółtym, trupim światłem żyrandoli, w sukniach przypominających do złudzenia kostiumy kąpielowe, drgały w synkopach rozkoszy, wczepione, jak kraby, w piersi otrząsających się nurków-tancerzy.

Rankiem z szarego obłoku mgły zygzakiem błyskawicy wyskoczył pociąg pospieszny i po piorunochronie szyn spadł na stację. Na peronie oczekiwali go dwaj panowie w czarnych cylindrach, ze dwadzieścia sztuk fotografów i niespokojny tłum dziennikarzy. Z wagonu pierwszej klasy wyszedł wygolony, szpakowaty dżentelmen w kepi, w towarzystwie kilku młodszych dżentelmenów. Panowie w cylindrach ceremonialnie pospieszyli na jego spotkanie. Zaterkotały aparaty. Panowie, uchylając uprzejmie cylindrów, odezwali się po angielsku. Przy wyjściu oczekiwały dwa samochody i samochody, pod ciężarem opuszczających się na ich siedzenia dżentelmenów, zakołysały się przymilnie i odpłynęły we mgłę. Reporterzy na pierwszych z brzegu taksówkach pomknęli w ślad za nimi, trawieni słodką nadzieją wywiadu. Przybyły dżentelmen był angielskim premierem ministrów.

W godzinę później do obleganego przez dziennikarzy holu hotelu zszedł sekretarz premiera, przebrany w malowniczo-dyskretny pulower i luźny angielski garnitur, i z miną grzecznie znudzoną oświadczył natrętnym reporterom, że premier przybył do Dauville, nie kierując się żadnymi planami natury politycznej, po to jedynie, aby odpocząć kilka dni po trudach państwowych, i że żałuje niezmiernie, iż pogoda tak bardzo nie dopisała.

Reporterzy przykładnie stenografowali. Wiedzieli doskonale, że niedalej, jak wczoraj do Dauville przybył z Lyonu prezes rady ministrów, którego spotykali na dworcu i odprowadzali do tego samego hotelu, usłyszawszy od niego prawie identyczne oświadczenie. Wiedzieli również i o tym, że dwa dni temu pociągiem od granicy belgijskiej przybył do Dauville poseł państwa \* \* \*, aczkolwiek witać go na dworzec chodził tylko jeden pan w cylindrze i na peronie nie było ani fotografów, ani dziennikarzy.

Dlatego, zapisawszy pilnie oświadczenie sekretarza, pobiegli zADEPESZOWAĆ do swych redakcji wiadomość o ważnej konferencji politycznej przedstawicieli trzech mocarstw. Następnie powrócili co tchu czatować na małomównych dyplomatów.

Przez całe rano obaj dyplomaci pozostawali w swych apartamentach. Kazali sobie tam podać śniadanie, które obaj spożyli z apetytem. O godzinie czwartej po południu reporter, przebrany za lokaja, zauważył, że premier angielski osobiście udał się do WC, gdzie pozostawał przez czas dłuższy, po czym wrócił do swego gabinetu.

Dopiero około godziny szóstej wieczór, ku uciesze wszystkich reporterów wartujących cierpliwie za portierami, premier francuski w towarzystwie sekretarza opuścił swe apartamenty w lewym skrzydle hotelu i, bez żadnych wybiegów, udał się wprost na prawe skrzydło, do apartamentów premiera

angielskiego. Na twarzy jego, jakkolwiek dziennikarze wyteżali oczy, niepodobna było dopatrzeć się żadnego określonego wyrazu. Jeden z reporterów zauważył jedynie, że przechodząc obok jego portierzy, premier z cicha pogwizdywał popularną piosenkę.

Wizyta przewlekała się. Trzy razy reporter, przebrany za garsona, podawał do apartamentu numer 6 koktajle i długo, bez szmeru krzątał się koło szklanek. Przez cały czas jego obecności obaj dyplomaci mówili przeważnie o pogodzie, skarżyli się na marne urodzaje w państwie, wymieniali zdania na temat ostatnich wyścigów w Wembley. Reporter ostatecznie nie wskórał nic, upuściwszy tylko w zasłuchaniu i z braku wprawy jedną szklankę.

Okolo godziny ósmej wieczór po kogoś posyłano. W dziesięć minut później do drzwi apartamentu numer 6 zapukał poseł państwa \* \* \*. Wygląd miał arystokratyczny i stylizowane niedbały, a staranny przedział, wytyczony między rzadkimi kępkami włosów, zbiegał mu do samego kołnierzyka.

Podawano jeszcze raz koktajle. Rozmowa toczyła się po angielsku. Mówiono o zaletach różnych gatunków cygar. Poseł państwa \* \* \* w roztargnieniu strzepywał pyłki z rękawa.

Reporterzy za portierami niecierpliwie otwierali i składali kieszonkowe aparaty fotograficzne. Pragnęli za wszelką cenę utrwalić wyrazy twarzy wychodzących po konferencji dyplomatów i denerwowali się, że ten dokument historyczny może z łatwością zginąć wskutek niedostatecznego oświetlenia korytarza.

Wreszcie, okolo godziny dziewiętej, drzwi apartamentu numer 6 otwarły się i wyszedł poseł państwa \* \* \*, niedbale poprawiając swe nieskazitelnie śnieżne mankiety. Twarz jego, jak przystoi twarzom dyplomatów, była całkowicie pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. Poseł państwa \* \* \* odjechał windą do swego apartamentu.

Dopiero w dobre pół godziny po jego odejściu, w drzwiach apartamentu numer 6 ukazał się premier francuski, odprowadzany do progu przez swego angielskiego kolegę. Twarz miał z lekka obrzmiałą i różową, jak ludzie, którzy napalili się cygar. Niektórzy z mniej doświadczonych reporterów wzięli to za oznakę podniecenia. Niestety, oświetlenie korytarza okazało się istotnie niewystarczające; gorliwym reporterom najwidoczniej nie było sądzone utrwalić, jak się należy, dla potomności wyrazów twarzy, jakie mieli dyplomaci tego znamiennej wieczora.

Odprowadziwszy premiera francuskiego do jego apartamentów, dziennikarze rozsypali się: jedni na pocztę, drudzy do restauracji – pałaszować kotlety po wiedeńsku i pisać artykułiki, inni wreszcie na dancing – rozprostować nogi po pracowitym dniu. Obaj premierzy odprawili służbę i najprawdopodobniej udali się na spoczynek. Dzień polityczny zakończył się. Nic ciekawego nie mogło zajść do następnego rana. Ostatni reporter, pragnąc nazajutrz od świtu być pierwszy na posterunku, opuścił hotel.

A szkoda. Gdyby był doczekał do dwunastej, uwagi jego z pewnością nie uszedłby niepozabawiony znaczenia wypadek. Za dziesięć dwunasta przed bramę hotelu zajechał samochód. Ze schodów zszedł poseł państwa \* \* \*; poprzedzał go boy, niosący walizkę. Poseł i walizka zniknęli w drzwiczkach samochodu. Auto odjechało w stronę dworca.

## V

W tydzień potem, w porannych dziennikach, gdzieś na niedostrzegalnym szarym końcu, po raz pierwszy nonparelem wypłynęło imię państwa \* \* \*. Pod koniec tygodnia kwestia \* \* \*, podnosząc się z błyskawiczną szybkością, jak rtęć w rurkach szpalt, zapełniła całe kolumny, podpełzła ku nagłówkom. Wiadomości stawały się coraz konkretniejsze.

*Na terytorium państwa \* \* \*, nie wiedzieć skąd, zjawił się nagle nowy, naprędce spreparowany hetman, który zamyślił pochód na Ukrainę, w celu wyzwolenia jej spod jarzma bolszewickiego. Nastąpiła ostra wymiana ultimatów.*

W Lyonie tego dnia od rana powiał gwałtowny wiatr północno-zachodni, a na wietrze, jak niewysuszona bielizna, rozwieszona na niewidzialnych sznurach, łopotały postrzępione łachmany mgły. Wicher z furią pędził ulicami, zwalając z nóg nieopatrznych przechodniów. W powietrzu, jak o ciężałe ptaki, poszybowwały zdmuchnięte kapelusze i w ślad za nimi w dziwacznych podskokach, jak gumowe piłki, pognali bezgłowi ludzie.

Okolo szóstej wieczór na ulicach ukazały się dodatki nadzwyczajne. Na skrzyżowaniach ulic przechodnie kręcili się jak baki, przytrzymując uciekające im z rąk płachty. Pod nieprzeniknioną siatką mgły ludzie, jak schwytane motyle, trzepotali niezgrabnie rozpostartymi skrzydłami gazet.

Za grubymi szybami kawiarni opaśli zadomowieni bywalcy grali w preferansa i, z namaszczeniem dobierając maści, ciskali z rozmachem w serca kierów ostrymi pikami pik.

– Wist.

– I owszem.

– A my go – atucikiem.

– Tak, m'sje, to już nie żarty. Ci bandyci sprowokowali wojska \* \* \* do przekroczenia ich granicy. Zagrożają jawnie integralności naszej wiernej sojuszniczki \* \* \*. Francja tej prowokacji nie ścierpi.

– Pas.

– Jeszcze jak!

– Poślemy przyjaciołom \* \* \* w sukurs wojska i amunicje. Bolszewików wytępiimy.

– A my mu zajedziemy kierem! Tak, m'sje, tylko tą drogą możemy zaprowadzić nareszcie w Europie dawny, przedwojenny porządek. Mówiłem to

zawsze mojemu deputowanemu, Julietowi. Nigdy nie skończymy z drożyzną, nie skończywszy wprzód z Sowietami.

– Damulka pik.

\*

Na dworze pędził wiatr, smagał grube szyby, wzbijał się w górę, koziołkował po dachach, utknął, zaplątał się w pajęczynie anten, wywikławszy się z niej, gnał dalej, a rozhuśtane anteny huczały żałośnie, długo.

W klubie przemysłowym tego wieczora, jak co dzień, goście grali w bakarata i suto wieczerali w bufecie, żując powoli i zakrapiając „Chablis“ tłuste portugalskie ostrygi. W palarni, w wygodnych skórzanych fotelach, wysmokingowani panowie palili cygara i papierosy, rozprawiając z ożywieniem.

Wtedy wszedł zarządzający z dwoma lokajami, niosącymi długi zwitek. Zwitek, jak się okazało po rozwinięciu, był mapą Europy. Lokaje powiesili ją na ścianie.

Zarządzający, zwracając się do szpakowatych panów, rozpartych wygodnie na kanapie, objaśnił z uśmiechem:

– Ile razy jest wojna – panowie lubią mieć pod ręką mapę. Ostatniej wojny trzeba było ze sześć razy zmieniać mapy. Całkiem podziurawili je szpilkami.

Panowie otoczyli mapę kołem.

W rogu, na kanapie, łysy jegomość w monoklu mówił do siwego pana z bokobrodami:

– Podobno wczoraj wieczór eskadra angielska odpłynęła w kierunku Petersburga?...

Pan z bokobrodami nachylił się ku sąsiadowi konfidencjonalnie:

– Mój przyjaciel, sekretarz ministerstwa spraw wewnętrznych, mówił mi wczoraj – oczywiście między nami – że rząd zamierza jutro ogłosić mobilizację. Tworzy się koalicja całego świata kulturalnego, coś w rodzaju nowej krucjaty, przeciwko tym łajdakom komunistom. W ciągu trzech tygodni bolszewicy zostaną zmieceni i w Rosji przywrócona będzie władza legalna. W Londynie, za wiedzą rządów angielskiego i francuskiego, ukonstytuował się już rząd tymczasowy z poważnych mężów stanu emigracji rosyjskiej. Przebąkują nawet, jakoby... – pan z bokobrodami nachylił się niżej i dokończył już niedosłyszalnym szeptem.

– Co pan mówi! – zainteresował się łysy. – Tak, to bardzo rozumne. Zresztą, od dawien dawna byłem tego zdania. Nigdy przemysł francuski nie pozbędzie się tego fermentu, dopóki tam, na wschodzie, będą istniały Sowiety. Zlikwidowanie Sowietów, zaprowadzenie porządku w Rosji, to decydujący cios dla naszego rodzimego komunizmu, to zwycięstwo na naszym wewnętrznym, przemysłowym froncie. W imię jego cała rozumnie myśląca Francja nie cofnie się przed żadnymi ofiarami...

\*

Na dworze, opustoszałymi ulicami, na wyścigi z samotnym motocyklem, pędził wiatr, a w wietrze olbrzymimi płatami monstrualnego śniegu wirowały strzępy nadzwyczajnych dodatków. Na rogach ulic, jak widma, w czarnych ceratowych kapturach tańcowali niezdarnie policjanci.

W drukarni gazety robotniczej jasno płonęła elektryczność, terkotały linotypy i usmoleni zecerzy, jak dziwni wirtuozi, z rękami w odciskach, cwałowali rozsypanym tabunem palców po maleńkich brukowcach klawiszy. Miarowo to podskakiwały, to opadały dźwignie, a zgapione litery, jak żołnierze skrzyknięci na zbiórkę, błyskawicznie ustawiały się w rząd. Potem czcionki, jak pływacy z odskoczni, rzucały się w dół, do basenu z płynnym ołowiem, aby po chwili wypłynąć stamtąd spoistą linijką zdania:

*„Dziś, o godz. 12 w południe, pierwszy trans-*

Znowu litery gonią litery, aby, rozpalone biegiem, po chwili wynurzyć się nowym smukłym wierszem:

*port broni i amunicji wysłany z Lyonu do \* \* \**

I dalej:

*utknął w odległości 80 km od granicy niemieckiej, na skutek gremialnego strajku kolejarzy, którzy odmówili przepuszczenia jakiegokolwiek transportu, przeznaczonego do walki z robotniczym Związkiem Republik Radzieckich. “*

Kropka.

– Zuchy chłopaki! – uśmiecha się zecer.

Znów migają palce po schodkach klawiszy. Znów, jedna za drugą, po linach, po rusztowaniach dźwigni, jak akrobatki, drapią się czcionki, aby po chwili rzucić się głową w dół w bulgocący basen i wypłynąć stamtąd nowym nierozzerwalnym łańcuchem wiersza:

*„O godz. 3 po południu na mieście ukazał się dekret o mobilizacji kolei żelaznych. “*

I zaraz następne:

*„Centralny Komitet Zjednoczeniowych Związków Zawodowych proklamował na jutro strajk generalny. “*

– Towarzyszu, złóżcie cycerem odezwę KC partii do mas robotniczych.

Znowu klekocą klawisze:

*„Towarzysze! Burżuazyjny rząd francuski pod dyktando angielskich kapitalistów... “*

U wejścia do drukarni rozległ się gwar głosów, tupot nóg i szczęk karabinów. Na schodach prowadzących w dół zaroilo się od granatowych ludzi.

Policja.

Pod wieczór na mury domów wystąpiły czerwone plamy plakatów: odezwa Komitetu Centralnego Kompartii do robotników i żołnierzy.

Okolo siódmej na bulwarach wszystkich miast Europy ukazały się nowe dodatki nadzwyczajne, przynoszące sensacyjną wiadomość.



Samolot angielski, w drodze z Londynu do Lyonu, zabłądziwszy w gęstej mgłę nad La Manche'em i zmyliwszy kierunek, nieoczekiwanie znalazł się nad Paryżem i, cudem uchodząc przed ostrzałem, zdołał, mimo złamanego skrzydła, wylądować szczęśliwie poza obrębem kordonu.

To, co lotnik angielski zobaczył i opowiadał, było tak niewiarygodne, tak fantastyczne, że nawet nieodznaczająca się zbytnimi skrupułami prasa bulwarowa podawała jego relacje z dużą rezerwą.

Pragnąc stwierdzić, gdzie się znajduje, pilot leciał na wysokości zaledwie stu metrów nad ziemią. Gdy się zorientował, że jest nad Paryżem, było już za późno; ciekawość przemogła w nim obawę.

Leciał od strony Łasku Bulońskiego. Dzięki południowemu wiatrowi, który rozwiał nad miastem mgłę, mógł wszystko widzieć jak na dłoni. Paryż, który odsłonił się jego oczom, nie był bynajmniej spalony. Gmachy, pałace i posągi – wszystko na pozór stało na swoim miejscu, a jednak wszędzie dawała się zauważyć bijąca w oczy zmiana. Pierwszą rzeczą, która uderzyła lotnika, była nieprzeliczona ilość wznoszących się nad miastem olbrzymich masztów radiostacji. Powietrze we wszystkich kierunkach przecinały rozpięte w nieskończoność druty anten.

Minąwszy Łuk Triumfalny, pilot leciał dalej, wzdłuż alei Pól Elizejskich. To, co ujrzał tutaj, przekraczało już wszelkie granice prawdopodobieństwa.

Gdzie niegdyś niezmierną taflą wyslizganego asfaltu rozpościerał się plac Zgody, od Madeleine do Izby Deputowanych i od Pól Elizejskich do Tuileries, pod lekkim podmuchem południowego wietrzyka falował teraz łan dojrzałego zboża. Zboże to żęły właśnie motorowe żniwiarki, prowadzone przez barczystych, ogorzałych ludzi w białych koszulach. Mężczyźni i kobiety, w takich samych lekkich ubraniach żniwiarzy, zwinnie podawali gotowe mopy na oczekujące auta ciężarowe. Gdzieś tam, na skraju ścierniska, odpoczywające kobiety karmiły piersią niemowlęta.

Dostrzegłszy nadlatujący aeroplan, żniwiarze przerwali pracę, zadzierając do góry głowy i wymachując we wzburzeniu rękoma.

Przelatując dalej nad Parkiem Tuileries, pilot zauważył w nim kolonię, złożoną z paru tysięcy bawiących się dzieci, w jednakowych ubrankach, fartuszkach i małych czerwonych czapczkach, przypominającą pole makowe o miedzę z polem pszenicznym.

Gdzie dawniej rozciągał się Ogród Luksemburski, białł teraz w słońcu grzędami kalafiorów, szachownicą kolorowych działek, ogromny ogród warzywny.

Lotnik tak był zaskoczony tym co ujrzał, że rezygnując z dalszych obserwacji, przeciął miasto na ukos, chcąc czym prędzej podzielić się swym odkryciem z władzami.

Nad Sekwaną, w miejscu, gdzie karkołomnym skokiem przesadza ją w powietrzu most metra, ujrzał biegnący po wiadukcie pociąg, złożony z wagonów towarowych, naładowanych jakimś materiałem. Ludzi na ulicach nie było widać

prawie zupełnie, jedynie na polach i w ogrodach, wydłużające się jednak ku niebu wąską smugą dymu kominy fabryczne świadczyły o tym, że tętni tu powszechna natężona praca.

Przelatując nad południowymi przedmieściami, pilot stał się przedmiotem zaciętego ostrzału, co zmusiło go do wzbicia się na znaczną wysokość. Jedynie dzięki zręcznym ewolucjom udało mu się ująć bez znaczniejszego szwanku.

Lotnik utrzymywał, że Paryż otaczają poważne fortyfikacje i przysięgał, że dostrzegł na bastionach dalekonośne działa.

Nieprawdopodobną opowieść pilota radio rozniosło tegoż dnia po całej kuli ziemskiej.

Przed nadejściem wieczora w całej Francji sensacją dnia byli już tajemniczy ludzie, zbierający zboże na placu Zgody i płodzący całe falangi dzieci. We wszystkich kabaretach Lyonu śpiewano o nich frywolne piosenki.

## VI

Wypadki dnia następnego potoczyły się już z prawdziwie zawrotną szybkością.

O godzinie dziesiątej rano w Lyonie ukazał się dekret o powszechnej mobilizacji. Pomimo stanu wojennego i zakazu zbiegowisk, ulice pęczniały wzburzonym tłumem, wylewającym się w pochody z wrogimi okrzykami przeciwko wojnie. Zorganizowana na oczekaniu patriotyczna milicja faszystowska starała się dopomóc policji utrzymać miasto w ryzach posłuszeństwa. Spędzani stadami rezerwiści przecinali ulice ze śpiewem „Międzynarodówki“. Trzy pancerniki, stacjonowane w Tulonie, wypłynęły na morze pod czerwonymi banderami. W miastach panował ferment i rozruch. Pułk, który otrzymał rozkaz wymarszu, zabarykadował się w koszarach, wywieszając z okien czerwone chustki.

O godzinie dwunastej w południe dzienniki przyniosły wiadomość o odpłynięciu eskadr angielskich w kierunku Leningrodu. Rząd niemiecki oświadczał, iż w wybuchłym konflikcie zachowywać będzie jak najściślejszą neutralność.

Wieczne wydania gazet nie wyszły już w całej Europie z powodu strajku generalnego. Rozgorączkowane tłumy, chciwe wiadomości, oblegać zaczęły około godziny ósmej wieczór uliczne głośniki domów handlowych, parków i redakcji, w oczekiwaniu ostatnich depeesz. Punktualnie trzy kwadrans na ósmą głośniki wykasłały pierwsze sygnały regulacyjne oczekiwanych stacji.

Wtedy to, niespodziewanie, poprzez minorowy akompaniament miarowo odliczanych cyfr, zagłuszając go, jak miedziany ryk trąby, rozgrzmiały nagle w grającej z tłumikiem orkiestrze smyczkowej, przedarł się tubalny głos:

– Halo! Halo! Mówi Paryż!

Słowa te były tak nieoczekiwane, że tłumy w podnieceniu zakotłowały i umilkły, niepewne, czy nie padły ofiarą złudzenia słuchowego.

Przez chwilę słyhać było w głośniku jedynie niewyraźne echo, doliczające: „osiem, dziewięć, dziesięć...” Rozgorączkowane oczekiwaniem tłumy pochylały się bliżej. Wtedy, poprzez dźwięk odliczanych cyfr, po raz drugi rozległ się donośny, metaliczny bas:

– Halo! Mówi Paryż!

Teraz nie mogło już być wątpliwości. Gniotąc się i prac, ludzie z ciekawością cisnęli się ku głośnikom. Akompaniament umilkł. Po chwili ten sam głos ozwał się po raz trzeci:

– Mówi Paryż!

Po niewiarygodnych rewelacjach lotnika angielskiego brzmiało to jak klucz do niepokojącej zagadki. Po chwili głos rozległ się znowu, dobitny i ogłuszający:

– Mówi Paryż! W chwili obecnej miasto Paryż posiada siedem wybudowanych przez ostatnie dwa lata radiostacji o średniej mocy 500 kilowatów każda. Nastawiliśmy nasze maszyny na długość fal wszystkich popularnych stacji kontynentu. Łącząc się z którąkolwiek z nich, musicie nieuchronnie słyszeć nasz głos, przewyższający wiele razy moc ich anten...

Słowa umilkły. Przez chwilę dał się słyszeć głos zagłuszonej stacji, donoszącej w lakonicznej depeszy o wypowiedzeniu przez Japonię wojny Sowiecom. Po chwili ten sam głos znowu pokrył wszystko:

– Robotnicy! Żołnierze! Chłopi! Mówi do was rewolucyjny rząd Paryża. Paryż, który uważaliście za wymarły – żyje. Słuchy, jakie dochodziły was o szalejącej w nim epidemii – kłamia. Epidemia w Paryżu wygasła dwa lata temu. Ocalał od niej jedynie, wtrącony do więzień w czasie majowych represji, wielotysięczny proletariats paryski. Na ruinach starego Paryża, ocalały dzięki izolacji w więzieniach, proletariats wzniósł przez te lata nowy Paryż – wolnej robotniczej komuny. Pragnąc ży... na cza... zaczę...

Poprzez spletaną pajęczynę słów przedarły się naraz figlarne akordy fortepianu:

*...Magdalenko, Magdalenko!*

*Wzrusz się, skrusz się, wierz mej łzie!*

*Brnąc po ciemku pod sukienką,*

*Zabłądziłem bóg wie gdzie.*

*Skroś koronek twoich gąszcz*

*Bzykam, miotam się jak chrząszcz*

*I znaleźć drogi znanej już*

*Nie mogę ani rusz!*

*Ach, pomóż mi, o, Magdalenko...*

ryczała tenorem zagłuszona stacja.

– ... wojna imperialistyczna, sprowokowana przez wasze burżuazyjne rządy przeciw pierwszemu robotniczo-chłopskiemu państwu świata, Związkowi

Socjalistycznych Republik Radzieckich, skierowana ostrzem w pierś rewolucyjnego proletariatu wszystkich krajów, zmusza nas po raz pierwszy do przzerwania łańcucha sztucznej izolacji i zwrócenia się... bezpo...

*...Próżno wciąż do celu zmierzam,*

*Stukam, pukam, padam z nóg.*

*Otwórz, otwórz mi twój sezam,*

*Magdalenko, puk, puk, puk!...*

wydzierał się uparty tenor.

– Mówi Paryż robotniczy. Robotnicy! Chłopi! Ludy ujarzmione! Wojna z ZSRR, to wojna przeciwko wam, to wojna przeciw naszej komunie, której będziecie bronić, jako międzynarodowego rewolucyjnego bastionu w morzu kapitalistycznej Europy. Wszyscy do broni! Wszyscy na stronę rewolucyjnego Paryża! O niez... pok... z Związ...

*...Magdalenko, Magdalenko!...*

– ...żyje...towa rewolucja robot... nierzy i chłopów! Precz z woj... listyczną... żyje ...na domowa! Niech żyje Paryż, stolica Francuskiej Socjalistycznej Republiki Rad!

Czarne paszcze głośników zagrzmiały mosiężną fanfarą „Międzynarodówki“.

Tłumy, zdawało się, ogarnął jakiś szal. Ludzie biegli, gniotąc i tratując się nawzajem. Tysiące rozwartych podziwem ust podchwyciły cichnący refren „Międzynarodówki“.

I pod wzdętymi żaglami pieśni masy drgnęły jak tytaniczne okręty, trzeszcząc w spojeniach, zakołysały się na mieliznach jezdni i ciężko ruszyły.

**KONIEC**

Bruno Jasiński

*Palę Paryż*

Redakcja: *Hanna Milewska*

Zdjęcie na okładce: *Andrzej Milewski*

Copyright © for the e-book edition

by FUNDACJA FESTINA LENTE 2020

Warszawa 2020

Fundacja Festina Lente

ul. Nowoursynowska 160B/7

02-776 Warszawa



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)